

Z-T DZIEWIĘCDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1992

Z-T DZIEWIĘCDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1992

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 471

ISSN 0406-0393

ISBN 2-7168-0139-8

IMPRIME EN FRANCE

**Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE**

Agata TUSZYŃSKA

ISRAEL IS A REAL THING

Wynani, zamieszkali w księdze. Heine nazywał Torę przenośną ojczyzną Żydów. Jedynym duchowym i narodowym terytorium, na którym nie czuli się zagrożeni. Każdej Paschy składali sobie to samo życzenie: „baszana habaa be Jeruszalaim” (Przyszłego roku w Jerozolimie).

W Talmudzie studiowali życie ziemi Izraela. W Kabale szukali daty powrotu. Wygnanie traktowali jako karę. I czekali. W ich domach jedna ściana zawsze pozostawała biała, nie zabudowana i nie malowana, na znak, że to przejściowe miejsce pobytu. Kiedy w Izraelu kwitły migdałowce, Żydzi jedli suche owoce migdałów. Modlili się o deszcz dla swojej ziemi, choć zdarzało się, że ta na której mieszkali obfitowała w wodę.

Nie przestawali wierzyć, że wrócą.

Nieśli swój los przez kilka przestrzeni. I przez kilka języków. „Moje serce jest na Wschodzie, moje ciało na dalekim Zachodzie” — pisał hiszpański poeta złotego wieku Judah Hałévi. Żydzi rzadko obecni byli w pełni na ziemi, po której stąpali. Zwykle pozostawali „na zewnątrz” każdego narodu, w którym żyli. Dramatycznie rozdarci? Wykorzeni? A może zakorzenieni po wielekroć?

Jakie było, jakie jest ich prawdziwe „u siebie”? A może w żydowskim losie istnieje tylko „gdzie indziej”?

Unieważniają przestrzeń rzeczywistością, jakby umieli żyć jedynie w metaforycznej przestrzeni — w przeszłości, w języku, w piśmie, w przeznaczaniu narodu wybranego, w ziemi obiecanej.

Ale w pewnej chwili syjonizm połączył duszę z ciałem. Ziemia nieobecna stała się ziemią rzeczywistością, realnie istniejącą.

Palestyna ucieleśniła i przeszłość i nadzieję.

Brat Daniel, polski Żyd spod Żywca, duszpasterz chrześcijański, karmelita uważa, że to nie jest przypadek, iż trzy lata po zagładzie jednej trzeciej narodu żydowskiego powstało państwo Żydów, którego nie było przez dwa tysiące lat. On widzi w tym udział Boga działającego w historii.

Tymczasem ortodoksyjni Żydzi spoglądają na szczyt Meronu, na skałę w kształcie fotela, na której usiadł prorok Eljasz zwiastujący przyście Mesjasza. Jest ciągle pusta.

Na tysiącletnich murach świętej Jerozolimy kolorowe napisy: „Israel is a real thing!” Ktoś napisał, żeby się upewnić, a może upewnić innych. Może trochę na podobnej zasadzie jak mówienie tu — „w kraju”. „Jestem w kraju, w kraju to, w kraju tamto”. Ktoś mi tłumaczy, że dzieci z sierocińca też powtarzają stale — mama, mamusia. A może to po prostu dlatego, że po hebrajsku mówi się Eretz Izrael — kraj Izrael? Czym jest ów kraj? Ziemią obiecaną Żydów, ziemią świętą chrześcijan, echem Mekki, a może po prostu współczesnym żydowskim państwem?

Już na lotnisku uderza zapach tej ziemi — słodki zapach kwitnących pomarańczy. Pierwsze na co pada wzrok to palmy i wielki transparent po polsku: Witaj, kochana babuniu! Lądowanie na ziemi obiecaniej. Ktoś mówi, że Izrael to jest kraj przemienienia, gdzie rozbici i nieszczęśliwi przybysze odzyskują swoją tożsamość. Stają się Izraelczykami, co ciągle jeszcze nie znaczy to samo, co być Szwajcarem albo Duńczykiem, ale mają nadzieję, że za kilka pokoleń tak będzie. To kraj powrotu dla każdego Żyda. A kto jest Żydem? Ben Gurion, jeden z twórców państwa mówił, że Żydem jest ten, kto sam się za takiego uważa, albowiem tylko wariat twierdziłby, że jest Żydem, gdyby nim nie był.

Ktoś kogoś strofuje: mycki się nie kupuje pod kolor krawata. Ktoś przypomina: tutaj tydzień zaczyna się w niedzielę. Ktoś mnie ostrzega: pamiętaj, że w Izraelu świnina to nie jest eleganckie słowo.

Chcą wiedzieć wszystko, wszystko i od razu. Kim jesteś, skąd i po co przychodzisz? Kim był twój dziadek, jak wyglądał majątek ojca i jakie są szanse na spadek po przyszywanej ciotce? Bywają bezceremonialni w stawianiu pytań. Ciekawość, z którą się nie kryją, jest ich naturalną cechą.

Na ulicach umundurowani młodzi chłopcy i dziewczęta z karabinami, weseli, jakby wybuchające tu co sześć lat wojny nie były rzeczywiste. W ciągu 45 lat niepodległości było 7 wojen,

zginęło 17 500 żołnierzy. W Izraelu nie wznosi się bez schronów żadnych budowli.

Izrael jest krajem kwiatów i krajem diamentów. To jego główne atuty eksportowe. Bezlitośnie słoneczny, bezustannie poszukuje wody i cienia. Symbolem stało się tutaj drzewo. Znakiem powrotu i zakorzenienia od nowa w ziemi praojców. Ludzie zasadzili sami wszystkie lasy w Izraelu. Prócz jednego na wzgórzach Golan, który jest rezerwatem. Możliwość posadzenia drzewa jest najwyższym dowodem uznania, honorem i zaszczytem.

Najdłużej żyją oliwki, do ośmiuset lat. Izrael nazywany jest nową latoroślą starej oliwki z całym ciężarem i wewnętrzną komplikacją pnia i korzeni. Z lekkością nowych gałęzi, z radością i brawurą młodości. Ale i z pamięcią wiekowego pnia. Z pamięcią, którą trzeba było przewyciężyć, w swoisty sposób pokonać, żeby móc budować i nie płakać oglądając się wstecz.

Izrael to Betlejem, Dom Chleba, miejsce urodzenia Dawida i miejsce urodzenia Jezusa. To wzgórze Karmel, symbol piękna już od Pieśni nad Pieśniami, i wiecznie zielone lasy dębowe. To Tel Awiw wzniesiony przez pionierów na początku stulecia obok najstarszego na świecie portu Jaffo. To Nazaret, gdzie Jezus był dzieckiem i Magdala, ojczyzna Marii Magdaleny. To Dolina Jozafata u stóp Góry Oliwnej, gdzie wszyscy Żydzi spotykają się w Dzień Sądu Ostatecznego. To grób Racheli i rabiego Meir Ba'al'Ha'ressa cudotwórcy. Najniższe miejsce na świecie — Morze Martwe z rzeźbami soli w kształcie łez i Ejlat nad Morzem Czerwonym, gdzie pierwszym gościem był Mojżesz. To Dolina Jordanu, to step i pustynia Negew z chamsinem, gorącym wiatrem. Palmy, akacje i jabłka sodomskie, czarne kozy, osiołki i wielbłądy, wymieniane na białe kobiety. Kolorowe ptaki, oliwki, figi, winna latorośl. *Israel is a real thing*. Izrael jest mały, szesnaście razy mniejszy od Polski.

Tułaczy naród u schyłku ubiegłego stulecia próbuje wrosnąć ponownie w swoją biblijną glebę. Lata życia poza historią nie sprzyjały adaptacji, także psychicznej, do suwerenności. Wszystko było nowe i nieznanne. Paradoksalnie trudne, jak przejście od mniejszości do większości. W Izraelu żyje 3,5 miliona Żydów, poza Izraelem 10,5 milionów. Diaspora jest ciągle silniejsza niż syjonizm. Największa liczba Żydów mieszka w Stanach Zjednoczonych — 5,7 milionów, najmniejsza w Polsce — 6 tysięcy. Na terenach administrowanych przez Izrael żyją blisko 2 miliony Palestyńczyków.

Izrael został stworzony przez małomiasteczkowych Żydów ze Wschodniej Europy wespół z muzułmanami. Improwizację usankcjonowano jako styl narodowego istnienia. Brak bezpie-

czeństwa jakie dają wieki nieprzerwanego bytowania wzmocniony jest przyspieszonym rytmem codzienności. Trzeba dogonić, nadrobić, doścignąć.

Anegdota jest stara.

Pewien Żyd wraca do swego miasteczka z wizyty w Krakowie. I opowiada: Spotkałem w Krakowie Żyda, który dzień i noc ślęczy nad Talmudem. Spotkałem Żyda, który jest niewierzący. Spotkałem Żyda, który ustawicznie ugania się za kobietami. Spotkałem Żyda, który jest pochłonięty myślą o rewolucji. Spotkałem Żyda, który planuje wyjazd do Palestyny. Dlaczego się dziwisz, mówią mu, Kraków jest wielkim miastem i mieszka w nim wielu Żydów. Tak, odpowiada, ale to był ten sam Żyd.

Można by zastosować tę anegdotę do izraelskiej rzeczywistości. Mnożąc duchowe i intelektualne wcielenia owego mitycznego Żyda przez liczbę mieszkańców Izraela, otrzymamy zawrotną sumę kombinacji. Dodając różnice genealogii, różnice etniczne, klasowe i kulturowe, wynik okaże się kalejdoskopem. Żydów askenazyjskich oglądalibyśmy obok sefardyjczyków, którzy jadąc do swojej nowej ojczyzny palili ogniska w samolotach, wschodnioeuropejskich intelektualistów tuż przy analfabetach z Maroka, Żydów z Jemenu obok Żydów z Rumunii... Czy coś ich łączy? Na pewno nie przeszłość, więc terażniejszość i przyszłość.

Na czym polega nieporównywalność ich losu? Gdzie leży jej źródło? Wczorajsi niewolnicy egipscy stali się ludem wybranym bez żadnej z ich strony zasługi. „Uczynimy i wysłuchamy”, odrzekli na pytanie, czy przyjmą Torę. Nie sprzeciwili się, przyjęli wybranie. Czy znakiem więzi jest ów głos z Synaju, który rozbrzmiewa stale? Żydowska krew byłaby „biologicznie przekazanym dziedzictwem z okresu psalmistów?” Czy istotnie Palestyna jest powodem, dla którego żyją nadal i nie pogrążyli się w rozpacz i żalobie? Czy to nowa ojczyzna pozwoliła zabliznić się ranom? I czy one rzeczywiście się zablizniły? Już wiem, że dotykając pamięci jest dotykiem śladów krzywdy. To jest i bolesne i rzykowne.

Izrael to kraj trudny. Trudny do życia. Trudny do zrozumienia. I trudny do opisania. Poprzez niezwykłość swojej wewnętrznej archeologii, ziemi religii i ziemi metafizyki, ziemi trwania, przetrwania i powrotu. Trudny poprzez powikłanie historii, tak ogólnej, jak poszczególnych losów. Poprzez wielkość i różnorodność języków, obyczajów, kultur, religii. To mozaika.

To również wielka rekwizytornia symboli, niejednorodnych i wieloznacznych, kilku gatunków i kilku religii. Wielki skład prawzorów. Kraj z bogatą przeszłością niezwykle intensywnie ży-

jący terazniejszością. Kraj o nieznanym mi nigdzie indziej stopniu spiętrzenia konfliktów.

Dziesięć miar piękna Nieba darowały Ziemi, dziewięć z nich przypadło Jerozolimie, dziesiąta całej reszcie świata. Dziesięć miar cierpienia otrzymała Ziemia, dziewięć z nich przypadło Jerozolimie, jedna całej reszcie świata.

Po trzykroć święta, była trzydzieści osiem razy zdobywana i siedemnaście razy burzona, nazywają ją Matką Izraela.

Kiedy mieszkałam w Domu Polskim, tym starym we wschodniej Jerozolimie, za murami, czułam się jak uwięziona w brzuchu świata, zanim jeszcze się stał. Z tarasu miałam wspaniały widok na jasne łuskowate płaskie lub półokrągłe dachy arabskich domów. Byłam we wnętrzu muzułmańskiej dzielnicy. Co jakiś czas rozlegał się ostry, przenikliwy głos muezina nawołującego do modlitwy Allah Agbar — Bóg jest wielki. Często w tej samej chwili, o świcie lub o zmierzchu na dole siostry elżbietanki śpiewały u stóp krzyża swoje Alleluja. Ściana Płaczu, gdzie Żydzi w chałatach i wielkich lisich czapach kiwali się w modlitewnej ekstazie, była o kilka minut drogi. Który Bóg włada miastem, nie mogłam zrozumieć. Który włada światem?

Jerozolima jest niezwykłym splotem, także wielobarwniej modlitwy. Modlitwy wojującej i żądającej wyłączności. Kolorowe różańce i siedmioramienne menory, krzyżyki z drzewa oliwnego i szopki, gwiazdy Dawida, mezuzy, muzułmańskie różańce i anioły sąsiadują w zgodzie jedynie na pstrokatych kramach. Gdzie indziej bezlitośnie walczą. Na co dzień w mieście świątyń i mieście bazarów jest niebezpiecznie.

Chciałam posmakować przedwojenne żydostwo, wejść w ulice warszawskich Nalewek albo lubelskich Piasków, jeść kugel i gefilte fisz, zobaczyć tańczących rabinów i szabatowe święto. Nie chciałam pamiętać, że diaspora z jej kuchnią i językiem, z jej obyczajem i religią, miała być w nowym państwie zapomniana. Liczyłam na cud, przywiązanie do tradycji, sentyment. Potrzebny był mi pejzaż singerowskiej rzeczywistości, pejzaż na którego nieistnienie nie chciałam się zgodzić. Znalazłam dekoracje. Ale minął jakiś czas, zanim zrozumiałem, że te fragmenty które są tu zachowane i pielęgnowane niezupełnie są tożsame z pierwowzorem. Przede wszystkim z powodu kontekstu, w jakim dziś funkcjonują, a potem roli, jaką odgrywają w izraelskim państwie. Ortodoksyjne żydostwo w nalewkowskich kostiumach zaprowadza w nowoczesnym społeczeństwie prawa średniowiecznego getta. Rabini stoją nie tylko na straży moralności, ale radzą również w parlamencie na temat zabronienia hodowli świń albo zamknięcia lotniska w soboty.

Pozostawała mi jak zawsze pamięć, pamięć tych, dla których tamta daleka rzeczywistość polskich żydowskich dzielnic i miasteczek była krajem dziecięcym. A przecież wspominali ją tutaj mniej czule niż gdziekolwiek na świecie. Nie lubią wspomnień. Wkrótce miałam zrozumieć, dlaczego.

Żyd z diaspory to znaczyło w Izraelu, szczególnie na początku, najchętniej polski Żyd płaszczący się przed gojem i tańczący majufesa, taki taniec. Żyd polski to było coś niskiego, czym nie wypada być. Żyd izraelski mało ma wspólnego z nalewkowskim Żydem. Ma inny kręgosłup moralny. Jest bardziej wyprostowany, nie boi się, nie przemyka pod ścianą, bezradny wobec środowiska, w którym się nie zasymilował. On jest u siebie. Nareszcie u siebie.

Izraelczyków wychowano inaczej. Syjonizm chciał się oderwać od przeszłości upokorzeń, chciał zaprzeczyć wszystkiemu, co było istotą tradycyjnego żydostwa. Choć przecież bez tej kultury to państwo nigdy by nie powstało. Nie powstałoby również bez religii. Religii, która na wygnaniu wyznaczała narodową tożsamość, dziś trudno przypisać podobną rolę. Świecka większość społeczeństwa czuje się zdominowana przez ortodoksyjną mniejszość. Fanatyczna gorliwość, z jaką wcielane są w życie przepisy możeszowej religii, budzi uzasadnioną niechęć. Tym większą, że świątobliwi rabini decydują o losie państwa, którego istnienia nie uznają. Nie Mesjasz je stworzył, jest więc ono dla nich dziełem szatana.

— Kiedy tu przyjechałam, wspomina Jadzia, ocalona po aryjskiej stronie, nie wolno było się odezwać po polsku, wszyscy biegali za tobą i krzyczeli *rak iwrit...* (tylko po hebrajsku). Po ulicach chodzili mężczyźni w krótkich spodenkach i bluzach koloru khaki, mieli owłosione piersi z kropelkami potu i chusteczki białe na karku, które — przez długi czas nie wiedziałam do czego służą. Kobiety w kretonowych sukienkach na ramiączkach z powiewnymi, różowitkimi apaszkami nasuniętymi poniżej czoła, zamiast słonecznych okularów. Wszyscy byli tacy zdrowi, siermiężni, prosto od roboty. Kawiarnia była dla nich miejscem piekielnym, zresztą nie było wtedy kawiarni.

To się musi przemieszczać, przegotować, jak pod pokrywą wielkiego garnka, mówili. „Z korzeniami wyrwani z gruntu, od nowa zdolni zakiełkować”, pisali w wierszach. Przyjeżdżali zewsząd. Zrzucali stare skóry. Palili — jak zauważył Ksawery Pruszyński — szmaty z gett. Rzucali swoje i brali obce. Zwyczajnie, języki, potrawy, ubrania. Starali się dostosować do potrzeb nowej ojczyzny. A ta pilnie strzegła jednolitości. Młody

organizm czuł się zagrożony obcą krwią napływających mniejszości. Teraz to się znowu odwraca. Zaczynają odgrzebywać swoje korzenie — polskie, litewskie, rumuńskie. Ale to są powroty zbyt późne. Powroty skazane na zagładę.

Izrael wznowił hebrajskość. Język modlitwy służy dziś do najbardziej świeckich celów. Teodor Herzl nie przypuszczał, że będzie można kiedykolwiek załatwić kupno biletu kolejowego po hebrajsku. Jakże się mylił. Na początku wieku Ben Jehuda tworzy nowoczesny język hebrajski. Jego syn Itamar jest pierwszym dzieckiem, dla którego był to język ojczysty. Tutaj często dzieci uczą języka własnych rodziców. Ten język ciągle się tworzy. Każdego dnia.

W Izraelu jest taki przepych możliwości literackich, jakiego nie ma nigdzie na świecie, ktoś powie. Przez to, że w tym języku wszystko jeszcze może się zdarzyć. Można wymyślać słowa, łączyć je, dodawać. Można czerpać ze skarbnicy słów emigrantów ze wschodniej Europy. To działa niezwykle stymulująco. Można stworzyć słowa, które natychmiast wejdą do powszechnego obiegu.

— Móc pisać po hebrajsku, czy ty rozumiesz co to znaczy, pyta mnie młody pisarz. To jest język, który przez całe stulecia służył wyłącznie do modlitwy. A teraz ja słyszę jak moje dzieci klócą się po hebrajsku. I ja mogę pisać po hebrajsku!

Podobno Izrael stanie się normalnym krajem wówczas, gdy hebrajski będzie językiem przekupek, prostytutki i przestępców. To chyba już niedługo.

Brat Daniel nie będzie już musiał tłumaczyć studentom tekstów z greki, by zrozumieli tego rabina z Nazaretu, który był Mesjaszem. Wśród Żydów mówiących po hebrajsku, tu gdzie chrześcijaństwo powstało, próbuje być takim chrześcijaninem, jak go nauczył święty Paweł.

Amit uświadomi mi jeszcze jedną trudność pisania o izraelskiej rzeczywistości. To, co widzimy, to jest jedynie ostatnie ogniwo — resztką wielkiego łańcucha kultury, tradycji, rodziny, zaledwie część tego, co ocalało.

Tutaj każdy ma swoją historię. Każdy ją w sobie nosi, napisaną albo nie napisaną i czyta, głośno, jeśli są słuchacze. A teraz słuchacze są.

Jak można pisać o Izraelu nie wspominając „mitycznego kraju TAM”, skąd pochodzą rodzice z numerami wytatuowanymi na przedramieniu. To przecież i oni żyją w biblijnym pejzażu jeziora Genezaret, które po hebrajsku znaczy lira i służy Bogu do wygrywania jego ulubionych melodii. Ocaleni z wago-

nów do Trebłinki, uratowani za szafą, na Syberii, w chłopskich stodołach, zaludniają Judejską Pustynię i zieloną Galileę. Ci z domów dziecka, uczący się od nowa patrzeć ludziom prosto w oczy. Jak ich pominąć? Pełne ich głosów piwnice w Instytucie Pamięci Yad Vashem.

Biblia mówi, że Adam był wegetarianinem. Reguły biblijne zakazują spożywania krwi, bo stanowi część Boga. Zakazują jedzenia zwierząt nieczystych, żywiących się innymi zwierzętami. Wyklęte są przez judaizm wszelkie hybrydy — struś, ostrygi, małże. Chrystus traktowany jest jako hybryda absolutna. Nie będziesz spożywał jagnięcia w mleku matki jego, mówi Biblia. Dlatego niedozwolone jest łączenie potraw mięsnych z mlecznymi. W Izraelu sprzedaje się wyłącznie mięso uboju koszerne.

Koszer utrzymują wszyscy religijni Żydzi na świecie, nie tylko ortodoksyjni. Stosowano się do tych reguł nawet w getcie, do ostatniej chwili. Jakub tak mi powie:

— Koszer to jest oświadczenie z mojej strony, że jestem człowiekiem tego narodu, tej wspólnoty, która żyła takim a nie innym stylem życia. Chcę to podkreślić, a to jedyna droga. Przekonałem się, że koszer jest ważniejszy od innych rytuałów. Bo to wyznacza codzienność, bo to stanowi część naszego bytowania. To nie abstrakcja w rodzaju, że monoteizm judaistyczny jest lepszy od monoteizmu muzułmańskiego. Ja wiem doskonale, że od szynki się nie umiera, jadłem szynkę. Ale to jest ważne dla mnie, że nie jem. Ważne dla mego poczucia żydowskiej tożsamości. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego, nie jestem z tego powodu bohaterem.

Znienawidziłam swój kostium wzięty na specjalne okazje, z długimi rękawami i spódnicą, jedyny, okazało się, w jakim mogłam wejść do ortodoksyjnej dzielnicy żydowskiej Mea Shearim, żeby nie zostać opluta. Nigdy nie było wiadomo, którego dnia się tam znajdę. Szorty kupione na izraelskie upały leżały w szafie. Mimo skromnego stroju mężczyźni nie chcieli ze mną rozmawiać, a w autobusach chasydzi w kapeluszach i czarnych kapotach po prostu wstawali z miejsc, gdy siadałam obok nich. Reakcje Izraelczyków na podróżującą samotnie kobietę są zgoła inne, co również z początku wywoływało moje zdumienie. Propozycje czynione są szybko, naturalnie i bezpośrednio, im dalej na południe, tym bardziej natarczywie. Z Ejlatu musiałam po prostu uciekać, przeklinając sobotę, która uniemożliwiała natychmiastowe ruszenie się z miejsca. Przez ten sabatowy czas zdołałam odebrać na plaży kilkanaście nowych ofert, a także wysłuchać wykładu filozofii tamtejszych Don Juanów. Trzeba próbować

do skutku, w końcu się jakaś trafi, przecież życie jest takie krótkie, że nie wolno grzeszyć cnotą, szczególnie w takim upale, gdzie aż gotuje się krew. Wedle tej opinii, może istotnie jest o co się modlić mieszkańcom Mea Shearim?

Oni całe dni rozmawiają z Bogiem. Pracują dla nich kobiety. Rodzą dzieci i pracują.

Żaden z moich izraelskich znajomych nie chciał uczestniczyć w moich spacerach po starej Jerozolimie. Mają zasadę nie wchodzenia do okupowanego przez Izrael miasta za murami. To protest i trochę lęku. Mimo panującej psychozy nie zawiesiłam na piersi krzyża, mającego mnie chronić przed atakiem muzułmanów. Chodząc szczytem murów dookoła miasta nie zdawałam sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Na wąskich tłumnych uliczkach starałam się je bagatelizować.

Pewnego dnia szłam w samo południe z katolickim księdzem drogą krzyżową do polskiej stacji. Wracaliśmy z obrośniętego czerwonymi makami cmentarza polskiego na Syjonie. Przechodziliśmy się przez arabski szuk, kolorowy bazar owoców, lepkich słodczy, jaskrawych strojów, kramów z dewocjonaliami, ale i wielbłądami i aniołami z oliwkowego drzewa. Trzecia stacja mieści się w narożnym budynku na skrzyżowaniu Via Dolorosa i El-Wad Rd., dawniej ulicy wyrabiaczy sera. Nagle mężczyzna tuż obok mnie zachwiał się i przewrócił. Duży kamień ranił go w głowę. Czy był przeznaczony dla mnie?

Po chwili byliśmy już we wnętrzu kaplicy. Olejny obraz przedstawia Chrystusa idącego przez świat z krzyżem. Za nim podążają Polacy w narodowych strojach. Każdy z krzyżem własnym.

Wielokrotnie słyszałam o arabskich dzieciach rzucających kamieniami w muzułmańskiej części starego miasta albo na prowadzącej przez arabską wioskę drodze na Górę Oliwną. Długo nie rozumiałam dlaczego nikt nie chce zawieźć mnie w miejsce, z którego rozciąga się bodaj najpiękniejszy widok na całą Jerozolimę. I dopiero, gdy jeden ze znajomych powiedział — ja cię zabiorę, ja mam stary samochód, w końcu to do mnie dotarło.

Uderzono nas w dach. Niegroźnie. Kamieniami karzą obcych i innowierców. Francuską turystkę zakłuto nożem w Betlejem w toalecie restauracji.

Michał był moim wytrwałym jerozolimskim przewodnikiem. Jest w Izraelu 22 lata. Miał 16 kiedy przyjechał. W sumie ponad 7 lat spędził w mundurze. Zjedliśmy razem wiele ryb — po żydowsku (*gefilte fisz*) i po izraelsku (św. Piotra). Bezustannie rozmawialiśmy. On również nie wchodzi za mury kananejskiego

miasta, choć jest tam i Ściana Płaczu i Kościół Nawiedzenia. Ma dość igrania z ogniem.

— Intyfada to znaczy po arabsku powstanie. Izrael nie może sobie poradzić z intyfadą od czterech lat, a poradził sobie z armią jordańską czy syryjską. To wskazuje, że taki stan może trwać jeszcze długo. I to jest tragedia Izraela. Ludzie idą mniej chętnie do wojska, wymigują się, jak tylko mogą. To było dawniej nie do pomyślenia. To jest wróg, ale trzeba z nim prowadzić negocjacje.

Kiedy chłopak ma okazję wykręcić się od wojska, robi to. Podobnie jak teraz jest w dobrym tonie oszukiwać urząd podatkowy. Kiedyś było inaczej. Zmieniły się trochę zasady moralne w tym kraju. Nie idź na pierwszą linię, bo będziesz frajerem. Najlepiej do kantyny sprzedawać, albo na budowę czy do banku. To już nie jest ten sam Izrael.

Ma nadzieję, że społeczeństwo dojrzeje w końcu do tego, że rozpoczną się rozmowy. Dajan, architekt wojny sześciodniowej, też musiał oddać ziemię. Teraz też w końcu trzeba będzie oddać i Nablus i Ramallę i Betlejem, i kto wie co jeszcze. Choć dla całego pokolenia to będzie wielki dramat. A oddadzą, bo w tych warunkach dłużej nie będą w stanie żyć.

— To jest ciągły lęk, ciągłe poczucie zagrożenia. W takim państwie powinny być inne problemy, niż problemy związane z wojną. A z drugiej strony my nie możemy przekreślać narodowych aspiracji Arabów.

Ale jest tu pewien paradoks. Otóż cały ten kraj po 1967 roku jest zbudowany tylko i wyłącznie rękoma Arabów. Kto jest murarzem w Izraelu? Kto tutaj może być murarzem? Jeśli nie będzie Arabów to będą Portugalczycy albo Polacy. Teraz jeszcze Rosjanie. Wiem, przeczę samemu sobie. Raz mówię, żeby Palestyńczycy byli po drugiej stronie granicy, a zaraz potem pytam, kto będzie pracował. Izrael to jest taki mały *apartheid*. Żydzi są urzędnikami, naukowcami, przedsiębiorcami, ale nigdy nie robotnikami. Bo tutaj niestety jest kapitalizm. Jak ja mam fabrykę i mam zatrudnić Żyda, to ja za pół ceny zatrudniam Araba i jeszcze go nie ubezpieczam. Bez Arabów jest źle, ale z Arabami jeszcze gorzej.

Z prasy:

4 kwietnia. Na głównej ulicy wschodniej Jerozolimy Salah A-Din zatrzymano wczoraj młodego Araba, u którego znaleziono dwa 20-centymetrowe noże. Nieco wcześniej aresztowano Arabkę, w posiadaniu której znajdował się 70-centymetrowej długości miecz oraz flaga palestyńska i tak zwane „nindże”, gwoździe do przebijania opon.

Trzy regilie współwalczą i współistnieją w Jerozolimie.

Szczyt góry Moriah mieści się dziś we wnętrzu wspaniałego meczetu Omara, którego złota kopuła jest jednym z wyraźniejszych znaków Jerozolimy. Szczyt góry Moriah jest potrójnie znaczący dla trzech wielkich religii świata zrodzonych tu, w świętym mieście. Tutaj Abraham złożyć miał w ofierze swego syna Izaaka, więc Żydzi czują się z tym miejscem związani. Chrześcijanie również, bo w grocie u podnóża skały modlił się i odpoczywał Jezus Chrystus. Na tę samą skałę anioł przyniósł ponoć z Mekki samego Mahometa, by unieść go na skrzydlatym rumaku aż do siódmego nieba.

Gdy w 638 roku kalif Omar zdobył Jerozolimę, skałę pokrytą popiołem oczyścił i kazał na niej zbudować drewniany meczet. Żydów jerozolimskich naznaczył złotymi łańcuchami hańby i wzgardy.

Z.P. jest w Izraelu 10 lat i całkowicie się z tym krajem utożsamia. Mówi my. I znajduje potwierdzenie tego, co mówi, w 3/4 głosów w Knesecie.

— To jest walka na przetrzymanie. Arab powie — Żydzi są tutaj na statusie krzyżowców. Przetrzymamy. Arab to jest inna mentalność. Kiedy on zabija nożem trzy kobiety, on jest z tego dumny. Czy Europejczyk byłby dumny z tego, że zadźgał nożem trzy stare Niemki? A oni są dumni. Piszą o tym w swojej podziemnej prasie. Mordują z imieniem Allaha na ustach.

Nie rozumiem dlaczego oni palą lasy. Palą lasy, które — jeśli oni zwyciężą — byłyby ich własnością. Dlaczego tańczą na dachach widząc spadające skudy? Dlaczego nie chcą żyć z nami i uprawiać ziemi? Tu jest dużo miejsca dla obu narodów, są pustynie. Ale jeśli nie, to nie wpuszczać ich do roboty w Izraelu!

Na 4 miliony Żydów jest na tym terenie półtora miliona Arabów, ciągle jesteśmy większością. Ale na świecie jest po wielokroć więcej Arabów niż Żydów i od tylu lat nie można rozwiązać tego problemu. Dlaczego? Obok jest państwo arabskie z tą samą religią, dlaczego nie można ich tam przenieść?

Czego chcą Żydzi? Żyć w spokoju. I jeszcze — żeby ich inne narody nie uczyły moralności. Chcemy być u siebie. Nie dają nam spokoju. Kraj jest mały, raptem 20 tysięcy kilometrów kwadratowych, niewiele więcej niż województwo krakowskie. Oddaliśmy już Synaj ze złożami ropy naftowej — dla pokoju. Który kraj europejski by to zrobił?

Arabowie, obywatele izraelscy, nie służą w wojsku, tylko Druzowie i Beduini. Nie mają także pewnych uprawnień socjalnych. Z Arabami niczego nie można być pewnym. Dziś się godzą na pokój na jednych warunkach, jutro zażądają czego in-

nego, nowego. Oddać — to jest coś innego i zawrzeć pokój, także coś innego. Nie ma się z nimi nigdy żadnych gwarancji.

Nie widzi różnicy między Żydem polskim a Żydem rumuńskim, czy węgierskim. To podobnie niespójne, nie utrzymujące tradycji grupy. Grupy chyba najbardziej nie lubiące swoich korzeni. On sam uznaje siebie za obywatela państwa Izrael.

— Nie mam korzeni w babkach, dziadkach, krewnych. Nie mam tradycji rodzinnej, nie mam w Krakowie kamienicy, z której pochodzę. Poczucie żydostwa to u mnie poczucie przynależności do narodu i jeszcze może to, że mogłem pojechać do Izraela. Bo przecież nie religia, nie tradycja i nie język, bo nie mówię po żydowsku. Nie mam w swojej genealogii dziadka tal-mudysty, mój dziadek chował świnie, ale go nie pamiętam. Ilu ludzi może wskazać miejsce, gdzie stał ich dom? Zakorzenie to jest nieprzerwany łańcuch tradycji. Ja tego nie mam.

W Polsce byłem Polakiem, tu jestem Izraelczykiem. Nie ma w tym żadnej metafizyki. Herbert pisze, że metafizyka „prowadzi do szybko wykopanego dołu”. Gdybym wtedy w 81 roku dostał paszport szwajcarski byłbym Szwajcarem. Jestem Izraelczykiem, tu służę w wojsku, płacę podatki.

Sądzi, że nie istniałby problem żydostwa, gdyby Żydom stale i na każdym kroku nie przypominano, że są Żydami. Jest oburzony na to, co się działo podczas wyborów w Polsce. Po co było grzebać ludziom w spodniach? Fakt, że Żydzi nie lubią Polaków, uważa za oczywisty.

— Wyobraź sobie, ciebie wyprowadzają z mieszkania, a w tym samym czasie sąsiad już wynosi twoje graty. Jeśli udało ci się ocalić, wracasz, a tu ci mówią: toś ty tutaj, szkoda, że cię nie spalili. To pozostawia bardzo przykre wspomnienie. Jak sądzisz? Niemcy to była inna kategoria. Albo wagony do obozów. Żydzi rzucający złoto i Polacy biorący je, a potem wylewający na oczach spragnionych przyniesioną wodę. Na murach jeszcze dzisiaj pisze się ŻYD, zamiast świnia albo skurwysyn. Nie widziałem, żeby pisano — Niemiec.

Uważa, że antysemityzm należy do polskiego folkloru. Bo co to znaczy, że na plakacie wyborczym przeciwnika maluje się gwiazdę Dawida?

Chciałby, żeby ich traktować normalnie. Nie kochać, bo to jest odwrotna strona tej samej monety.

Sądzi, że państwo nikomu się nie należy. Państwo trzeba sobie wywalczyć. I Izrael je sobie wywalczył. Co zrobić, że Żydzi mają do czynienia z niestabilizowanym psychicznie przeciwnikiem?

Czytam fragment tekstu Daniela Szemi z polskiej gazety:

„Powiedziałam moim dwóm synom, by wystrzegali się Arabów. Powiedziałam im, żeby zwracali uwagę na ludzi na ulicy, a jeśli ktoś będzie wyglądał na Araba, niech przejdą na drugą stronę. Powiedziałam im, żeby obserwowali ruchy rąk ludzi wyglądających na Arabów i jeśli zobaczą jakiś podejrzany ruch, niech po prostu uciekają. Powiedziałam im, żeby opuścili przystanek autobusowy, jeśli mają czekać na nim z kimś wyglądającym na Araba. Powiedziałam im również, żeby ani w autobusie, ani w taksówce obok takiego nie siedzieli.

W odpowiedzi na ich pytanie stwierdziłam, że oczywiście nie wszyscy Arabowie są potencjalnymi mordercami, ale ponieważ nie możemy sprawdzić, kto tak, a kto nie, będziemy — aż do zmiany sytuacji — wystrzegać się każdego. W gruncie rzeczy zrobiłam wszystko, co mogłam, aby ich nastraszyć. Przedstawiłam im, czego może dokonać jeden szaleniec przy pomocy zwykłego kuchennego noża. A kiedy ich nastraszyłam, odebrałam im również wszelkie poczucie dumy. Uciekajcie, powiedziałam”.

— To jest taki mały kraj, mówi Shlomo, a ma się wrażenie, że jest się w centrum świata. Shlomo sądzi, że Żydzi z Arabami chcą takiego pokoju, jaki jest między rycerzem i koniem. To też jest pokój. Mieczem można walczyć, ale na mieczu nie można siedzieć.

To jest mały kraj i mały naród otoczony przez miliony Arabów. Bardzo łatwo stać się fanatykiem w takiej sytuacji. Gil czuje, że im bardziej są w tej sytuacji uwięzieni, tym bardziej przestają być ludźmi.

To jest mały kraj, a od 1968 roku to była już czwarta wojna. Ona tu siedziała z dwiema córkami — w każdej chwili potencjalnymi wdowami. Jeden w Egipcie, drugi na wzgórzach Golan. Przyczepione do radia, od komunikatu do komunikatu. Ona wie, że oni muszą się bronić, ale jak w tym żyć wiedząc, że to się będzie powtarzać. Że będzie następna wojna.

Od 1987 roku więzionych było około 200 rezerwistów, którzy odmówili służby na terenach zdobytych. Członkowie ruchu Pokój Teraz, który jest za oddaniem wszystkich terenów z wyjątkiem Jerozolimy nie chcą służyć jako żandarmi politycznej ekspansji Izraela. Organizują demonstracje, żywymi łańcuchami opasują starą Jerozolimę albo trzymając się za ręce wyznaczają drogę Jerozolima — Tel Awiw. Mówią o nich — pięknoduchy, wy nie znacie Arabów. Może. W tej chwili intyfada stała się

niewątpliwie częścią arabskiej strategii, ciągłym zarzewiem niepokojów.

Ben Gurion pragnął, by Izrael stał się „światłem dla gojów”. Czy istotnie udało się przekształcić syjonizm we współczesne zbawienie? Były minister sprawiedliwości Chaim Cohen jest pewien, że ci którzy przyjechali, zrobili to z powodu prześladowań w swoich krajach. Obecna polityka Izraela jest źródłem wielu niepokojów i rozczarowań. Wiktor Szem-Tow powie z przykrością, że miejsce żydowskiego pracownika zajął arabski nosiwoda. Chaim Cadok, również były polityk wyrazi zdziwienie i żal, że przez tyle lat Izrael sprawuje narzuconą władzę nad 1,7 milionem Arabów. Tereny okupowane nazwie młyńskim kamieniem u szyi.

Z wiadomości prasowych wiosną tego roku można się dowiedzieć:

Że w krajach Europy wschodniej — poza ZSSR — mieszka obecnie ponad 100 tysięcy Żydów.

Że bób jest rośliną faraonską. Egipcjacy duchowni twierdzą, że synowie Izraela zbuntowali się przeciw Mojżeszowi na pustyni po wyjściu z Egiptu — tylko dlatego, że tęsknili za bobem.

Że na cmentarzach wojskowych w Izraelu na nagrobkach wolno podać wyłącznie hebrajską datę śmierci żołnierza. Data niehebrajska „godzi w zasadę ujednolicenia”. Najwyższy Trybunał Sprawiedliwości uznał ostatnio racje rodziny Ginosar i pozwolił jej umieścić na nagrobku syna poległego w Gazie, również datę zgodną z przyjętym na całym świecie kalendarzem.

Że turystyka w Izraelu upadnie. Hotele pracują na 30% możliwości, a straty liczone są na setki milionów dolarów. Kto ma ochotę jechać do kraju, gdzie już na lotnisku rozdawano maski gazowe, a teraz zdarza się jedno zabójstwo turysty w ciągu kilku tygodni?

Że 16 kwietnia o godz. 20.00 syreną żałobną i minutą milczenia rozpoczęły się obchody Dnia Pamięci Żołnierzy Poległych w walce o niepodległość państwa Izrael. Zaraz potem zapalono znicz przed Ścianą Płaczu. Nazajutrz o 11-ej przed południem syrena żałobna ogłasza dwie minuty milczenia, po czym rozpoczynają się żałobne obchody na wszystkich cmentarzach kraju. Następny dzień to Święto Niepodległości. Prawie 80% uczestników sondażu zadeklarowało, że zamierza wywiesić w tym roku flagi z okazji Święta Niepodległości. Jest to poważny wzrost w stosunku do ubiegłego roku (50%), przejaw nasilenia nastrojów narodowych.

Sklepiarz z Jaffo, u którego oglądam agaty, a potem wszystkie inne pamiątki, nazywa się Schwirtz i urodził się w Paryżu, ale jego rodzice pochodzą z Łodzi. W 22 roku wyjechali na Montmartre. Odwiedzili raz rodzinę w Polsce, miał wówczas cztery lata. To było duże mieszkanie na Piotrkowskiej ulicy. Nic nie pamięta, prócz lodów. Paryż, który uwielbia, opuścił w 52 roku, wyjechał, bo był idealistą i chciał budować nowy świat. Ale też dlatego, że Francuzi to straszni antysemita. Był jakiś czas w klasztorze, może to jest powód, dla którego wyrabia do dziś krzyżyki z oliwkowego drzewa. *En gros*. W hurcie. Handluje nimi z wieloma krajami.

W pociągu do Hajfy siadam obok starszego mężczyzny, który czyta francuską książkę. Po chwili okazuje się, że jego ojciec jest z Międzyrzecza, a matka z Białej Podlaskiej. Rozmawiamy dalej po francusku, bo Polskę opuścili w 1922 roku i pamięta stamtąd jedynie trzy słowa. Pamięta je z wizyty w 1939 roku w Warszawie, podczas wakacji. Chodził po Gęsiej i Nalewkach, jadł lody (lody, lody za 5 groszy!) i z kolegą oceniali młode panienki: „ładna dziewczynka!” Wielu zachowało w pamięci to określenie. Wielu zwracało się do mnie w ten sposób, co nie miało żadnego związku z moim wiekiem. A zatrzymywało ich w czasie, który znaczył dla nich młodość, a czasem Polskę, a czasem i jedno i drugie.

Z Szymonem rozmawialiśmy o Bogu. Bezszykownie usiłowałam go przekonać, że z całą pewnością istnieje jeszcze coś, coś poza materią, coś co jest duchem albo świętością. Zniecierpliwił się. Może coś jest, odpowiedział stanowczo i tak, żeby zakończyć rozmowę. Ale nawet jeśli jest, nie sądzę, żeby miało coś przeciwko temu, że jem wieprzowinę w Jom Kippur.

Weszłam do supermarketu na ulicy Weizmana w Tel Awiwie. Wzięłam tylko mydło i sok, ustawiłam się na końcu kolejki. Starszy pan stojący przede mną zagaduje coś po hebrajsku, nie rozumiem. Pokazuje, że chce mnie przepuścić. Dziękuję we wszystkich znanych mi językach, w końcu jako ostatnia deska ratunku — po polsku. Zwykle sto procent trafień. Pan jest z Radomia, wyjechał w 35-ym. Nie, nie był więcej i nie chce wracać. W pewnej chwili kobieta z wózkiem obok mówi coś po hebrajsku podniesionym głosem. Trwa to długą chwilę, czuję nieprzyjemny ton, chcę wycofać się na koniec kolejki. Co ona mówi, pytam po polsku. Sama odpowiada: Ona mówi, że Polacy podczas wojny byli gorsi niż Niemcy, ona mówi, że sami chodzili i wydawali Żydów, że mieli jakąś diabelską przyjemność

we wskazywaniu palcem. Za pół litra wódki, albo za nic. Ona mówi, że odmawia używania tego języka, nie czyta książek, nie chce w ogóle o nich słyszeć. To ona mówi.

Wychodzę. Naprzeciwko budka ichniego totolotka. Mężczyzna wewnątrz jest Żydem z Rumunii. Rozmawiamy chwilę po francusku, a kiedy się dowiaduje, że jestem z Polski, mówi — oczywiście — ładna dziewczynka. Daj panu Bogu szansę, kup los. Nie kupiłam, bo podeszła Irena, która tyle lat nie mówiła po polsku, że musiała natychmiast ze mną porozmawiać. Pal sześć moje szczęście! Po chwili siedzimy przy okrągłym stoliku nad kawą. Pod palmą. W środku miasta. I ona opowiada mi swoją historię. Tego dnia polskie słowa pociągają inne polskie słowa. Bez mojego udziału. Wcale nie codziennie tak się zdarzało.

— Ja sobie kiedyś zadałam pytanie, jak ja bym postąpiła, czy ja bym ratowała Polaków, gdyby za to groziła kara śmierci mnie i mojej rodzinie. Ja nie wiem, co bym zrobiła. Człowiek, który tego nie przeżył, jest pełen krytyki, nienawiści. Ja miałam znajomą Polkę, Józefę K., która ratowała Żydów. Jej mąż zabiło za to AK. Tak że w rzece różne ryby. Ja przeżyłam wojnę w Rosji. Ojca straciłam na Majdanku, siostrę w getcie białostockim. Z Magnitogorska wróciliśmy w 1946 roku na Dolny Śląsk, urządziliśmy się. Wierzyliśmy, że będzie Polska. Pracowałam w sklepie MHD we Wrocławiu. Ciężko było, mało towaru, czasem wcale. Ktoś powiedział: Żydówki kradną. Żydzi piją naszą krew! Żydzi do Palestyny! I kiedy dzieci przychodziły z przedszkola i pytały, co to znaczy — parszywy Żyd, wiedziałam, że tam nie zostanę. Wyjechałam z mężem i czwórką dzieci. W 1956 roku.

Czy Polacy pomogli Hitlerowi, nie wiem. Mnie jest wstyd za tych, co wydawali, a nie musieli tego robić. Ale nie mam pretensji, że nie przechowywali, bo przecież to mogło kosztować życie. Ale że wydawali za kilo cukru czy bochenek chleba...

Obok przy stoliku siedzi pani w czerwonej bluzce i biało-czarnych koralach, czuję, że od jakiegoś czasu przysłuchuje się rozmowie.

— Ale Polacy robili to z rozkoszą, stwierdza, byli gorliwsi niż Niemcy.

— Co pani mówi, niech się pani nie denerwuje (Irena mnie broni).

— Wydawali, jak kończyły się pieniądze. Brali do końca, a potem na śmierć. Mówili na Żydów — koty.

Przy stoliku obok siedzi również starszy łysiejący mężczyzna w jasnej kurtce i niebieskiej koszuli.

— Ja szmuglowałem bimber na linii Warszawa-Otwock —

wtrąca się. Byłem dostawcą wódki. Miałem tyle pieniędzy w kieszeniach, że mogłem pójść jeść do najlepszej restauracji, ale jadłem pod mostem Kierbedzia za 20 groszy. Wie pani dlaczego? Polaków się bałem.

Pani w czerwonej bluzce ocalała z radomskiego getta, on, jej mąż, z Majdanka. Mieszkają w Paryżu. On ma sklep hurtowy na St. Denis.

On: Ja nie chcę jechać do Polski. Nic ona dla mnie nie znaczy. Nic. W pewnej chwili sięga do portfela i wyjmuje skrawek papieru zatknięty obok kart kredytowych: Tatory Łąki 34, taka bocznica była, tam był mój majątek.

Ona: Niech pani nie wraca do Polski. W żadnym razie. Nic tam panią dobrego nie czeka.

Tego dnia więcej nie mówię po polsku.

Ściana Płaczu składa się z 29 warstw kamieni. Jest niewielka. Podobno ten mur nie ma w sobie nic świętego, a jednak niewątpliwie boska obecność chroni go przed zburzeniem. To jest zewnętrzny mur dawnego placu świątynnego, nie samej świątyni. Nie wiadomo dokładnie, gdzie stała. Może w miejscu meczetu, może obok. Na wszelki wypadek religijnym Żydom do dziś nie wolno wchodzić na plac okalający muzułmańską świątynię, bo nigdy nie wiadomo, czy nie stąpają po miejscu świętym.

Tylko kapłanom wolno tam było wchodzić i to raz do roku. Wszyscy kapłani jerozolimscy byli zakatarzeni, bo musieli chodzić boso po świętych zimnych kamieniach.

Za czasów rzymskich i bizantyjskich Żydzi opłakiwali Jerozolimę, w której nie wolno było im mieszkać, z Góry Oliwnej. Za muzułmanów, gdy z powrotem zamieszkali w mieście, znaleźli tę resztkę muru. Stała się sercem narodu żydowskiego. Od 1967 roku, po zwycięstwie w wojnie sześciodniowej, znów jest Żydom dostępna.

Do XVII wieku zdejmowano buty w pobliżu ściany. W XIX zrezygnowano ze zwyczaju zabierania okrucha muru przez udających się w podróż, dla pewności, że do Jerozolimy powrócą. Przeszto również wbijać gwoździe między kamienie, co miało przynosić szczęście. Ciągłe pisze się listy do Boga i wsuwa między szczeliny kamieni. Już w psalmach jest wzmianka o ptakach lubiących się gnieździć między kamieniami świątyni.

Ktoś mi powiedział, że listy powinny zawierać dokładne dane nadawcy, z imieniem matki u Żydów askenazyjskich, z imieniem ojca u sefardyjczyków. Czyżby Bóg był biurokratą? Czy to ten sam Bóg, którego zachwyciła modlitwa analfabety, rzucającego ku niemu żydowskie litery, których nie potrafił złożyć w słowa?

Dobrze, że o tym kancelaryjnym zwyczaju nie wiedziałam, kiedy zaczynałam pisać mój — nigdy nie skończony — list. To było pierwszej mojej jerozolimskiej soboty. Natychmiast zwrócono mi uwagę, że w szabat pisać nie wolno.

I tak nie napisałam listu do Boga.

Izrael jest jedynym krajem na świecie, gdzie nie używa się znaku plus — krzyża, jako znaku dodawania w matematyce.

Brat Daniel nie przypuszcza, żeby trzeba było sięgać aż do ukrzyżowania Chrystusa, nie sądzi, żeby Żydzi dzisiaj ciągle czuli się za nie odpowiedzialni. Ale całą swoją historię Żydzi cierpieli w imię krzyża. Brat Daniel czyni znak krzyża, gdy błogosławi, ale zna chrześcijan, którzy się nie żegnają. Jest ich coraz więcej. Przestali się żegnać, bo poczuwają się do winy jako chrześcijanie za krzywdy wyrządzone Żydom. A oni żyją z Żydami i między Żydami, więc nie może ich to nie obchodzić. Kościół triumfujący nie rozumie tego. Trzeba kościoła, który umie uklęknąć i uderzyć się w piersi.

Znika napięcie etniczne pomiędzy Żydami, ale napięcia religijne tak szybko nie znikają. Dawid Weinfeld wątpi, by społeczność tak skomplikowana socjologicznie, społeczność 120 języków mogła być obiektem analizy. Polska funkcjonuje tu wśród kultury arabskiej, węgierskiej, rosyjskiej. Istotą tego kraju jest ów codzienny styk między wschodem i zachodem. Zaczyna się od kuchni, kończy na sztuce. To są najjaskrawsze kontrasty, które ze sobą współistnieją, wtapiają się jedne w drugie cząstki niejednorodne. Żyd z Maroka nic nie wie o moich polskich źródłach, ani ja o jego, ale mamy wspólne modlitwy i dzieci w tej samej szkole. Prawdziwa integracja następuje w wojsku.

W latach pięćdziesiątych odbywało się całkowite zamazywanie źródeł. Teraz obserwuje się coś w rodzaju powrotu do korzeni. Dawniej było jedno kino, Żydzi ze wschodu chcieli swoje filmy, Żydzi z zachodu swoje, więc dawali — krakowskim targiem — amerykańskie. Ale Polska jest tu w powietrzu. Na przykład w manierach towarzyskich, całują rączki, pan i pani weszły do folkloru (Izraelczykom nieznane są te formy, bo w języku hebrajskim ich nie ma).

W 1968 roku skarżono się na nas, wspomni Stanisław Wygodzki: dlaczego wy mówicie po polsku, mówcie po hebrajsku, my bardziej nienawidzimy Polaków niż Niemców. Przeżyliśmy okupację w potworny sposób, ale dobrze żyjemy z Niemcami. To jest paradoks. A znajoma Niemka w Dachau wydaje antologię wierszy o zagładzie, żeby Niemcy nie zapomnieli, co zrobili.

Pani H. nie ma w Izraelu wielu przyjaciół, choć jest tu od niemal czterdziestu lat. Nie ma przyjaciół, bo nie pozwala źle mówić o Polakach. Kropka. Nie może zrozumieć braku wyobraźni Żydów. Oczywiście, że Polacy umierali ze strachu, kiedy Żydzi przychodzili podczas okupacji do nich na noc. To było naprawdę niebezpieczne. Nie może darować niewdzięczności, bo zna bardzo wielu, którzy Polakom zawdzięczają życie. Nie bardzo lubi Żydów.

— Są okropni. Uważają, że oni sami i Izrael to pępek świata. I dziwią się, dlaczego nas nie lubią. Nie zdołali się przez dwa tysiące lat do tego przyzwyczać. Żydzi wszędzie uważają, że są najwspanialszy i najodważniejsi. To jest najprawdopodobniej choroba narodów prześladowanych.

Ktoś inny kontynuując ten wątek: Człowiek się powinien w pewnym momencie zastanowić, dlaczego go wszyscy nie lubią. A Żydzi są w swoisty sposób zadowoleni, że ich nie lubią, nawet specjalnie wyszukują przejawy tej antypatii. Każde słowo odbierają opacznie, *in minus*. Przecież nie można zinstytucjonalizować miłości do jakiegoś narodu.

A Rafi rozumie antysemityzm. W Żołyni, miasteczku niedaleko jego wioski, było wielu Żydów nieidealnych. Czy wszyscy muszą zaraz wszystkich kochać? Nigdzie tak nie jest, że wszyscy wszystkich lubią, tutaj też nie.

Zelda wie, że Żydem można być tylko w Izraelu. I jeżeli tu jestem nie w porządku, to jestem nie w porządku wobec Żydów. Robię coś przeciwko nim, jeśli robię. Ale ja jestem ich i to nie wywołuje takiej reakcji, jak w Polsce, czy w Niemczech. Tu nie ma antysemityzmu.

— W Polsce musiałem stale tłumaczyć, że nie brałem bezpośredniego udziału w ukrzyżowaniu Chrystusa, w Izraelu, że nie wszyscy Polacy są antysemitami.

Ja zobaczę — mówi B.K. Zobaczę, czy będziecie tutaj ratować Arabów, jeśli to będzie groziło waszemu życiu. Moja córka jest pewna, że nie poświęci Janka i Zosi, żeby ratować jakąś arabską rodzinę.

Ktoś opowie o swoim dziadku, który był domokrążcą i całe życie chodził po lubelskich wsiach sprzedając galanterię. Szelki sprzedawał, guziki, chusteczki. Nigdy nic złego o Polakach nie powiedział. Wyobraźcie sobie tutaj Żyda, który idzie do arabskiej wioski. Natychmiast by go zabito.

I. ma sąsiadów, z którymi grywa w karty i oni jej powiedzieli w pewnym momencie zdanie, po którym przestała grać:

Niech się Polska spali. Ale są tacy, którzy za Polskę dadzą się zabić.

W gazecie fotografia:

Osiemdziesięcioletnia zakonnica, Klara Jarosińska, sprawiedliwa, w objęciach Haliny Gur, lat pięćdziesiąt siedem, którą przygarnęła jako małą siedmioletnią dziewczynkę. Podpis: Jestem jej córką, której nigdy nie miała.

Holocaust to było przez całe lata tabu. Młode państwo musiało skupić całą energię na tym, żeby zapomnieć. Trzeba było zapomnieć, żeby żyć. To było za trudne grzebać się w popiołach i rozorywać rany. Tamci ocalańcy to były ofiary. Nowemu, dumnemu, walczącemu krajowi te ofiary nie były potrzebne. Ich relacje mogły być jedynie zawstydzające. Toteż nie pozwalano im mówić. Ucieleśniali wszystko, czemu Izrael chciał zaprzeczyć.

To było powodem wielu dramatów, ale i szansą wydobycia się na wierzch.

Musiało minąć wiele czasu, żeby to się zmieniło. Starzy ludzie, odchodzący ludzie, chcą jeszcze zdążyć, jeszcze ocalić te przeżycia i te zdarzenia, o których dotąd musieli milczeć. I okazało się, że to nie był wstyd ginąć, umierać bez sprzeciwu, bo bez możliwości sprzeciwu. Okazało się, że o tym trzeba mówić, bo wszystko inne jest fałszerstwem i nadużyciem.

W latach 60-tych liczba lekcji poświęconych rewolucji francuskiej była znacznie większa niż godziny przeznaczone na okupację, ale i to zaczyna się zmieniać.

Każdego roku dziesięć tysięcy młodych Izraelczyków jedzie do Auschwitz i Birkenau. Nie wiem, czy to jest dobra lekcja historii. Po wielekroć o tym w Izraelu dyskutowałam. Oni wracają stamtąd i mówią, że zrozumieli, że są Żydami. Ale czy Żydem jest się tylko z powodu Auschwitz? Dawid Grossman zgadza się ze mną, że to dość trudne do zaakceptowania — Holocaust jako główne doświadczenie judaizmu. To podsuwa nieuchronne skojarzenia Żyd-ofiara i Żyd-Auschwitz. Daje tym młodym garb, o którego istnieniu nie mieli pojęcia. Los im tego doświadczenia oszczędził, czy należy im je fundować? Jak to na nich podziała?

Ł.G. wydaje się, że dzieci pojechałyby wszędzie, bo lubią wycieczki. Nie sądzi, żeby to na nich robiło specjalne wrażenie, bo po prostu nie są sobie w stanie tego wyobrazić. Uważają, że Żydzi z diaspory byli gorsi, bo nie walczyli.

M. sądzi, że te wycieczki są błędem. Ogląda się tam miejsca zagłady z następującym komentarzem. Był Holocaust, bo

nie było państwa izraelskiego. Gdyby było państwo izraelskie, nie doszłoby do Holocaustu. Teraz, kiedy mamy państwo, kiedy mamy silne wojsko, jest inaczej. Wtedy w diasporze Żydzi byli skazani na łaskę gojów. Jeszcze kilkanaście lat temu w szkole Holocaust to był mały urywek historii Izraela. Sefardyjczyk mógł o nim nic nie wiedzieć. Jego to nie dotyczyło. Teraz jeżdżą i wracają z obrazem Polski jako kraju obozów, gett, Treblinka, Stutthofu. Tak, to jest wstrząsające, Oświęcim, walizki, włosy, buty, grzebień, stopy, stopy, stopy. Nie możesz wyjść z tego obojętnie, szczególnie, jak ci mówią, że to jest twój naród.

Auschwitz jest na pewno ważny w poczuciu żydowskiej tożsamości, ale — jak powie wielu — jestem Żydem również z powodu kilku innych rzeczy i ludzi: Freuda, Majmonidesa, Chagalla, Mojżesza, Salomona.

W Muzeum Kibucu Getta Warszawskiego niedaleko Hajfy jest gablota z kolekcją złotych opasek. Mają napis Jude albo gwiazdę Dawida. Łaty. Im mniejsze, tym bardziej demokratyczne państwo. Najmniejsze w kształcie żółtego guzika. Największe w Generalnej Guberni.

W tym samym muzeum zebrano również tablice — przedwojenne: Żydom do parku wstęp wzbroniony i wojenne z tramwajów: dla Żydów, dla nie-Żydów. Tuż obok przedmioty, jakie Niemcy robili z Tory — portfele, instrumenty muzyczne, zwojami świętej księgi obciążone bębenki.

Miriam Akawia, pisarka, przyjechała do Izraela w 1946 roku, miała 17 lat. Mówi, że było bardzo ciężko. Bardzo ciężko i bardzo wspaniale. Opowie mi o 81 uderzeniu. To jest historia mężczyzny, który przeżył wojnę, przeżył obozy i przyjechał po tym wszystkim do Palestyny. Przeciętą karą w obozie to było uderzenie 25 razy, jeśli ukradł kromkę chleba ciosy podwajano, dostawał 50 razy. Przeżył to. Wycieńczony, obolały, skazany został za kolejne wykroczenie jeszcze na 80 razy. Przeżył i to. I przyjechał do Palestyny, do swojego wymarzonego kraju i chciał to komuś opowiedzieć. Ale nikt nie chciał słuchać. Odpowiadano jedno: szliście, jak barany na rzeź. Tu wszyscy byli tacy dumni, mocni, wywalczyli ten kraj. I to spotkanie z tymi ludźmi tutaj, to był ów 81 cios, 81 cios dla tego człowieka.

— Każdy z nas to przeżył. Ja też. Stąd wyciągnęliśmy wniosek, że nie trzeba opowiadać. Że najbezpieczniej jest przystosować się, zatrzeć, zamazać, upodobnić. Ale to nie wychodzi i po paru latach coś się zaczyna odzywać. I od nowa staje się tym, kim się było, kim się jest. Nie było wtedy tolerancji dla

innych języków, kto mówił innym językiem musiał szeptać. Zupełnie inaczej, niż teraz.

Kiedy powstało państwo Izrael, był wielki patriotyzm, ale i szowinizm. Dopiero po latach przebiła się myśl, że być Żydem to coś więcej niż być Izraelczykiem.

Nic jej stąd nie ruszy. Jest szczęśliwa, że jest na miejscu. To jest jej ostatnia stacja.

To mi powiedział Michał.

— W leksykonie hebrajskim jest takie słowo: sabon, pochodzi od francuskiego — savon i znaczy mydło. Co to znaczy w slangu izraelskim? To znaczy — ofiara, frajer, fajtlapa. Skąd się to wzięło? Młode pokolenie nawet tego nie wie. To pojęcie z późnych lat czterdziestych, w czasie okupacji robiono z Żydów mydło. Kiedy powstało państwo Izrael i kiedy zaczęli przyjeżdżać ci wszyscy rozbitkowie z Oświęcimia, jedyną ważną sprawą dla tych stąd było budowanie państwa, budowanie kibuców, życie na roli, a nie zajmowanie się psychologią tych, którzy byli w obozach koncentracyjnych, w gettach albo w szafie. To psuło.

To był kraj walki. Tu się walczyło z Indianami-Palestyńczykami. A przyjeżdżali biedni, zgarbieni ludzie, bez dumy narodowej, upośledzeni. A to miał być silny, zdrowy naród. Powstał zresztą nowy mit, mit sabry. Prawdziwy Izraelczyk w latach pięćdziesiątych, sześćdziesiątych nie mógł okazać swojej słabości. Ten, który się tu urodził, nie mógł. Ja sam długo byłem w wojsku. Służył ze mną w pewnej chwili siostrzeniec kanclerza Krajskiego, który tak mi mówił, jak był dzień pamięci getta warszawskiego: Kurwa, zabili trochę askenazyjczyków i teraz nie ma kina, a ja mam dzisiaj wolne i nie wiem, co ze sobą zrobić.

Ja też jestem Izraelczykiem i jeszcze dziesięć lat temu wstydzilem się płakać, wzruszać. Nie było wolno, to był bodaj największy wstyd dla mężczyzny. Tu przez szereg lat była Sparta, a nie normalny kraj. Sparta w pozytywnym sensie. Wtedy po prostu nie było innej rady. Teraz potrzebna jest na gwałt nowa ideologia, wszystko się zaciera.

Sabra to jest owoc kaktusa bardzo mięsistego, kolczastego, koloru moreli. Wewnątrz jest miękki i słodki. Izraelczycy są jak sabry. Zewnętrzne kolce kryją dusze łagodne i tkliwe. Tak chce mit. Sabra to ma być ktoś silny, dzielny, zawsze gotowy trzymać fason. Ktoś szorstki nawet. A mój syn — powie B. — ma w sobie tyle uczulenia.

Z hebrajskiego wiersza Igal Ben-Arie, sabry:

nie władam polskim
ale moje nogi spoczywają
Między Białymstokiem a Łomżą
rok przed moim urodzeniem uczestniczyłem
w drodze śmierci...

Gidi: *Yes, I'm sabra.* Nie jestem gotowy, żeby jechać do Polski. To jest za silne we mnie, poczucie krzywdy, żalu, goryczy — ciągle za silne. Nie jestem przygotowany na to zetknięcie. Rodzice zbyt drogo to opłacili. Ojciec z dziadkiem przeżyli dzięki ucieczce do Rosji, ale matka była w Auschwitz i innych obozach. Przeżyła, tak, fizycznie przeżyła. Ale psychicznie jest zrujnowana. *Yes, I'm sabra.*

Mor: Nie tracić czasu, nie grzebać się w cierpieniach nie moich. Brać z tego świata, bo może skończyć się jutro. Zaraz, za chwilę. Wróciłem z kolejnej wojny. Tym razem się udało. Ile razy jeszcze?

Liza, której rodzice pochodzą z Polski, zna jedno polskie słowo: Prz-ś-radło (prześcieradło!) Tak. Liza pracuje z dziećmi trudnymi. Nie interesuje się swoją genealogią, to zbyt skomplikowane, a zresztą wszyscy tu mają w środku jakiś węzeł.

Szahar: Może ojciec był podczas wojny bohaterem, może był dzielny, wspaniały, wielki. Ale wojna skończyła się czterdzieści pięć lat temu, a on ciągle tym żyje. Wolno mieć tego dość. On nie jest dobrym ojcem, jest despotą. Mam dość jego wojny i jego suwaków do rozporków, które produkował. Chcę żyć tu i teraz, żyć.

Ilana wiele czasu spędziła w Europie. Podróżowała, nazywała siebie samą obywatelką świata. Ale czuła się tam zbędna. Był tort pefen dekoracji, ze śmietaną, wiśniami, ale nie miała żadnego udziału ani w pieczeniu go, ani w ozdabianiu, więc także jeść nie powinna. Tutaj, w Izraelu, ten tort dopiero się tworzy. Tu zrozumiała, co to znaczy wspólnota.

Codziennność doświadczana jest tu inaczej. Jakby życie toczyło się na bardzo cieniutkiej powierzchni. Można by porównać to z taflą lodu, mogącą pęknąć w każdej chwili, gdyby nie to, że tam nie ma wiele wody, a już na pewno wody zamarzającej, a ziemia po której się stąpa jest piaszczysta lub skalista, twarda. Nie zmienia to poczucia nietrwałości. Możliwość katastrofy jest wszechobecna i nieprzyzwoicie cielesna. Zniszczyć życie to nie więcej niż złamać zapalną. Wydaje się, że czują to wszyscy, nie tylko sięgający pamięcią hitlerowskiej zagłady.

Czy w takim kraju wolno pozwolić sobie na szczęście? — zastanawiają się. Bo przecież szczęście uzależnia, jest niebezpiecz-

ne, naraża na upokorzenie, w chwili gdy przychodzi zagrożenie. Wielu potwierdza, iż ten naród ma jakieś szczególne zdolności, jakąś nieznaną moc, gdy sytuacja jest trudna. Energia tych ludzi niezwykle umiejętnie kierowana jest na przeżycie. Są mistrzami w sztuce przeżycia, ekspertami od przeżycia. Ale czy można ich nazwać mistrzami życia? Dawid ma wątpliwości.

Poznałem sabry, które uważają życie tutaj za wielki przywilej, wśród tej wielokulturowości, wśród tych sprzeczności, uwikłań przeszłości z teraźniejszością, z koniecznością walki i zmian. Wspaniale twórcze może to być życie. Ale spotkałam i takich, którzy napięcia nie wytrzymują. Niepokój, który w sobie noszą, jest destrukcyjny, ciężki, bezustannie rosnący.

Michał jest tu u siebie. To trwało zanim został Izraelczykiem, ale teraz to jest jego dom. To znaczy nie tylko język, wojsko, podatki, ale głównie, że obchodzi go to, co się tutaj dzieje. To chyba świadczy o przynależności do narodu. Jako członka wspólnoty. Ale nie przestaje o żydostwie rozmyślać.

— Żyd to znaczy, zawsze znaczyło — ktoś inny, obcy. Czy gorszy? Oczywiście. Kupowało się wódkę u Żyda, pamiętam takiego w Sosnowcu, gdzie mieszkałem. To dla mnie był ojciec Żyd, brak dziadków w moim pokoleniu, bo zginęli w Oświęcimiu. To był obcy akcent w polszczyźnie. A w Izraelu to też coś innego znaczy. Prawne wstąpienie do wspólnoty żydowskiej jest bardzo trudne. Droga, żeby stać się Żydem jest cholernie ciężka. Ale Żydem nie jest tylko ten, który nim jest, ale również ten, którego za takiego uważają. Być Żydem poza Izraelem, to znaczy być innym niż wszyscy inni. Różnić się swoją przeszłością, zwyczajami. Być Żydem dla młodego izraelskiego pokolenia, to też znaczy być innym, mieć jakiś багаż przeszłości z diaspory, jakiej nie ma prawdziwy Izraelczyk. Ale prawdziwy Izraelczyk nie ma także kompleksów jeśli chodzi o swoje pochodzenie. Dla nikogo nie ma kwestii wyglądu semickiego, ale dla Żyda z Polski przedwojennej jest.

Najtrudniej, moim zdaniem, jest być Żydem w Izraelu. Bo tu być Żydem znaczy być religijnym, nosić pejsy, chałat, kapełusz i żyć w getcie. Nie wiem, czy Żyd to kwestia religii czy narodowości. Czy mają jakąś wspólną tradycję Żydzi z Polski i Jemenu, Rosji i Etiopii. Wiem, jak bardzo się różnią — językiem, strojem, obyczajami, alkoholami nawet. (Ale to jest alkohol Żydów sefardyjskich, chcesz spróbować?)

Ja jestem Polakiem i Żydem, ale jak biją Turków, jestem Turkiem, albo Jordańczykiem. (To jest plagiat z Michnika, a przedtem ze Słonimskiego, więc możesz to skreślić.) Być Żydem to znaczy być innym. A to bywa na pewno niebezpieczne.

Abraham Berg, niemiecki Żyd, zamieszkał w domu starców ocalonych od zagłady. Zostawił żonę i dzieci, żeby być ze starymi ludźmi, którzy boją się gazu.

Brat Daniel wskazuje na sztandar Izraela przepasany czarną wstęgą. Jest pewien, że gdyby nie było tej wstęgi, nie byłoby również tego sztandaru.

Dawid Wilfson na Kongresie Syjonistycznym w 1897 roku zaproponował, by oprzeć model sztandaru na tradycyjnym „talicie” (stąd kolor i pasy) i dodać do tego „tarczę Dawida”. Tarcza Dawida pojawiła się po raz pierwszy, jako specyficzny symbol żydowski w średniowieczu. O wiele wcześniej Żydzi posługiwali się nią jako ozdobą, między innymi na nagrobkach w Izraelu i diasporze, często na przemian z „pieczęcią króla Salomona”, gwiazdą pięcioramienną.

— Niech pani się zastanowi, ktoś mi powie, dlaczego na obrazkach z Izraela widzi pani pioniera, który orze ziemię i ma zawsze przewieszoną broń przez ramię. Dlaczego? Bo on uprawia ziemię nie swoją, to jest cudza ziemia.

Odwiedziłam kilka kibuców. Są jak małe królestwa. Na południu — pustynne, na północy otoczone gajami pomarańczowymi, polami bawełny albo plantacjami avocado, z własnymi fabrykami, częścią rolniczą, bydłem, miejscem do zabaw, basenami, częścią gospodarczą, domami wśród drzew. Powtarzam chętnie za Martinem Buberem, że kibuc to najbardziej udana porażka ze wszystkich utopii.

Kibuc to znaczy po hebrajsku grupa i pierwsi syjoniści pionierzy zbudowali w Dolinie Jemenu w roku 1909 kibuc Degania (czyli bławatek nadziei). Wszystko tam było wówczas wspólne, nie tylko produkcja i konsumpcja, ale również na przykład ubranie. Teraz to zupełnie się zmieniło. A mimo to w kibucach jest jedynie 4% ludności kraju. Na początku to była walka, wspólne pokonywanie nieprzychylnej ziemi, twardej natury. Idea i potrzeba. Do dziś została duma z tego, co udało się stworzyć własnymi rękami. Pierwszy domek drewniany cztery na cztery metry stoi zwykle na skraju kibucu jako zabytek. Często z wystrojem wnętrza przypominającym rosyjską wieś.

Kibucowe kury znoszą niepoliczony ilości jaj. Przedłuża im się dzień nie gasząc światła w kurnikach. Kibucowe kury nie znają łąk, bo w Izraelu ich nie ma.

260 kibuców zapewnia 35% narodowej produkcji rolniczej i 10% przemysłowej. Specjalnością kibucu Lohamei Aghetaot jest produkcja koszerne mięsa bez mięsa (12 gatunków i smaków).

Dzieci od niedawna mieszkają wspólnie z rodzicami. Przedtem żyły razem w dziecińcach, odwiedzane przez rodziców po ich zajęciach. Kibucowa młodzież jest podobno niezwykle poszukiwana do pracy, jako że wychowana w naturze ma — jak mnie zapewniają — prawdziwe pojęcie o wszystkim, na przykład o wielkości przedmiotów. Stare traktory i narzędzia rolnicze stoją na placu do jej dyspozycji.

Zastanawiam się, na ile życie w kibucu jest zaspokojeniem pasji socjalistycznych, na ile ucieczką od codziennej walki. Zgoda na wspólność jest przecież również zgodą na odebranie indywidualności i w pewnym sensie samodzielności. Jako jednostka człowiek przestaje znaczyć. Duszę indywidualną zastępuje kolektywna dusza. Kibuc decyduje o jej kształcie. Zgadza się lub nie na jej rozwój, ściśle zarysowuje ramy jej udziału w życiu.

Teraz to nieco się zmienia i spotkałam nawet w kibucu artystę malarza. Kibuc zapewnia mu wszystko, co mu potrzebne do pracy, w zamian korzysta z jego honorariów.

Kibuc organizuje świat.

Komisja kulturalna kupi ci bilet do teatru, wrzuci do twojej skrzynki razem z gazetami i odwiezie na miejsce samochodem. Brudne rzeczy składasz do odpowiednich pojemników, czyste i odprasowane znajdujesz w swojej przegródce.

Jeśli bardzo chcesz myć naczynia, możesz.

Zrezygnowano z kontroli finansowej twego budżetu. Możesz wszystko przeznaczyć na książki albo podróże. Domki są w ogródkach o różnych wyrazach twarzy. Często wspaniałe plantacje kwitnących kaktusów są dodatkowym powodem dumy kibuców. Odwiedzający ich hotele turyści korzystają z basenów i oglądają piękne ptaki, które hodują dla dzieci.

Kibuc jest daleko od codziennego niepokoju Jerozolimy czy Gazy. Pozornie może, ale stwarza poczucie bezpieczeństwa.

Im głębiej wchodziłam w ten kraj, tym bardziej wydawał mi się niepoznany. Im więcej dotknęłam ludzkich losów i osadów historii, tym częściej odmieniałam na wiele sposobów to samo pytanie. Czym jest to coś, co ich łączy? Łączy poza tradycją, kulturą, wychowaniem, lekturami i poczuciem humoru, łączy mimo różnorodności? Język diaspory już nie buduje więzi, hebrajski ma ściśle określoną wyłączność geograficzną. Tora dla wielu przestała być jedynym światłem, nawet stempel „koszer” nie dostarcza dowodu ostatecznej identyfikacji. Może, jak chcą niektórzy, musi to być doznanie negatywne. Jest taki dowcip: coś się dzieje — biją Żydów i kominiarzy. Więc wszyscy pytają, — a dlaczego kominiarzy? Dawid uważa, że najważniejsze jest coś innego, nie to, że jest się wyrzucanym za drzwi, choć może

to się z tym łączy. To jest dotkliwsze — owo ciągle poczucie bycia obok. Bycia *outsider*'em.

W tym jak widzą siebie dużą rolę gra sposób, w jaki są widziani przez innych. Dawidowi wydaje się, że ciągle traktowani są jak wymyśleni. Jak naród nierzeczywisty, naród z książki. Może odpowiedzią na tego rodzaju wątpliwości jest ów tytułowy napis na murze? *Israel is a real thing*. Dawid czuje, że świat czeka na szczęśliwe zakończenie tej książki o Izraelu, którą czyta. Ale wie też, że zawiodą, bo nie są pozytywnymi bohaterami. W tej sytuacji być nimi nie mogą. Nie ma cudów.

Ów *outsider* Żyd to prawie to samo, co pisarz. To jest ktoś przygotowany do klęski, w każdej chwili gotowy na ostateczne rozwiązanie.

Tego napięcia nie rozumie Europa. Ani tego życia w przeczuciu końca, który może się zdarzyć w każdej chwili. W Izraelu nie robi się planów na dziesięć lat, bo może za dziesięć lat już nie będzie Izraela? Swoistą metaforą są tam wyraźnie widoczne ślady uszczelnień drzwi i okien z ostatniej wojny. Jak wyrysowany dookoła otworów kształt niebezpieczeństwa.

Wnuczka znajomej miała wówczas powiedzieć: Baba, mama nie pozwoliła mi cię o to zapytać, ale czy ten gaz to będzie ten sam, co tam?

Żydzi uczą się, że dziękować trzeba za wszystko. Odmawiają błogosławieństwa z okazji zobaczenia tęczy, spotkania króla, albo usłyszenia dobrej wiadomości.

Chciałam dotknąć ziemi, gdzie wszystko się zaczęło, gdzie początek mają wszystkie modlitwy. Dziękuję za to Krajowi Staro- i Nowego Testamentu.

Wiem, że Izrael na biblijnej ziemi nie może być Izraelem biblijnym. Wiem, że gdyby jego biblijnej przeszłości nie było, nie mógłby być Izraelem w ogóle.

W Muzeum Izraela w Jerozolimie jest jedna sala pełna bagaży. I od niej należałoby zacząć. Walizki, tobołki, paczki, węzélki, zawiniątka, kufry. Ze skóry, dykty, wikliny, płótna, drzewa, papieru. Tutaj wszyscy byli najpierw obcy. To kraj przybyszów. Pionierów, syjonistów, wygnańców, uciekinierów. W Hagadzie czytam: „W każdym pokoleniu człowiek musi widzieć siebie samego, jak gdyby wyszedł z Egiptu”.

Bagazy ciągle przybywa.

Izrael, wiosną 1991 roku.

Agata TUSZYŃSKA

Leon Antoni SUŁEK

WOJENNE LOSY POLAKÓW ŻOŁNIERZY ARMII CZERWONEJ (1940-1945)

Tragedia tych ludzi to nowe, nieodkryte jeszcze karty martyrologii narodu polskiego z lat ostatniej wojny, to jeszcze jedna biała plama w naszej historii wymagająca pilnie wyjaśnienia przez historyków i spopularyzowania; sprawa istotna zasługująca na uwagę, bo dotyczy 210 tysięcy obywateli polskich wcielonych w roku 1940 i 1941 do Armii Czerwonej. Niewielu powróciło do kraju, ponieważ ginęli na frontach drugiej wojny światowej, ale najwięcej z nich straciło życie w sowieckich więzieniach i w obozach pracy. Jak wielki jest bilans strat i jak się rozkłada (front, obozy pracy, więzienia)? Na te pytania nieprędko damy odpowiedź, gdyż drogi dochodzenia prawdy o zbrodniach z pogranicza ludobójstwa — a tego dowodzą moje badania — są trudne; strzegą tych tajemnic sowieckie archiwa wojskowe i NKWD-owskie i zanim nie zostaną one ujawnione, nie damy pełnej, naukowej odpowiedzi.

Niezależny miesięcznik historyczny *Karta* podjął ten temat, publikując w numerze 2 artykuł Krystyny Laskowicz pt. „Stroj-bataliony”. Przedstawiona w nim, interesująca problematyka wymaga uporządkowania pod względem konstrukcyjnym, wyjaśnienia nieścisłości i skorygowania błędnych wypowiedzi, co często przydarza się w pionierskich tematach. Autorka oparła swój wywód na materiałach zgromadzonych w „Archiwum Andersa”, zdeponowanych w Instytucie Hoovera w Kalifornii, w tym między innymi na przechowywanych tam 50-ciu relacjach byłych żołnierzy Armii Czerwonej, którym udało się przedostać do wojska polskiego organizowanego przez gen. Władysława Andersa

w Kazachstanie¹; zatem spojrzenie na interesujące nas zagadnienia jest jednostronne, więc i niepełne. Moje badania mają szerszy zakres, bo obejmują i tych żołnierzy, i tych, którym Związek Patriotów Polskich stworzył możliwość przejścia do I i II armii wojska polskiego, i wreszcie tych, co do końca wojny pozostawali w szeregach Armii Czerwonej lub dostali się do niewoli niemieckiej.

POBÓR

W myśl przepisów sowieckich był prawie usankcjonowany, bo „oswobodzonym” narodom zachodniej Ukrainy i Białorusi dekretem z 29 listopada 1939 r. nadano obywatelstwo sowieckie. Rekrutacją do służby czynnej — bo tylko tą się zajmuję (pomijam powoływanie rezerwistów na ćwiczenia, szczególnie liczne w okresie wojny fińskiej; powołano wówczas wielu z byłych polskich formacji technicznych), którą przeprowadzono jesienią 1940 i wiosną 1941 r., objęto roczniki 1918–1919². Komisje poborowe z udziałem *sielsowietów* (odpow. administracji terenowej) działające w miastach i w większych terenowo gminach kwalifikowały do służby, kierując się ogólnie ustalonym kontyngentem, mężczyzn odpowiedniego pochodzenia społecznego (najczęściej z proletariatu miejskiego i z chłopów bezrolnych i małorolnych), pewnych politycznie — a pod tym względem mieli bardzo dobre rozeznanie — i zdrowych fizycznie. Poborem objęto około 70 % tych roczników. Nie wcielonych w tym

1. Artykuły 3 i 4 układu podpisanego 30.VII. 1941 r. w Londynie pomiędzy gen. W. Sikorskim i ambasadorem ZSSR Majskim, parafowanego przez rząd sowiecki w Moskwie 14 sierpnia t.r., dotyczyły organizacji wojska polskiego w Związku Sowieckim.

2. *Karta* nr 2, 1991 r., s. 106: „Wcielono do Armii Czerwonej w całości roczniki 1917–19, częściowo 1920–22, ponadto zmobilizowano absolwentów szkół średnich z rocznika 1923”. Dalej jeszcze: „...organa NKWD przeprowadziły branki do Armii Czerwonej innymi metodami:” — następuje opis.

Wypowiedź błędna, jak również w przypisie 2, w której dostrzegamy pewne niekonsekwencje, cyt.: „Do Armii Czerwonej wcielono w pełni roczniki...” A za chwilę: „Komisje poborowe wciągnęły na listy rekrutów około 80% poborowych”.

Błąd Autorki pochodzi zapewne stąd, że oparła się tylko na relacjach żołnierzy z armii gen. W. Andersa, która w zasadzie rekrutowała się z zesłanych na Syberię. Byli wśród nich i Polacy z różnych roczników, którzy w różny sposób dostali się do Armii Czerwonej. Zaciągali się też do tego wojska ochotniczo dla ratowania rodziny, która otrzymywała wówczas pewne przywileje, w tym deputaty żywnościowe. Oprócz tego są jeszcze inne niescisłości dotyczące poboru.

czasie wojna niemiecko-sowiecka uchroniła od służby w sowieckim wojsku³.

Zaciąg poborowych był odgórnie zaprogramowany, bo na całym obszarze ziem polskich „wyzwolonych” we wrześniu 1939 r. przez Sowietów odbywał się podobnie. Rekrutów żegnano przemówieniami, kwiatami i z orkiestrą odprowadzano na punkty zborne, skąd różnym transportem dowożono do większych stacji kolejowych. A co było dalej? Przedstawiam to na przykładzie stacji białostockiej, opierając się na relacjach prof. dr hab. ...(nazwisko zastrzeżone) i Franciszka Arciszewskiego ze wsi Mierucie, pow. Grajewo (podaję aktualne miejsca zamieszkania). „Z samego Białegostoku wyjechało nas 31.X.1940 r. około 200 osób, z tym że doczepiono do nas wagony z poborowymi z regionu Białostoczczyzny, tworząc 'eszelon' około 25 wagonów. Po drodze dołączono wagony z rekrutem z innych terenów. W sumie przed Mińskiem transport liczył 45 wagonów, w każdym 40 osób (łącznie 1800). Trasa przejazdu wiodła przez Baranowicze, Wiaźmę, Kaługę, Tułę, Charków i dalej na południe aż poza Baku”. Podróż autora relacji trwała 9 dni i w tym czasie otrzymali tylko trzy ciepłe posiłki (Wiaźma, Charków, Machackola). Poczynając od Kaługi zaczęto odczepiać wagony „rozpraszając” poborowych po terenach Związku Sowieckiego. O podobnie liczny transport odjeżdżającym 7.V.1941 r. mówi F. Arciszewski: „Olbrzymi transport wagonów, którego końca nie było widać, ciągnęły dwie lokomotywy. Przez okienka wrzucano porcje sucharów i kruszkę, tj. cięte badyle tytoniowe. Za Mińskiem, gdy przejeżdżaliśmy granicę polską, cały pociąg rozbrzmiewał potężnym śpiewem 'Nie rzucim ziemi skąd nasz ród'. Gdy nasz skład zobaczyli kołchoźnicy, to porzuciliśmy pracę biegli za wagonami prosząc o żywność; wszystko co otrzymaliśmy od Sowietów to wyrzuciliśmy tym ludziom, bo mieliśmy jeszcze zapasy z domu”. Od tego pociągu jadącego na Kaukaz wagony zaczęto odczepiać przed Moskwą. Wyjaśnijmy przy tej okazji, by nie szerzyła się dezinformacja: w wielu wypowiedziach, czy to będą pisemne relacje, czy bezpośrednio przekazywane wspomnienia, mówi się o przyjaznym stosunku czarnoarmistów konwojujących „eszelony”. Na stacjach przy dłuższych postojach pozwalali wychodzić z wagonów, kontaktować się z

3. U.S.C. w Grajewie, woj. łomżyńskie: „Księgi parafialne urodzeń i chrztu z r. 1918–1919”. Dokonany wypis urodzeń „płci męskiej” konfrontowałem tylko na tym terenie i stąd podany pobór w granicach 70% ma założenia hipotetyczne, a w dodatku w zapisach metrykalnych nie są podawane ulice, a i postępująca przez lata migracja ludności utrudnia badania w aglomeracjach miejskich. Nie objęci poborem w wywiadach najczęściej stwierdzają: „Przeszkodziła wojna”.

ludźmi i czynić zakupy. Każdy wagon zaopatrzony był w „ciepłuszkę” i w opał oraz w przyce z siennikami ze słomy⁴.

Jak już widzimy na tych przykładach, dużo osób z wiosennego poboru zostało skierowanych do jednostek rozlokowanych na terenach rosyjskich, najwięcej jednak do południowo-wschodniej Ukrainy, co też potwierdza zebrana przez autora niniejszego artykułu dokumentacja. Natomiast z jesienno-poboru z roku 1940 sporo z nich musiało pełnić służbę, w związku z wojną fińską, na dalekiej północy, w Karelii i na obrzeżach Morza Białego. Niedostosowani do warunków klimatycznych (piszą o wstrząsającym widoku zorzy polarnej) tracili tam zdrowie i życie; wielu, chcąc uzyskać uwolnienie ze służby, dopuszczało się samookaleczeń, z zamrożeniem, czasami śmiertelnym, włącznie.

ŻYCIE W KOSZARACH

Mogło ono wydawać się dostatnie ludziom sowieckim, żyjącym w nędzy, ale nie Polakom, co podkreślane jest w nadesłanych relacjach: do znużenia suszone ryby, na obiady jakieś zawiesziste zupy przyprawiane słonecznikowym olejem, a mięso baranie lub wołowe tylko od święta. Interesujący opis pierwszego dnia w koszarach przedstawia Franciszek Jusiel z Białej Podlaskiej; „Po kąpeli dano nam worki ze znoszonym ubraniem, śmierdzące jakimś proszkiem. Wkładałem na siebie wąskie, drelichowe spodnie, bluzkę 'dzieżynkę' zapinaną z boku, czarne owijacze do pół łydki i głowę przykrywałem 'budziennówką' ze szpikulcem. Spojrzałem w skrawek lustra i przypomniała mi się Męka Pańska — tak byłem podobniutki do Judasza”. Męczące musztry i ćwiczenia z bronią, w tym klucie manekinów aż do oglupienia, natomiast zajęcia polityczne były nudne i obraźliwe dla Polaków, bo politycy często nawiązywali do wyzwolenia ziem zachodnich Ukrainy i Białorusi od panów, burżujów, popów i księży, o wniesieniu tam dostatku i kultury.

Trudno o jednoznaczną odpowiedź na kwestię prześladowania Polaków. Sądzę, że w dużym stopniu zależało to od: miejsca stacjonowania pułku (wrogi nam nacjonalizm ukraiński i litewski); ilości Polaków w jednostce i ich stosunku do żołnierzy innych narodowości (łatwo przychodziło do zadrażnień na tle różnic kulturowych, obyczajów i religii); od stosunku do nich

4. *Op.cit.*, s. 117 — w relacji S. Kietorakisa przedstawiony jest wprost apokaliptyczny obraz życia w „eszelonach”, co należy przyjmować z rezerwą. Przy tym pisząc o życiu w koszarach akcentuje prześladowania Polaków.

— ten czynnik uważam za decydujący — kadry oficerskiej, która rekrutowała się najczęściej z Rosjan i z Żydów rosyjskich. „Z perspektywy czasu oceniam — pisze profesor — że w jednostce wojskowej, w której było Polaków dużo, jak też Ukraińców i Białorusinów — obywatele polskich, mieliśmy mądrych i przyjaznych dowódców, gdyż w przeciwnym wypadku mogliśmy bezpośrednio trafić do miejsc odosobnienia. NP. w pewnym okresie zgłosiliśmy, że utrzymujemy różne kontakty z USA (liczyli na odesłanie do domów — uzup. moje). Oni tę sprawę z nami załatwili we własnym zakresie”. Przeciwną opinię o kadryce wydają Piotr Sulek z Morpeth (Anglia) i Józef Derejko z Pizsa, służący w Woroszyłowgradzie i Kirowgradzie na Ukrainie. Oni, jak i wielu innych, mówią o inwigilowaniu Polaków, o posądzaniu ich o spiski i wrogą propagandę. Wynikało to z nieświadomości rekruta pochodzącego z terenów polskich; wychowani w duchu patriotycznym i swobód demokratycznych, a nieświadomi represyjnego działania systemu komunistycznego, ujawniali nieraz manifestacyjnie swoje poglądy. Nie przyjmowali z należytą powagą wykładów politycznych, śmieli się z niektórymi wypowiedzi politruków i próbowali z nimi dyskutować. Niektórzy nawet żądali uwolnienia z wojska „bo oni nie są ani Ukraińcy, ani Białorusini”. W nocy zabierało takich NKWD i ślad po nich ginął. Zaniechali takich wystąpień, kiedy uswiadomili ich o grożącym niebezpieczeństwie młodzi wiekiem podoficerowie, zachowujący przy tym dużą ostrożność. Ale nim to nastąpiło, wielu z nich trafiło już do więzień, tracąc tam zdrowie i życie.

Jak już pisałem wyżej — z jadących po rozległych terenach ZSSR pociągów odczepiano na różnych stacjach po jednym czy dwa wagony, kierując od 40 do 80 rekrutów do pułku, w którym rozproszeni po batalionach i kompaniach niejako nikli z pola widzenia enkawudystów i kadry dowódczej. Inaczej było w pułkach czy batalionach o profilu technicznym (łączność, artyleria, wojska sapersko-minerskie i kolumny transportowe), do których najczęściej trafiali Polacy; tam stanowili znacząca, zwartą — gdy pochodzili z jednej miejscowości — grupę narodowościową. Penetracja polityczna takich grup była duża, no i odpowiednio nasiloną propaganda (dowodów na to twierdzenie dostarcza mi analiza przesyłanych relacji).

Z KOSZAR DO WIĘZIEŃ I OBOZÓW PRACY

W wyniku szpiegostwa i zorganizowanego donosicielstwa („a szpicłów wśród nas nie brakowało”) dowództwo i służby bez-

pieczeństwa wiedziały wiele o każdym podejrzanym. Żołnierze dowiadawali się o tym na przesłuchaniach, z których wielu do pułków już nie wracało. Z grupą tak zabranych siedmiu kolegów spotkał się po trzech miesiącach. J. Derejko w sądzie wojskowym, który zjechał do miejsca postoju pułku. „Nie było tam mowy — pisze w swej relacji (podaje ciekawy opis swojego aresztowania, przesłuchań i życia więziennego) — o naszej niechęci do służby w armii radzieckiej, jakby sami sędziowie bali się o tym mówić, natomiast zarzucano nam sianie wrogiej propagandy o Związku Radzieckim, dokumentując to zeznaniami kolegów, różnej maści szpiclów (...) i przejętymi listami pisanymi do rodzin. Mnie dodatkowo o spalenie portretu Stalina; wówczas przypomniałem sobie skręconego w gazecie papierosa i Ruska krzyżącego: 'Ty palisz Stalina!' Odpowiedziałem — to nic, już palą się wasy. Otrzymaliśmy, jak nam po tych przesłuchaniach i przebiegu rozprawy się wydawało, łagodne wyroki: od 5 do 12 lat ciężkiego więzienia. Dopiero w ciurmie kiszlińskiej (okolice Baku — m.) przekonaliśmy się co znaczy to określenie: 'ciężkie więzienie'”.

Nie wiemy, ilu Polaków było sądzonych, skazanych na więzienia i obozy pracy i wielu z nich uratowało swe życie.

Wielu publicystów, a nawet i historyków do dziś twierdzi, że wybuch wojny zaskoczył dowództwo i władze sowieckie i stąd, powtarzając za propagandą, początkowe klęski na froncie. Tymczasem na kilka dni przed realizacją hitlerowskiego planu Barbarossa wiele pułków opuściło koszarę (o czym we wspomnieniach), a niektóre miasta otoczono zaporami balonowymi. Piszę o tym, bo do wielu jednostek, które wcześniej wyruszyły na front, nie dotarły rozkazy rozbrojenia Polaków i wtrącenia ich do obozów pracy. Inne przesłanki to: zyskanie zaufania służb bezpieczeństwa, między innymi zapisanie się do komсомоłu oraz ukrywanie Polaków bądź niepodporządkowanie się rozkazom (by nie osłabiać swoich sił) przez dowództwa pułku.

Rozbrojenie przebiegało różnie, ale najczęściej tak, jak to opisują Stanisław Kraska z Suwałk i Aleksander Gągól z Zamojskiego: „Nasz pułk rozlokowany był w Lipecku (*obł. woroneżska*). Po śniadaniu, a było to pod koniec czerwca (po wybuchu wojny — uzup. moje), gdy staliśmy w pełnym uzbrojeniu, przyszedł oficer z listą i kogo wyczytał, ten wychodził z szeregu. Wyczytał samych Polaków. Pozostali odeszli, a nam nakazano zdać cały ekwipunek i umundurowanie; zostałem tylko w *gimnastiorce*”. „Z Borysochlepska — pisze A. Gągól — przerzucono nas do Masłowki gdzie przygotowywano jednostki na front. Gdy ładowaliśmy się do wagonów to zarządzono zbiórkę w dwuszeregu i padły słowa komendy: 'Polacy z Zachodniej Ukrai-

ny i Białorusi wystąpi! Podobnie zalecono niektórym Ukraińcom i Białorusinom. Po powrocie do koszar nakazano oddać broń i umundurowanie. Rzucono nam stare, zużyte łachmany, nakazując usunięcie z nich znaków wojskowych. Tak przebranych odstawiono do Woroneża za druty, gdzie sformowano *strojbataliony* nadzorowane przez wojsko”.

Wojenno-Stroitielnyje Bataliony, zwane wówczas w skrócie *strojbatami*, liczyły od 800 do 1500 ludzi. Ich zadanie to praca na rzecz frontu, a więc zaopatrzenie wojsk liniowych, budowa umocnień, ziemianek dla wojska, lotnisk... W strefach frontowych ginęli od kul wroga jak i swoich, a przy tym zdarzały się i dezercje, więc bataliony te nikły w oczach. Wtedy ogłaszano ich rozwiązanie, a pozostałych przy życiu ludzi, fizycznie i psychicznie wykończonych, kierowano do obozów⁵. Ale wszędzie zachęcano do wydajnej pracy jednakowo: kolbą karabinu, normami i propagandą: „Każde uderzenie łopatą, siekierą to uderzenie we wroga, we wrednych faszystów!”

Nie ma wspomnień, w których nie byłoby mowy o głodzie, chorobach szkorbutu i tyfusu, dziesiątkujących ludzi. Pozostali przy życiu wywożono najczęściej poza Ural i zatrudniano przy budowie fabryk i ich infrastruktury. Tam do normalnego ubóstwa życia obozowego doszły mrozy sięgające do 55 stopni. „Zimą z 1942 na 1943 wykończyli nas w Ulianowsku i Złotouście w siedemdziesięciu procentach” (A. Gągol).

PO DRODZE DO KRAJU

Różne były drogi dotarcia (ale jakże nielicznych) do kraju, co postaram się w dużym zarysie przedstawić.

a) Grupa, a ta jest najmniej liczna (w granicach jak w punkcie b. i c.) zwolnionych z Armii Czerwonej, jeszcze przed wybuchem wojny, na skutek choroby lub kalectwa nabytego w wojsku.

5. *Ibid.*, s. 106 „...do Armii Czerwonej i jej batalionów roboczych wcielono przymusowo minimum 210 tysięcy obywateli polskich”. Sformułowanie nieprecyzyjne, bo z Armii Czerwonej przerzucano, po wybuchu wojny, do batalionów roboczych.

Na s. 108, że chodziło „o skupienie i izolację całego niepewnego elementu...” To prawda, ale należy też mówić o intencjach sprawnego obsłużenia frontu.

S. 111–113. Nie należy utożsamiać *strojbatalionów* z terminami przyjętymi w nazwach różnego rodzaju obozów pracy. Te pierwsze działały najczęściej na liniach frontu i były ruchome. Wyniszczone zostawały rozwiązywane, a pozostałych przy życiu kierowano do obozów pracy, najczęściej poza Ural. W relacjach piszą: „Po rozwiązaniu *strojbatu*...”

b) Z jednostek sowieckich rozbitych przez Niemców na froncie — i tu podaję dla przykładu wypowiedź Franciszka Szumowskiego z Linden (USA): „W okolicach Rostowa dopadli nas z trzech stron Niemcy. Wybili wszystkich, ale ja przeleżałem wśród trupów do wieczora, a potem w jakimś chutorze wykradłem babinie cywilne ubranie. Powróciłem do domu do Grajewa na same święta Bożego Narodzenia, a to dlatego, że znałem język niemiecki (jeździł do Prus na saksy — uzup. moje) i tłumaczyłem im, że wracam z więzienia sowieckiego”.

c) Grupę równie nieliczną stanowią ci, co dostali się do niewoli niemieckiej. Niektórym udało się uciec z transportów (3 relacje), innym udało się przeżyć gehennę łagrów dla jeńców sowieckich (wstrząsająca relacja Bolesława Zajera z Pizsa, który doznał między innymi okropnych prześladowań od Litwinów).

d) Grupie znacznie większej, bo jak podaje Krystyna Laskiewicz (*op.cit.*) liczącej do 840 osób, udało się przejść do armii W. Andersa z wojsk sowieckich i ze *strojbatalionów*. Do nich dochodzi kilkudziesięciosobowa grupa uciekinierów; myślę, że chodzi tu o dezertersów z Armii Czerwonej. Ta sprawa wymaga szerszego potraktowania. Ponieważ Autorka „Strojbatalionów” poświęciła sporo miejsca tym zagadnieniom, więc ograniczam się do stwierdzenia — władze sowieckie nie pozwalały na przejście Polaków z Armii Czerwonej do wojska organizowanego przez gen. W. Andersa. Mało tego, w przypadkach objętych umową akcją tę utrudniały, o czym świadczą podane niżej przykłady.

Każdy sukces na froncie czy w dyplomacji Sowietów szeroko propagowali, więc informacje o tej umowie docierały do Polaków. Płk Józef Wilczyński z Warszawy pisze: „Na początku września 1941 r. na froncie odesskim doszły do nas informacje o formowaniu wojska polskiego w ZSRR. Jan Czerwiński (wieś Radziwiłka, pow. augustowski), który ze mną służył w 199 bat. łączności, zdradził chęć przejścia do tego wojska. W nocy zabrało go NKWD i ślad po nim zaginął”. Zamknięci w obozach dowiadywali się o tej armii podczas różnych prac od miejscowej ludności cywilnej; nie opuszczała ich myśl dotarcia do tych jednostek. Udało się uciec grupie siedmiu Polaków, żołnierzy Armii Czerwonej, których z barwinkowskiego *strojbatu* przetrzucono do „*kołonnny roboczej*” w okolicy Kujbyszewa. Szczęśliwie dotarli do polskiej placówki kontaktowej, gdzie sierżant Słowikowski zaopatrzył ich w wiarygodne dokumenty (być może po zmarłych, bo każdy od tej pory przybrał inne nazwisko) ze skierowaniami do Kazachstanu. Od tej pory mieli otrzymy-

wać z urzędów prowiant i bilety na bezpłatne przejazdy. W drodze poddano ich bzdurnym przesłuchiwaniami i wpuszczano na stację z chwilą odjazdu pociągu. Podobne *pierepalki*, jak pisze P. Sułek, były z prowiantem: „...szybko zorientowaliśmy się w szatańskich zamysłach sowieckiej *własti*”. Zaprzestali korzystać z tej pomocy i dzięki temu dla pięciu spełniły się ich marzenia. Mniej szczęścia miała grupa ośmiu żołnierzy, o których mówiłem wyżej, uwięzionych w kiszlińskim więzieniu. Po namowach naczelnika, bo niedowierzali, myśląc, że to podstęp, zgodzili się na przejście do wojska polskiego. Po dziesięciu dniach „więziennej wolności” (zmiana cel, odzieży, kąpiele, swobodny dostęp do kuchni) nakazano im wyznaczonymi etapami, ale nie najkrótszą drogą, tylko przez płn. Syberię (!) udać się do Kazachstanu. Tylko dwóch z nich dotarło do celu; sześciu, osłabionych więzieniem i trudami tej podróży, pozostało na trasie. Kończąc wypowiedź w tych kwestiach należy tylko dodać, że w *strojbatkach* na wyraźną chęć przejścia do armii polskiej przełożeni nie reagowali tak ostro jak w jednostkach liniowych, co najwyżej odpowiadali ogólnikami typu: „Jaka różnica, polska armia czy sowiecka, jednego wroga będziemy bić”.

e) Grupa, o której trudno powiedzieć jak jest liczna, tych żołnierzy, co przeżyli wojnę do końca służąc w szeregach Czerwonej Armii. Dowództwo sowieckie wykorzystując działania wojenne nie zawsze podporządkowywało się rozkazom. Na przykład, gdy miała zjechać komisja kwalifikacyjna do I i II armii wojska polskiego, wówczas kompanie saperskie, w których służyło najwięcej Polaków, wysłano do budowania przeprawy (z wypowiedzi F. Arciszewskiego). Powrócili do kraju, ale często nie do stron rodzinnych, bo te pozostały poza Bugiem, z medalami za odwagę, za Berlin i wojnę ojczyźnianą, ale bez nominacji oficerskich, czego nie można powiedzieć o żołnierzach niżej omówionych; ci, jako doświadczeni frontowcy, kierowani byli do „polskiej” szkoły oficerskiej w Riazaniu.

f) Sporo Polaków z Armii Czerwonej, najwięcej ze *strojbatationów* i z różnych obozów pracy, poczynając od maja 1943 r. całymi grupami było kierowanych do Sielc nad Oką. Ich droga do Polski była trudna, usłana trupami kolegów. Ci, co dosłużyli się szlifów oficerskich, tworzyli zrab kadry Ludowego Wojska Polskiego, inni, zdemobilizowani, powrócili do swoich, najczęściej rolniczych zajęć.

Tak więc, co zasługuje na podkreślenie, formacje wojska polskiego organizowane tak przez rząd londyński, jak i przez

Związek Patriotów Polskich, uratowały życie wielu Polakom, o czym jak dotychczas za mało się mówi.

TYLKO NIEWIELU WRÓCIŁO

W stosunku do całego poboru wróciło niewiele. Jest mowa o tym w relacjach i w bezpośrednich wspomnieniach byłych żołnierzy Armii Czerwonej; z ich wypowiedzi: „ze wsi Ginowicze k. Grodna wzięto trzydziestu, a powróciło tylko trzech” (Pietrasiewicz Józef z Suwałk); „Z naszej wsi Zaturka, woj. wołyńskie, zabrali nas ośmiu. Tylko ja powróciłem i zdaje się jeszcze jeden, który może żyje w Kanadzie” (A. Gągol); „Razem ze mną ze wsi Kurasz (k. Sarn) wzięto pięciu mężczyzn, nikt prócz mnie nie wrócił po wojnie do domu” (Mikołaj Czerwiński z Lublina); Edward Witkowski z Grajewa w udzielonym wywiadzie mówił: „Franciszek Banach z Ciemnoszyj zginął, Franciszek Baryła z Białaszewa zginął, Antoni Ruszczyk z Ruszczyk zginął, Antoni Purgin z Wojewodzina zginął, Gajdziński i Nitkowski z Grajewa”. Podał pięciu, którzy wrócili z okolic tego miasta. W innych relacjach też mówią o podobnym stosunku. Z moich badań wynika, że na tysiąc wcielonych do tej armii powróciło w granicach dwustu; są to więc duże straty w dwóch rocznikach mężczyzn, z woli Kremla zapędzonych do pułków sowieckich.

Lublin, 18.9.1991

Leon Antoni SUŁEK

Andrzej ALBRECHT

NOC GENERAŁA

Trzynasty grudnia 1981 roku był ostatnim dniem mojej pracy w warszawskiej rozgłośni Polskiego Radia, gdzie przez trzynaście lat współredagowałem Dziennik Krajowy. Tak się złożyło, że właśnie tamtej pamiętnej nocy z soboty na niedzielę, z dwunastego na trzynasty grudnia pełniłem dyżur w jednej z małych klitek redakcji Dziennika przy ulicy Malczewskiego, opracowując depeche przeznaczone do emisji. Niemal wszyscy byliśmy w kiepskim nastroju. Wprawdzie nic nie wskazywało, że już za kilka godzin rozegra się dramat, ale atmosfera zagęszczała się coraz bardziej i można było przypuszczać, że wkrótce nastąpi jakaś kulminacja. W każdym razie pamiętam, że miałem w tamych dniach ponure przeczucia...

W mojej podświadomości kumulowały się widocznie liczne sygnały, które rejestrowałem już od dawna, lecz świadomie starałem się je lekceważyć. Już w sierpniu 1981 jeden z moich przyjaciół i partnerów tenisowych, generał Juliusz Hibner, powiedział mi na kortach warszawskiej Legii, że los „Solidarności” jest chyba przesądzony. Nie chciałem mu wierzyć...

Był to właśnie czas gdańskiego Zjazdu i chyba najświetniejszy okres tej organizacji. „Przekona się pan, że mam rację” — powiedział Hibner. „To jest rozkaz, wydany w Moskwie”. „I myśli pan, że Rosjanie tu przyjdą?” „Nie sądzę. Żaden odpowiedzialny dowódca sowiecki nie będzie ryzykował czegoś w rodzaju skoku z trampoliny do pustego basenu. To przecież oznaczałoby ugrzęźnięcie w działaniach wojennych na czas nieokreślony. A oni ciągle jeszcze nie mogą się wygrzebać z Afganistanu... i zrobią wszystko, aby to zadanie było wykonane polski-

mi rękami..” „Wciąż nie mogę uwierzyć”. „Przekona się pan”.

W tym momencie przypomniałem sobie pewną niezwykłą scenę, która rozegrała się na tychże kortach tenisowych Legii, chyba w roku 1964. Pewnego wczesnego poranka zastałem tam grających w tenisa marszałka Polski, Mariana Spychalskiego, i szefa Głównego Zarządu Politycznego wojska, generała Wojciecha Jaruzelskiego. Było to, wydaje mi się, zdarzenie jednorazowe. Ani przedtem ani potem ich tam nie widziałem. Piłki podawał im młody człowiek w mundurze podporucznika, widocznie adiutant. Marszałek dzielnie wywijał rakieta, starając się przybrać postawę sportowca, natomiast sztywno wyprostowany, grający niemal w postawie na bacność generał sprawiał wrażenie męczennika, poświęcającego się ze wstrętem w imię wyższej racji. Biegał w zasadzie tylko adiutant, bowiem obaj gracze rzadko trafiali w piłkę. Pomyślałem wówczas, że generał stanowi może wzór żołnierskiej dyscypliny...

Zanotowałem sobie głęboko w pamięci ową rozmowę z Hibnerem, chociaż doraźny wniosek był dla mnie raczej optymistyczny — w pełni wiarygodny, w dodatku „Bohater Związku Radzieckiego”, gen. Hibner, znający wojsko, a także z czasów wojny armię sowiecką, kategorycznie odrzucał możliwość sowieckiej interwencji. Ja również w nią nie wierzyłem, ale się jej bałem...

A był to czas, kiedy po powrocie z wizyty w Moskwie ówczesny wicepremier Mieczysław Rakowski opowiadał wszędzie o gotowych już plakatach sowieckich, przedstawiających Wałęsę w postaci złowrogiego ptaka — sępa czy jastrzębia — obrzucającego Polskę bombami z napisem „NATO”, które to plakaty podrzucono do pokoi hotelowych polskiej delegacji, co według niego oznaczało zapowiedź rychłej interwencji. Równolegle niejaki Tadeusz Derlatka informował widzów telewizji, powołując się na zeznania jakichś dwóch pań zbiegłych do NRD z RFN-u — że sama idea „Solidarności” jest wytworem dywersyjnych ośrodków planistycznych Paktu Północno-Atlantyckiego. Jeden z bardziej dyspozycyjnych dworskich dziennikarzy, Ryszard Wojna, straszył wszędzie gdzie mógł widmem nowego rozbioru Polski, a prezes Radia i Telewizji, Władysław Loranc, wzywał nas do „wyciągnięcia wniosków z Powstania Warszawskiego”. Pamiętam, zebraliśmy się w jego gabinecie na jednym z wysokich pięter wieżowca telewizji przy ulicy Woronicza, grupka przedstawicieli Rady Delegatów SDP, kiedy zwrócił się nagle do siedzącego obok mnie Bohdana Tomaszewskiego, udekorowanego właśnie „Krzyżem Powstania Warszawskiego”, wołając z właściwym sobie pedagogicznym patosem: „Czyż nie dość krwi przelaliście wtedy? Chcecie znowu zniszczyć Warszawę i posłać na śmierć

młode pokolenie Polaków?” Zażenowanego milczenia, które wówczas zapadło, nie przerwali nawet jego dwaj zastępcy, ani zwykle buńczuczny Andrzej Kurz, ani Stanisław Celichowski, cenzor z zawodu i zamiłowania, pełniący funkcję wiceprezesa do spraw radiowych. Ten ostatni straszyl nas dla odmiany losem Czechosłowacji po inwazji „bratnich” państw Układu Warszawskiego. „Chce pan zamiatać ulice? — zapytał mnie kiedyś jesienią 1981. — W Pradze widziałem, jak zajmowali się tym naukowcy”.

Również jesienią zmieniła nagle orientację I sekretarz Komitetu Zakładowego PZPR w Radiokomitecie, skądinąd bardzo sympatyczna Joanna Matuszewska, dotychczas dość pojednawcza wobec „Solidarności”. (Na początku roku 1981 udało mi się ją przekonać o potrzebie utworzenia Komitetu Porozumiewawczego partii i organizacji politycznych w PRiTV. Przewodniczyła mu p. Danuta Pacyńska z Dziennika TV, działaczka SDP. Na jesieni 81 PZPR wycofała poparcie dla reformatorskich inicjatyw tego Komitetu.) „To jest głupota, to jest zbrodnia” — wykrzykiwała w najwyższym zdenerwowaniu, kiedy odwiedziłem ją wraz z działaczką SDP i znaną reportażystką radiową, Alicją Maciejowską. Chodziło o pozdrowienia gdańskiego Zjazdu dla narodów ZSSR. Ogarnięta paniką stała się niespodziewanie gorącą wielbicieleką ówczesnego głównego cenzora polskich środków masowego przekazu, Stefana Olszowskiego, i nawiązała kontakt z hołubioną przez niego kołtuńską organizacją pt. Zjednoczenie Patriotyczne „Grunwald”...

Jedna z liczebnie mizernych, ale bardzo aktywnych i agresywnych odrośli tej programowo antysemitkiej organizacji zakorzeniła się w Radiokomitecie, głównie w telewizji. Zbierałem wtedy podpisy pod zredagowanym przez siebie protestem przeciwko działalności „Grunwaldu”, co jednak w odróżnieniu od innych akcji protestacyjnych przebiegało z dużymi oporami. Nawet dziennikarze radiowi, którzy z reguły masowo podpisywali rozmaite, często bardzo krytyczne oświadczenia SDP, tym razem na ogół się nie kwapili. Niektórzy już po złożeniu podpisu prosili o wykreślenie ich nazwiska. Jeden z młodych dziennikarzy sportowych powiedział mi wprost: „Proszę mnie skreślić. Solidaryzuję się z protestem, ale ostrzeżono mnie, że mogę mieć poważne przykrości, nie tylko ja, ale i moja rodzina”. Był to jeden z symptomów narastającego terroru. Rozlepiane przeze mnie systematycznie na wszystkich piętrach gmachu radiowego teksty SDP, również zawiadomienia o zebraniach Rady Deleatów, znikwały często jeszcze tej samej nocy z tablic ogłoszeń, zrywane tajemniczą ręką. Telefony wielu z nas były na podsłuchu. (Przekonałem się o tym po raz pierwszy w październiku,

kiedy generał Jaruzelski zastąpił Stanisława Kanię na stanowisku I sekretarza KC PZPR. Zatelefonował wówczas do mnie Krzysztof Wolicki, z którym przyjaźniłem się jeszcze z czasów *Sztandaru Młodych*, pytając, kogo wybrano. Wiedziałem jedynie o dwóch kandydaturach — Wojciecha Jaruzelskiego i Kazimierza Barcikowskiego. „Ach — powiedział Krzysio — to znaczy, że Barcikowski. Przecież Jaruzelski nie zna się na polityce”. Był to jedyny wypadek, kiedy nie sprawdziła się jego polityczna prognoza. W słuchawce chrobotąło, więc zaniechaliśmy dalszej rozmowy).

Jednocześnie zastraszająco pleniła się wszelkiego rodzaju prowokacja, a zwłaszcza tzw. beczeszczenie cmentarzy żołnierzy sowieckich. (Była to metoda stosowana z powodzeniem już podczas inwazji na Czechosłowację w sierpniu 1968. Pamiętam opublikowaną wówczas w *Trybunie Ludu* sensacyjną korespondencję Zygmunta Broniarka, który donosił o sprofanowaniu przez „czeskich reakcjonistów” polskiego cmentarza wojskowego z roku 1945-go w pobliżu Pragi i o nieprzyzwoitych napisach na tamtejszym pomniku gen. Świerczewskiego. Kiedy Broniarek pisał swoją korespondencję, polskie czołgi „zdobywały” właśnie Hradec Kralove). Jednak dzięki wścibstwu dziennikarzy i aktywności lokalnej „Solidarności” wyczyny te w Polsce nie uchodziły na ogół bezkarnie. Kilka razy przychwycono na beczeszczeniu cmentarzy agentów bezpieki, a zniszczony rzekomo przez sympatyków „Solidarności” na cmentarzu w Lublinie, od lat niekonserwowany grobowiec sowieckiego czołgisty rozleciał się po prostu ze starości. Kompromitacja była tym większa, że fakt ten stwierdzono w obecności ekipy telewizyjnej, wysłanej tam helikopterem przez prezesa Loranca, który starał się operatywnie piętnować „zbrodnie opozycji”...

Tymczasem ogólne napięcie społeczne, po wielkiej fali strajków w poprzednich miesiącach, sprowokowanych najczęściej przez władze, systematycznie spadało, strajki stopniowo wygasły, niemal cała Polska żyła nadzieją osiągnięcia przy pomocy Kościoła autentycznego kompromisu między władzami i ruchem związkowym, który w tym czasie ograniczał swój program w zasadzie do „demokratycznej reformy socjalizmu”. Również ówczesne żądania reformatorów w Radiokomitecie wydają się dziś bardzo skromne. Najdalej idące postulaty dotyczyły ograniczenia cenzury, odkłamania informacji, czyli po prostu mówienia prawdy, powołania rzeczywistych władz statutowych — reprezentatywnego Komitetu i Rady Programowej — Radia i Telewizji oraz zabezpieczenia się przed manipulacjami ze strony rozmaitych politycznych matadorów poprzez podporządkowanie całej instytucji kontroli sejmu, a nie partii, czy rządu. Mimo

swej ograniczoności program nasz przyprowadził władze o białą gorączkę. Pewnego wieczoru zostaliśmy np. — przedstawiciele Rady Delegatów SDP — ściągnięci w trybie alarmowym na ulicę Woronicza, gdzie obaj wiceprezisi — Kurz i Celichowski — poddali nas prawdziwemu przesłuchaniu na temat planowanego przez nas rzekomo powołania samorządu pracowniczego w Radio i Telewizji. (Według mnie sprawą kluczową było także zapewnienie sobie niezależności finansowej. Dlatego zwróciłem się na własną rękę do dwóch bardzo znanych dziennikarzy-ekonomistów o sporządzenie ekspertyzy samofinansowania Radiokomiteu w oparciu o usługi, opłaty abonamentowe i reklamę. Mimo wyrażenia zgody i udzielenia zapewnień, pracy tej jednak nie wykonali).

Im spokojniej było w kraju, tym bardziej agresywne stawały się władze. Równocześnie w oficjalnych wystąpieniach i publicystyce prasowej i telewizyjnej przewijał się stale słabo zawołany straszak sowieckiej inwazji. Przebywający z wizytą w Warszawie ówczesny przywódca węgierski, Janos Kadar, powiedział wprost na spotkaniu z załogą zakładów im. Nowotki: „Kochani, bałem się, że już do was nie zdążę przyjechać, bo wyprzedzą mnie Rosjanie i was wszystkich na Sybir wywiozą”. Żaden z obecnych tam przedstawicieli władz polskich nie zareagował... Bezpośrednia groźba interwencji zbrojnej ZSSR wyzierała z podtekstu przemówienia, wygłoszonego we wrześniu na posiedzeniu Rady Stowarzyszenia SDP, rzecznika prasowego rządu Jerzego Urbana. Pamiętam, że na sali ktoś puścił wówczas pogłoskę o trzech dywizjach sowieckich wkraczających właśnie do Polski w okolicach Białegostoku. Okazało się, że chodzi tu o rutynową wymianę części jednostek sowieckich stacjonujących w NRD...

Wkrótce potem, w połowie września, na jednym z „paneli” zorganizowanym na Foksal, Ludwik Krasucki z *Nowych Dróg*, bardzo przywoity człowiek, życzliwy „Solidarności” i świetnie zorientowany „co w trawie piszczy”, rzucił jakby mimochodem uwagę, która mnie zelektryzowała. „To już połowa września — zauważył — a więc mamy już tylko trzy miesiące czasu”. Nikt chyba poza mną nie zwrócił na to uwagi. Kiedy go potem zapytałem, co to za prekluzyjny termin owe trzy miesiące, wykręcał się śianem...

Chyba pod koniec listopada 81 poszedłem do „Hybryd” na spotkanie ze Zbigniewem Bujakiem, w towarzystwie mojego dawnego przyjaciela, Aleksandra Nasielskiego, który właśnie wrócił z wieloletniej emigracji w Australii. Zebrało się ponad sto osób i wobec tego przypadkowego audytorium, naszpikowanego z pewnością agentami bezpieki, Bujak mówił otwarcie o planach przejścia przez „Solidarność” kontroli nad Radiokomiteem. Wie-

le uwagi poświęcił rozmaitym szczegółom technicznym, jak np. sposobom zakłócania lub wręcz „zdejmowania” wizji telewizyjnej z zewnątrz. Do tej pory nie rozumiem, o co mu wówczas chodziło. Jeśli nawet istniały takie plany i możliwości — a SDP kategorycznie temu zaprzeczało — to ujawnianie ich przed ewentualną konfrontacją nie było chyba rozsądne. Może myślał, że w ten sposób osłabi dążenie władz do konfrontacji? Moim zdaniem, efekt był wręcz odwrotny... Wkrótce potem prezes Loranc zakomunikował o „bezpośrednim zagrożeniu obiektów Radiokomiteu” i wokół gmachu PR na Malczewskiego krążyć zaczęły piesze patrole żandarmerii wojskowej.

Poza tym nic się jednak nadal nie zmieniało, panował względny spokój i przygotowaliśmy spotkanie naszej delegacji z przedstawicielami sejmu, aby przedłożyć plany reformy Radiokomiteu. Porozumiałem się z moimi przyjaciółmi-posłami, Jankiem Osmańczykiem i Karolem Małcużyńskim, którzy zamierzali wziąć udział w tym spotkaniu, organizowanym przez sejmową Komisję Kultury. Zakończyło się ono wielkim blamażem władz Radia i Telewizji, a zwłaszcza wiceprezesa Celichowskiego, który wziął na siebie główny ciężar obrony ich dotychczasowej polityki, pograżając w efekcie również swych kolegów, obrażając posłów i ośmieszając się z kretesem. W rezultacie wycofał swe przemówienie ze stenogramów sejmowych, rzekomo dla przeprowadzenia korekty — rzecz w dziejach parlamentaryzmu światowego niespotykana — i już go więcej nie zwrócił. Sukces był jednak tylko częściowy, bowiem do żadnych pozytywnych rozwiązań również wówczas nie doszło. Rzecz wymagała dalszych spotkań i dyskusji...

Aż nagle, pewnego grudniowego dnia zwołano w trybie pilnym zebranie tzw. aktywu programowego Radia i Telewizji, tj. wszystkich redaktorów, publicystów i dziennikarzy. O nowych zadaniach mówił Aleksander Lubański, naczelny redaktor Naczelnej Redakcji Informacji PR. Zawsze dość daleko było mu do Cyclerona, ale tym razem plótl zgoła, jak Piekarski na mękach. Stękając, jęcząc, jękając się i pocąc, blisko godzinę prawił niezwykle banały. Z całego tego bełkotu można było jedynie wyłowić, że oto „kontrewolucja przystąpiła do szturm...”, zagrożone są największe ideały socjalizmu i trzeba wreszcie przejść do zdecydowanej kontrakcji... Kto tego nie rozumie, dla tego nie ma miejsca w Radiokomitecie...”

Natychmiast po jego przemówieniu wstałem i zapytałem, „dlaczego właśnie teraz, kiedy istnieje realna szansa porozumienia narodowego, wygasły strajki i można zabrać się do realizacji reformy, kierownictwo Radia i Telewizji ogłasza program zmierzający otwarcie do konfrontacji?” Na sali rozległy się oklaski.

Zagłuszył je jednak ryk profesora Loranca. „Pan redaktor żałuje, że już nie ma strajków — krzychał. — Ale to nieprawda, zapomniał pan o strajku szkolnym... (rzeczywiście w południowo-wschodniej Polsce w kilku szkołach odbywał się strajk przeciwko zdejmowaniu krzyży). Czy tego panu za mało? Chce pan, żeby znowu wszędzie strajkowali?!” Oczywista sofistyka i niezwykła agresywność tej odpowiedzi wskazywały, że władze rządowe istotnie szykują się do konfrontacji. Opuszczaliśmy salę bez żadnej dyskusji, w minorowym nastroju...

Dwa dni później, chyba, wybuchł strajk w warszawskiej podchorążówce pożarnictwa, której słuchacze domagali się przeniesienia z gestii ministerstwa spraw wewnętrznych do ministerstwa szkolnictwa. Władze odpowiedziały potężną demonstracją siły...

Pamiętam, w jak niesamowitej scenerii jechaliśmy wieczorem samochodem przez Żoliborz z Jackiem Kalabińskim i Aleksandrem Wieczorkowskim, wracając spod oblężonej przez milicję i zabarykadowanej tramwajami Szkoły Oficerów Pożarnictwa. Gdzieś w okolicach Placu Wilsona napotkaliśmy pierwszą wielką kolumnę samochodów ZOMO. A potem nagle ze wszystkich stron, jak na zlocie gwiazdzistym, od strony Marszałkowskiej, od Wisły, od strony Bielan z rykiem silników, w błyskach niebieskich, białych i czerwonych świateł sygnalizacyjnych, toczyły się przez zdumioną Warszawę setki i tysiące milicyjnych łażników, „suk” i ciężarowych wozów bojowych załadowanych ludźmi w hełmach i pstrokatych panterkach. Był to zmasowany atak psychologiczny, mający zmiążyć bez walki wszelką opozycję. Idealne uzupełnienie tego upiornego obrazu stanowił ogromny czerwono-czarny plakat na pobliskim żoliborskim kinie z napisem „Apocalypse Now” — reklama filmu Francis Coppola...

Od kilku lat redagowałem wówczas w III programie PR wieczorną piętnastominutową audycję informacyjną pt. „Fakty Dnia”. Starłem się tam możliwie obszernie przedstawić wszystkie ważniejsze wydarzenia ubiegłej doby. Początkowo tekst nagrywałem na taśmie bezpośrednio przed emisją, później udało mi się wywalczyć prawo występowania „na żywo”, przed otwartym mikrofonem. Dawało mi to możliwość wprowadzania korekt i uzupełnień, już po obowiązkowym ocenieniu tekstu. Korzystałem z tej szansy dość często i na ogół bezkarnie. Pamiętam jednak dziką awanturę, jaką zrobił mi późną jesienią 81 prezes Loranc po zacytowaniu przeze mnie fragmentu przemówienia Lecha Wałęsy, w którym wzywał on do chwilowego zaprzestania strajków. Na moją uwagę, że przecież apel ten leży w interesie rządu, odpowiedział z ironią: „Ładnie to, że chce

mu pan robić reklamę ale może zająłby się pan raczej reklamowaniem apeli rządowych. Jeśli nie będzie strajków, to nie będzie to zasługa Wałęsy...” Władza spieszyła się już wtedy, żeby zdążyć na czas, żeby terminowo zrealizować postawione sobie zadanie. Ugodowa „Solidarność” już jej przeszkadzała, potrzebny był jej Wałęsa z nożem w zębach. Nie zdziwiłem się więc zbyt, kiedy bodajże 10 grudnia, na dwa dni przed przełomową nocą, jeden z tzw. kierowników zmiany redakcyjnej, którego od dawna uważałem za wtyczkę bezpieki, zwrócił się do mnie konfidencjonalnie: „Redaktorze, dzisiaj w 'Faktach Dnia' może sobie pan użyć. Mam tu doniesienia, że ludzie z 'Solidarności' wzywają PZPR-owców do ucieczki na Wschód. Niech pan o tym powie. Na Wschód towarzysze, jazda do Moskwy. Niech pan zacytuje te hasła”. Był wściekły i obrażony, gdy mu odmówiłem...

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Nawet w najgorszych latach prawdziwej wojny oczekiwałem ich zawsze z głęboką radością. Tym razem jednak miałem uparte wrażenie, że dzieli mnie od nich jakaś mglista ściana, że oto wchodzę w czarną chmurę, spoza której nie może się wyłonić nic radosnego. W dodatku na 16-ty, czy 18-ty grudnia „Solidarność-Mazowsze” zapowiedziała wielkie zgromadzenie mieszkańców stolicy na Placu Zwycięstwa. Ani cel, ani sens tej niedoszłej demonstracji nadal nie są dla mnie zrozumiałe. W zimie, bezpośrednio przed Świętami gromadzić ludzi w łatwo dostępnym dla policji centrum miasta w imię jakiegoś niezbyt czytelnego hasła?

Nocne dyżury radiowe z soboty na niedzielę były zwykle krótsze, niż w dni powszednie. Zaczynały się o ósmej wieczorem i kończyły wkrótce po północy. Ani za granicą, ani w kraju nic się tego dnia ważnego nie działo — poza obradującym w Warszawie Kongresem Kultury Polskiej i posiedzeniem Komisji Krajowej „Solidarności” w Gdańsku, którymi zajmować się miała już następna, poranna zmiana redakcyjna — więc spodziewałem się dość wcześnie wrócić do domu... W pewnym momencie do pokoju, w którym siedziałem wraz z maszynistką i korektorką, wkroczył niespodziewanie nieosiągalny już zwykle o tej porze wiceprezes Celichowski. Oświadczył, że dyżuruje tej nocy w swoim gabinecie i chciałby jeszcze przed północą otrzymać teksty wszystkich nocnych i porannych wydań wiadomości. „Proszę nie wysyłać na emisję żadnego tekstu bez mojej aprobaty. Wszystko musi być ze mną uzgodnione”. Było to coś nowego. Dotychczas wystarczała akceptacja cenzora i tzw. kierownika zmiany...

Okolo 23-ej zadzwoniła do mnie p. Alicja Maciejowska z III-go programu, pytając co u nas słychać, „bo na mieście jakoś niewyraźnie”. Była niedawno na Placu Zwycięstwa i stwierdziła,

że krążą tam samochody pancerne, tzw. skoty. Wyraziłem przypuszczenie, że to pewnie kolejny pokaz siły przed zapowiadzaną demonstracją „Mazowsza”. W tym momencie w słuchawce rozległ się znajomy chrobot. Nie miałem wątpliwości, że nas podsłuchują. Powiedziałem więc specjalnie głośno: „A ten bałwan Celichowski siedzi tu u nas i żąda, żeby mu pokazywać wszystkie wiadomości”. „Niech pan nie zapomni, że jutro się z nim spotykamy. Dobranoc”, powiedziała p. Maciejowska i odłożyła słuchawkę. Istotnie, wiceprezes Celichowski wyznaczył nam spotkanie na 10-tą rano w niedzielę, 13-go grudnia, aby omówić „zasadnicze sprawy programowe”...

Po rozmowie z p. Maciejowską i mnie zrobiło się nieco „niewyraźnie”. Zebrałem wszystkie zredagowane już wiadomości i poszedłem do gabinetu wiceprezesa. Drzwi były zamknięte na klucz. Zbiegłem na dół i spytałem siedzącego przy wejściu do gmachu strażnika, czy nie widział wiceprezesa. „Przed godziną odjechał”, powiedział strażnik. Spojrzałem na zegarek. Była 23-cia piętnaście. Za 45 minut wiadomości powinny już iść na antenie, a mnie tymczasem nie wolno ich przekazać na emisję bez zgody nieobecnego wiceprezesa Radiokomiteu... Popędziłem z powrotem na drugie piętro do kierownika zmiany. On również nie wiedział, gdzie jest Celichowski. Ani się z nim nie pożegnał, ani nie przekazał żadnej nowej instrukcji. „Dajemy wiadomości bez niego”, zdecydował...

Poszedłem do pokoju dalekopisów, małej kłitki oddalonej od redakcji Dziennika całą długością blisko 50-ciometrowego korytarza. Dalekopisy PAP, AFP i Reutera wyrzucały stopy depesz bez większego znaczenia. „Dotychczas nic specjalnego — powiedziała teletypistka — za pół godziny zapowiedzieli komunikat o obradach Krajowej Komisji 'Solidarności' z Gdańska”. Na ten komunikat powinniśmy poczekać, pomyślałem, a więc dyżur się przedłuży... PAP nadawał tasiemcowe sprawozdania z Kongresu Kultury Polskiej. Szły właśnie teksty przemówień Andrzeja Wajdy i prof. Jana Kotta...

Wyszedłem na korytarz i spojrzałem przez okno wychodzące na Aleje Niepodległości. Padał, pierwszy w tym roku, drobny śnieg. Ulice i dachy były już pobielone. Gdzieś na horyzoncie różowiła się w chmurach łuna światła śródmieścia. Koło nas na ulicy pusto. Jeźdźni jak zwykle przemykają od czasu do czasu pojedyncze łaziki — milicyjne, czy wojskowe, trudno odróżnić. Cisza, spokój...

Wracając do pokoju redakcji, zderzyłem się niemal z kierownikiem zmiany. „Niech pan zadzwoni na emisję — powiedział wyraźnie zdenerwowany. — Mój telefon wewnętrzny nie działa, widocznie jest zepsuty”. Podnoszę słuchawkę mojego tele-

fonu — cisza. Również telefon miejski bez sygnału. „To nie awaria — wołam. — Odcięli nas od świata, wyłączyli nam telefony!” Ale oto wpada do pokoju zdyszana teletypistka. „Dalekopisy PAP-u stoją — woła od progu. — Chciałam zatelefonować, ale telefon nie działa”. Patrzę na zegarek. Jest dokładnie za pięć dwunasta...

Wychodzę na korytarz. Z przeciwka biegnie drobnymi kroczkami nasza stara woźna. „Panie redaktorze — woła już z daleka — panie redaktorze, wojsko nas zajmuje, wojsko na podwórzu... Niech pan spojrzy na dół!” Spoglądam przez okno na wewnętrzny czworokątny dziedziniec. Z trzech wielkich ciężarówek okrytych plandeką wyładowują się żołnierze. Jest ich chyba z sześćdziesięciu. Panterki, stalowe hełmy, bagnety na pistoletach maszynowych. Przed nimi na stojakach dwa lekkie karabiny maszynowe, zwrócone lufami w kierunku bramy wjazdowej. Formują się szybko w dwuszeregi i na komendę jakiegoś cywila biegną w stronę wejścia do gmachu. Ja również biegnę w dół po schodach. Jestem pierwszy... I oto już wpadają hurmem roztrzaskując strażników, stojących bez słowa w postawie na baczność. Szybko sadzą schodami na górę i rozbiegają się po korytarzach wszystkich czterech kondygnacji. Wpada następna grupa wciągając do sali konferencyjnej skrzynie amunicyjne i śpiwory. Jest kilka minut po dwunastej...

Gdzieś z góry rozlega się głuchy łoskot. Biegnę tam. Grupa żołnierzy pod komendą cywila rozwala kolbami drzwi pomieszczenia radiowej „Solidarności”. Na czwartym piętrze łapią w jednym z pokoi studyjnych dwójkę nieznanym mi młodych ludzi. On wysoki, spokojny. Ona drobna, mała, dygoce ze zdenerwowania. Wyprowadzają ich na zewnątrz. Podobno studenci — przygotowywali jakieś nagranie dla „Solidarności”.

Idę do dalekopisów. PAP nadal milczy, ale Reuter i AFP normalnie terkocą. Szukam daremnie wiadomości z Polski... Dopiero po kilku minutach AFP zaczyna donosić o ruchach wielkich kolumn zmotoryzowanych w całym kraju. Potem Reuter o aresztowaniu członków Komisji Krajowej „Solidarności” w jednym z gdańskich hoteli, o zajmowaniu pomieszczeń radiowych i telewizyjnych w Warszawie. Sprawa staje się jasna... W pomieszczeniach redakcyjnych histeria, maszynistki płaczą. „To już koniec „Solidarności” — woła jedna z nich. — Tak krótko to trwało”. „To nieprawda — mówię — będzie strajk powszechny i muszą się cofnąć”. Rzeczywiście wtedy tak myślałem...

Wchodzi cywil dowodzący żołnierzami i zabiera wszystkim obecnym dowody osobiste. Oświadcza, że mamy normalnie pracować i nie kręcić się po korytarzach, które teraz patroluje wojsko. On sam urzęduje obecnie w gabinecie wiceprezesa Celichow-

skiego. Nie zamierzam już więcej pracować. Idę na pierwsze piętro do pomieszczeń, z których nadawany jest program. Drzwi studia otwarte, spikerzy i technicy siedzą razem i dyskutują. „Co z programem?” — wołam. „Już dawno zdjęli nas z emisji — odpowiadają. — Nadają własny program z bunkra w koszarach lotników”. Istotnie, z głośników rozlegają się dźwięki jakichś marszów wojskowych, potem poznaję głosy spikerów — Sławomir Szof, Irena Falska... Wracam do redakcji i komunikuję, że więcej nie pracujemy — szlus, fajrant...

(Do bunkra radiowego w koszarach lotników, na Żwirki i Wigury, ściągnięto zawczasu sporą grupę dziennikarzy, których uważano za „pewnych”. Znalazł się tam m.in. jeden z redaktorów Dziennika Krajowego PR, Adam Kostaszuk, chłop „pocziwy z kośćcami”, ale pochłonięty niemal całkowicie swą wojenną przeszłością — I Armia, bitwa pod Lenino itp. Kiedy zjawił się tam gen. Jaruzelski, żeby nagrać swoje historyczne przemówienie, Kostaszuk pełen obaw zapytał go ze zwykłą sobie prostodusznością: „Obywatelu generale, a co będzie, jeśli to wszystko się nie uda?” „Nie martw się, stary żołnierzu — odpowiedział śmiejąc się generał (był podobno w doskonałym nastroju) — to się musi udać. Przygotowaliśmy wszystko precyzyjnie jak w zegarku”. Zastanawiałem się nieraz później, czy rzeczywiście miał on już wówczas podstawy do takiej niefrasobliwości. Przecież o tym, że coś się ma wydarzyć tej nocy wiedzieli nie tylko ludzie godni zaufania, lecz również przynajmniej kilku działaczy opozycji, których uprzedzono już w sobotę pod wieczór — kilka godzin wcześniej — że mają się ukryć. Dzięki temu uniknęli internowania. Być może jednak nie powiedziano im zbyt wiele i myśleli, że wyłącznie im zagraża niebezpieczeństwo. A przecież zaledwie kilka telefonów — np. do „Mazowsza” czy do korespondentów zagranicznych — mogło poważnie zakłócić precyzyjny mechanizm generalskiego zegarka).

Nad ranem przybywa nowa zmiana redakcyjna. Między innymi kierownik redakcji Dziennika, Zygmunt Bielecki. Kiedy opowiadam mu o naszych przeżyciach, wydaje się zupełnie załamany. Oczywiście niczego się nie spodziewał, spał przed dyżurem, chce wraz z nami wracać do domu. Ale nic z tego, prawa stanu wojennego już funkcjonują... Zgodnie z nimi Radiokomitet stał się „jednostką zmilitaryzowaną”. (Biedny Zygmunt. Niedługo potem pochowaliśmy go na piaskach Węglowej Górki. Ten młody, czterdziestoparoletni, zdrowy człowiek o sylwetce sportowca, zmarł nagle na wylew, po paratygodniowej gehennie, jaką przeszedł zmobilizowany do pracy radiowej w stanie wojennym, szykanowany i poniewierany przez różnych cynicznych „szefów”, cwaniaków i karierowiczów, i głęboko

wstrząśnięty losem „Solidarności”, do której wstąpił wkrótce po jej powstaniu. Był typem dżentelmena o wysokim poczuciu honoru, jednym z nieznanych żołnierzy poległych w tej przedziwnej, jednostronnej wojnie. Towarzysze ze Związku Barwy i Broni zatknęli buńczuk nad jego mogiłą).

Cichą ofiarą stanu wojennego stał się także inny mój przyjaciel, znakomity dziennikarz, Jerzy Zieliński — nie Zieliński, jak błędnie wydrukowano w książce Dariusza Fikusa „Foksal 81”. Przebywał wtedy w szpitalu i, jak mi mówiono, myślał, że do Warszawy wkroczyła Armia Czerwona, bo nie wyobrażał sobie, żeby jej funkcji podjęło się polskie wojsko. Tej samej nocy wyskoczył ze szpitalnego okna.

...Najpierw odjeżdżają kobiety. Kierownik zmiany i ja wychodzimy ostatni, po nakazanym nam wysłuchaniu przemówienia radiowego generała. Świta, jest szósta rano... Wjazd w Rakowiecką zablokowany przez samochody pancerne. Na skrzyżowaniu z Alejami Niepodległości czołg z zadartą lufą celuje w okna gmachu Akademii Rolniczej (WSGW). Właz otwarty, załoga grzeje się przy koksowniku. Co pewien czas mijają nas „skoty”, łaziki i milicyjne „suki”. Na Mokotowskiej duży oddział w panterkach i zimowych uszankach oblega budynek szkolny — siedzibę „Mazowsza”. Okna oświetlone, drzwi wejściowe szeroko otwarte. Żołnierze, czy milicjanci wynoszą i ładują na ciężarówkę całe paki zadrukowanego papieru. Luźne kartki fruują ze śniegiem na wietrze... Na chodnikach spora grupa, kilkadziesiąt osób w różnym wieku skanduje z zaciętką rozpacz: „Solidarność, Solidarność”. Ludzie w panterkach i uszankach rozsypują się w tyralierę i podnoszą pałki. Zaraz zaszarżują. Obraz jak z Grottgera... „Dom Partii” przy Nowym Świecie zabarykadowany szczelnie wozami pancernymi. Na moście Poniatowskiego zapora z kozłów hiszpańskich, ciężarówek i „skotów”, piesze patrole z bronią maszynową, płonące koksowniki...

Przed siódmą wracam do domu. Żona i synek śpią spokojnie, jeszcze o niczym nie wiedzą. Przepelnia mnie upokorzenie, wściekłość i rozpacz. Nie wiem, jak im to wszystko powiedzieć. Włączam telewizor. Nadają właśnie przemówienie generała. Niechże on sam spróbuje im to wyjaśnić...

grudzień 1991

Andrzej ALBRECHT

Tadeusz Stanisław PIOTROWSKI

STUDENCI GDAŃSCY W GRUDNIU 1970

Myślę, że film Andrzeja Wajdy „Człowiek z żelaza” ostatecznie i raz na zawsze ugruntował w społecznej świadomości mit o odwróceniu się młodej inteligencji — a ściślej: studentów, bo o nich w filmie mowa — od robotników w Grudniu 1970.

„Wina” Wajdy jest tu przypadkowa. Film wcale nie miał być — jak sędzę — wierną rekonstrukcją autentycznych wydarzeń. Zresztą — zwłaszcza w tej swojej części która nas interesuje — pokazuje on nie tyle wydarzenia, ile towarzyszącą im atmosferę. Miał prawo artysta przedstawić swoją osobistą wizję rzeczywistości — taką jaka mu pasowała do koncepcji całości, do zawartego w filmie przesłania. Jednak ta wizja nie wzięła się z powietrza. Jest ona odbiciem powszechnego przekonania i — jak się na początku rzekło — to powszechne przekonanie umacnia.

Prawdopodobnie nic już nie jest w stanie tego zmienić. Jednak mnie — uczestnikowi tamtych wydarzeń — nie daje spokoju myśl, by chociaż spróbować „dać świadectwo prawdzie”. Może kiedyś przyszły historyk PRL-u wykorzysta moją relację do rzetelnego przedstawienia tego fragmentu jej dziejów.

Bowiem prawda jest zgoła inna niż to przedstawił w swoim filmie reżyser. Jak to zwykle bywa, o wiele bardziej złożona i niejednoznaczna.

Zacząć muszę — podobnie jak zrobił Wajda — od wydarzeń marcowych. Pierwszym fałszem filmu w odniesieniu do nich jest sama postać Maćka Tomczyka, studenta Politechniki Gdańskiej z 1968 roku (a więc mojego ówczesnego kolegi). Moim zdaniem, jest to postać absolutnie anachroniczna. Z tego co

wiem, wtedy nie było tak świadomych, politycznie — mimo wszystko — wyrobionych, dojrzałych ludzi.

Piszę „mimo wszystko” bo w filmie Wajda podkreśla nie-dojrzałość Maćka Tomczyka z tego okresu. Ale wśród nas nie było wtedy nawet takich jak bohater filmu! W wydarzeniach marcowych w Gdańsku brali udział praktycznie wszyscy studenci — inna rzecz, że nie przeszkadzało to ówczesnej prasie używać określenia „część studentów”. Byli to jednak „przebudzeni”, dosłownie z dnia na dzień, ludzie tzw. „małej stabilizacji”, w swojej masie — do Marca — dalecy od interesowania się sprawami społecznymi i politycznymi. Znam to doskonale z autopsji. Nasze pierwsze wspólne, dobrze zorganizowane, wystąpienie było — jak sądzę — możliwe jedynie dlatego, że władze zaryzykowały zwołanie wiecu mającego potępić „chuligańską”, „bananową” studenterię Warszawy. Uczyniły to pod presją nastrojów, chcąc wyprzedzić ewentualne spontaniczne demonstracje, ale przecież miały nadzieję na sukces — to też o czymś świadczy.

Czytane dzisiaj, z perspektywy doświadczeń dwudziestu kilku już lat, ówczesne rezolucje studentów Trójmiasta rozbrajają naiwnością (zresztą naiwne wydawały się one nam już w styczniu 1971). Człowiek pokroju filmowego Maćka Tomczyka — gdyby istniał — wprowadziłby wtedy do nich nieco politycznej dojrzałości.

Drugim istotnym elementem propagowanego przez Wajdę mitu jest sprawa szukania przez studentów kontaktu z robotnikami. Tak, to prawda. Skrótowo rzecz ujmując, historia gdańskiego Marca to właśnie próby nawiązania tego kontaktu. Zasadniczymi, nieomal jedynymi, działaniami utworzonych wtedy spontanicznie rad studenckich, były starania o dotarcie do społeczeństwa, a zwłaszcza do pracowników trójmiejskich dużych zakładów pracy, z prawdziwymi informacjami o wydarzeniach na uczelniach i o żądaniach środowiska akademickiego. Kulminacyjnym momentem tych działań było zwołanie na terenie Politechniki wiecu, w którym wziąć mieli udział robotnicy (a do którego to wiecu władze nie dopuściły).

Nie chodziło jednak — zupełnie inaczej niż w filmie i w micie — o sprowokowanie robotniczych wystąpień. Chodziło właśnie, po prostu, o informowanie. Kryło się za tym naiwne, nie wyrażane werbalnie, ale dla większości (dla wszystkich — ?) oczywiste przekonanie, że o biegu spraw w Polsce jakoś tam decydują ludzie pracy i wystarczy by poznali prawdę, a wszystko — niejako „samo” — się zmieni. Tak przynajmniej odczuwałem to wówczas ja i moi bliscy koledzy. W Gdańsku mało kto (nikt — ?) nie zastanawiał się nad ewentualnym scenariuszem dalszych

wydarzeń. W obiegu był — nie do końca uświadamiany — stereotyp złych urzędników i dobrego cesarza: najwyższych władz. Stąd zresztą skala rozczarowania „marcowym” wystąpieniem Gomulki.

Z drugiej strony wcale nie było tak by ludzie pracy dystansowali się — jak w filmie — od wystąpień studenckich. Obserwowane były one z przyjaznym zainteresowaniem. Rezolucje studenckie przepisywane były i kolportowane na terenie zakładów pracy. Na wezwanie studentów, na niedoszły wiec na Politechnice 15 marca przyszło wielu robotników, zwłaszcza młodych. Z nimi to ścierały się tego dnia watahy milicyjne w Alei Zwycięstwa we Wrzeszczu do późnych godzin wieczornych.

„Marzec” dokonał przełomu w świadomości mojej i moich kolegów. Tych kilka dni spowodowało, że zaczęliśmy inaczej patrzeć na otaczającą nas rzeczywistość. Był chrztem, który naznaczył nas piętnem na całe dalsze życie, który przemienił nas dogłębnie. Jednak nie uczynił nas przecież działaczami politycznymi. Był nie tyle szkołą, ile przedszkolem. Inna rzecz, że dla większości z nas edukacja społeczna zakończyła się właśnie na tym przedszkolu. Przynajmniej do czasu kolejnych dramatycznych wydarzeń w naszym buntowniczym mieście.

Nasz gdański marcowy ruch studencki — pomimo godnego pochwały, oddolnego, wzorowego zorganizowania — do tego stopnia nie miał świadomych przywódców (nie byli nimi główni mówcy wiecowi, Biernas i Konieczko, ludzie raczej przypadkowi), że nawet oficjalna propaganda specjalnie nie mówiła o „prowodyrach”. I nic się tu nie zmieniło przez najbliższe dwa lata, do Grudnia 1970. Być może wytłumaczeniem tego faktu był (ówczesny) brak w Trójmieście uczelni humanistycznej z prawdziwego zdarzenia (?).

Ten brak świadomych, politycznie wyrobionych, zdecydowanych na działanie ludzi, zaważył również na postawie studentów jako odrębnej grupy w Grudniu 1970.

Jak wiadomo, w poniedziałek 13 grudnia około południa grupa stoczniowców przyjechała na Politechnikę przejętym radiowozem milicyjnym. Stoczniowcy przybyli tam z informacją o porannych wystąpieniach robotniczych, wezwali studentów do przyłączenia się do ludzi pracy, zwołali na wieczór wiec studencki i odjechali. Zgadza się. Nie spotkali się z aktywnym, entuzjastycznym przyjęciem. Przecież jednak sam incydent trwał zaledwie krótką chwilę, zaś jego świadkami i uczestnikami ze strony studentów byli przypadkowi ludzie, najzupełniej nieprzygotowani na czynny udział w wydarzeniach. Trudno się więc dziwić ich powściągliwym reakcjom.

Dalej zaczyna się już fałsz. Nie mówię już o — z gruntu

nieprawdziwym — obrazie nadąsanych gówniarzy z filmu Wajdy, ale nawet uczestniczka tamtych wydarzeń Anna Walentynowicz twierdzi (*Robotnik* 70-71/1980), że na ten wiec studenci nie przyszli. Usprawiedliwia ich tym, że zostali pozamykani w akademikach, co zresztą wcale nie jest dla nich bardziej pochlebne.

Prawda jest zgoła inna. Otóż studenci na ten wiec przyszli. Byłem tam i ja. Nie przyjechał natomiast zapowiadany radiowóz. Jak wiem z innych relacji, dysponowali nim w tym czasie już zupełnie inni niż poprzednio ludzie. Pchali go — z braku paliwa — Aleją Zwycięstwa w kierunku akademików na osiedlu przy ulicy Wyspiańskiego.

Tymczasem my czekaliśmy na rozwój wydarzeń przed zamkniętą na glucho bramą Politechniki. Nie znalazł się nikt, kto potrafiłby poprowadzić wiec. Nie było przywódców. Ktoś zaproponował, by iść do Gdańska, pod KW. Poszliśmy.

Trudno jest szacować liczebność takich pochodów, zwłaszcza po latach, sądzę jednak, że było nas z kilkaset osób. Byliśmy jedną z wielu grup ciągnących w ten wieczór w kierunku Śródmieścia od strony Wrzeszcza i Oliwy. Nasza była może trochę bardziej hałaśliwa: śpiewaliśmy pieśni patriotyczne i rewolucyjne (obecnie wydaje się to wręcz niewiarygodne, ale w tamtych czasach przy takich okazjach się te ostatnie śpiewało) a również piosenki studenckie, znane nam z rajdów. W okolicach Błędnika natrafiliśmy na walkę, naonczas jeszcze bezkrwawą. Palił się kiosk „Ruchu” *vis-à-vis* Dworca, palił się jakiś samochód milicyjny. Milicja gazami łzawiącymi i pociskami dymnymi odpierała naciskające na plac przed KW masy. Tam nasz pochód wtopił się w tłumy.

Co do zamykania studentów w akademikach, to istotnie były one w ten wieczór blokowane. Wyjścia z budynków zostały obsadzone przez studenckich aktywistów partyjnych (byli tacy), którzy nikomu nie pozwalali wychodzić. Jeżeli ktoś się przy tym upierał, wzywano przebywających na terenie akademików przedstawicieli władz wydziałów. Nie stosowano jednak siły, lecz jedynie perswadowano i straszono „nieobliczalnymi konsekwencjami”.

Nie przeszkodziło to wszakże większości mieszkańców akademików w wyjściu do miasta. Część z nich wzięła udział w nieudanym wiecu i późniejszym pochodzie, część była w tłumie naciskającym na gmach KW „indywidualnie”. W akademikach pozostali nieliczni, zapewne zastraszeni gwałtownością wydarzeń i ostrzeżeniami blokujących wyjścia. Ci właśnie ludzie urobili potoczną opinię o postawie studentów, gdy — oględnie mówiąc — raczej anemicznie zareagowali na powtórne pojawienie się grupki robotników z pozbawionym napędem radiowozem. Przyjecha-

li oni do domu studenckiego „Szesnastka” (wówczas „DS 16”). Ich celem było opanowanie radiowęzła Studenckiej Agencji Radiowej (SAR) i zmobilizowanie studentów. Motywem — szukanie ludzi, którzy umieliby pokierować niezorganizowanym — przynajmniej tak to wyglądało z ich perspektywy, z perspektywy ulicy (zorganizowane akcje miały miejsce w zakładach pracy, to co się działo na ulicach było spontaniczne, żywiołowe) — bunt. Były to poszukiwania daremne bo, jak wiemy, takich ludzi wśród studentów nie było. Zresztą i opanowanie SAR-u okazało się niemożliwe. Jego lokal został, przynajmniej tak informowali studenci, obsadzony przez oddział milicyjny, gotów raczej zdemolować urządzenia niż pozwolić z nich skorzystać.

Kiedy grupka robotników wobec fiaska swojej misji opuszczając akademik okazało się, że korzystając z zamieszania ktoś włął do zbiornika radiowozu paliwo i uprowadził go. W efekcie zebrani rozeszli się.

Opisane wydarzenia były, w zasadzie, ostatnią okazją do zbiorowego wystąpienia studentów. Później zajęcia na uczelniach zostały odwołane, uczelnie pozamykane, a młodzież akademicka po prostu wtopiła się w ludność Trójmiasta i przestała istnieć jako odrębna grupa.

Jedynymi większymi, choć izolowanymi od siebie skupiskami studentów zostały akademiki, zresztą częściowo wyludnione wskutek nacisków na wcześniejsze wyjazdy na Święta, a ostatecznie wypróżnione (bodajże w piątek 18 grudnia).

Obraz wydarzeń trójmiejskiego Grudnia oglądany z zewnątrz (właśnie „z ulicy”) przerażać mógł swoją bezradną, niezorganizowaną, bezkształtną, niszczycielską żywiołowością. Zapewne zupełnie inaczej wyglądał on „od wewnątrz”, z perspektywy strajkującego zakładu pracy, gdy w tym żywiole widziało się pewien ład. Jednak u studentów nad refleksjami górowały emocje. Również to rzutowało na ich reakcje.

Z taką właśnie mocno emocjonalną wersją przebiegu wypadków, jakie miały miejsce 17 grudnia rano w Gdyni, zjawił się w „Szesnastce” mieszkający w Gdyni absolwent PG, brat jednego z jej mieszkańców. Na zwołanym pospiesznie zebraniu relacjonował, jak wraz ze zdesperowanym w swym bezsilnym gniewie tłumem miotał się — miejscami pod kulami — po śródmieściu Gdyni, od budynku MRN przy ul. Człogistów do przystanku kolejki Gdynia-Stocznia.

Zebranie mieszkańców — pomimo przeciwdziałania obecnych w akademiku przedstawicieli władz wydziału i partyjnych aktywistów studenckich — podjęło uchwałę potępiającą zbrodnicze, jak to określono, poczynania władz i postanowiło, że w geście solidarności z robotnikami na akademiku zostanie powie-

szona biało-czerwona chorągiew z kirem, a także że wszyscy nałożą opaski żałobne. Chorągiew wywieszono, jednak wisiała ona dość krótko (kilka godzin) — nad ranem zdjęli ją ci sami studenci aktywiści partyjni przy dość biernej postawie, nielicznych już wtedy, pozostałych mieszkańców. Jakiś czas noszono — jak mi wiadomo — opaski i żałobne tasiemki w klapach.

W Grudniu nie tyle studenci „odcięli się” od robotników, ile wydarzenia grudniowe przerosły gdańskie środowisko akademickie. Teza o „odcięciu” powstała poza Gdańskiem, bazować musiała na zupełnie innych nastrojach, a być może została postawiona celowo, w intencjach manipulacyjnych.

Również w okresie późniejszym, w styczniu 1971 roku, studenci nie pozostali bierni wobec rozgrywających się w kraju wydarzeń. W tej samej „Szesnastce” (nie mam, niestety, informacji o innych środowiskach) 16 stycznia 1971 odbyło się otwarte zebranie Rady Wydziałowej Zrzeszenia Studentów Polskich Wydziału Elektrycznego i Rady Samorządu domu studenckiego „DS 16”.

Zebranie to podjęło uchwałę. Oto jej tekst:

UCHWAŁA PODJĘTA PRZEZ STUDENTÓW WYDZIAŁU ELEKTRYCZNEGO POLITECHNIKI GDAŃSKIEJ NA OTWARTYM ZEBRANIU RADY WYDZIAŁOWEJ ZRZE- SZENIA STUDENTÓW POLSKICH I RADY SAMORZĄ- DU DS 16 W DNIU 16.01.1971

Świadomi tragizmu wydarzeń, które w miesiącu grudniu wstrząsnęły społeczeństwem naszego kraju, włączamy się w nurt ogólnopolskiej dyskusji poprzedzającej VIII Plenum KC PZPR. Nie mając prawa niczego utracić z doświadczeń, które w ostatnich latach dwukrotnie stały się naszym udziałem, czując się współodpowiedzialnymi za przyszłość naszego narodu, biorąc pod uwagę prawidłowość funkcjonowania wszystkich form i struktur demokracji socjalistycznej, w oparciu o określony poziom świadomości społecznej postulujemy co następuje:

1. Przywrócenie właściwej rangi Sejmowi PRL jako najwyższej władzy ustawodawczej.
2. Gruntowną zmianę ordynacji wyborczej do Sejmu i rad narodowych.
3. Faktyczne rozgraniczenie kompetencji władz partyjnych i administracyjnych.

4. Uczynienie ze środków masowego przekazu źródła rzeczowej i rzetelnej informacji oraz płaszczyzny twórczej dyskusji odzwierciedlającej rzeczywiste nastroje społeczeństwa.

5. Powołanie na kierownicze stanowiska w gospodarce narodowej najlepszych fachowców, bez względu na przynależność organizacyjną.

6. Uczynienie związków zawodowych faktycznym reprezentantem interesów ogółu ludzi pracy.

Jednocześnie, przechodząc do spraw nurtujących bezpośrednio nasze środowisko, uważamy za wskazane postulować:

1. Wybieralność władz uczelni przy współdziałaniu organizacji młodzieżowych.

2. Rozliczanie pracowników administracyjnych uczelni z ich obowiązków wobec studentów również przez organizacje młodzieżowe.

3. Szerokie omówienie na najbliższej sesji Uczelnianego Parlamentu ZSP PG postawy młodzieży studenckiej, organizacji młodzieżowych oraz władz Uczelni w okresie Wydarzeń Grudniowych i obecnie.

Formułując powyższe postulaty kierowaliśmy się troską o sprawę zasadniczą. Myślimy, że nie pozostaną one niezauważone i staną się przyczynkiem do odnowy życia politycznego i społecznego w naszym kraju i środowisku.

*Otwarte Zebranie Rady Wydziałowej ZSP
Wydziału Elektrycznego Politechniki
Gdańskiej i Rady Samorządu DS 16*

Powyższy, napisany specyficznym językiem tamtych czasów, dokument — w intencji jego autorów — miał być kontynuacją rezolucji „marcowych”. Właśnie wtedy odczytywane wydawały się nam one tak naiwnymi. Nie przypuszczaliśmy, że tak samo — z perspektywy lat — będzie wyglądać i nasza uchwała.

Pozostała ona jednak jako dowód studenckiego zaangażowania w prowadzoną wtedy przez ludzi pracy walkę. Zaangażowania takiego, na jakie było ówczesnych gdańskich studentów stać. Nie dorosli oni ani intelektualnie, ani politycznie do wydarzeń, których stali się świadkami i uczestnikami. Bezzasadne i krzywdzące jest jednak oskarżanie ich o dystansowanie się od tych wydarzeń.

Gdańsk, styczeń 1992

Tadeusz St. PIOTROWSKI

DOKUMENTY

Grzegorz MAZUR

RAPORT JERZEGO RUTKOWSKIEGO

Autor tego dokumentu, Jerzy Rutkowski, urodził się 23 IV 1914 r. w Kijowie, jako syn Stanisława i Wandy z Górskich. Ukończył gimnazjum w Chełmie Lubelskim w 1932 r., następnie studiował prawo na Uniwersytecie Warszawskim. Rozpoczął wtedy działalność polityczną w Obozie Wielkiej Polski, a następnie w Obozie Narodowo-Radykalnym w Warszawie, ale w 1935 r. odszedł od niej i po wygraniu konkursu został redaktorem technicznym i organizatorem nowoczesnej poligrafii *Małego Dziennika*, wydawanego przez zakonników w Niepokalanowie. W latach 1937-1938 był współorganizatorem i jednym z kierowników Związku Młodej Polski, potem powrócił do pracy zawodowej redaktora technicznego. Znany był jako młody, skrajnie prawicowy polityk. W czasie kampanii wrześniowej 1939 r. był dowódcą plutonu w 13 DP; dostał się do niewoli niemieckiej pod Tomaszowem Lubelskim, z której zbiegł w Przeworsku. Na przełomie lutego i marca 1940 r. za pośrednictwem ówczesnego szefa Biura Informacji i Propagandy (BIP) KG AK, mjr. T. Kruk-Strzeleckiego, zaproponował komendantowi ZWZ-AK Stefanowi Roweckiemu stworzenie podziemnego aparatu poligraficznego. Od marca 1940 r. szef Tajnych Wojskowych Zakładów Wydawniczych (TWZW) BIP-u KG ZWZ-AK; jego zasługą była ich rozbudowa do rozmiarów największego w okupowanej Europie podziemnego koncernu wydawniczego, wydającego z imponującą regularnością prasę, ulotki i inne wydawnictwa ZWZ-AK w nakładach dziesiątków tysięcy egzemplarzy. Rozkazem z 1 VIII 1941

mianowany ppor. czasu wojny, w 1943 r. awansował do stopnia por. rezerwy. W czasie wojny działalności politycznej w ogóle nie prowadził. Od 19IV do 9VI 1944 r. więziony przez Gestapo, dzięki odpowiedniemu mistyfikowaniu swej pozycji i łudzeniu Niemców możliwością dokonania antykomunistycznego przewrotu w podziemiu doprowadził do pozorowanej ucieczki, która stała się rzeczywistością. Kierował następnie drukarstwem AK w Powstaniu Warszawskim, 5 VIII 1944 r. mianowany przez Delegaturę Rządu „komisarzem dla spraw drukarskich na m.st. Warszawę”. Po kapitulacji Powstania przebywał w oflagach Lamsdorf, Gross-Born i Sandbostel. W sierpniu 1945 r. powrócił do kraju i podjął pracę w Polskim Czerwonym Krzyżu, m.in. jako jego pełnomocnik do odbioru dostaw zagranicznych i kierownik Wydziału Finansowego w Zarządzie Głównym. W 1953 r. na propozycję B. Piaseckiego zorganizował i objął kierownictwo Centrali Przemysłowo-Handlowej «INCO», którą stopniowo przekształcił w jedyny w swoim rodzaju koncern o nazwie Zjednoczone Zespoły Gospodarcze (ZZG) PAX, od 1980 r. będąc prezesem ich Rady Nadzorczej. Z racji swojej działalności gospodarczej był także członkiem władz Stowarzyszenia PAX. Stanowiska te wykorzystywał do opieki nad byłymi żołnierzami AK. Od 1981 r. na emeryturze. J. Rutkowski odznaczony był m.in.: *Virtuti Militari* 5 klasy (1944), Krzyżem Walecznych (1941), Orderem Odrodzenia Polski 3 klasy (1979) i Krzyżem Armii Krajowej. Zmarł w Warszawie 18 XII 1989 r.¹

Prezentowany dokument jest raportem J. Rutkowskiego złożonym władzom podziemnym po ucieczce. Siedząc w konspiracyjnym mieszkaniu pod nadzorem kontrwywiadu AK, relacjonował on szczegółowo przebieg wydarzeń; maszynistka spisywała to, po czym maszynopis był przekazywany na bieżąco zwierzchnikom J. Rutkowskiego. Raport obrazuje zarówno w pewnym stopniu stan organizacyjny i wydarzenia w TWZW w 1944 r.², jak i wiedzę Niemców na temat polskiego podziemia. Z drugiej strony ukazuje on niemieckie starania z tego okresu dojścia do porozumienia z polskim podziemiem na bazie sojuszu antysowieckiego. Były one podejmowane na różnych szczeblach i w różnych regionach Polski pod groźą nadciągającej nieuchronnie klęski wojennej III Rzeszy. Ślad tych niemieckich usiłowań znajdujemy w wielu dokumentach AK z pierwszej połowy 1944 r.; zarazem z przyczyn zasadniczych były one odrzucane przez dowództwo AK. Te właśnie niemieckie pragnienia wykorzystał

1. G. Mazur, *Biuro Informacji i Propagandy SZP-ZWZ-AK 1939-1945*, W-wa 1987, s. 392-393; tegoż: *Śp. Jerzy Rutkowski (1914-1989)*, Kierunki, 1990, nr 4.

2. Obszernie o TWZW, jak i całym BIP-ie piszę w książce: *Biuro Informacji i Propagandy*, tamże dalsza literatura.

J. Rutkowski w swojej grze o uwolnienie z więzienia³. Czytając ten dokument, trzeba stale pamiętać, że cytowane przez autora jego zeznania przed Gestapo miały za zadanie dezinformować i odciągnąć uwagę Gestapo od drukarni. Raport wymaga więc konfrontacji z innymi źródłami i publikacjami. Natomiast taki sposób postępowania Niemców w stosunku do schwytanego żołnierza podziemia był możliwy tylko w 1944 r.

Dokument ten przechowywany był przez Jerzego Rutkowskiego; za udostępnienie i wyrażenie zgody na publikację dziękuję Pani Mec. Jadwidze Rutkowskiej, jego żonie. Został on przeze mnie opatrzony niezbędnymi przypisami.

Grzegorz MAZUR

RAPORT

Przedstawiam początek relacji zbiegłego Kmity z prośbą o zniszczenie. 25. VI. [1944], Rejent⁴.

Dnia 19IV1944 r. kilka minut po godz. 9-ej zostałem aresztowany w mieszkaniu przy ul. Mazowieckiej nr 11, m. 144, gdzie udałem się w drodze na spotkanie z Łukaszem⁵ i Stebem⁶ w celu zapewnienia sobie lokalu na konferencję z Hubertem⁷ i Bolesławem⁸ (wyznaczoną na godz. 11 nast. dnia). Lokal ten był używany do b. zaufanych spotkań. W TWZW znał go tylko Zdzisław⁹, który wiedział, że tam będę.

Aresztowania dokonał — jak ustaliłem później w czasie śledztwa — referat Wydz. polit. Gestapo, urzędujący w pok.

3. *Armia Krajowa w dokumentach 1939-1945*, t. III, Londyn 1976, s. 415, 435, 459, 494. O rozmowach toczonych w Wilnie zob.: Z.S. Siemaszko, *Rozmowy z Wehrmachtem w Wilnie, luty 1944*, *Zeszyty Historyczne* (Paryż), 1984, z. 69, s. 81-121.

4. Odręczna adnotacja — tak jak i wszystkie następne — szefa BIP-u KG AK, płk. dypl. Jana Rzepeckiego na marginesie. „Rejent” — pseudo-nim J. Rzepeckiego, „Kmita” — J. Rutkowskiego.

5. Igor Telechun, zastępca J. Rutkowskiego i szef administracji TWZW.

6. Stefan Berent, kierownik komórki technicznej TWZW, wykonującej wszelkie prace utrzymujące „na chodzie” tajne drukarnie.

7. Aleksander Kamiński, redaktor naczelny *Biuletynu Informacyjnego*, ponadto zaangażowany w wielu innych komórkach podziemia.

8. Bolesław Srocki, redaktor *Wiadomości Polskich*.

9. Jan Sawko, do listopada 1943 r. kierownik drukarni W4, a następnie kierownik „wyrzutów” — wywozu gotowych druków z drukarni.

252 (sygnatura IV-1b); kierował aresztowaniem osobiście kierownik referatu Pautz. Po wkroczeniu całe zainteresowanie skupiło się na mojej osobie. Zdążyłem jedynie wstawić teczkę za szafę. W tezcze, w skrytce posiadałem w trzech dużych kopertach całą podręczną kancelarię, którą wziąłem ze sobą dla przekazania Jance¹⁰ (sekretariat) przy spotkaniu dla spraw meldunkowych z nią o godz. 12. Poza tym miałem w tezcze szereg raportów, komunikatów i korekt druków. Po wylegitymowaniu mnie Pautz oświadczył, że z powodu niewielkiego przeterminowania zaświadczenia pracy z firmy pracującej dla Wehrmachtu zostaje zatrzymany, mimo że prosiłem o sprawdzenie w firmie, że jest to niewielkie niedopatrzenie kancelaryjne. Miałem przy sobie papiery na prawdziwe nazwisko, meldowane fikcyjnie przy ul. Barskiej. Kazano mi się ubrać do wyjścia i przeprowadzono gruntowną rewizję, pod koniec jej odnajdując teczkę ze skrytką i 3 egz. B[iuletynu] Inf[ormacyjnego]. Zachowanie się było ostre, broń w rękę.

Po wyjęciu materiałów ze skrytki w tezcze, której system — jak oświadczyli — był im znany, zażądano ode mnie oficerskiego słowa honoru, że nie będę uciekał, to będę miał wolne ręce. Odmówiłem, wskutek czego skrępowali mi na plecach ręce. Poprosiłem o nierobienie krzywdy właścicielce mieszkania, która z moją działalnością nie miała nic wspólnego. Znalezionych przy mnie materiałów nie oglądano na miejscu, wskazano tylko korektę, mówiąc coś niezrozumiałego. Zabrano osobiste drobiazgi i przeszło 40 tys. zł wraz z pieniędzmi osobistymi, które miałem przy sobie. Samochód został sprowadzony przed dom spod banku, gdzie oczekiwał. W drodze na Al. Szucha oświadczone mi, że jako członek propagandy PZP¹¹ (wobec znal. materiałów potwierdz.) będę widział się z Norkowskim (Stefan), który się cieszy doskonałym zdrowiem tak jak Grot¹² i Dziecioł¹³. Twierdzenia te były bez żadnego związku z lakoniczną rozmową podczas aresztowania (nie znam zupełnie języka niemieckiego). Początkowo, nie orientując się w sprawie, powiedziałem, że nie znam żadnego Norkowskiego (kierownika W8, drukarni zlikwidowanej przez Gestapo 4 XII 1943)¹⁴.

Po przyjeździe na Al. Szucha pozostawiono właścicielkę

10. Maria Rutkowska-Mierzejewska, kierownik sekretariatu TWZW, siostra Jerzego.

11. Jeden z kryptonimów AK.

12. Gen. dyw. Stefan Rowecki.

13. Płk dypl. Marian Drobik, były szef Oddziału II ZWZ-AK, aresztowany w grudniu 1943 r.

14. Kierownikiem W8 był Jerzy Paszyc, ps. „Stefan”; Norkowski to prawdopodobnie jego nazwisko legitymacyjne.

mieszkania p. S. w pok. 252, mnie zaś Pautz zaprowadził do gabinetu Wernera, który rozmawiał ze mną przez tłumaczkę. Zapytał na wstępie, gdzie jest Bór¹⁵. Odpowiedziałem, że nie wiem. Następnie zapytał: „czy wiecie gdzie jest Grot” — odpowiedziałem, że na mieście sądzą, że w Berlinie. Na trzecie pytanie: „czy znał pan Dzieciola?” — oświadczyłem, że osobiście nie, natomiast wiem, kto to jest. W dalszym ciągu Werner stwierdził, że o mnie wiadomo im jest „wszystko”, że kieruję drukarniami w VI Oddziale Sztabu PZP. Następnie zapytał o moją szarżę i przebieg udziału w wojnie 1939 roku. Podałem to ściśle, prosząc, aby badanie mnie przeprowadzał ktoś oznajmiony ze stosunkami politycznymi w Polsce, gdyż przede wszystkim jestem politykiem. W stosunkach z PZP orientuję się słabo, gdyż funkcje moje noszą charakter polityczny, a nie techniczno-wojskowy¹⁶. Werner zapytał z naciskiem, czy gotów jestem mówić prawdę. Oświadczyłem, że o sobie tak, o zwierzchnikach i podwładnych nie. Werner zamknął krótką rozmowę stwierdzeniem, że „sami sobie dadzą radę bez wzywania znawców stosunków politycznych”.

Po odprowadzeniu do pok. 252 odebrano ode mnie dane personalne, wypełniając kartę uwięzienia, było to w obecności p. S. Zapytywano mnie uporczywie, czy mam siostrę, nie pytając o ewentualne rodzeństwo. Zostałem skuty i sprowadzony z ostrożnościami do celi nr 1 w izolacji.

Po przerwie obiadowej o godz. 14-ej tegoż dnia rozpoczęło się badanie. Kierował nim osobiście Werner. Najaktywniejszą osobą był kierownik „działu PZP”, podobno major (szarża polic. jakaś inna), brał w nim udział Pautz ze swoim agentem oraz wielu innych referentów, którzy stale przewijali się przez pokój. Przyniesiono teczkę z wycinkami prasowymi, na czele której znajdował się numer *Merkuriusza Polskiego* z 1938 r., zawierający na tytułowej stronie moją rysunkową podobiznę z artykułem pod nagłówkiem „J.R., któremu wymyśla Polskie Radio”. Porównano podobiznę i zapytano, czy okazane mi wycinki odnoszą się do mnie. Potwierdziłem. Były to przeważnie polemiki i ataki polityczne malujące mnie jako „hitlerowca”, „faszystę”, ONR-owca itp. *Merkuriusz* opisywał moje wystąpienie z OZN¹⁷ wraz z powierzchownym i nieścisłym politycznym *curriculum vitae*. Nie miałem możliwości nawet później przejrzeć ich wszystkich, pamiętałem niektóre z okresu przedwojennego, lecz

15. Dowódca AK, gen. dyw. Tadeusz Komorowski.

16. Oczywiście nieprawda — J. Rutkowski nie prowadził w czasie wojny działalności politycznej, koncentrując się na kierowaniu drukarniami armii podziemnej.

17. Obóz Zjednoczenia Narodowego.

zdaje się, że dobór był wyjątkowo szczęśliwy z punktu widzenia obecnej mojej sytuacji.

Żądano podania adresu mieszkania. Adresu figurującego na kennkarcie podać nie mogłem, podanie zaś rzeczywistego, obawiając się, że fakt mojego aresztowania nie jest jeszcze wystarczająco znany, chciałem opóźnić, obmyślając sposób dalszego postępowania. Zostałem za pomocą automatycznych kajdanków i drągą „związany w kij” i zawieszony głową w dół między dwoma stołami. Przystąpiono do bicia, którym osobiście kierował Werner, trzymający w ręku szpicrutę na zmianę z kierownikiem „działu PZP” (rysopis: b. szczupły, wysoki, silnie szpakowaty brunet, zezowaty, lewe oko ciemnozielone, prawe — blade-niebieskie, na lewym policzku cezura, na szyi pod uchem blizna), nie mówi po polsku (nr 1), który wykazywał specjalną brutalność. Technika bicia polegała na nadawaniu ciału ruchu wahadłowego w czasie którego agent grubym drągami bił rytmicznie pełnym rozmachem w siedzenie i krzyże. Jednocześnie bito szpicrutą po nosie i ustach.

Żądano podania mieszkania na przemian z żądaniem podania miejsca pobytu „Kowalika” „Żencykowskiego”¹⁸ i „Eli”¹⁹. O ostatnich dopytywał się energicznie Nr 1, trzymając w ręku zagraniczny dowód akademicki Kowalika i jakieś papiery z notatkami. Po omdleniu zdjęto mnie na ziemię i ocucono. Oświadczyłem, że z Kowalikiem nie łączą mnie żadne stosunki osobiste, organizacyjne zaś właściwie nie istnieją, gdyż od 3 miesięcy odsunąłem się od pracy w BIP-ie, poświęcając czas życiu prywatnemu i obserwowaniu rozwoju wewnętrznej sytuacji politycznej, dla mnie niekorzystnej. O stosunkach Kowalika ze mną świadczy fakt, że jest autorem wymyślań, o których pisze *Mercuriusz*, są więc na błędnej drodze, posądzając mnie o znajomość bliższą spraw tyczących Kowalika. Panią Elę raz czy dwa razy widziałem dawniej i nic bliższego o niej nie wiem²⁰.

Powrócono znowu do mieszkania. Rozpoczęła się druga seria bicia, po której — po ocuceniu — widząc, że Pautz przerzuca stos papierów znalezionych przy mnie, na spodzie którego wystaje formularz meldunkowy, który mi był potrzebny na godz. 12 — powiedziałem, że mieszkam przy ul. Okólnik 11 A,

18. „Kowalik” — pseudonim Tadeusza Żencykowskiego, jednej z czołowych postaci BIP-u KG AK, stojącego na czele podwydziałów (bądź wydziałów) „N”, „Rój” i „Antyk”.

19. Irena Rzepecka, żona i łączniczka szefa BIP-u KG.

20. J. Rutkowski mówił Niemcom nieprawdę, choć bowiem on i T. Żencykowski wywodzili się z dwóch różnych nurtów politycznych, to do ostatnich godzin przed jego aresztowaniem ściśle ze sobą współpracowali jako żołnierze BIP-u.

m. 93 pod nazwiskiem Roman Jerzy Janowicz. Po zapytaniu o skrytkę oświadczyłem, że nie mam żadnej (zgodnie z prawdą) natomiast wszystko, co mam w domu, ukryte jest pod starymi papierami w rogu pawlacza (w pawlaczu nic nie było, 180.000 zł., które miałem w domu ukryte były wśród książek, leżących w stosach na podłodze). Rozpoczęły się pytania o zwierzchników, na które odpowiedziałem, że nic bliższego nie mogę o nich powiedzieć ze względu na system panujący w konspiracji i na ogół niechętny polityczny stosunek do mnie.

Nastąpiła trzecia seria bicia, często przerywana ze względu na mój zły stan fizyczny. Z pytań o zwierzchników zrezygnowano, przechodząc na podwładnych. Oświadczyłem, że łączność z podwładnymi miałem przez swą łączniczkę Ewę²¹, która pracowała ze mną codziennie przed południem w mieszkaniu na Okólniku i że dziś również oczekiwała mnie tam o godz. 9.30. Miała własne klucze, prawdopodobnie nie doczekawszy się mnie zaalarmowała wszystkich, zabierając kancelarię i wszystkie papiery archiwalne, jakie miałem rzekomo w domu w pawlaczu. Niezwłocznie część agentów wypełniających pokój została odkomenderowana na miasto. Była godz. w przybliżeniu 17-ta. Wyjechał z nimi Pautz i jego pomocnik (nr 2 — rysopis: wzrost średni, jasny blondyn, twarz czerwona okrągła, oczy jasne — wypukła, mówi po polsku z obcym akcentem). Reszta z Wernerem i Nr 1 domagała się nazwisk współpracowników, a zwłaszcza zastępcy w trakcie bicia; oświadczyłem, że mam dwóch zastępców, których nazwisk prawdziwych nie znam, gdyż są mi narzuceni przez moich przeciwników politycznych w BIP-ie, i którzy są faktycznymi kierownikami technicznej pracy, odgrywając przy tym rolę moich politycznych aniołów-stróżów²². Znam natomiast nazwiska 2-ch współpracowników, które po nowej serii uderzeń, wzdragając się mocno i zapewniając, że są to b. poczciwi ludzie, „wysypałem” jako Zygmunta Janikowskiego i Adama Bolesława Rudnickiego (fikcja). Policyjnych nazwisk, powiedziałem, że zgodnie z zasadami panującymi w poważnej pracy — nie znam. Tajemnica miejsca zamieszkania i nazwiska policyjnego jest surową regułą w górze konspiracji.

Na tym badanie zakończono, prawdopodobnie z powodu późnej pory i niezbadania wielkiej ilości materiału znalezionej przy mnie. Poza tym byłem już ledwo przytomny. O drukarnie w ogóle nie pytano. W czasie badania przybiegało wielu referentów, wtykając Nr 1 różne kartki, których większości nie wykorzystywał. Zmyto mi krew, skuto i odstawiono na dół do celi.

21. Helena Górską.

22. Informacje o zastępcach nieprawdziwe.

Następnego dnia (czwartek, 20IV) w południe zostałem sprowadzony na górę, gdzie zadano mi kilka pytań. Wmawiano mi uporczywie, abym się przyznał do znajomości jęz. niemieckiego, gdyż w kennkarcie Janowicza, którą miałem w domu, jako miejsce urodzenia figuruje Poznań. Stwierdziłem, że Poznań został przeze mnie wybrany na wypadek potrzeby ucieczki przed Bolszewikami, która mnie w każdej sytuacji oczekuje.

Badania te i następne odbywały się bardzo powoli, gdyż agenci z przełożonym omawiali zawsze pytania po niemiecku, które tłumaczący (Nr 2) przekładał mi na polski. Ze znanych mi słów i zdań niemieckich oraz z nazwisk i terminów technicznych zawsze wiedziałem w przybliżeniu, o co mnie zapytają, mając czas do namysłu.

Przeprowadzono mnie do innego pokoju, położonego w przeciwnej stronie korytarza na prawo wskos, gdzie urzędował kierownik referatu (Nr 3) — rysopis: blondyn, włosy falujące zaczesane do góry, wzrost średni, b. elegancki, złote zęby, wiek średni, nie zna polskiego (oraz jego pomocnicy: nr 4 i nr 5) Nr 4 — rysopis: niski, krępy, twarz okrągła, brunet, włosy krótko ostrzyżone, oczy czarne, niezdrowa cera, ubrany niestarannie, prosto, mówi dobrze po polsku, orientuje się w stosunkach politycznych polskich. Nr 5 — rysopis: wysoki, b. szczupły, szatyn, w okularach, o wyglądzie paniczyka, mówiący świetnie po polsku. Nr 4 walił mnie ubiegłego dnia drągiem (później stwierdził mi, że siedział 8 lat we Wronkach). Nr 5 dokonywał tłumaczeń materiału znalezionego przy mnie i zwracał się stale do mnie o wyjaśnienia w tej sprawie.

Zapytano mnie, czy Ewa miała wszystkie klucze do mego mieszkania; stwierdziłem, że nie miała klucza od korytarza. Oświadczyli, że Ewa była wczoraj, mówiła, że jest siostrą, zabrała wszystko. Dlatego zdaniem ich nic nie znaleziono, natomiast ją ujęto. Ponieważ Ewa nie miała kluczy i w ogóle nie знаła mieszkania, sądziłem, że albo kłamią, albo ujęto kogoś z mej rodziny. Z dalszego ich postępowania doszedłem do wniosku, że kłamią. Znacznie później w nieoficjalnej rozmowie stwierdzono mi, że Ewa wyniosła większość moich rzeczy osobistych. Przyznałem wtedy, że miałem w mieszkaniu pieniądze, przesadzając sumę — oświadczyli, że w ogóle nic w mieszkaniu nie znaleziono.

Z kolei referent zapytał mnie, jakby od niechcienia, dlaczego w drukarni przy ul. Morszyńskiej 35 nie ma w ogóle nikogo. Nie będąc na to przygotowany, odpowiedziałem, że nic nie wiem. Odpowiedzieli, że jestem łgarz, gdyż jestem tam meldowany, a prawdopodobnie i mieszkam pod nazwiskiem Zakrzewski (poprzedniego dnia wśród chaotycznych pytań rzucono mi

pytanie, czy znam Michała Zakrzewskiego. Odpowiedź, że nie — potraktowano z wesołością, nie podtrzymując tego tematu). Zorientowałem się, że znają drukarnię, a nawet sądziłem, że mnie ujęto *via* poszukiwane od 3 lat nazwisko „Zakrzewski” i drukarnię W1. Powiedziałem wówczas, że domyślam się, o jaką drukarnię chodzi i być może, że ludzie są w środku (wiedziałem, że drukarnia jest nieczynna). Na temat ten nie zadawano mi dalszych pytań.

W dalszym ciągu nr 5 pokazał mi kilka kartek znalezionych przy mnie, pytając o ich znaczenie. Oświadczyłem, że korespondencji i większości materiału posiadanego przy sobie nie znam, gdyż odsunąwszy się od pracy przez ostatnie 3 mies., zdałem załatwianie korespondencji na Ewę, która odkładała mi zaległe rzeczy. Miałem je przy sobie, gdyż chciałem je wreszcie w wolnej chwili przejrzeć. Sprawy techniczne nigdy nie interesowały mnie i traktowałem to jako nieuniknioną konieczność. Pokazano mi kartkę z adresem na dostawę jednego z pism, przysłaną przez Bieleckiego, nieszyfrowaną (cyferki na odwrocie). Wyjaśniłem, że tyle wiem, ile wynika z kartki, bo widzę ją po raz pierwszy. Następnie przedstawiono mi kartkę z licznymi hasłami i imionami z wymienioną ulicą Bagno bez cyfr, na dostawę maszynki dla SOS²³. Dopytywano się energicznie o jakiegoś Henryka. Wyjaśniłem analogicznie. Później dano mi kartkę z prawdziwymi danymi personalnymi Olka z W1²⁴ (dostarczona przez Karola²⁵ dla wystawienia zaświadczenia pracy). Objąsniłem, że nazwisko nic mi nie mówi i sądzę, że musiała być do tego przypięta jakaś kartka z objaśnieniem. Z kolei pokazano mi kawałek bibułki z adresem Kubowej²⁶, dla wysyłania jej zasiłków. Wyjaśniłem, że jest to żona mechanika rozstrzelanego w grudniu, która nic nie ma wspólnego z pracą konspiracyjną, prawdopodobnie nic o niej nie wie i chodziło o zapewnienie jej pomocy ze strony instytucji dobroczynnej, zapewne poza jej wiedzą.

Następną kartką była kartka z zanotowanym numerem samochodu, firmą Tuszyński, która go posiada i charakterystyką techniczną wozu. Objąsniłem, że w swoim czasie poszukiwano samochodu w komórce technicznej i jest to niewątpliwie jedna z licznych notatek, istniejących w Warszawie samochodów na sprzedaż. Później pokazano mi kartkę z notesu z adresami pry-

23. W TWZW produkowano małe przenośne maszyny drukarskie własnej konstrukcji, chodzi o jedną z nich, przeznaczoną dla Społecznej Organizacji Samoobrony (SOS).

24. Drukarz Waclaw Perzyna.

25. Czesław Korwin-Piotrowski, kierownik W1.

26. Chodzi o wdowę po drukarzu Antonim Woińskim, ps. „Kuba”, aresztowanym 4 XII i rozstrzelanym w publicznej egzekucji 23 XII 1943 r.

watnymi (źródła zakupów). Wytłumaczyłem je zgodnie z ich istotnym znaczeniem.

Wszystkie okazywane mi kartki stanowiły znikomą część materiału znalezionego przy mnie; sądzę, że pokazywano mi te, w których figurowały jakieś adresy.

W pewnym momencie wszedł do pokoju nr 2 i poszeptawszy z nr 3 zapytał mnie nagle z naciskiem „kiedy zostanie uruchomiona drukarnia przy ul. Odolańskiej”. Początkowo powiedziałem, że nigdy, lecz natychmiast obawiając się, że drukarnia ta może być w przyszłości uruchomiona, powiedziałem, że już od tygodnia miała pracować²⁷.

Wypytywano mnie nadal o te same adresy znalezione przy mnie. W trakcie tego wszedł do pokoju agent nr 6 (rysopis: blondyn, twarz czerwonawa o nieregularnych rysach, wytrzeszczone niebieskie oczy, średniego wzrostu, ubrany stale w jasne spodnie i niebieską marynarkę, mówi z trudem po polsku z obcym akcentem; twierdził później, że nauczył się polskiego w czasie wojny), którego znałem dobrze z widzenia (oświadczył później, że widywał mnie nieraz) i poczekawszy do końca pytań, pokazał mi paczkę fotografii zapytując, co to za drukarnia. Zdetonowałem się poważnie, gdyż były to fotografie W2, wykonane na przełomie 1942-43 roku w czasie demontażu drukarni, która w kilka miesięcy później po wygaśnięciu zagrożenia i odzyskaniu obiektu została powtórnie zmontowana w znacznie większych rozmiarach, pracując do końca. Fotografie wykonywali obcy fotografowie, sprowadzeni przez Stefana (Norkowskiego) — ówczesnego kierownika tego warsztatu, który twierdził, że są poleceni z bardzo pewnego źródła, co było zresztą rzeczą drugorzędną wobec likwidacji warsztatu. Rolka filmu znajdowała się i jest nadal w jednym z moich archiwów poza możliwością wpadki; jeden komplet zdjęć miał Stefan, z powodu aresztowania którego nie wpadł żaden lokal, drugi komplet miałem ja przez krótki okres czasu, i który został przez Jankę zniszczony, część trzeciego kompletu — bez szczegółów dekonspirujących — została przekazana do wysłania do Londynu²⁸.

Nie mogłem pojąć, skąd pełny komplet znajduje się w posiadaniu Gestapo; sądziłem przez dłuższy czas, że Janka nie zniszczyła kompletu i ktoś — np. rodzina — wraz z nim został aresztowany.

Z trudem opanowawszy się, wyjaśniłem, że jest to warsztat nr 2 od dawna nieczynny, a zdjęcia te zostały wykonane w

27. Drukarnia ta, traktowana jako rezerwowa, nigdy nie została uruchomiona.

28. J. Paszyc, ps. „Stefan”, aresztowany został 4 XII 1943 r.

okresie końca budowy dla kontroli ilości wydanych pieniędzy, gdyż koszta wydawały mi się nadmierne. Nie znając rzekomo tej drukarni osobiście z powodu tajemnicy miejsca, nie miałem możliwości innego skontrolowania wydatków²⁹. Wyraziłem zdumienie, że posiadają fotografie, których wszystkie komplety po wykorzystaniu dla kontroli zostały zniszczone. Pytanie to i wyraźne moje zmieszanie napęłniły widocznym zadowoleniem przesłuchujących, a nr 6 powiedział, że zdjęcia te mają od dłuższego czasu, zapytując, co sędzę o sposobie ich zdobycia. Powiedziałem, że nie mogę się domyślić — może przez fotografów. Zdjęcia przedstawiały zdjęcie drukarni oraz efektowne podziemia niewykończonego domu, w których drukarnia się mieściła. Na 2 zdjęciach figurował w rogu Stefan i fotograf od tyłu. Zapytano mnie kto to jest. Wyjaśniłem, że jeden z nich jest to Norkowski co agenci potwierdzili, a drugim jest zapewne jeden z pracowników, których jednak nie znam.

Nie uwierzono mi, że nie znam drukarni i pracowników i uporczywie domagano się powiedzenia prawdy. Zapewniłem ich, że wszystkie „nieprawdopodobieństwa” wyjaśnię, gdy dopuszczą mnie wreszcie do głosu, nie stosując na mnie metod jak do smarkacza, gdy sami twierdzą, że jestem „grubą rybą”.

W czasie przesłuchania czułem się b. źle, nie mogłem siedzieć tylko stać oparty, podawano mi ciągle wodę i papierosy. Przesłuchanie odbywało się niesłychanie chaotycznie, zaskakiwano mnie nieustannie rozmaitymi pytaniami z różnych dziedzin, nieraz zupełnie dziwnymi (np. „ilu Niemców zastrzeliłem” itp.), podawano wiele fałszywych informacji (np. „Ewa jest aresztowana, wszystko nam powiedziała”, „p. S. jest zwolniona”, „Komorowskiego (Bora) już mamy, jutro go aresztujemy” itp.) przerywano ciągłymi pogroźkami, zapewnieniami, że „nie chodzi im o pionki”, straszono użyciem zastrzyków „Novoskopolaminy”, po której „człowiek mówi wszystko z podświadomości, mimo że nie stosują jej szeroko, gdyż jest to prawnie zakazane”. W tym ostatnim wypadku poprosiłem o jej zastosowanie, gdyż nie będę miał wyrzutów sumienia, że przeze mnie mogą wpaść ludzie, a poza tym przekonają się, że mówię prawdę (zawsze byłem pewien, że jest to niezdarny chwyt).

Zostałem sprowadzony z powrotem do celi i skuty (skuty byłem przez 5 dni, przez dwa pierwsze wachman kontrolował co pewien czas, czy nie zamierzam popełnić samobójstwa).

Podczas pobytu w celi podjąłem pierwsze próby systematycznego obmyślenia planu postępowania w przeciwstawieniu do odruhowego dotychczas działania.

29. Oczywiście zaserwowanie Niemcom nieprawdy.

Trzeba było uwzględnić wiele okoliczności:

1. Nieprzepracowany dotychczas przez Gestapo, a posiadany materiał, znaleziony, niestety, przy mnie, którego w całości nie pamiętałem. Zawiera on w każdym razie: a) kopertę z *ostatnim materiałem rachunkowym*; pełny budżet, będący jednocześnie wykazem personalnym z podziałem na komórki, w tym charakter niektórych był objaśniony lub wynikał z treści; *rozliczenia drobiazgowo* z ub. miesiąca, z których charakter poszczególnych komórek i warsztatów wynikał bezspornie, różne drobiazgowo rozliczenia fragmentaryczne za papier itp. składane przez moich współpracowników i notes z odręcznymi pozycjami finansowymi; b) *dwie koperty z korespondencją i luźnymi notatkami*, będące w trakcie załatwiania, bądź zaległą, której najstarsze listy mogły być datowane nawet przed 3-ma miesiącami, w części zaopatrzone moimi odręcznymi adnotacjami, a częściowo (korespondencja do wysłania) pisane moją ręką; c) nieprzeczytane jeszcze lub przeznaczone do przekazania w dół raporty i zestawienia informacyjne, z których wiedziałem, że jest ostatnia *I.B.*³⁰, komunikat *k*³¹ i *Informacja Narodowościowa*³² (wśród chaotycznych pytań, pytano, kto dostarczył wiadomość, zawartą w *I.B.*, że Hahn jest na urlopie, a zastępuje go Stamm i Werner); d) kilka egzemplarzy prasy i korekt z poprawkami odręcznymi³³.

2. że z materiału ujętego przy mnie wynika wyraźnie zakres mojej pracy technicznej i kontaktów organizacyjnych, natomiast nie wynika technika i metoda samej pracy;

3. że zostałem bezspornie zasypany, prawdopodobnie wraz z drukarniami, co najmniej z tymi o które mnie pytano i być może wraz z innymi ludźmi;

4. że nie wolno nie tylko wskazać ludzi i obiektów, ale nawet ułatwić ich ujęcia, co mimo woli mogłoby się zdarzyć w razie dalszych zaskakujących a prawdopodobnie coraz drobiazgowszych i bardziej trafnych pytań (zaplątanie się). O TWZW wiedziałem, oczywiście, wszystko łącznie z adresami prywatnymi współpracowników, o Komendzie prawie nic, o BIP-ie dużo;

5. że odmówienie absolutne zeznań pociągnie za sobą dalsze potęgujące się tortury (liczne zapowiedzi, strzeżenie przed

30. *Informacja Bieżąca*, przygotowywana przez Wydział Informacji BIP-u KG AK dla poszczególnych komórek KG AK.

31. Okresowy komunikat obrazujący sytuację w polskim ruchu komunistycznym, opracowywany przez ten sam Wydział.

32. Również periodyczna informacja, przygotowywana przez ten sam Wydział.

33. Na marginesie tej części dokumentu odręczna adnotacja: „zrobić odpis”.

samobójstwem, traktowanie mnie jako potencjalnej kopalni wiadomości itp.);

6. dotychczasowe moje odruchowe wyjaśnienia, które muszą pasować do dalszych zeznań;

7. że materiał tyczący się mojej przedwojennej działalności politycznej, posiadany przez Gestapo, a malujący moją sylwetkę polityczną złośliwie jednostronnie, daje mi b. duże możliwości wykorzystania go.

Po rozważeniu mniej więcej w ten sposób całokształtu sytuacji postanowiłem próbować przerzucić istotę moich zainteresowań techniczno-wydawniczych i zrobić z siebie człowieka li tylko tolerowanego w PZP ze względów politycznych. Nie orientując się w zakresie towarzyszącej mi wpadki, postanowiłem w miarę możliwości wyjaśniać wszystko bardzo plastycznie, aby nie być zaskoczonym drobiazgami, a w razie groźby całkowitego obalenia moich zeznań bądź całkowitej w nie niewiary mieć przynajmniej sytuację osobistą, umożliwiającą samobójstwo (rozkućcie, brak stałego dozoru, możliwość powieszenia się na szelkach, przecięcia żył szkłem itp).

W piątek (21 IV) o późnej godzinie przedpołudniowej zaprowadzono mnie do badania. Wchodząc do pokoju 252, zobaczyłem szereg przedmiotów doskonale mi znanych, pochodzących z drukarni W1 (były to stosy druków, zdemontowane aparaty radiowe, broń). Prowadzący mnie na górę nr 2 oświadczył, że likwidują wszystkie moje drukarnie. Poznałem go już na tyle, że mu nie wierzyłem. Na stole z boku leżał materiał, znaleziony przy mnie, posegregowany w kupki, z poprzipinanymi kartkami.

Niezwłocznie po wprowadzeniu mnie zjawił się nr 5 i położył przede mną długą listę, zawierającą kilkadziesiąt (ostatnia cyfra porządkowa sześćdziesiąt kilka) nazwisk, telefonów i adresów. Nr 5 stwierdził, że są to adresy znalezione przy mnie i muszę objaśnić ich charakter, w przeciwnym razie wymuszają to ode mnie każdym kosztem. Spostrzegłszy, że niemal wszystkie adresy są mi nieznane, powiedziałem, że będę mówić prawdę. Na wstępie było kilka adresów, o które pytano mnie już ub. dnia, wyjaśniłem je raz jeszcze w sposób identyczny. Przy dalszych adresach żądałem pokazania mi, skąd je czerpią, gdyż nie znam ich, a być może, że sobie przypomnę. Pokazano mi kartkę podpisaną „Leszcz 77”, zawiadamiającą, że obiekt po zlikwidowanej drukarni na Solnej wynajęty został Reichsdeut-schowi Franzowi Markowskiemu. Wyjaśniłem, że była to wiadomość potrzebna mojemu działowi technicznemu dla ewentualnego ocalenia majątku, który w obiekcie się znajdował. Osobę

Fr. Markowskiego mogą sprawdzić, że jest obojętna.

Dalsze nazwisko z listy pokazano mi w dwóch notesikach. Po piśmie i kilku nazwiskach poznałem, że są to notatniki p. S. oczywiście, całkowicie obojętne (adresy handlowe i ściśle prywatne). Stwierdziłem, że adresów tych nie znam i aby zastrzec się przeciw ewentualnemu późniejszemu zarzucaniu kłamstwa uparłem się przy tym bez wyjaśnień. Kierujący przesłuchaniem Pautz i biorący w nim udział nr 2 zagrozili biciem. Doszło do dłuższej burzliwej sceny. Oświadczyłem, że nic nie będę mówił, bo czy się mówi prawdę czy nie — skutek tego jest identyczny i słuszne są w konspiracji przekonania, że mówienie prawdy pociąga za sobą przy dojściu do granicy posiadanych wiadomości niewiarę i represje fizyczne. Dlatego nie będę już nic więcej mówił. Po pewnym czasie „uległem” i prosiłem o pokazanie mi raz jeszcze notesów, po ostentacyjnym starannym obejrzeniu których prosiłem o sprawdzenie, czy nie należą do p. S., bo widzę nazwiska adwokatów, prowadzących jej cywilne sprawy. Pautz wyszedł, i wróciwszy robił jakieś ostre wymówki po niemiecku pozostałym agentom. Stosunek do mnie uległ pewnej zmianie. Motyw ten wygrywałem później niejednokrotnie. Jak się następnego dnia okazało wiele osób z tych adresów było już aresztowanych i później zwolnionych. Szczegółów mi, oczywiście, nie powiedziano, stwierdziwszy ogólnie, że sprawa notesów została całkowicie wyjaśniona.

Następnie zaczęto mi zadawać wiele pytań (b. trafnych) na temat W1, innych drukarni, przełożonych i współpracowników. Pokazano budżet mego wydziału na kwiecień, żądając wyjaśnień. Odmawiałem odpowiedzi dopóki nie dopuszczą mnie swobodnie do głosu, gdyż większość ich pytań jest chyba przez nieporozumienie kierowana pod moim adresem, prawdopodobnie z powodu nieorientowania się ich w mojej sytuacji osobistej w PZP³⁴. Uparłem się przy tym. Pautz wyszedł i powróciwszy, zgodził się, bym mówił od siebie, „nie bujając jednak w obłokach”. W pokoju pozostał nr 2, będący moim technicznym opiekunem (dostawianie na przesłuchanie, pilnowanie w czasie przesłuchań, dyspozycje dla warty w areszcie itp.) oraz pełnił funkcję tłumacza (b. nieudolnego) wobec Pautza, który prowadził śledztwo aż do przeniesienia mnie na Pawiak.

Złożyłem obszernie wyjaśnienia, przerywane licznymi pytaniami. Mówiłem całymi kwestiami, które tłumacz od siebie przekładał Pautzowi. Przesłuchanie wskutek tego odbywało się b. powoli i zajęło pół dnia następnego (w piątek po południu przesłuchania nie było). W trakcie tych badań, podobnie jak w

34. Było to tworzenie kolejnego mitu przez przesłuchiwanego.

dni poprzednie przychodziło wielu referentów z różnymi notatkami w rękę; niektórych Pautz odprowadzał, a niektórym musiałem *da capo* składać wyjaśnienia, dlaczego nie jestem w stanie na ich pytania odpowiadać. Zachodził też Werner, któremu Pautz dawał po niemiecku jakieś wyjaśnienia. Odniosłem wrażenie, że zbierany jest cały materiał z przeszłości, dotyczący się mnie, mojej pracy, a zwłaszcza spraw drukarskich (zadawano np. szereg pytań na temat drukarni wszystkich niemal organizacji politycznych). Później okazało się, że trzy referaty (w pok. 237, 242 i położonym *vis à vis* w którym byłem poprzedniego dnia) zostały przydzielone do pracy nad sprawami drukarskimi. Kierował całością kierownik działu PZP nr 1, zachodzący również często do pokoju 252, w którym byłem przesłuchiwany. Poddawano stale w wątpliwość prawdziwość moich zeznań. Stwierdzałem, że przecież wiem, że mają doskonałe drogi poufne do stwierdzenia ich ścisłości. Nie błagowałbym w tej sytuacji, zwłaszcza, że wszystkie główne fakty zostały już przez nich przymusem „wydobyte”.

Na wstępie długiego wywodu, który streszczam stwierdziłem, że jestem w bardzo trudnej sytuacji, gdyż jestem przesłuchiwany przez policję, która — jak widzę z dotychczasowych przesłuchań — kieruje się tylko względami natury techniczno-śledczej, bagatelizując zagadnienia wewnątrzno-polityczne, które są podstawą do zrozumienia mojej roli w życiu politycznym polskim i w AK. Gdyby sposób prowadzenia śledztwa był inny, nie odmawiałbym nigdy zeznań. Jest rzeczą zrozumiałą, że nie chciałem dopuścić do ujęcia i poddawania torturom moich współpracowników, a zwłaszcza Ewy, do której byłem bardzo przywiązany i uważam ją za bardzo dobrą, uczynną i oddaną mi osobiście dziewczynę. Również większość moich współpracowników należy osobiście do ludzi bardzo ofiarnych i sympatycznych, którzy nie mogą dźwigać na sobie odpowiedzialności za działania nas, przywódców. Jeżeli chodzi o górę PZP to znajomość jej była, siłą rzeczy, ograniczona. Dlatego upierałem się przy zatrzymywaniu w tajemnicy miejsca mojego zamieszkania, będącego jednocześnie miejscem mojej pracy. Ponieważ widzę z ich postępowania, że Ewa uniknęła szczęśliwie aresztowania (miała zwyczaj podawać się na Okólniku za siostrę), a przez to została zniszczona jedyna droga do komunikowania się w dół i w górę przez pocztę, wobec tego mam ręce „rozwiązane”.

Scharakteryzowałem następnie swoją działalność polityczną przed wojną, jako osoby najbardziej skrajnej na prawicy, dla której nawet „Falanga” była zbyt umiarkowana. Stąd powstało moje odosobnienie polityczne i powszechna niechęć do mnie,

którą konstelacja polityczna w tej wojnie jeszcze spotęgowała³⁵. Zachowałem jednak pozycję samodzielnego polityka. W dalszym ciągu przeanalizowałem, trzymając się stale tej linii, przedwojenną swoją działalność, przemilczając, bądź fałszywie tłumacząc fakty niewygodne, a podkreślając i wyolbrzymiając fakty wygodniejsze. Pomógł mi w tym bardzo agent nr 4, który w tym czasie wszedł do pokoju i połączył moje słowa z polityką Becka, wyciągając wniosek, że byłem kierownikiem Młodej Polski w okresie zbliżenia z Niemcami, a usunąłem się w okresie zmiany polityki na proangielską i profrancuską. Braku związku między tymi dwoma faktami nie tylko nie prostowałem, ale stwierdziłem, że widzę, iż doskonale się orientują w stosunkach politycznych polskich (w rzeczywistości przeciętny referent Gestapo nie wybiega niemal poza mglisty podział „lewica-prawica”, nieliczni tylko są zorientowani lepiej).

Moich wywodów na tematy polityczne słuchano z roztargnieniem, dopingując do streszczania się i zarzucając mi nieproduktywne gadulstwo. Opisałem im w dalszym ciągu krótko mój udział w wojnie 39 r., stwierdzając, że uważałem ją za tragiczny pod każdym względem rozdział w historii Polski i wyrażając żal, że nie była skierowana przeciwko Bolszewikom. Dopytywano mnie o sposób wydostania się z niewoli niemieckiej. Powiedziałem, aby ich nie drażnić, że skorzystałem z ogólnego zamieszania (uciekłem w rzeczywistości z obozu etapowego w Przeworsku).

Po wrześniu 39 r. byłem przybity ogólną sytuacją, zajmowałem się porządkowaniem spraw osobistych, jako człowiek wybity z możliwości zarobkowania i życia. Pilnie obserwowałem bieg wypadków, konstatuując, że polityka niemiecka polega, niestety, na ślepej eksterminacji Polaków — jako takich, bez rozróżniania rozbieżności w ich nastawieniu. Wykluczyłem możliwość zmiany polityki niemieckiej przed klęskami, które ich niewątpliwie czekają pod koniec wojny, dochodząc do wniosku, że polityczne życie polskie musi być zrekonstruowane w podziemiu w oczekiwaniu na nowy rok 1918. Pogląd mój umacniał się w miarę obserwowania wyniszczenia przez Niemców wielkiej części działaczy antybolszewickich, a po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej i braku zmiany tego kursu przez Niemców wykluczyłem możliwość jakiegokolwiek kontaktu z czynnikami niemieckimi, ślepo dążącymi do zguby (stawiano mi zarzut niewyciągania wniosków z moich rzekomych nastawień), postanawiając działać w kierunku niedopuszczenia do opanowania życia

35. Było to oczywiste wyolbrzymienie przez J. Rutkowskiego swojej pracowitości i reakcji na nią otoczenia.

polskiego przez żywioty probolszewickie. Wykorzystując wyrażoną przez nr 4 wątpliwość, czy jako człowiek opozycji mogłem współpracować jako oficjalny „przywódca młodzieży” z *régime*m, dałem po raz pierwszy do odczucia, że na dnie tej współpracy musiała leżeć „właściwa mi” cecha utylitaryzmu i karierowiczostwa.

W 1940 r. zetknąłem się ze „Szczepanem”³⁶, którego znałem sprzed wojny (stwierdzili, że znali dobrze jego osobę), ówczesnym szefem BIP-u i rozpoczęliśmy współpracę, opartą na wielkiej przyjaźni, snując różne projekty polityczne. W tym czasie rozpocząłem (nie wspominając nic o okresie jawnego drukarstwa)³⁷ pod [moim] osobistym kierownictwem budowę drukarni na ul. Morszyńskiej, którą rzekomo ze Szczepanem przeznaczaliśmy do własnych celów politycznych. Nawiązałem rzekomo wówczas żywe stosunki z gen. Roweckim. Ustąpienie (opisałem jako przyczynę londyński „zamach stanu”), a później aresztowanie i śmierć Szczepana były dla mnie wielkim ciosem³⁸.

Rozpoczął się trudny dla mnie okres. Kierownictwo spraw drukarskich, na które kładłem duży nacisk, ze względu na b. poważne wpływy na bieg wypadków, jakie posiadanie go dawało — zostało sprowadzone powoli do fikcji. Odmówiono mi pod wieloma pretekstami kredytów na budowę dalszych drukarni³⁹, dając natomiast polecenie i kredyty dwóm oficerom rezerwy, „posłusznym” osobom niepolitycznym, Karolowi („prawdziwe” nazwisko Zygmunt Janikowski, policyjnego nie znam)⁴⁰ i Andrzejowi („prawdziwe” nazwisko Adam Bolesław Rudnicki, policyjnego nie znam)⁴¹. Przydzielono mi obcą łączniczkę i sekretarkę Ewę, która, aczkowiek jest b. miłą i cenną osobą, do końca jednak utrzymywała we wszystkim głęboką tajemnicę, zachowując

36. Mjr rez. Tadeusz Kruk-Strzelecki, pierwszy szef BIP-u KG ZWZ.

37. W pierwszych paru miesiącach działalności podziemia drukowano pisma w jawnie działających prywatnych drukarniach na bazie umów finansowych.

38. Faktycznie T. Kruk-Strzelecki został usunięty na żądanie gen. W. Sikorskiego (mimo oporów S. Roweckiego) z organizacji w październiku 1940 r. Związał się następnie z organizacjami sanacyjnymi. Aresztowany przez Niemców 10/11 XI 1942 i następnie ponownie w grudniu t.r., więziony był na Pawiaku, w Oświęcimiu i Oranienburgu. Po wojnie na emigracji, zmarł w Londynie 1 IX 1951 r.

39. Informacja nieprawdziwa.

40. Faktycznie był to Czesław Korwin-Piotrowski.

41. Faktycznie pod pseudonimem tym ukrywał się Michał Wojewódzki. Trzeba zaznaczyć, że w dokumentach finansowych AK — a więc i tych przechwyconych wraz z J. Rutkowskim przez Gestapo — figurowały zarówno poszczególne komórki, jak i pseudonimy pracowników TWZW. Rutkowski musiał jakoś Niemców objaśnić, możliwie jednak najbardziej sprowadzając ich orientację co do TWZW na manowce.

nawet swoje nazwisko w sekrecie, gdyż mieszka na to nazwisko (głównym zresztą tego motywem, o ile się domyślam, była kobieca próżność, gdyż nazwisko, jak z różnych szczegółów wynikało, było jakieś brzydkie, czy nieprzyzwoite). Otrzymałem poza tym nominację oficerską nie w celu wyrażenia mi uznania, lecz w celu „trzymania za mordę”⁴². Każde nieposłuszeństwo groziło w tym wypadku śmiercią, co jest zupełnie zrozumiałe w świetle norm wojskowych.

W BIP-ie wszystkie stanowiska objęte były przez ludzi politycznie mi niechętnych, bądź nawet zajadle wrogich (oburzalo mnie np. nazywanie mnie przez nich awanturnikiem politycznym, mogącym iść nawet na współpracę z wrogiem⁴³; agenci w tych momentach wyrażali mi obłudne współczucie, jak wyczuwałem, notując sobie w głowie ten mój „rys charakteru”).

Zwierzchnikiem moim został Prezes⁴⁴, wyższy wojskowy, którego w ogóle nie znałem, odnoszący się do mnie z wielką rezerwą i konspiracyjny się niesłuchanie starannie, tak, że dotychczas nie znam jego nazwiska (powiedzenie to było błędem z mojej strony), aczkolwiek w najbliższych dniach bym wiedział, gdyż zaczęło mnie to już bardzo poważnie interesować.

W krótkim czasie funkcje moje szefa wydziału wydawniczego 7-go (później tzw. TWZW) ograniczyły się do stanowiska tytularnego. Ze względu na ciągłe ataki prawicy w BIP spełniałem rolę parawanu. Jaskrawo polityczne moje stanowisko wystarczająco uspakajało wzburzenie Stronnictwa Narodowego, NSZ i Konfederacji Narodu, wpływu zaś politycznego w rzeczywistości na nic nie miałem, kontaktując się bardzo rzadko z resztą BIP-u i mając jedynie funkcje administracyjne, ograniczone w dodatku nieznanymi trzech drukarni. Znajomość wszystkich drukarni spowodowałaby możliwość unieruchomienia przeze mnie propagandy w razie kierunku jaskrawo sprzecznego z moimi poglądami, którą bym w dzisiejszej np. sytuacji wykorzystał⁴⁵.

Budowę dalszych drukarni powierzono zespołowi technicznemu przy VII Oddziale Sztabu (77), który je po kolei wykonywał. Ponieważ sytuacja ta była dla mnie nie do utrzymania domagałem się przekazania mi drukarni bez tajemnicy miejsca. W związku z chwilową, wygodniejszą dla mnie podów-

42. Znów informacje dezinformujące Niemców.

43. Kolejna dezinformacja.

44. Jeden z pseudonimów płk. dypl. Jana Rzepeckiego.

45. Charakterystyka własnej pozycji w BIP-ie dezinformująca. Na marginesie w tym miejscu adnotacja płk. Rzepeckiego: „II część raportu Kmity. Jeśli nie jest zniszczona, to proszę nie niszczyć, a zwrócić mnie. 27 VI Rejent”, natomiast nieco poniżej, przy następnym akapicie jego adnotacja: „50% prawdy. Sprawy istotne sfalszowane”.

czas konstelację polityczną i kategorię moim uporem zostały mi one przekazane osobiście. Prześladował mnie jednak pech, gdyż dwie z nich zostały zlikwidowane przez Gestapo (W7 — plac Krasieńskich i W8 — Solna), a ostatnia W11 — Odolańska przez cały czas była nieczynna i dopiero teraz miała ruszyć. Jedna z drukarni jest tylko administrowana przez PZP, należąc do Stronnictwa Ludowego, które w zamian za utrzymanie drukarni (mając kłopoty finansowe) wykorzystuje 50% jej możliwości. Na okazanym mi budżecie objaśniłem im to w sposób następujący: drukarnie nieznane mi to: W2 — ostatnio nieczynna (powiedziałem tak aby nie koncentrować na niej uwagi), budowana przez Karola W3 — drukarnia ludowców, mieszcząca się razem z W9 i stanowiąca jedną całość (podział w budżecie służy jedynie dla nieobciążania nadmiernymi kosztami jednej komórki) oraz W4, W5 i W6 stanowiące jeden warsztat (wszystko to były oddzielne warsztaty), w którym tylko pierwsze jest drukarnią — reszta zaś to urządzenia pomocnicze dla drukarstwa. W10 była to projektowana drukarnia, którą miał budować Łukasz z jakimś nowym człowiekiem, z której jednak zrezygnowano, z powodu wystarczającej ilości istniejących drukarni. (Później w czasie spisywania protokołu pokazano mi adres niejakiego Konarzewskiego, z zapytaniem kto to jest — był zanotowany w notesie. Wyjaśniłem, że jest to jakiś właściciel nieruchomości, która miała być na ten cel wynajęta — chciałem rzekomo podsunąć Łukaszowi obiekt, aby mieć adres. Konarzewski nie miał jednak zamiaru wydzierżawić swojej nieruchomości — jest osobą całkowicie obojętną)⁴⁶.

Wobec tego stanu rzeczy Gestapo tyle wie o miejscu drukarni co i ja.

Przeszło przed rokiem zostali mi przydzieleni dwaj zastępcy, których osobiście nie znałem, a którzy spełniali wobec mnie rolę aniołów-stróżów Prezesa (przedwojenni doskonali znajomi, angażowani przeze mnie). Łukasz kieruje wszystkimi sprawami techniczno-gospodarczymi i jest faktycznym komendantem TWZW, Paweł⁴⁷ opracowuje rękopisy, przydzielając je odpowiednio drukarniom. Narzędziem jego pracy jest sekretariat złożony z kilku panienek z Janką, prawdopodobnie jego kuzynką, na czele (jest to moja siostra). Zakupów papierów i ich magazynu-

46. Należy skonfrontować ten akapit z tym, co o tych drukarniach TWZW pisał M. Wojewódzki, *W tajnych drukarniach Warszawy, 1939-1944, wspomnienia*, W-wa 1978 oraz G. Mazur, *Biuro Informacji i Propagandy*, s. 31-32, 157-169, dla wyłapania wszelkich dezinformacji J. Rutkowskiego.

47. Modest Dobrzyński, redaktor techniczny wszystkich wydawnictw drukowanych w TWZW.

nowania dokonywuje Józef⁴⁸ przydzielony mi wcześniej — zaufany człowiek Prezesa i Łukasza, którego w ogóle nie widziałem (żądano objaśnienia poszczególnych klatek w budżecie, przepuszczając wskutek nieuwagi komórkę transportu)⁴⁹.

Wskutek mianowania zastępców, którzy samodzielnie prowadzili TWZW, praca moja ograniczyła się do prowadzenia z Ewą rachunków na stopniu centralnym oraz załatwiania korespondencji w dół i w górę z tym, że korespondencja ściśle techniczna, np. adresy na dostawy, była bezpośrednio przesyłana zainteresowanym. Od trzech miesięcy usunąłem się właściwie od pracy, omawiając na licznych „giełdach” politycznych, zbierających się w knajpach warszawskich potrzebę „zamachu stanu” w PZP. Wyraziłem żal, że mnie aresztowano, gdyż udanie się jego było niemal pewne (podstawą jego miał być NSZ), a wtedy stosunki uległyby zmianie — sądzę zresztą, że już sami o tym wiedzą — (kiwnęli głowami)⁵⁰.

Tryb mego życia polegał na krótkim załatwianiu z Ewą korespondencji na Okólniku z dnia poprzedniego, którą ona wysyłała tegoż dnia w górę i w dół, mając dla tego celu szereg lokali, które samodzielnie sobie wyszukiwała i zmieniała. W ostatnich czasach nigdy na nich nie bywałem. Sprawy techniczne nudzą mnie, na drukarstwie prawie się nie znam. W ten sposób miałem b. dużo wolnego czasu, który poświęcałem zainteresowaniom politycznym i sprawom osobistym.

Na pytanie, dlaczego cała korespondencja adresowana jest do mnie, odpowiedziałem, że istnieje ogólny obyczaj, że cała korespondencja jest adresowana na ręce przełożonego, nawet w sprawach, w których sam się nie orientuje, przekazując je dalej do wykonania. Pokazano mi m.in. kartkę od Bielickiego, proponującą spotkanie z moją małżonką w moim lokalu na ul. Chmielnej. Wyjaśniłem, że istnieje moda nazywania osobistych sekretarek i łączniczek małżonkami⁵¹, a na Chmielnej miała niewątpliwie swój lokal Ewa, z którą się Bielicki umawiał. Podobnie odpowiadałem na szereg pytań.

O rysopisy mnie wówczas nie pytano. Zapytano m.in. kto to jest „Bór” i „Grzegorz”⁵². Wiedząc, że znają to dobrze podałem nazwiska, a których znajomość potwierdzili. Wyrażono kategorięcznie niewiarę, abym mógł nie znać jakiegokolwiek dru-

48. Aleksander Wąsowski, który zaopatrywał TWZW w papier, farby drukarskie i inny sprzęt.

49. Również informacje z tego akapitu należy skonfrontować z danymi w przywołanych wyżej książkach.

50. Twierdzenia o „zamachu stanu” absolutnie nieprawdziwe.

51. Kolejna informacja nieprawdziwa.

52. Gen. bryg. Tadeusz Pełczyński, szef sztabu KG AK.

karni, będąc szefem takiej „słynnej instytucji” i że zbyt dziwnie się składa, że znam tylko te drukarnie, które już sami polikwidowali w różnych czasach! Powiedziałem, że cudu zrobić nie mogę, a że tak się składa to jeszcze jeden dowód pecha, prześladowającego mnie od początku wojny, którego najjaskrawszym objawem jest aresztowanie mnie w przeddzień „zamachu stanu”, który zmieniłby oblicze PZP. Oczywiście w przeciągu tak długiej pracy niektórych rzeczy zacząłem się domyślać, np. położenia jednej z drukarni, o czym nie chciałbym mówić przed zasadniczą rozmową polityczną z odpowiednio miarodajnymi ludźmi, o którą z naciskiem proszę. (Po raz pierwszy zarysowała mi się wówczas mglista koncepcja przeprowadzonej później rozgrywki).

Na nacisk w sprawie drukarni byłem przygotowany. I rzeczywiście w poniedziałek (24 IV)⁵³ wcześniej rano po sprowadzeniu mnie na górę oświadczone, że są policją, a nie ministerstwem propagandy lub spraw wewnętrznych i muszą dbać przede wszystkim o śledztwo. W związku z tym władze żądają, abym im natychmiast ujawnił domysły w sprawie drukarni. Pytano, o jaką drukarnię chodzi, czy o tę dużą, której zdjęcia były w *B.I.*⁵⁴, czy o tę, której mają fotografie, czy jeszcze o inną. Zacząłem się pozornie bronić; zasypywano mnie masą tandetnych obietnic bez żadnej wartości na temat mojej przyszłości, zwolnienia ewentualnie ujętych ludzi i tych „którzy już są aresztowani” itp. Udałem, że wziąłem to za dobrą monetę, komunikując im, iż z różnych powieżeń i skarg Andrzeja domyśliłem się bezspornie, że drukarnia mieści się gdzieś na krańcach Górczewskiej, prawdopodobnie — ale bez zobowiązań — pod małym, murowanym domkiem (o ile wiem, nawet obcych drukarni nie ma w tej dzielnicy). Sprowadzono mnie do samochodu, do którego wsiadł szofer, nr 4 i nr 6, pomocnik referenta z pok. 237; zachowywano [środk]i ostrożności (broń w pogotowiu, wyjście z samochodu możliwe jedynie po opróżnieniu przednich miejsc. Samochód — czarny Opel z nr Ost.). Pojechaliśmy na Górczewską, gdzie przekonali się, że jest niemożliwością w ten sposób szukać drukarni, przy tak skąpych danych, gdy cała dzielnica jest usiana małymi, murowanymi domkami. Nr 6 miał przy sobie fotografie W2, na temat których rozmawiano w samochodzie, mówiono coś obszernie o OPL⁵⁵. Wyjazd trwał b. krótko. Po powrocie dokończyłem

53. Tego samego dnia nazwisko J. Rutkowskiego pojawiło się na afiszu wymieniającym 50 nazwisk skazanych przez Niemców na śmierć Polaków.

54. Zdjęcie drukarni W2 opublikowane zostało w *Biuletynie Informacyjnym* z 20 IV 1943, nr 16.

55. Obrona przeciwlotnicza.

swoich wyjaśnień, podanych wyżej. Wiele szczegółów z nich było jeszcze uwypuklonych w czasie spisywania protokołu.

W trakcie składania wyjaśnień zażądano ode mnie określenia zakresu pracy zlikwidowanego warsztatu W1⁵⁶. Scharakteryzowałem go zgodnie z rzeczywistością, gdyż posiadali w swoim ręku pełne archiwum warsztatowe. Stwierdziłem, że „N”-ki miały się już nie ukazywać ze względu na zmienioną sytuację polityczną. Domagano się kategorycznie wskazania Reichsdeutschów, którzy redagują pisma w języku niemieckim⁵⁷. Wyjaśniłem, że nie wiem, czy robią to RD, czy Polacy, gdyż z redakcjami „N” nie mam nic wspólnego. Wmawiano mi powtórnie, że jestem w zażyłych stosunkach organizacyjnych i prywatnych z Kowalikiem. Zażądałem przedstawienia mi rękopisów, które musieli znaleźć w drukarni. Kilka z nich po chwili mi okazano. Na rękopisach tych objaśniłem, że redagowane są w innym wydziale, a jedynie wykonywane technicznie u mnie, gdzie Paweł adiustował je (znaleziono liczne kartki z jego listami do drukarni, co potwierdziło rolę, którą mu przypisywałem w swoich zeznaniach). Dopytywano się o pochodzenie i przeznaczenie broni, znalezionej na warsztacie; wyjaśniłem ogólnie, że broń nie jest przeznaczona do obrony warsztatów, istnieje jedynie ogólne zezwolenie zakupywania broni i jej magazynowania (miałem kartkę z 44 w sprawie zakupu sowieckiego PM⁵⁸). Gwałtownie dopytywano się o personel drukarni i ludzi mieszkających w willi, stwierdzając, że ukryli się we Włochach. O personelu powiedziałem, że byłoby śmieszną rzeczą, abym będąc na takim stanowisku znał adresy zecerów. Zaręczyli mi, że „nie chcą im zrobić krzywdy”, natomiast z ogniwa do ogniwa chcą dotrzeć do inspiratorów oburzającej propagandy wśród Niemców. Powiedziałem im, że mogą zadowolić się drukarnią, gdyż inne drukarnie nie są przystosowane do druków tego rodzaju.

Wyjaśnienia moje i przesłuchania odbywały się w typowo policyjnym tonie, nieinteligentnie, z ciągłymi dygresjami, czepianiem się drobiazgów, z pomijaniem rzeczy dla nich istotnych. Dla kwestii politycznych zdradzano minimalne zainteresowanie, żądając śladów policyjnych.

Z trudem pogodzono się z moimi upartymi i wymownie uzasadnianymi twierdzeniami, że dać ich po prostu nie jestem w stanie. Na zakończenie Pautz zapowiedział sporządzenie proto-

56. Likwidacja W1 miała miejsce 21 IV 1944 r.

57. Druki dywersyjne w języku niemieckim, wydawane przez BIP, a drukowane w W1 przy ul. Morszyńskiej 35. Zaznaczyć trzeba, że były redagowane tylko przez Polaków; gestapowskie domniemanie co do autorstwa wskazuje na ich wysoki poziom językowy i fachowy.

58. Pistolet maszynowy.

kołu, podkreślając potrzebę pośpiechu, gdyż musi to poprzedzić rozmowę polityczną ze mną, o której zdecydował „komandeur” (Hahn). Robiło to wybitnie nieszczerze wrażenie.

Cały czas byłem pod obawą, że towarzyszą mojej sprawie liczne aresztowania, które m.in. mogą obalić moje i tak wątpliwe zeznania, zwłaszcza, że w przedpołudnie następnych 3 dni nie byłem wzywany. Nie komunikowano mi nic, a moje próby dowiedzenia się przyczyn wpadki mojej i 2 drukarni spęły na niczym. Twierdzono, że „kiedyś się niewątpliwie dowiem”. Z braku jakichkolwiek danych utrzymywałem linię swych zeznań.

W ciągu kilku godzin trzech popołudni — poniedziałku, wtorku i środy (24-26 IV) został sporządzony protokół, obejmujący 4 strony maszynopisu, zawierający: 1. dane personalne prawdziwe i fałszywe; 2. *curriculum vitae* do czasu wojny; 3. opis udziału w wojnie; 4. krótki opis mojej pracy w PZP (wg. moich zeznań); 5. wymienienie zwierzchników (Bór, Grzegorz, Prezes); 6. wymienienie głównych podwładnych (Ewa, Karol [Janikowski], Andrzej [Rudnicki], Łukasz, Paweł, Jerzy⁵⁹, Zdzisław); 7. przyznanie się do znajomości z Kowalikiem (Żenczykowski) — kierownikiem propagandy; 8. opis krótki systemu mojej pracy na czele TWZW (wg. moich zeznań); 9. wyjaśnienia w sprawie właścicielki mieszkania p. S. (nic o mojej działalności nie wiedziała). Podpisałem protokół, nie żądając tłumaczenia z wyjątkiem ostatniego ustępu i sprawdzenia nazwisk, godząc się z ich twierdzeniem, że „jedna setna dowiedzionych mi rzeczy wystarcza na kilka wyroków śmierci”.

Po sporządzeniu protokołu agent nr 2 wypełnił formularz identyczny z formularzami Stefana i Mierzeńskiego (patrz „Uwagi do aktu oskarżenia Zdzisława”)⁶⁰, ludzi nieżyjących, które mi przedtem pokazywał. Na zapytanie, czy jest to wyrok śmierci, dał wymijającą odpowiedź⁶¹.

W czasie sprowadzania mnie na górę w poniedziałek po południu agent nr 2 zapytał mnie nagle ze złośliwym uśmiechem, „a kto to jest Jan Rzepecki?” Zorientowałem się, że popełniłem błąd, mówiąc pierwotnie, że nie znam nazwiska Prezesa, ponieważ przypomniałem sobie, że była kiedyś mowa o tym, że nazwisko to znane jest Gestapo. Nie mogąc od razu się

59. Władysław Pomorski, kierownik drukarni W3.

60. Kierownictwo BIP-u doszło do przekonania, że w TWZW sypie J. Sawko, ps. „Zdzisław”, który został zastrzelony 24 IV, a Wojskowy Sąd Specjalny zatwierdził wyrok skazujący 15 VI 1944 r. Akta sprawy J. Sawki znajdują się w Archiwum Akt Nowych, Oddział VI, sygn. 203/IX-11, k. 199-211, w tym też uwagi J. Rutkowskiego do aktu oskarżenia.

61. Na marginesie odręczna adnotacja płk. Rzepeckiego „«Stefan» — Norkowski kier. drukarni, Mierzeński firma Autosped.”.

wycofać, powiedziałem ogólnie, że w kołach politycznych słyszałem, że jest to wysoka osobistość w propagandzie PZP. Podejrzewałem nawet, że jest to Prezes. W oczekiwaniu Pautza na górze nr 2 pokazał mi w wydawnictwie „Czy wiesz, kto to jest” krótkie *curriculum vitae* Prezesa. Przeczytawszy, powiedziałem, że niewątpliwie jest to on. Nr 2 (głupi, brutalny, krzykliwy) oświadczył, że wiedzą znacznie więcej ode mnie; wyraziłem wątpliwość. Zapewnił mnie, że przekonam się o tym, bo on nie jest idiotą za którego wyraźnie go uważam (rzeczywiście negliżowałem go przy przesłuchaniach, bo robił wrażenie drugorzędnej osoby).

W czasie sporządzania protokołu powracano uporczywie do sprawy kontaktu z Prezesem i resztą BIP-u. Twierdziłem, że w okresie jeszcze względnie normalnej współpracy bywałem na odbywanych co pewien czas odprawach kierowników wydziałów, gdzie widywałem się również z Prezesem. Były tam załatwiane wszystkie sprawy wymagające ustnego omówienia. Poza tym kontakt między szefami wydziałów był całkowicie zbyteczny, przy stałym i sprawnie funkcjonującym kontakcie listowym. Od czasu mojego usunięcia się wskutek perturbacji politycznych widziałem się tylko przelotnie z Prezesem na ulicy. Jest to system spotkań bardzo częsty w komendzie, aby nie dekonspirować lokali, dla jednorazowych krótkich rozmów. Obowiązuje bowiem zasada, że na ogół, z wyjątkiem b. zaufanych ludzi, związanych węzłami przyjaźni — tylko jeden lokal jest znany podwładnemu. Sprawa ta obszerniej omawiana była znacznie później. Oczywiście, czasem spotkania między szefami wydziałów są nieodzowne. Jeżeli chodzi o mnie, zgodnie z moim usposobieniem i niechęcią do mnie — odbywały się one w lokalach publicznych. Z dawniejszych czasów znałem naturalnie szereg lokali, do których mógłbym trafić. Dla dawnych lokali nie przejawiano żadnego zainteresowania.

Na moje pytanie, dlaczego tyle wagi przywiązują do personelu technicznego (zecerzy, drukarze), który nie może dać im żadnych dalszych „ogniów”, gdyż są przywiązani do jednego wyłącznie miejsca, odpowiedziano mi, że przez wytrzebiecie drukarzy unieruchomi się całą propagandę. Wyłożyłem im, że w Warszawie drukarzy jest niezliczona ilość i wskutek m.in. wysokich zarobków w tajnym drukarstwie można bez najmniejszego trudu kompletować załogi.

W czasie wyciągania przez przesłuchujących kartek z kopert wypadła kartka z adresami prywatnymi, którą miałem w małej kieszonce w notesie. Adresy te (kilku firm handlowych) nie były, widać, odnalezione przy sporządzaniu listy adresowej, gdyż tam nie figurowały. Wśród nich atramentem figurowało: „elek-

tryk 6-35-11". Pautz, spojrzawszy na kartkę przykrył ją papierami trzymanymi w ręku. Odniosłem wrażenie, że chce ją ukryć przede mną przed sprawdzeniem, jak to zwykle robili. Zaniepokoiłem się, gdyż numer telefonu elektryka odnosił się do Sebastiana i był notowany w czasie, gdy Sebastian (Bronisław Pstrągowski) miał jedynie prywatną firmę instalatora elektrycznego. Po objęciu przez niego roli maskującego W6 telefon ten stał się telefonem do litografii (W6). O telefony i adresy na tej kartce nie pytano mnie ani wówczas, ani później⁶².

W całym wstępnym okresie śledztwa zadawano mi dużo drobnych pytań, bez znaczenia, na które odpowiedzi nie nastroczały żadnych trudności. Wielu z nich nie pamiętam, lub mogę przeoczyć, gdyż zwracałem uwagę na główne kwestie i linię moich zeznań. Np. pokazywano mi kartki z szyfrowanymi adresami, żądając podania szyfru. Stwierdziłem, że szyfry znają jedynie poważniejsze sekretarki, nikt zaś z kierowników nie oddaje się takiej żmudnej pracy, systemy zaś ich — o ile wiem — są ciągle zmieniane (co tydzień — dwa). Na samym początku badań zapytywano mnie, czy znam jakiegoś Michalskiego itp.

Ostatniego dnia pisania protokołu, po sprowadzeniu mnie na górę przez nr 2 oczekiwaliśmy przez dłuższy czas na przyjszcie Pautza. Wywiązała się rozmowa na temat metod pracy Gestapo. Twierdziłem, że — jak widzę ze swojej sprawy — w niczym istotnym (w sprawach politycznych) nie orientują się, stosując do każdego identyczne sposoby badania, które w moim wypadku noszą charakter grubego nieporozumienia. Metody takie mogą dać pewien skutek przy dowiedzeniu winy „drobnym pionkiem”, znającym zresztą w bardzo wąziutkim zakresie sprawy techniczne, natomiast są śmieszne wobec przywódców politycznych, którzy techniką osobiście się nie zajmują. Podziwiam ich dążenie do dowiedzenia winy, gdyż w większości wypadków doskonale się bez tego obchodzą, rozstrzelując masowo ludzi. Robi to na mnie makabryczne wrażenie w zestawieniu z niewątpliwą inwazją sowiecką w ciągu lata, która może zmieść i Niemców i Polaków. Nr 2 brał te zarzuty do siebie, gdyż odznaczał się w śledztwie podejrzliwością, drobiazgowością w sprawach technicznych i skłonnością do rzucania pogroźek („zrobimy z wami przy powstaniu tak jak z Żydami”) i w gwałtowny sposób polemizował, twierdząc, że metody Gestapo są oparte „na zasadach naukowych”, wskutek czego wiedzą wszystko i mają „górze” doskonale rozpracowaną. Dałem dobitny wyraz swemu niedowierzaniu; wybiegł z pokoju i przyniósł 4

62. Na marginesie odręczna adnotacja: „Zlikwidowana przez Gestapo dn. 3 VI bez strat w ludziach”.

plansze, rozwijając je przede mną ze słowami: „wiemy znacznie więcej od pana”.

Pierwsza plansza, którą nr 2 natychmiast odłożył, przedstawiała w odbitce światłodrukowej jakiś schemat organizacji PZP (napis w nagłówku). Wyjaśnił, że jest to już przestarzałe. Druga plansza przedstawiała bardzo starannie, graficznie wykreślony na kalce schemat organizacji Komendy Armii Krajowej⁶³. Chcąc możliwie dokładnie zaznajomić się z treścią planszy, twierdziłem, że prawdopodobnie jest mylna. Widziałem ją b. niedługo. Zdążyłem jednak zauważyć i zapamiętać niemal jej całość. U góry dwie duże klatki jedna pod drugą zawierały jakieś określenia tytułów i funkcji po niemiecku z wyraźnie wpisanymi pseudonimami „Bór”, „Znicz” i nazwiskiem „Tadeusz Komorowski” oraz „Grzegorz” (i coś jeszcze) z nazwiskiem „Tadeusz Pełczyński”. Dalej szedł rząd klatek szefów oddziałów sztabu: I-Abteilung „Kortum” — płk Sanojca, II-Abt. „Dzięcioł” — nazwisko Drabek lub Drabik⁶⁴, III-Abt. „Erazm” — płk Szostak⁶⁵, IV-Abt. „Denhoff” — nazwiska nie zapamiętałem⁶⁶, V-Abt. „Kuczaba” — miejsce na nazwisko nie było wypełnione⁶⁷, VI-Abt. „Prezes”, „Rejent” (być może w odwrotnej kolejności) — płk Jan Rzepecki, VII-Abt. „Leszcz”⁶⁸. Dół tej klatki (nazwisko) i jakieś klatki następne były zasłonięte palcem i ręką pokazującego. Spozrzegłem między dużym palcem a resztą ręki pseudonim „Nil” i nazwisko o niemieckim brzmieniu, zaczynające się na „Fiel...”. U góry jednej z dalszych klatek figurował pseudonim „Benedykt”⁶⁹. Zauważyłem jeszcze nazwisko „płk Świtalski”⁷⁰, lecz później nie mogłem sobie uzmysłowić, w którym miejscu. W klatkach u dołu były jakieś objaśnienia drobnym pismem po niemiecku i rzuciły mi się w oczy znaczki służb łączności w klatce V oddz. (błyskawice:).

63. W tym miejscu na marginesie odręczna uwaga: „Ciąg dalszy. Zwrot do 50”.

64. Prawidłowo: Marian Drobik, w tym czasie zresztą na czele Oddziału II KG AK stał już płk Kazimierz Iranek-Osmecki.

65. „Erazm” to pseudonim gen. bryg. Stanisława Tatara, który w tym czasie przebywał poza granicami kraju, bowiem w wyniku operacji „Most I” w nocy 15/16 IV 1944 odleciał do Londynu, natomiast płk Józef Szostak używał pseudonimu „Filip”.

66. Chodzi o płk. Zygmunta Miłkowskiego, ale jak wynika z dalszych części przesłuchania, Niemcy pseudonim ten kojarzyli z kim innym.

67. Płk Kazimierz Pluta-Czachowski.

68. Ppłk Stanisław Thun.

69. Ludwik Muzyczka, szef Biur Wojskowych w KG AK.

70. Płk Adam Świtalski, ps. „Dąbrowa” był w tym czasie w Okręgu Lublin, gdzie wkrótce objął dowództwo 3 DP AK. W KG ZWZ-AK szefem Oddziału IV był parę lat wcześniej.

W dalszym ciągu pod niektórymi klatkami oddziałów sztabu były jakieś nieskomplikowane schematy. Spostrzegłem je tylko przy zwijaniu i rozwijaniu, gdyż planszę widziałem przełamana w tym miejscu. Treść spostrzeżeń zafiksowałem sobie później w pamięci w czasie sporządzania protokołu. Mimo że słyszałem o istnieniu jakichś schematów w Gestapo byłem zaskoczony ich dokładnością, której trafności nie byłem w stanie ocenić. Wyraziłem agentowi uznanie dla ich osiągnięć w pracy policyjnej, zapytując skąd mają te dane. Nie udzielił mi odpowiedzi, stwierdzając tylko, że sam opracowywał ten schemat (wyraźna błaga, stać go było najwyżej na wykreślenie graficzne).

Trzecia plansza b. duża, przedstawiała niestychanie drobiazgowy schemat II Oddz. Sztabu, pełen rozmaitych klatek różnej wielkości i rozmaicie wykreślonych, niektóre zakreskowane i zaciemnione z wielką ilością różnych linii łączących klatki. Spostrzegłem jedynie u dołu planszy klatki z cyframi u góry 62, 63, 67 itp. oraz klatki z nazwami geograficznymi (Brześć). Planszę widziałem chwilkę, zdumienie moje wyraźnie sprawiło wielką przyjemność agentowi.

Czwartą planszę rozwinął tylko na chwileczkę z daleka objaśniając, że jest to schemat organizacji „Armii Ludowej”. Była to plansza światłodrukowa. Na zapytanie moje, o jaką armię ludową chodzi, odpowiedział, że RPPS, dodając później, zajrzawszy do nagłówka planszy — „a może PPR”. Wyraziłem wątpliwość, czy w ogóle zajmują się PPR-em. Rozmowa ta odbywała się sam na sam, a w chwili wyjścia po plansze i ich odniesienia nr 2 wezwał jakiegoś agenta z korytarza, aby mnie popilnował.

Gdy przyszedł Pautz, zacząłem wyrażać swoje zdziwienie, że posiadają dane, których nie znam, ale które są b. drobiazgowe. Nr 2 nie przetłumaczył tego Pautzowi, przerywając mi, że jest to głupstwo. Zorientowałem się, że działał na własną rękę i nie chciałby o tym mówić.

W trakcie sporządzania końcówki protokołu, gdy jeszcze raz wynikła kwestia, dlaczego się tak mało orientuję we wszystkim, wyjaśniłem, jak wiele razy poprzednio, że powody leżą w sferze politycznej. Wówczas Pautz wysłał nr 2 z pokoju, który powrócił pokazując mi dwie listy nazwisk pisanych na maszynie — jedną większą, drugą mniejszą. Jedna zatytułowana była — o ile dobrze pamiętam — „Żydzi w PZP”, poza tym był podtytuł, a może tytuł drugiej listy, „Żydzi w BIP-ie (propagandzie)”. Pautz, który — jak się okazało — istoty moich wykrętów „politycznych” nie pojmował, wskazał na listy z zapytaniem, jak wobec tego mogłem pracować w BIP-ie, jeżeli są tam „sami Żydzi”, a bledszy [?] ode mnie — według moich twierdzeń —

NSZ, jest antysemicki. Wyjaśniłem mu, że niechęć polit. „góry” do mnie rozciąga się również, a nawet przede wszystkim, na cały BIP i okazane mi listy, których ścisłości nie jestem w stanie ocenić, wyjaśniają mi wiele. Pautz robił wrażenie nieco przekonanego.

W trakcie tej rozmowy przeczytałem b. pobieżnie listy. Przeważająca większość nazwisk w ogóle nie była mi znana. Zapamiętałem z nich jedynie nazwiska „Gotlieb” i „Natansohn”. Ze znanych nazwisk figurowały w dziale propagandy — Wardejn-Zagórski⁷¹ [w tym miejscu dokument uszkodzony i kilka słów nieczytelnych] końcu jednej z list napisane było „Biuletyn Inf. redaguje Żyd, harcerz ze Śląska, Antoni (?) Kamiński”, i coś jeszcze, czego nie zdążyłem przeczytać, bo mi listy zabrano. U góry jednej z list figurowało podkreślone nazwisko profesora Handelsmana⁷². Zapytałem potem, czy jest rzeczą możliwą, aby lista była ścisła i tak liczna. Nr 2 zaręczył mi, że lista ta jest b. szczegółowa i wszystko się zgadza. Wykorzystałem to między innymi do podtrzymania swojej sylwetki politycznej nakreślonej Gestapo. Ze względu na jej styl i sposób zredagowania nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że lista ta została dostarczona, bądź sporządzona z udziałem polskich czynników⁷³.

Po ukończeniu protokołu aż do wywiezienia na Pawiak przez tydzień nie byłem wzywany na przesłuchanie.

Siedziałem cały czas w celi nr 1, pod ostrym rygorem. Byłem w b. złym stanie fizycznym, gdyż obok ustępujących powoli skutków pobicia wyżywienie było b. podłe.

W czasie jednego z wieczornych przeprowadzeń do toalety natknąłem się na Wernera, stojącego przy stole Wachmeistra, który skinął na mnie, bym wszedł do wartowni. Umierała tam młoda kobieta, przy której stał młody agent. Werner wezwał go na tłumacza, zadając mi pytanie, jaką rolę odgrywał Bór, a jaką „dawny szef II oddz. — Pełczyński” i czy to prawda, że Bór odgrywa rolę mniejszą w porównaniu z Pełczyńskim, który jest

71. Mjr dypl. w stanie spoczynku Tadeusz Wardejn-Zagórski, ps. „Gozdawa”, zastępca i prawa ręka płk. Rzepeckiego, kierował też propagandą BIP-u.

72. Prof. Marceli Handelsman, wybitny historyk polski, żołnierz BIP-u.

73. Na marginesie adnotacja ręką płk. Rzepeckiego: „Aleksander! Ten sam błąd jest zdaje się w opracowaniu KW [kontrywywiadu] Delegatury”. Listy te były opracowane — co wiemy już teraz po wojnie — przez wywiad NSZ, zaś w tym samym czasie, w maju 1944 r., trafiły one do rąk płk. Rzepeckiego, który posądził o ich autorstwo komórki Delegatury Rządu. Jedna z tych list przechowywana jest w Archiwum Akt Nowych, Oddział VI, sygn. 202/II-43, k. 40-44; pisał o nich też J. Rzepecki, *Wspomnienia i przyczynki historyczne*, W-wa 1983, s. 315-317, zob. też: G. Mazur, *Biuro Informacji i Propagandy*, s. 288.

„wszystkim”. Odpowiedziałem, że nie da się to w dwóch słowach powiedzieć, zwłaszcza w tej sytuacji (wskazałem na umierającą panienkę). Werner zapytał następnie ni stąd, ni zowąd — jacy Reichsdeutschowie redagują wydawnictwa w języku niemieckim, z którymi ostatnio zapoznał się. Odpowiedziałem, że przekracza to moje możliwości. Z kolei Werner zażądał napisania na kartce pełnej mojej funkcji w PZP po polsku. Napisałem: „Szef Wydziału Wydawniczo-Prasowego (TWZW) w BIP KSZ” (nomenklatura ta figurowała u mnie w papierach). Werner robił wrażenie człowieka nie wiedzącego, czego chce. Nie patrzył w oczy. Podszedł do pryczy i wzięwszy za rękę leżącą kobietę, skonstatował śmierć. Na kennkarcie, którą agent trzymał w ręku figurowało nazwisko „Wiśniewska”, a na zapytanie moje agent wyjaśnił, że była kurierką i się otruła. Po wymianie paru słów przeze mnie z agentem na temat okropności, które tu się dzieją, Werner wyprowadził mnie na korytarz, gdzie przez agenta zapytałem go, dlaczego śledztwo jest tak chaotyczne, bierze w nim udział tak wielu ludzi, co zmusza ciągle do powtarzania tego samego, dlaczego agenci prowadzący śledztwo, zupełnie nie orientują się w stosunkach politycznych w Polsce i dlaczego atmosfera śledztwa jest tak brutalna. Werner odpowiedział, że jest to śledztwo wstępne, na końcu zaś będą rozmawiał z „jednym”, dobrze zorientowanym.

W trakcie tygodnia przerwy w badaniach przemyślałem treść i wrażenia przesłuchań. Byłem najgorszej myśli, gdyż brutalna do końca atmosfera śledztwa, sposób postępowania przesłuchujących i warty w areszcie oraz ich różne odezwania wskazywały na to, że intensywne śledztwo trwa bez przerwy. Cały czas nie orientowałem się zupełnie w zakresie wpadki i aresztowań, które, sądziłem, że są znacznie większe. Miałem pewność, że będę rozstrzelany; gdy odwlekało się to, niepokój mój wzrastał. Przez drzwi podczas apelów w boksach wydawało mi się, że słyszę nazwiska rodziny, współpracowników i drukarzy (np. Perzyna). Pewności nigdy nie miałem, bo głos dochodził z przerwami i zniekształcony, miałem pewność, że moje wyjaśnienia i zeznania nie mogły ich zadowolić, pogodzili się z nimi tylko z konieczności, przepracowując teraz dalsze aresztowania. Niepokój mój budziło zwłaszcza pośpieszne i niechlujne sporządzanie protokołu. Przemyślałem wtedy przyczyny mojego aresztowania i wpadki drukarni. Podejrzenia moje zaczęły się koncentrować na Żdzisławie, spośród wielu możliwości, które rozpatrywałem. Myśl moja w tym kierunku została skierowana przy zastanowieniu się, dlaczego na początku śledztwa zapytywano mnie, czy nie znam jakiegoś Michalskiego. Na moje zapytanie, kto to jest, bo Michalskich jest wielu, nic nie umiano, czy nie

chciano mi powiedzieć. Nazwisko „Michalski” było nazwiskiem zdawkowym, którym w swoim czasie Zdzisław się chętnie posługiwał. Uporządkowałem wówczas wiele faktów, które obecnie podałem oddzielnie w „Uwagach do aktu oskarżenia Zdzisława”. Wzmocniło to mój niepokój, gdyż w każdej chwili mogłem się obawiać obalenia zeznań nawet, gdyby szczęśliwie nie było dalszych aresztowań.

Z braku innego wyjścia postanowiłem upierać się przy swoich zeznaniach do czasu przekonania się o rozmiarach wpadek i denuncjacji i przygotowałem sobie drogę wyjścia w postaci samobójstwa. 2 maja, we wtorek rano posłałem przez Wachmana do pokoju 252 kartkę z żądaniem zobaczenia się „w ważnej sprawie”. Przyszedł niezwłocznie Pautz i nr 2, którym jako pretekst powiedziałem, że chciałbym wreszcie mówić z kimś miarodajnym na „tematy polityczne”. W rzeczywistości chciałem z zobaczenia Pautza i nr 2 wywnioskować coś o stanie sprawy. Niczego się nie dowiedziałem. Nr 2 słysząc przyczynę wezwania, z widocznym rozczarowaniem powiedział mi, że już dawno powinienem być podjęty przez odpowiednich ludzi.

Tegoż dnia (2 V) o 4-ej po południu zostałem przewieziony na Pawiak. Przewożony byłem ze specjalnymi ostrożnościami (oddzielenie od innych więźniów, osobny strażnik z PM, oddzielna klatka w więźniarce) i traktowany w sposób brutalny w odróżnieniu od przeciętnego traktowania innych więźniów (stałe twarzą do ściany, ręce do góry, kopnięcia przy wsiadaniu itp.).

Po przywiezieniu na Pawiak zostałem obrewidowany i zaewidencjonowany na podstawie kartki przesłanej z Al. Szucha, która zawierała jakieś obszerne instrukcje, budzące duże zainteresowanie urzędnika kancelarii. Przejęty zostałem przez Wachmeistera IV Oddziału, Sosza i pod jego osobistą strażą zostałem zaprowadzony do sanitariatu na VII oddz., gdzie Wachmeister nie dopuścił do szczegółowych oględzin, mimo zwrócenia uwagi przez sanitariusza na mój zły stan fizyczny. Zadovolono się wobec tego pytaniem o wszy i choroby weneryczne. Dla wykąpania mnie spędzono spod ściany wszystkich kąpiących się.

Następnie zostałem umieszczony w celi nr 128 na IV Odz. jako „ściśle izolowany”. Na drugi dzień izolacja na całym Oddziale została zamieniona na ścisłą, jak Wachmeister powiedział jednemu z funkcyjnych z mojego powodu. Nie wolno mi było na krok wychodzić z celi, którą otwierał Wachmeister lub Wachman dla podania jedzenia i opróżnienia kubła. Nie miałem prawa do kąpeli i oględzin lekarskich. Spędziłem tak tylko tydzień czasu. 3 V został wpuszczony do celi cywilny urzędnik Gestapo (jak się później zorientowałem w Al. Szucha był to szo-

fer Sonderkommando). Podając kartkę pocztową, oświadczył mi, że „w porozumieniu z referatem mogę napisać kilka słów do rodziny, które będą dostarczone nieoficjalnie”. Widząc moją nieufność, zapewnił mnie, że mogę być spokojny. Napisałem tym niemniej kartę wyraźnie zdawkową⁷⁴.

Mimo ścisłej izolacji okazało się, że istnieje sposób niemal swobodnego porozumiewania się całej izolacji, nie widząc się wzajemnie (przez cały czas widziałem tylko przez chwileczkę w parze swojej *vis à vis*, [?] którego tu nie podaję ze względów ostrożnościowych. Po dowiedzeniu się przez współtowarzyszy o rodzaju mojej sprawy mogłem mówić swobodnie o tym, co wiedziało Gestapo; zostałem otoczony b. serdeczną opieką, która ułatwiła mi szybki powrót do dobrej kondycji fizycznej. W trakcie dwóch wieczorów wygłosiłem 2 referaty na temat sytuacji wojskowej i politycznej. Później udało mi się uporządkować i nieco usprawnić system porozumiewania się izolacji (kilkadziesiąt cel) wypełnionej w przeważającej liczbie członkami AK i wprowadzić sposób wzajemnego przekazywania przedmiotów bez żadnej pomocy z korytarza.

4V podano mi hasło. Wysłałem wiadomości drogą ustną, które zostały zanotowane przez pośredniczącego (jak się dowiaduję, nieco niewyczerpujące, chaotyczne i niejasne, gdyż była tylko chwila czasu). Zawiadomiłem o posiadaniu przez Gestapo adresu Olka i Kubowej, telefonu Sebastiana, fotografii W2, notatek o samochodzie z firmy T., skąd mógł być drut⁷⁵ dalej na nasz transport, ostrzegłem ludzi z W1, dałem parę słów o swojej sytuacji, prosiłem o zabezpieczenie rodziny, przestrzegałem przed agentem, który zabrał wczorajszą kartkę i dałem kilka dyspozycji w obawie o postawę personelu w razie wielkiego rozmiaru wpadki. W zakończeniu prosiłem o truciznę dla ewentualnego uniknięcia skutków obalenia moich zeznań, na co byłem przygotowany⁷⁶.

We wtorek, dn. 9V otrzymałem odpowiedź na wiadomości, przesłane przeze mnie. Zostałem zawiadomiony poza częścią prywatną, że są robione o mnie b. intensywne starania, w wyniku których pojadę prawdopodobnie na obóz. W związku z tym pożądane jest, abym robił z siebie jak największą figurę („aż do zastępcy kmdta włącznie”). Poza tym zostałem zawiadomiony, że Zdzisław jest zlikwidowany, że W1 i W11 wpadły bez ludzi, że ślady, które Gestapo uzyskało ze znalezionej przy

74. Na marginesie w tym miejscu odręczny dopisek: „Dostarczona nam jako dowód, że Kmita żyje i nie na próżno wzięli 300.000”.

75. W tym kontekście: zagrożenie.

76. Na marginesie w tym miejscu adnotacja: „doszło!”.

mnie korespondencji, zostały przez Gestapo wykorzystane, jednak bez wyniku z wyjątkiem aresztowania żony montera Kuby, a wszystkie ostrzeżenia moje zostały uwzględnione. Zakomunikowano mi, że praca poza tym idzie normalnym tokiem i poproszono mnie o szczegółowsze dane⁷⁷.

Niezwłocznie przystąpiłem do sporządzenia wyczerpującego raportu na piśmie (miałem już odpowiednie środki). Ukończyłem go jednak na pół godziny przed zabranieniem mnie na Al. Szucha, wskutek czego nie zdążyłem go już wysłać i zjadłem go w drodze wraz z grypsem innego więźnia. W raporcie tym, poza sprawozdaniem i odpowiedzią na pytania proponowałem zorganizowanie mi z zewnątrz pomocy do ucieczki, podejmując się sprowokowania Gestapo do wożenia mnie po mieście, i podałem określony róg Tamki i Dobrej, gdzie na przestrzeni paru dni (tygodnia) mogłem być przywieziony. Projekt ten omawiałem z pośrednikiem. Mimo udaremnienia mi wysłania raportu miałem b. słabą nadzieję, że pośrednik przekazał mój pomysł na zewnątrz.

Około godz. 17-ej tegoż dnia zostałem sprowadzony do kancelarii, gdzie odbywała się niesłychanie burzliwa awantura między agentem 6 i (jak się później okazało) kierownikiem referatu, urzędującego w pokoju nr 237, a SS-manami z komendy więzienia. Zabrano mnie z powrotem do celi, aby w chwilę potem sprowadzić do samochodu osobowego (Fiat 1500), którym nr 6 i kierownik referatu z pok. 237 (nr 7, rysopis: wysoki, wysportowany blondyn, szczupły, nosi okulary w cienkiej oprawie, nie mówi po polsku, b. słabo po francusku, często w mundurze, robi wrażenie b. zaufanego urzędnika Gestapo) zawieźli mnie na al. Szucha. W czasie przejazdu wyraziłem nadzieję, że będę miał nareszcie możliwość rozmowy na „tematy polityczne”, a nie będę dalej traktowany jako „kopalnia wiadomości, których nie posiadam”. Określiłem sposób dotychczasowego mnie traktowania jako nonsensowny i robiący na mnie wrażenie zupełnej ignorancji Gestapo w „istotnych sprawach”. Zainteresowania moje leżą wyłącznie w sferze politycznej i przez ten pryzmat patrzę na PZP, nie orientując się, siłą rzeczy, w zagadnieniach organizacyjno-technicznych tak i BIP-u, jak i całości PZP. Dodałem zachęcająco, że w sprawach politycznych jestem dobrze zorientowany i będę chętnie na ten temat rozmawiał, dlatego — przekonają się. Nr 6, który jest pomocnikiem nr 7 w referacie z pok. 237, oświadczył mi, że dotychczasowe postępowanie referatu z pok. 252 rzeczywiście było niewłaściwe i dlatego zostałem przekazany do nich. Zachowanie się obydwu było całko-

77. Na marginesie odręczna adnotacja: „moja kartka z dn. 7 V”.

wicie poprawne, pierwszy raz wówczas rozmowa w samochodzie nosiła charakter swobodniejszy, bez jaskrawego tonu policyjnego.

Zostałem umieszczony w celi nr 3 (izolacja) w al. Szucha i doręczono mi paczkę odzieżową i żywnościową, przesłaną — jak się już na wolności dowiedziałem — drogą nieoficjalną⁷⁸.

Po otrzymaniu grypsu na Pawiak i podczas oczekiwania na przesłuchanie w al. Szucha przemyślałem sytuację, układając sobie plan postępowania i obmyślając szereg zasad i sposobów taktycznych dla jego realizacji. Otrzymany gryps zmienił całkowicie moje samopoczucie. Wiedziałem, że siedzę sam i nikt nie pokrzyżuje mi mimowoli zeznań oraz że dalsze „sypania” są uniemożliwione. Przesłane przeze mnie ostrzeżenia powinny zapobiec wpadkom. Ryzyka zaś przypadkowych aresztowań nie można było brać pod uwagę.

Pewne obawy budziła we mnie jednak osoba aresztowana, Kubowa, która miała niewątpliwie pewne wiadomości od męża (W6, W2 i prawdopodobnie W4), jednak niejednokrotnie po aresztowaniu jej męża otrzymywała ode mnie osobiście ostrzeżenia co do metod Gestapo i instrukcje zachowania w razie jej aresztowania. Bałem się podstępów agentów w stosunku do niej (wierzyła, że mąż żyje, mimo, że figurował na liście rozstrzelanych — wmawiali jej to różni kombinatory, a ludzenie jest jednym z podstawowych chwytów Gestapo) i szantażowania dziećmi. Liczyłem jednak na szczęście, które dotychczas mi tak dopisało, i na jej zdrowy rozum.

Okazało się, że przyjęta dotychczas linia zeznań i postępowania może mi dać całkowitą osłonę przed nawałą groźnych pytań „kto? i gdzie?” (drukarnie, magazyny, transport, liczne lokale własne i obce, nazwiska i adresy współpracowników, kolegów z BIP-u, Prezesa, kontakty itp.), tym bardziej, że obfity materiał ujęty ze mną dawał więcej niż wystarczające podstawy do tego rodzaju indagacji, z których Gestapo nie zrezygnowałoby, gdyby nie udało mi się podtrzymać przerwania całości zagadnienia na inną płaszczyznę. W ten tylko również sposób mogłem zrealizować instrukcje, otrzymane z wolności (robienia z siebie „dużej figury”) i pomóc staraniom z zewnątrz. Początkowo otrzymana wskazówka co do podwyższenia tak znacznego swej roli wydała mi się niemożliwa do zrealizowania. Po staranym jednak rozważeniu zmieniłem zdanie (samowola nr 2, który niejako „na stronie” pokazał mi plansze). Dysponowałem obecnie sporą znajomością taktyki Gestapo przy badaniach i posiadałem — słaby wprawdzie, ale efektowny — materiał do wykorzystania w postaci pokazywanych mi schematów i list. Dawało mi

78. Odręczna adnotacja na marginesie: „za grubą forszę”.

to możliwość uzupełnienia kulawych, przez brak danych o górze, zeznań i mogło być materiałem do udowodnienia prawdziwości moich twierdzeń. Bardzo dużym minusem natomiast mojej sytuacji była nieznajomość NSZ i stopnia rozeznania jego i ewentualnych wtyczek w nim Gestapo (na długo przed wojną i przez całą wojnę nie miałem z tym środowiskiem żadnego kontaktu). NSZ i jego środowisko musiały być kamieniem węgielnym mojej „sylwetki politycznej” i koncepcji „zamachu stanu”, jako przyczyny (i jakby dowodu) mojego rzekomego usunięcia od wykonywania swych funkcji.

Postanowiłem: 1) podtrzymać w całej rozciągłości poprzednie swoje zeznania, modyfikując je jak najrzędniej w sprawie kontaktów „z górą”, jak najjaskrawiej malując swoje rzekomo poglądy polityczne, jako skrajnego prawicowca, doceniającego wyłącznie niebezpieczeństwo bolszewizmu, a nawet mającego lekką manię na tym tle; 2) sprowokować w miarę możliwości wożenie mnie po mieście, podczas czego — miałem wówczas nadzieje — uda mi się uciec. W tym celu postanowiłem wkładać dużo żywiołowej niechęci do swych „przeciwników” politycznych przy omawianiu spraw z nimi związanych.

Jako podstawową zasadę taktyczną przyjąłem nie sztywne układanie treści swoich wyjaśnień, lecz wczucie się ogólnie w rolę fikcyjnego „polskiego Degrella”⁷⁹. Poza tym postanowiłem mówić jak najwięcej, ogólnikami, nie obawiając się najbardziej wytartych frazesów (jako źródło pomysłów traktując część prasy tajnej, „gadzinówkę” itp.), aby stworzyć z tego osłonę dla wszelkiego rodzaju kwestii niepożądanych. Przemyślałem również szereg innych sposobów i metod postępowania, jak konfrontowanie prawdziwości twierdzeń Gestapo przez oddzielne rozmówki na boku z poszczególnymi agentami, lansowanie pożądanych wyobrażeń w nieoficjalnych rozmowach (w oczekiwaniu na przesłuchanie, przy przeprowadzaniu z celi, w czasie przerw w badaniach itp.), dyskretne robienie z siebie cynika i świni, która gdyby coś wiedziała, to by w odniesieniu do swych „wrogów” nie kryła oraz inne rodzaje bluffów.

Konieczność wysuwania żądania „rozmów politycznych” i ewentualne przeprowadzenie ich w przyszłości, aczkolwiek opartych na fantazjach i zmyśleniach, budziła we mnie ze zrozumiałych względów szereg skrupułów i zastrzeżeń. Pozbyłem się ich, uzmysławiając sobie, że mówię nie z władzami politycznymi wroga, ani nie jestem w rękach wojska, lecz w rękach policji, nie przebiegającej w środkach i stosującej najpodstępniejsze metody,

79. Leon Degrelle, przywódca kolaborujących z Niemcami faszystów belgijskich.

zmuszając tym samym do stosowania podstępnych metod.

W razie zaplątania się, bądź obalenia moich zeznań zawsze pozostawała mi droga ostatecznego wyjścia (możliwego, mimo, że nie dostarczono mi trucizny, posiadając którą czułbym się jednak pewniej). Odmówienia zeznań i niewątpliwych tortur chciałem uniknąć dopóki widziałem możliwość wykręcenia się, zwłaszcza, że zwiększało to szanse wywiezienia do obozu.

Następnego dnia po przywiezieniu (10 V po południu) zostałem zaprowadzony na górę przez agenta nr 6, który sam ze mną rozmawiał. Zapytał mnie czy znam prof. Henryka Mościckiego. Powiedziałem, że znam go sprzed wojny z widzenia, był profesorem historii UJP i obecnie jest w Anglii (rzeczywiście tak sądziłem). Widząc jego zdumienie, podałem, że nie jestem tego pewien. Nr 6 oświadczył, że siedzi na Pawiaku i jest głównym redaktorem pism dywersyjnych w języku niemieckim⁸⁰. Wyjaśniłem, że tego wiedzieć nie mogę, ale nie zdaje mi się to możliwe (znam dobrze redaktora „N”-ek). Po dłuższych pytaniach na temat jakiejś nieznaney mi kawiarni „Ateneum” nr 6 zapytał nawiązując do rozmowy w samochodzie, czy rzeczywiście mam ważne rzeczy do oświadczenia w dziedzinie politycznej. Zapewniłem, że tak. Powiedział, że o tym, jak i o dalszych przesłuchaniach, które niestety będą musieli prowadzić, zdecyduje Stamm. Robił wrażenie nie posiadającego jeszcze instrukcji.

Następnego dnia po południu (11 V) zostałem zaprowadzony na oficjalne przesłuchanie. W pokoju 237 siedział kierownik tego referatu, nr 7 i jego pomocnik nr 6. Po dłuższym oczekiwaniu (które, jak zwykle, wykorzystywałem dla nastawieniowych rozmówek) przyszedł kierownik „działu PZP”, nr 1, w którego rękach do końca już pozostawała moja sprawa. Miał całkowicie inny stosunek do mnie, niż na początku. Zorientowałem się, że próbują innego systemu badania. W chwilę potem przyszedł nr 8 (rysojis: średniego wzrostu, krępy, smagły, włosy czarne, lekko szpakowate, zaczesane w tył, błyszczące, oczy piwne, wiek ponad 45 lat, mówi świetnie po polsku warszawską wymową i po rosyjsku, dobrze zna przedwojenne stosunki w administracji przed wojną, podobno oberleutnant) i nr 9 (rysojis: niski, szatyn, sepleni, nie mówi po polsku), którzy wraz z nr 8 stanowili odrębny referat, położony na końcu korytarza, na prawo.

Nr 1, mówiąc w sposób niesłychanie teatralny, wygłosił dłuższą przemowę, którą nr 8, wykazując wielki szacunek dla mówiącego, przełożył mi. Nr 1 wyraził ostentacyjne ubolewanie, że osoba „tak ważna” jak ja, była tak niewłaściwie traktowana poprzednio (sam nr 1 był najdotkliwszy ze wszystkich) wskutek

80. Informacja błędna.

czego miałem niepotrzebne przykrości, a ważne dla nich, jako policji, śledztwo, nic im nie dało. Sam jednak jestem temu winien, gdyż odmawiałem zeznań, a przez to ponieśli niepowetowaną stratę, nie ujmując mojej sekretarki.

Zarządził jednak przeniesienie mnie do tego referatu, gdzie będę miał właściwe traktowanie i odpowiednią znajomość rzeczy ze strony przesłuchujących. Wyraża nadzieję, że we „wzajemnym interesie” śledztwo da lepsze wyniki, niż dotychczas; chcą ze mną rozmawiać na tematy polityczne (lekki, ironiczny uśmiech), ale przed tym muszą zakończyć śledztwo. Jest rzeczą niemożliwą, abym nic nie wiedział o drukarniach, współpracownikach, przełożonych i o całej „górze” („Spitze”). Uprzedza mnie, że mają potężny aparat i wiedzą nieomal „wszystko” tak, że prawdomówność moja będzie ściśle sprawdzona, zwłaszcza, że na podstawie materiałów, znalezionych przy mnie, aresztowano szereg moich współpracowników, którzy mówią zupełnie co innego, niż ja. Kim jestem i o mojej roli politycznej „w Polsce” są zorientowani b. dobrze. Muszę im dać jednak dowód dobrej woli przed rozmową polityczną, o której zadecyduje „komandeur”, a nawet może wyższe władze. Zapewnia mnie, że nie chcą nikomu robić krzywdy i ludzie na niskim stopniu hierarchii, tzw. pionki będą zwolnieni, jeżeli będę chciał, gdyż absolutnie im o nich nie chodzi, a jedynie za ich pośrednictwem chcą dotrzeć do ludzi szkodliwych z punktu widzenia walki z bolszewizmem, o którą mnie przecież również chodzi. Poza tym pomoc moja byłaby wskazana dla wspólnego interesu przy opracowywaniu spraw PZP, które będzie robił w najbliższym czasie referat, urzędujący w tym pokoju. Jeżeli będę miał jakieś osobiste względy dla niemówienia czegoś, to po zakomunikowaniu tego nie będą wywierali na mnie presji (tłumacz nie mógł opanować lekkiego uśmiechu). W zakończeniu dodał, że będę miał zapewnione odpowiednie traktowanie, a o los swój nie potrzebuję się obawiać.

Po przemówieniu nr 8 dodał od siebie trochę komentarzy, mających wyraźnie na celu zawałowanie zbyt jaskrawo naiwnych chytrości w przemówieniu nr 1.

Odpowiedziałem również dłuższym przemówieniem, w które starałem się włożyć jak najwięcej tonu „szczerego”. Stwierdziłem, że jestem zaskoczony tak odmiennym postawieniem sprawy od panów z pokoju 252. Poddałem ostrej krytyce dotychczasowe metody śledztwa, uniemożliwiające ludziom moich „poglądów” politycznych nawiązanie jakichkolwiek kontaktów koniecznych w obliczu zbliżającej się nawały ze Wschodu; metody takie — moim zdaniem — przynoszą tylko ujemne skutki. Być może, że inna byłaby sytuacja na tyłach frontu niemieckiego, gdyby nie terrorystyczne metody postępowania. Wytwo-

rzyło się obecnie błędne koło. Sytuacja taka jest godna ubolewania. Nie tracę jednak nadziei, że są z niej drogi wyjścia, jeśli postępowanie ze strony czynników niemieckich będzie bardziej wnikliwe. Wyraziłem ostentacyjnie obawę, czy moi rozmówcy mają odpowiednie upoważnienia do „zasadniczych rozmów”, będąc przede wszystkim urzędem bezpieczeństwa. Stwierdziłem, że byłem przekonany o tym, że charakter badań w pok. 252 i *vis à vis* polegał na nieporozumieniu i niezrozumieniu mojej osoby. Jeśli będę widział szczerą i słowną w ich postępowaniu, to nie uchylę się od składania zeznań tak, jak i dotychczas nie uchylałem się; wymagano jednak ode mnie odpowiadania li tylko na żądane pytania przed zorientowaniem się w zakresie posiadanych przeze mnie wiadomości, które są przede wszystkim natury politycznej, a nie techniczno-organizacyjnej. Stąd, przyznając, nie mówiłem nic o szczytach pracy wojskowej (żywe zainteresowanie znających język polski). Początkowo odmowa zeznań płynęła z niewiary w możliwość poważnych rozmów z policją i ugruntowanego w konspiracji przekonania, że powiedzenie wszystkiego powoduje przy dojściu do granicy posiadanych wiadomości tortury fizyczne i niewiarę, że jest to wszystko. Dotychczas nie jestem przekonany, że jest inaczej. Siłą rzeczy, ludzie polityki — tak, jak ja — mają niezwykle szczupły zakres wiadomości techniczno-organizacyjnych, co przede wszystkim interesuje policję. Posiadają natomiast znajomość spraw ogólnych, niedostępnych pracownikom technicznym. Gestapo miało chyba możliwość o tym się przekonać, aresztowawszy Grota i Dzieciola, którzy na pewno nie mogli powiedzieć nic bliższego o adresach, pracownikach technicznych itp., aczkolwiek według poglądów Gestapo, które przy wstępnym śledztwie słyszałem, Grot — jako komendant — powinien był wiedzieć „wszystko” o organizacji. Podobna jest sytuacja ze mną, oczywiście, zachowując odpowiednie proporcje i biorąc pod uwagę mój opozycyjny stosunek do kierownictwa PZP i BIP-u.

Mówiłem częściami, które tłumacz (nr 8) w wolnym przekładzie podawał nr 1 i reszcie referentów, nie znających języka polskiego (nr 7 i nr 9). Spostrzegłem, tak jak i przy poprzednich przesłuchaniach, że tłumacz uwypukla wszystkie mniej jasne sformułowania, nadając im sens najkonkretniejszy. Właściwie sytuacja jest tego rodzaju, że rozmawia się z agentem tłumaczącym, który w niejasnych punktach zadaje pytania i dopiero, gdy sam całkowicie pojmie, o co chodzi, przekazuje to od siebie prowadzącym przesłuchanie. W tym stanie rzeczy wiele zależy od tłumacza. Wielokrotnie później kładłem coś niezręcznego na karb złego tłumaczenia, korzystając — z drugiej strony — z wygodniejszych sformułowań, które robił tłumaczący.

Z kolei wywiązała się rozmowa, w której nr 1 zapewniał mnie, że mogę być spokojny o to, że nie będę zmuszony do mówienia rzeczy poza granicą moich wiadomości. Są bardzo przepracowani i nie mogą badać zakresu istotnych wiadomości posiadanych przez poszczególnego aresztanta. Robią to tylko w odniesieniu do osób ważnych i dlatego zostałem przekazany do pokoju 237. Nie może jednak uwierzyć, abym nic nie wiedział o TWZW i jako polityk, którzy wszyscy, jak wiadomo, są ciekawi, nic o „górze” PZP. Zachęcał mnie, żebym się nie przejmował wyrzutami sumienia w razie aresztowania kogoś, gdyż „górze” będzie zapewnione „honorowe traktowanie” i „włos z głowy im nie spadnie”. Tylko przez unieszkodliwienie „góry” można powstrzymać dywersję na tyłach frontu niemieckiego, a tym samym nie dopuścić do inwazji bolszewickiej, która zetrze wszystkich. Liczy na to, że będę przekonany o tym punkcie widzenia w trakcie wyczerpującej rozmowy politycznej, do której dojdzie. Przed tym jednak muszę wzbudzić zaufanie do siebie. Zgoła inna byłaby sytuacja, gdybym z własnej woli zgłosił się do rozmów politycznych: wypadki takie są bardzo częste i dają w rezultacie obopólną korzyść (powtarzali mi to później nieraz inni agenci, dając liczne przykłady kontaktowania się, jednak bez nazwisk). Ostrzega mnie jednak przed kłamstwem, które zawsze potrafią wykrzyć (kazał przynieść planszę ze schematem org. PZP, którą z b. daleka, abym nie mógł widzieć szczegółów, rozwinął, mówiąc, że mają wszystko opracowane drobiazgowo).

W swoich odpowiedziach zapewniłem, że zaryzykuję zaufanie do nich, aczkolwiek mam ciągłe obawy przed biurokratyzmem urzędu policyjnego, mającego moim zdaniem, wyłącznie płytkie zainteresowania dla spraw techniczno-organizacyjnych, nie doceniając wagi zagadnień politycznych. Mam nadzieję, że obawy moje ustąpią z biegiem czasu. Zażądałem demonstracyjnie słowa honoru, że ewentualne aresztowanie kogokolwiek z Komendy nie pociągnie dla niego żadnych represji fizycznych, a przeciwnie będzie traktowany „honorowo” (natychmiast dał mi słowo). Dalej wyraziłem obawę, że niezwykle ważne rzeczy, które będę mówił, mogą dotrzeć do „organizacji” i mogę być otruty (wielokrotnie później wygrywałem ten chwyt dla nadania wagi swoim słowom). Zażądałem z naciskiem przyrzeczenia, że moi osobiści przyjaciele polityczni nie będą aresztowani.

Zapewniono mnie, że obawy są płonne, gdyż tajemnica w Gestapo jest ściśle dochowywana, a w interesie ich leży również, aby przyjaciołom moim włos z głowy nie spadł. Pod koniec rozmowy agenci byli b. podnieceni i zainteresowani, tak że zacząłem się obawiać, że zrobiłem im zbyt wielkie nadzieje. Nastąpiła krótka odprawa agentów. Przydzielono mi stałego

opiekuna nr 8. Przesłuchania miał prowadzić nr 7 w asyście nr 6. Poza tym nr 1 wydawał jakieś dyspozycje, których nie rozumiałem, mnie zaś zapewnił, że przesłuchiwać mnie będą najbardziej zaufani ludzie bardzo poza tym osobiście sympatyczni i kulturalni. Zostałem sprowadzony do celi nr 3 i wydano zlecenia przesyłania mi posiłków z tzw. „kasyna”, z którego otrzymują posiłki: warta, aresztowani Niemcy i SS-mani oraz jacyś więźniowie w izolacji długo siedzący. Dano mi poza tym trochę pieniędzy, abym za pośrednictwem obsługującej wartę i niemieckich aresztantów kobiety mógł kupować różne drobiazgi (papierosy, mydło) i płacić za obiady. Kupowałem stale „gadzinówkę”, wykorzystując później podawane tam oświetlenia zadrażnień polsko-angielsko-sowieckich dla argumentacji swoich poglądów.

W celi uporządkowałem swoje wrażenia. Doszedłem do wniosku, że metoda, którą przyjąłem, jest bardzo ryzykowna, ale może być b. skuteczna, że zreferowanie z poprzedniego referatu naszkicowaną im moją sylwetkę polityczną, nie orientując ich natomiast w zakresie ujawnionych mi wiadomości (plansze, listy) i szczegółów przesłuchiwania[?]. Taktyka, którą przyjął nowy referat, była dla mnie oczywiście całkowicie jasna. Zorientowałem się już trochę w mentalności nowych ludzi, z którymi się zetknąłem. Uzupełniłem dotychczasowy plan postępowania zapasem różnych tricków. Odniosłem wrażenie umocnione później, że referat 237 jest b. niechętny referatowi 252 (nigdy się nie odwiedzali, co jest na porządku dziennym w Gestapo, w 252 rządził Werner, a tu nr 1, różne cierpkie uwagi na temat 252 przy oglądaniu mego protokołu itp.). Nabrałem przekonania, że jakiś wyższy czynnik wyraził niezadowolenie z wyników śledztwa w pok. 252 i polecił przeprowadzić je raz jeszcze, w miarę możliwości innymi metodami, referatowi w pokoju 237, konkurującemu prawdopodobnie z 252.

Przesłuchania rozpoczęły się dnia następnego rano i trwały 12 V przed i część popołudnia oraz kilka godzin 13 V przed południem i 15 V przed południem.

Prowadził je nr 7; nr 8, odgrywający główną rolę, rozmawiał ze mną i po całkowitym omówieniu kwestii, tłumaczył ją nr 7, który robił po niemiecku notatki. Nr 6 pracował przy swoim biurku, przysłuchując się badaniom i rozmowom, czasami coś wtrącając (mówił po polsku z pewnym trudem i obcym akcentem). W czasie przesłuchań zachodziło do pokoju wielu agentów, bądź zdradzając zainteresowanie moją osobą, bądź dla załatwienia jakichś spraw z nr 6. Co pewien czas przychodził nr 1 (kierownik „działu PZP”), któremu nr 7 i nr 8 składali krótkie sprawozdania. W sobotę i poniedziałek (13 i 15 V), gdy byłem wzywany tylko dla stawiania mi fragmentarycznych zapy-

tań, stół założony był masą rozmaitych papierków, notatek, akt itp., starannie posegregowanych. Stał stolik z maszyną przy którym siedziała maszynistka, kiepsko mówiąca po polsku. Opracowywano jakiś ogólny zestaw danych na temat Armii Krajowej.

Na wstępie pokazano mi protokół sporządzony w referacie 252, stwierdzając, że jest bez wartości. Powiedziałem, że istotnie jest b. ogólnikowy, ale jest to wina sporządzających go, którzy redagowali go, tak jak chcieli, ignorując większość z tego, co mówiłem; niemniej jest ścisły. Dlatego proponuję, że będę sam mówił, a oni mogą wybierać to, co jest dla nich ważne z punktu widzenia śledztwa.

Rozpocząłem powtórne opowiadanie w porządku chronologicznym swojego *curriculum vitae* politycznego od czasów akademickich poprzez okres pracy politycznej, wojnę, pierwsze zetknięcie się z konspiracją, przeżyte w niej zawody polityczne i postanowienia zmiany stosunków w PZP w wersji, przyjętej we wstępnym śledztwie, obszernie jednak rozwodząc się nad całokształtem stosunków politycznych w Polsce, naginając je swobodnie do obecnych moich potrzeb. Okazało się, że nr 8 orientuje się niezłe na ogólnych stosunkach, wygląda nawet na to, że był urzędnikiem w administracji (zrobił później do tego aluzję).

Wewnętrznych stosunków opozycji jednak nie znał dokładnie, co pozwalało opisywać mi je dowolnie, wykorzystując jego ogólną orientację do argumentacji, którą licznymi pytaniami ułatwiał mi.

Treść swoich zeznań podawałem już w pierwszej części raportu, więc jej nie powtarzam, podając tylko rozszerzenia i uzupełnienia, które teraz mogłem wprowadzić, dzięki przygotowaniu się i wygodniejszej dla mnie metodzie przesłuchań. Liczne rozmowy „towarzyskie” (przy oczekiwaniu na zebranie się kompletu urzędników, podczas wychodzenia jednego z nich itp.) pozwalały mi na zachowanie bardziej swobodnej postawy i wprowadzenie tonu półoficjalnej konferencji, co ułatwili mi agenci z drugiej strony, licząc na „rozkrochmalenie się” moje i wygadanie w jakichś rzeczach konkretnych.

Gdy doszedłem do kontaktów ze Szczepanem, Grotem i jak po raz pierwszy powiedziałem — Grzegorzem — (nie mogłem tego uniknąć, robiąc z siebie figurę polityczną, mimo ryzyka, bo Grzegorza nie widziałem nigdy na oczy, co w razie żądania rysopisu groziło katastrofą) przesłuchujący stwierdzili, że trzeba przyjąć pewną metodę dalszej „pracy”. Sprawy przeszłości znają b. dobrze i szkoda na nie czasu. Trzeba zrobić przegląd całego PZP od góry do dołu, z główną uwagą, skierowaną na Komendę. Stwierdziłem, że znam tylko Bora, Grzegorza i Pre-

zesa, z którymi łączą mnie dobre stosunki osobiste, mimo różnic politycznych, zwłaszcza z Grzegorzem i Prezesem. Reszty członków Komendy nie znam. Stwierdzili, że jako dobrze wprowadzony działacz polityczny, którego funkcje w PZP nosiły charakter ściśle polityczny, musiałem się w obsadzie personalnej orientować. Zacząłem się pozornie wykręcać, w końcu dałem na sobie wymóc (setki zapewnień dawanych w ubiegłym tygodniu) odpowiedzi na pytania.

Podąłem schemat organizacji Komendy według planszy, pokazywanej mi przez nr 2. Nr 7 starannie notował. Jako szefa I Oddz. wymieniał „Kortuma” czyli płk. Sanojcę, jako b. szefa II Oddz. — „Dzięcioła” czyli płk. o nazwisku, którego dobrze nie pamiętam — Drabek, Drabik lub coś podobnego (nr 8 jakoś mnie poprawił, ale nie pamiętam jak), jako szefa III Oddz. „Erazma” czyli płk. Szostaka. W trakcie tłumaczenia moich słów [przez] nr 7, sięgnąłem po leżący na brzegu biurka „Rocznik oficerski”, gdzie bawiąc się nim, odszukałem jedynie nazwisko na „Fiel...” (Fieldorf), gdyż na planszy spostrzegłem tylko niemieckie brzmienie nazwiska i pierwszą sylabę. Jako szefa IV Oddz. wymieniał „Denhoffa”, którego nazwiska nie znam, tak samo, jak szefa V Oddz. „Kuczaby”. Jako szefa VI Oddz. czyli BIP-u podałem „Prezesa” czyli płk. Jana Rzepeckiego. Jako szefa VII Oddz. podałem „Leszcza”, którego nazwiska nie znam. Jako szefa VIII Oddz. (Kedywu) Fieldorfa⁸¹. W trakcie tych powoli idących przesłuchań (robiłem masę dygresji) przyszedł nr 1 i wysłuchawszy relacji na 7, zabrał kartkę z notatkami, po chwili wrócił komunikując, że „wszystko się zgadza” (*es stimmt*). Miał niezwykle zadowolony wyraz twarzy i zarządził przerwę, w czasie której przyniesiono kanapki i wódkę. Wykręciłem się od picia wódki, tłumacząc się b. złym stanem zdrowia (nie chodziło mi już o fakt picia w tego rodzaju „komitywie”, bo to przedstawiało się dla mnie humorystycznie, ile o zachowanie całkowitej trzeźwości w najkrytyczniejszym momencie śledztwa).

Po zjedzeniu kanapek i wypiciu wódki przez czterech agentów nr 1 zaczął zadawać osobiście pytania. Podają je w miarę pamięci — ściśle: „kto jest obecnie szefem II Oddz.?” Odpowiedziałem, że o ile wiem nie jest dotychczas to stanowisko obsadzone, ale być może, że ostatnio kogoś mianowano; „kto to jest płk lub gen. Brzeg? (może przekręcą brzmienie)”;

81. W tym czasie płk August Emil Fieldorf nie stał już na czele Kedywu, który objął płk Jan Mazurkiewicz, ps. „Radosław”, lecz organizował ściśle zakonspirowaną organizację „NIE”, mającą działać po wejściu Armii Czerwonej na ziemie polskie.

odpowiedziałem, że nic mi to nie mówi. „A kto był szefem II Oddz. przed „Dzięciołem”?” — powiedziałem, że „Brodowicz”, a nr 1 pokijał z zadowoleniem głową, mówiąc, że to właśnie był płk (?) Brzeg (?)⁸². „Jak ma na imię Bór i Grzegorz?” — powiedziałem, że obydwaj noszą imię Tadeusz. „Czym był przed wojną Pełczyński?” Odpowiedziałem, że szefem II Oddz. Sztabu. Zapytał, czy z tej racji Grzegorz nie prowadzi osobiście II Oddz. teraz. Powiedziałem, że niewątpliwie interesuje się b. jego pracą, ale osobiście nie prowadzi na pewno. Z kolei zapytał o rangę Grzegorza, na co oświadczyłem, że jest pułkownikiem. Nr 1 zdziwił się i stwierdził, że przecież po mianowaniu Grzegorza zastępcą Komendanta otrzymał nominację na generała. Wycofałem się stwierdzając, że w takim razie Grzegorz utrzymuje to w tajemnicy, aczkolwiek ktoś o tym coś mówił, ale nie wiedziałem, czy tak jest rzeczywiście⁸³. W ogóle Grzegorz ma zwyczaj trzymać wiele spraw w tajemnicy ze względu na niechętny stosunek dawnej opozycji do byłego szefa II Oddz. Sztabu. Wszystkie te pytania nosiły charakter pewnego „egzaminu” i musiałem niestychanie uważać, by nie wymknęła mi się jakaś gaffa, która by podważyła „ważność” mojej osoby i postawiła pod znakiem zapytania prawdziwość dalszych moich zeznań, o które mi przede wszystkim chodziło (BIP i TWZWW).

W dalszym ciągu nr 1 zapytał, kto to jest „Oskar”; odpowiedziałem, że jakaś ważna osoba w wywiadzie. Słyszając w zadawanym mi pytaniu słowa „Chef” i „Abwehr”, nie czekając na przetłumaczenie, dodałem, że jest on prawdopodobnie szefem kontrwywiadu, na co nr 1 skinął potwierdzająco głową⁸⁴. Następnie zapytał, kto to jest „Mocarz”. Odpowiedziałem, że słyszałem ten pseudonim, ale nie przypominam sobie, kto go nosi. Stwierdził, że znam go na pewno pod innym pseudonimem, bo nosi ich wiele. Przypomniawszy sobie, że jest to dawny pseudonim „Plebana”, odpowiedziałem dyplomatycznie, że pseudonim ten przypominam sobie z korespondencji i dodałem: „jest to wasz główny przeciwnik, jako policji”⁸⁵. Nr 8

82. Faktycznie szefem Oddziału II KG ZWZ-AK do wiosny 1942 r. był ppłk Wacław Berka, w tym czasie więzień Sachsenhausen. Nigdy jednak nie używał pseudonimu „Brzeg”.

83. T. Pełczyński został awansowany na stopień gen. bryg. w listopadzie 1943 r., ze starszeństwem 1 X 1943, a rozkazem z 10 IX 1943 r. został mianowany zastępcą dowódcy AK, którą to funkcję sprawował obok funkcji szefa sztabu KG AK.

84. Długoletni szef Wydziału Kontrwywiadu Oddziału II KG ZWZ-AK, Bernard Zakrzewski, ps. „Oskar”.

85. Bolesław Kozubowski, szef kontrwywiadu Oddziału II Komendy Okręgu AK Warszawa, wkrótce potem, 12 VI 1944 r., aresztowany przez Niemców. Na marginesie odręczna adnotacja: „ciąg dalszy relacji Kmity”.

zdziwił się, mówiąc dlaczego szef wywiadu w okręgu Warszawa ma być głównym wrogiem policji, a nr 6 dodał, że komendantem „Polskiej Policji”, nazywanej WSOP był mjr Galica, którego osobiście aresztował⁸⁶. Pozostawiłem to nieporozumienie bez wyjaśnień. Nr 1 zapytał, jak się nazywają „Oskar” i „Mocarz”. Odpowiedziałem (zgodnie z rzeczywistością), że nie mam pojęcia, bo z pracą wywiadowczą nigdy nic wspólnego nie miałem i jest to dla mnie „czarna magia”. Nr 1 wyraził się z kolei, że to są „zbóje” i coś jeszcze, czego mi nr 8 już nie tłumaczył. Następnie nr 8 zapytał mnie, czy znam gen. Rostworowskiego. Odpowiedziałem, że wprawdzie słyszałem o nim, ale osobiście się z nim nie stykałem. Nr 8 wyraził zdziwienie, stwierdzając, że jest to człowiek, wysuwany przez „mafię” w PZP do uziemienia prawicy, a przede wszystkim NSZ. Może go znam pod pseudonimem „Odra” lub „Rola”⁸⁷ — dodał. Odpowiedziałem, że go nie znam, gdyż tak z PZP, jak i NSZ miałem bezpośrednie kontakty od góry, lecz jest to b. możliwe, gdyż sam dotkliwie odczuwam w coraz silniejszym stopniu równie podstępne metody postępowania ze mną. Jedynym wyjściem z tej sytuacji jest dla całej skrajnej prawicy dokonanie „zamachu stanu” w PZP, co przez aresztowanie mnie uniemożliwili. Zacząłem obszernie rozwodzić się nad sposobami mobilizacji sił do takiego zamachu, lecz nr 1 słuchał wyraźnie „przez uprzejmość”, przerywając mi wreszcie. Nr 8 i nr 9 zdradzali żywe zainteresowanie.

Nr 1 wyszedł z pokoju i przyniósł jakieś notatki, z którymi usiadł przy dalszym biurku, porównując je z notatkami, sporządzonymi przez nr 7. „Kto to jest płk Świtalski?” — zapytał. Wyjaśniłem, że dawny premier, lecz jest paru Świtalskich, z których jeden pełni jakąś ważną funkcję w Komendzie (pamiętam nazwisko z planszy). „Czy nie jest to szef intendencji?” Odpowiedziałem, że „Denhoffa” nie znam i nie wiem jego nazwiska, ale być może. Nr 1 oświadczył, że to jest „Denhoff”⁸⁸, a przed tym nosił inny pseudonim. Z kolei zapytał, kto to jest Prezes? Odpowiedziałem, że pułkownik, z jakiej formacji przed wojną nie wiem; uchodzi w kołach wojskowych za specjalistę od zagadnień taktyki piechoty (zacząłem podawać to, co widziałem w wydawnictwie „Czy wiesz, kto to jest”). Nr 8 przerwał, stwierdzając, że nie o to chodzi, tylko o jego pozycję

86. Właściwie ppłk Władysław Galica, Główny Inspektor Wojskowej Służby Ochrony Powstania (WSOP), aresztowany 2 VI 1943 r. i zamordowany na Pawiaku 7 IX 1943 r.

87. Tego drugiego pseudonimu gen. Stanisław Rostworowski nie używał.

88. Mylna informacja: płk Świtalski był poprzednikiem płk. Z. Miłkowskiego, ps. „Denhoff”, na stanowisku szefa Oddziału IV KG AK.

obecną. Czy prawdą jest, że Prezes” jest najbliższym współpracownikiem i przyjacielem politycznym Pełczyńskiego. Odpowiedziałem, że oczywiście tak, są to serdeczni przyjaciele związani węzłami przyjaźni osobistej i politycznej, posiadający z racji światopoglądowych zdecydowanie wrogi do mnie stosunek z tym, że osobiste nasze stosunki są dobre, z Prezesem li tylko z powodów formalnych, z Grzegorzem zaś z racji mojej przyjaźni z wieloma jego dawnymi towarzyszami broni. Na zapytanie z jakimi, wymieniłem kilka nazwisk ludzi, będących za granicą.

Z powodu przerwy obiadowej nr 1 zakończył indagacje z miną wielce zadowoloną. Zachowanie wszystkich stało się niemal ugrzecznione. Poczułem, że zbliża się niemal najtrudniejszy moment, gdyż przesłuchujący po sprawdzeniu zakresu moich wiadomości wiele sobie obiecują po dalszym badaniu.

Po południu rozpoczął się dalszy ciąg przesłuchań na temat BIP-u i TWZW. W obszernym wyjaśnieniu odmalowałem im „obraz” swojej pracy technicznej w obcym i wrogim mi środowisku BIP-u i porażek politycznych, zakończonych w praktyce odsunięciem mnie od wszelkiego wpływu i kontaktu oraz ograniczenia mych funkcji do roli ściśle tytularnej, z której jedynym wyścitem dla mnie był przygotowywany „zamach stanu” w PZP. Cały ten czerpany z wyobraźni opis przedstawiłem zgodnie z zeznaniami we wstępnym śledztwie (nie powtarzam ich, patrz str. 8, 9 i 10), nadając im jednak więcej logiki i rozmaitych uzasadnień, co było ułatwione parlamentarnym sposobem prowadzenia rozmowy. Przerywano mi licznymi pytaniami, ogniskującymi zeznania na niektórych punktach. Niewiary nie wyrażano pod moim adresem, jedynie nr 7 dawał jej wyraz niejednokrotnie w rozmowie po niemiecku z nr 6 i nr 8 podczas tłumaczenia. Pozwalało mi to powracać do punktów kwestionowanych, oświetlając je w staranniejszy sposób. Zwracałem specjalną uwagę na minę i „szczery” swobodny ton moich wyjaśnień, robiłem to zresztą przez cały okres śledztwa. W momentach trudnych i wymagających namysłu ratowałem się dygresjami, zjeżdżając na inne tematy (np. na temat rzekomego konfliktu między mną i władzami — uzbrajać, czy nie uzbrajać drukarni). Stałe zwracano mi uwagę tak i teraz, jak i do końca pobytu w Al. Szucha, abym był mniej gadatliwy i nie utrudniał pracy, odbiegając ciągle od tematu.

Pierwszym zagadnieniem, na którym zogniskowało się zainteresowanie, była sprawa mojej współpracy z Komendą. Stwierdziłem, że z BIP-em nie musiałem współpracować blisko. Wzbudziło to zdziwienie, że jako politykowi nie zależało mi na tym, gdy w PZP ogniskuje się gros polskiego życia konspiracyjnego. Wyjaśniłem, że wystarczała mi możliwość w każdej chwili kon-

taktu z Borem, który obdarzał mnie pewną sympatią, wiedząc o moim opozycyjnym stanowisku do reszty BIP-u. Będąc człowiekiem nowym, po aresztowaniu Grota, chętnie porozumiewał się z ludźmi o niezależnym stanowisku, orientując się w ten sposób w istotnym kształtowaniu się nastrojów i poglądów. Zapytano, kiedy i gdzie widziałem się z Borem po raz ostatni. Odpowiedziałem, że w krótkim czasie po aresztowaniu Grota, gdy obejmował funkcję komendanta, na działkach. Na zapytanie dlaczego nie w lokalu, wyjaśniłem, że wówczas panowało ogólne zamieszanie z powodu nieoczekiwanego aresztowania Grota i lokale na ogół polikwidowano, nie wiedząc, czy aresztowanie Grota nie jest fragmentem jakiejś większej akcji. Od tego czasu datuje się wprowadzenie nowych surowych reguł w życiu Komendy. Komendant wówczas ustalił, że w każdej chwili na przyszłość mogę listownie prosić go o spotkanie, które natychmiast otrzymam. Nie wykorzystywałem tego, wskutek impasu politycznego, w jakim się znalazłem. Znacznie częstszy był mój kontakt z Grzegorzem, datujący się jeszcze z czasów mojej bliskiej współpracy z Grotem i Szczepanem. Był to już kontakt służbowy, przy którym zawsze był obecny Prezes. Wskutek licznych moich konfliktów politycznych z Prezesem, jako przełożonym, odwotywałem się nieraz do Grzegorza, który mimo, że obdarzał mnie sympatią, w zręczny sposób potrafił rozładować moje ataki, będąc związany węzłami politycznymi z Prezesem, dzięki czemu stale spełniałem rolę parawanu przed skrajną prawicą. Zapytano mnie dlaczego aresztowanie Grota nie wywołało żadnych większych wstrząsów w życiu konspiracyjnym, a zwłaszcza w PZP. Odpowiedziałem, że dzięki istnieniu zastępców na każdym szczeblu hierarchii konspiracyjnej. Wyrażono wątpliwość, czy to by wystarczyło dla uniknięcia wstrząsów, gdyż konspiracja, jak każda organizacja, stoi przede wszystkim na wybitnych indywidualnościach i zapytano, kto może być taką indywidualnością. Stwierdziłem, że kaliber ludzi, oczywiście, ma swoje znaczenie, lecz nie znając poza Borem, Grzegorzem i Prezesem nikogo z Komendy, nie jestem w stanie na to odpowiedzieć. Oświadczyli, że chociaż oni nikogo nie znają osobiście, tym niemniej wiedzą, że „PZP stoi na Pełczyńskim”, który jako były szef II Oddz. Sztabu miał od początku przygotowanie do pracy w warunkach konspiracyjnych⁸⁹.

Pytano mnie dalej, jak załatwiałem sprawy z innymi działkami Komendy, nie znając ich. Odpowiedziałem, że wszystkie niemal sprawy w konspiracji, na wysokim szczeblu szeroko poje-

89. Również w tym akapicie są liczne dezinformacje, serwowane Niemcom przez J. Rutkowskiego.

tej Komendy załatwia się tak w górę, jak w bok i w dół drogą korespondencyjną. Oczywiście, na niższych szczeblach konieczne są czasami kontakty w sprawach nie nadających się do załatwienia na piśmie, ale są b. rzadkie. U mnie już od długiego czasu załatwiali to zastępcy (Łukasz, Paweł), faktycznie prowadzący TWZW. Kontakty moje z Borem, Grzegorzem i Prezesem tyczyły się spraw politycznych, a nie technicznych i wojskowych. O tych ostatnich nic dlatego nie wiem, z wyjątkiem, oczywiście, rzeczy bardzo ogólnych, czerpanych głównie z kawiarnianych „gield” politycznych.

Zapytano mnie o tryb życia i pracy w Komendzie. Odpowiedziałem, że są to rzeczy b. indywidualne; niektórzy, jak słyszałem, nie opuszczają w ogóle mieszkań z wyjątkiem b. nielicznych wezwań do przełożonego. Mieszkanie jest dla nich jednocześnie miejscem pracy i kontaktów z najbliższymi współpracownikami. Lecz są to wyjątki. Większość natomiast pracuje na szeregu lokali w ten sposób, że każdy współpracownik zna tylko jeden lokal. W razie aresztowania lokal taki jest natychmiast i bezpowrotnie likwidowany. Wyrażono zdziwienie, twierdząc, że trzeba byłoby bardzo dużo lokali, o które jest, jak wiedzą, b. trudno. Oświadczyłem, że w Komendzie kieruje się wszystkimi sprawami za pośrednictwem tylko kilku najbliższych współpracowników, więc lokali tych b. dużo nie potrzeba, z drugiej strony na ten cel stoją fundusze w nieograniczonej ilości, które wszystko w tej dziedzinie mogą umożliwić. O ile się dobrze orientuję, to zawsze jest b. wiele lokali w rezerwie, dzięki czemu lokal, na którym ciąży choćby plamka podejrzenia, jest natychmiast całkowicie likwidowany. Stwierdzili, że są często praktykowane zbiorowe audiencje polityczne. Odpowiedziałem, że jest to duża przesada, lecz jeśli takie zebrania mają miejsce, to chyba wyjątkowo i w lokalach dostarczanych z zewnątrz i starannie sprawdzonych. Nieliczne spotkania polityczne i pozaorganizacyjne odbywają się w miejscach publicznych (knajpy). Wyrazili zdziwienie, że ludzie z najściślejszej Komendy chodzą do miejsc publicznych: „Wiemy, że jest zakaz chodzenia do lokali publicznych”. Odpowiedziałem, że niemniej tak jest, gdyż sam wszystkie swoje spotkania załatwiam w knajpach, gdzie łatwo mogą sprawdzić, że jestem tam doskonale znany (liczyłem, zresztą słusznie, że nie będą sprawdzać większości knajp warszawskich, a np. wymieniałem restauracje, gdzie mnie rzeczywiście znano). Później, podczas jeżdżenia samochodem, zdradziłem im sekret, że najwyższa Komenda po to wydała ostentacyjny zakaz chodzenia do lokali, aby móc tam załatwiać swoje kontakty. Pytano mnie, kto zna mieszkania członków Komendy; odpowiedziałem, że nikt absolutnie, nawet najbliżsi współpracownicy z

wyjątkiem chyba takich wypadków jak ja, którzy przez lekceważenie i wygodę połączyli mieszkania z miejscem pracy. Trzeba jednak pamiętać, że ja właściwie nie kryłem się, używając na mieście prawdziwego nazwiska.

Pytano, skąd czerpie się fałszywe dokumenty — odpowiedziałem, że nadsyła je na żądanie specjalne biuro, zwane Park⁹⁰. Wyrazili wątpliwość, czy Komenda czerpie stamtąd swoje dokumenty, gdyż po wpadce Parku przekonali się, że są b. kiepskie. Wyjaśniłem, że o innych możliwościach nie wiem, chyba może są jakieś prywatne; ja mam dokumenty z Parku. Zapytano mnie z duży naciskiem, czy Park wyrabia dokumenty Reichsdeutscheów. Gdy odpowiedziałem, że nic o tym nie wiem — sądzą, że nie, bo sam bym o nie prosił — stwierdzili, że jestem oszukiwany, bo wszystkie poważne osobistości od aresztowania Grota mieszkają i chodzą z dokumentami Reichsdeutscheów. Poza tym interesowało ich, czy nie ma w zwyczaju w Komendzie PZP mieszkania poza Warszawą, w dzielnicy niemieckiej itp.

Z kolei chcieli się dowiedzieć ściśle, gdzie widywałem się z Grzegorzem i Prezesem. Odpowiedziałem, że od b. dawna funkcjonował jeden z lokali Prezesa na ul. Mariensztat, gdzie wszystkie spotkania z nim odbywałem. Bywał tam też Grzegorz; lokal ten został zlikwidowany ok. 2 miesiące temu z powodu wyjazdu lokatorów, którzy podobno mieszkanie sprzedali. Od tego czasu Prezes nie wyznaczył mi żadnego ze swych lokali, szykując się wyraźnie do zupełnego „urwania” mnie. Co pewien czas na tym lokalu odbywały się zebrania z innymi szefami wydziałów, gdzie się omawiało sprawy ogólne. Innego kontaktu nie potrzebowałem, zwłaszcza, że stosunek do mnie całego BIP-u był niezmiernie przykry. Przekonywano np. Prezesa, że mogę ich „wyspać” z motywów politycznych; mówiła mi o tym Ewa, która gdzieś to wyszperała. Intrygi te spowodowały pewne „urwanie” mnie z lokali w okresie zaostrzenia się sytuacji politycznej w Kraju w związku ze zbliżaniem się bolszewików⁹¹. To ostatnie tłumaczenie podają jako przykład licznych wykrętów tego rodzaju. Wyjaśniłem im dalej, że te mieszkania, jak i lokale są b. często zmieniane i że są trzymane w najsurowszej wzajemnie tajemnicy, gdyż aresztowanie kogokolwiek z Komendy pociąga natychmiastową, całkowitą likwidację znanych mu lokali bezpowrotnie. Jest to podstawowy dogmat zachowania bezpie-

90. Kryptonim „centralnej legalizacji”, funkcjonującej w ramach Oddziału I KG AK. Trzeba zaznaczyć, że TWZW miało własną legalizację i nie potrzebowało dokumentów z „Parku”.

91. Całkowita dezinformacja.

czeństwa Komendy. Kto i jaki tryb życia pędzi, określić nie mogę, niech nie zapominają, że w konspiracji nikt na interesowanie się takimi rzeczami czasu nie posiada, będąc zajęтым pracą twórczą, a ludzie, tak jak ja, odsunięci od wpływów, znacznie ciekawszym życiem osobistym (robiłem z siebie w sposób dyskretny kobieciarza, karciarza, pijaka itp.).

Mimo najbardziej starannych przekonywań wyraźnie nie chcieli wierzyć, aby można było pracować przy tak luźnych kontaktach. Wyjaśniłem, że jest to możliwe dzięki doskonałemu systemowi korespondencji. Wygląda on tak: każda komórka, na każdym szczeblu ma swoją pocztę, na którą przynoszone są przez łączniczki listy od członków tej komórki, które z kolei zabierają korespondencję w dół. Od czasu wprowadzenia patrołowań na mieście i wpadek łączności łączniczki nie przynoszą już korespondencji na lokal, tylko za pośrednictwem pomocniczki doręczają ją w pakiecie w punkcie, wyznaczonym w pobliżu lokalu, na którym poczciarka wraz z pomocniczkami segreguje pocztę, odbierając z kolei pakiet dla siebie. Identycznie dzieje się na poczcie niższego szczebla. Dzięki temu przeszkolone przez łączność łączniczki nie potrzebują chodzić obciążone po mieście. Kursy po mieście odbywają nie przeszkolone ochotniczki, na skutek czego wpadka kurierki na mieście nie może pociągnąć za sobą żadnego zagrożenia, gdyż kurs po mieście odbywają osoby, nie znające żadnych lokali, a właściwie nawet nie będące członkami organizacji. System ten daje doskonałe wyniki, gdyż dzięki temu można być całkowicie spokojnym, mimo funkcjonowania po mieście dużej ilości kobiet (czasami są to mężczyźni), których odporności na badanie nie dałoby się we wszystkich przypadkach przewidzieć⁹². Kto nie wie, nic nie powie. W Komendzie odstąpienie od tych zasad możliwe jest tylko w wypadku alarmu; rzecz niesłychanie rzadka. Poza tym przeszkolona łączność dba o sprawne funkcjonowanie aparatu, każda łączniczka na swoim wazutkim odcinku. Ostatnie straty, które były, ograniczyły się już tylko do nic nie wiedzących pomocniczek. O ile wiem, to członkom sztabu doręcza pocztę nawet nie łączniczka, tylko osobista sekretarka, która ją odbiera od łączniczki poza lokalem, na mieście, w pobliżu. Dzięki temu systemowi można doskonale korespondować z całą organizacją, załatwiając na piśmie nawet bardzo skomplikowane sprawy. Czas, który pochłania pisanie, wynagradzany jest dowódcom brakiem potrzeby poruszania się po mieście. Zmieniany stale

92. Znów dezinformacja, tym razem o łączności; por.: *Polskie Siły Zbrojne w Drugiej Wojnie Światowej*, t. III — *Armia Krajowa*, Londyn 1950, s. 215-262.

system adresowy pozwala na współpracę ludzi, którzy nigdy ze sobą się nie widzą, a nawet nie znają.

Przesłuchujący wykazywali doskonałą znajomość zasad naszej łączności pocztowej, natomiast wprowadzony przeze mnie „element pomocniczy” wywołał wielkie poruszenie. Nr 7 nazwał „świństwem” zastanianie się osobami spoza organizacji. Powiedziałem, że dyktują to wyższe potrzeby i wynika dłuższa rozmowa na temat wrodzonej zdolności Polaków do konspiracji. Twierdzili, że „dobrodusznych i szczerych Niemców nie stać byłoby na taką perfidię”. Wyraziłem zdziwienie, że tego nie wiedzieli, bo przecież ujęte łączniczki musiały im niejednokrotnie mówić — i niewątpliwie sprawdzili, że one nic nie wiedzą. Stwierdzili, że na ogół istotnie tak jest, lecz wiele łączniczek wiedziało jednak b. wiele i mówiło. Wyraziłem pewność, że musiały to być łączniczki z dołów organizacji, gdzie, oczywiście, zasady te nie są już tak surowo obserwowane lub że przypadkowo trafiła im się wtajemniczona łączniczka, która normalnie nie powinna była nic mieć przy sobie, odbywając dłuższy kurs przez miasto. Komendy nie sposób jest osiągnąć przez łączność. Pytano mnie, czy poczty i spotkania nie są często załatwiane w kościołach; odpowiedziałem, że bardzo często, zwłaszcza odbywają się tam kontakty z pomocniczkami (kurierkami). Pytano, skąd się czerpie tyle elementu ochotniczego; wyjaśniłem, że nie przedstawia to kłopotu, gdyż ochotników jest znacznie więcej, niż potrzeba. Nr 8 stwierdził, że orientuje się w tym, gdyż np. „w Kedywie potrzebna jest protekcja do dostania się”.

Gdy rozwodziłem się nad niechęcią polityczną w BIP-ie do mnie, pytano mnie, kogo w BIP-ie znam. Wyjaśniłem, że nie znam tam blisko nikogo, gdyż są to ludzie, z którymi przez cały okres swojej pracy politycznej przed wojną w ogóle się nie stykałem, a żadnych wybitnych nazwisk tam nie ma. Jest to dla mnie niejasna, mafijna mgławica. Poza Żencykowskim, którego znam sprzed wojny, wiem, że tkwią w BIP-ie niejaki Wardejn-Zagórski i Makowiecki⁹³. Próby rozszyfrowania tego środowiska, dokonywane przeze mnie nie dały wyniku, natomiast z NSZ i KN mówiono mi, że mają już bardzo szczegółowe dane na temat całej Komendy PZP i w dwa dni po aresztowaniu miałem umówioną właśnie zasadniczą konferencję z przywódcami NSZ i Szańca, gdzie mieliśmy ostatecznie ustalić plan wykonawczy i terminaż akcji zmiany kierownictwa PZP. Współpraca moja z NSZ polegała na tym, że ja dostarczałem możliwości kontaktu do najistotniejszych politycznych dowódców w PZP, oni zaś

93. Jerzy Makowiecki, szef Wydziału Informacji BIP-u KG AK i przywódca podziemnego Stronnictwa Demokratycznego.

dysponowali wszystkimi możliwościami ludzkimi, będąc dużą organizacją. W tym celu — mimo porażek politycznych — utrzymywałem się za wszelką cenę na tytularnym stanowisku w PZP, w czym odgrywała również rolę potrzeba pieniędzy na życie. Podstawą do „zamachu stanu” miało być włączenie NSZ do Armii Krajowej⁹⁴. Sam nawiązywałem listownie kontakt w tym celu dla przywódców NSZ. Zapytują mnie, z kim się kontaktuję i współpracuję z NSZ. Odpowiedziałem, że zgodnie z „umową”, zawartą z nr 1, nie chcę w tym wypadku odpowiadać, a z rozmowy politycznej, którą mamy odbyć, wyniknie — dlaczego. W każdym razie jest to sam szczyt. Żałuję bardzo natomiast, że nie mogę podać im nazwisk i bliższych danych o BIP-ie, lecz tak się składa, że przyjaciół się dobrze zna, a nie-przyjaciół, zwłaszcza w konspiracji, niemal wcale. Mogę im tylko powiedzieć, że kiedyś byłem w najbliższym kontakcie z płk. Oziewiczem, wielkim moim przyjacielem (nie widziałem go w życiu na oczy)⁹⁵, a ze Stronnictwa Narodowego z Bajkowskim, którego jednak „mafia” z PZP zgładziła⁹⁶. Ludzi żyjących nie będę natomiast wymieniał, dlatego, że znam z najgorszej strony obyczaje Gestapo, które wszystko, co dostanie w rękę, naciska, choć nieraz tym samym wzmacnia żywioły probolszewickie. Dałem przykład śmierci w Majdanku Dunin-Borkowskiego, mojego przyjaciela, wybitnego przedstawiciela antybolszewickiego kursu, która to śmierć „ułatwiła działalność PPR-owi znacznie więcej niż legion spadochroniarzy z Moskwy”. Nazwisko Borkowskiego wywołało poruszenie i rodzaj zamieszania. Nr 8 mruknął, że niestety zdarzały się wadliwe posunięcia, ale to należy do przeszłości. Nazwisk z NSZ i innych moich przyjaciół politycznych nie żądają, zapytali się tylko przez ciekawość, gdyż doskonale się w tym orientują i niesłusznie ich posądzam o „niedźwiedzią głupotę”. Powiedzieli, że będą mnie później prosić jeszcze o szereg wyjaśnień drobnych w sprawie BIP-u.

Począwszy od tego momentu stale już naprzykrzałem się przesłuchującym z zakłęciami, aby „doniosłe” rzeczy, które im komunikuję, trzymano w najściślejszej tajemnicy, gdyż grozi mi zgładzenie przez „mafię” w PZP. Uspokajano mnie początkowo zdawkowo, później ze wzrastającą irytacją.

94. Rutkowski nawiązał tutaj do podpisanej 7 III 1944 r. przez komendanta AK i kierownictwo NSZ umowy o scaleniu obu organizacji, ale inne podane przez niego fakty są całkowicie nieprawdziwe.

95. Płk Ignacy Oziewicz, komendant NSZ od 20 IX 1942 r. do aresztowania 9 VI 1943 r.

96. Jan Bajkowski, kierownik Centralnego Wydziału Propagandy i członek Zarządu Głównego SN, zamordowany został w niewyjaśnionych do dziś okolicznościach 17 XI 1942 r. w Warszawie.

W czasie przesłuchań w sprawie TWZWW, które miałem już ułatwione przez podmalowanie „klimatu” politycznego, powtórzyłem raz jeszcze obszerniej swoje poprzednie zeznania (str. 8, 9), objaśniając je tak jak we wstępnym śledztwie na odpisie budżetu, tłumacząc, że główną przyczyną mojej nieznamomości trzech punktów (drukarni) jest obawa Prezesa przed możliwością wpływania przeze mnie, w razie potrzeby, na kierunek propagandy. Wyrażono wątpliwość, czy jest rzeczą możliwą, żebym jednak zupełnie się nie orientował nawet w lokalach, których mam — jak wynika z budżetu — aż siedem. Dodałem im wobec tego jako „argument”, że przy dużych sumach pieniężnych (na kwiecień budżet mój był wyjątkowo duży, gdyż zawierał pozycję do wyliczenia 400 tysięcy, przeznaczoną na budowę drukarni, co podwajało mój przeciętny, normalny budżet), jakich wymaga praca techniczna, podwładni we własnym interesie pilnowali, abym jak najmniej wiedział, do czego mieli prawo formalne. Dlatego nie było niedyskrecji. Z musu trzeba było przymykać oczy na rozmaite niedokładności (argument ten trafił im bardzo do przekonania). Poza tym sprawy techniczne nudziły mnie i uważałem je za zło konieczne, które chętnie prze-walałem na innych. Ważnym powodem niezrzeknięcia się ich w ogóle przeze mnie była pensja. Wyrażano zdziwienie, że tak niska suma mogła mnie interesować; powiedziałem, że miałem poza tym wysoki fundusz dyspozycyjny, przesyłany na moje ręce z Wydziału Finansowego poza budżetem⁹⁷. Nie mogą wymagać ode mnie cudów i muszą zrozumieć, że nie mogę być jednocześnie politykiem i drukarzem. Od tego ostatniego istnieją fachowcy, ja zaś jestem w tej dziedzinie zupełny laik. W ogóle niech nie wymagają ode mnie, abym wiedział, co znać może wykonawczy, techniczny personel. Mogą być pewni, że nie oszczędzałbym drukarni, nie będących w moim ręku, gdybym cokolwiek wiedział, zwłaszcza, że i tak właściwie się już „zeświniłem”, mówiąc im znacznie ważniejsze rzeczy z dziedziny politycznej i dekonspirując nazwiska niemal większości Komendy.

O niewiedzy mojej mogą się zresztą łatwo przekonać, sprawdzisz, że prasa PZP ukazuje się. Nawet gdybym był „pewnym” człowiekiem, to punkty i lokale, które znam, dawno byłyby już zlikwidowane. Nr 6 potwierdził, że „Biuletyn Informacyjny” ukazuje się. Oczywiście mam jednego zaufanego człowieka (z pochodzenia Ukrainiec), związanego ze mną od dawna; pełni on jednak drugorzędną rolę z tych samych powodów, co i ja, gdyż jest nawet zwolennikiem zmiany stosunków w PZP z pomocą Gestapo. Ostatnio nawet dochodziło ze mną na tym tle do konfliktów z nim, gdyż uważałem Gestapo za niezdolne do żadnej inteligentniej-

97. Nie było w BIP-ie ani takiego wydziału, ani funduszu.

szej akcji (ostentacyjne słowa protestu)⁹⁸. Jest nim Zdzisław, którego oczywiście znam nawet nazwisko policyjne i mieszkanie, jednak nie będę tego mówił pod żadnym pozorem, bo „przyjaciół” nie wydam. Boję się nawet, aby go nie „sprzątnięto”, gdy będzie chciał objąć po mnie TWZW, bo tak mu — w razie czego — kazałem (zorientowałem się przy oglądaniu budżetu, że imię „Zdzisław” nic im nie mówi, a „zasypanie” było bądź anonimowe, bądź pod jakimś zdawkowym nazwiskiem, np. „Michalski”. Na podanie w razie przymusu nazwiska i adresu Zdzisława byłem przygotowany, licząc, że jeśli sprawdzą, że nie żyje, to potwierdzi to moje zeznania w sposób b. poważny. Jeśli zaś będą wiedzieli, że to on mnie zadencuncjował, to nie będą się temu dziwili. W obydwu zaś wypadkach nie robiłem z siebie skończonego durnia, który nie zna nikogo z podwładnych, poza dwoma, niepolicyjnymi nazwiskami. Gdyby zaś sprawdzony był tryb życia Zdzisława — powiedziałem, że widywałem się z nim w „Maximie” — to potwierdzi to moją sylwetkę, którą sugerowałem usilnie przesłuchującym. Podaję to jako przykład tricków, których obficie używałem. Początkowo nalegano, abym podał adres i nazwisko, lecz gdy uparłem się przestano nalegać i mimo kilkakrotnego później poruszania tego tematu danych nie żądano.

W czasie przesłuchań zachodził kilkakrotnie nr 1 (urzęduje w gabinecie *vis à vis*) i wysłuchawszy od przesłuchujących krótkich sprawozdań wyrażał niewiarę, abym nie znał nazwisk, adresów, lokali, a zwłaszcza drukarni. Pierwszy raz bodaj przyszedł z jakąś notatką w rękę, pytając czy Kowalik „może mieszkać na Mokotowie, na Puławskiej”. Odpowiedziałem, że tak samo dobrze jak gdzie indziej, gdyż zmienia pewno mieszkania co 2 tygodnie. Gdzie mieszka, wiedzieć nie mogę. Było to b. niepokojące pytanie, gdyż ogólnie wiedziałem, że Kowalik mieszka na Mokotowie. Wyglądało, że jest to stara jakaś wiadomość, gdyż nacisku na nią nie kładziono i nr 1 miał minę wahającą się. Pokazał mi również fotografię Kowalika — wyraźnie po to, aby sprawdzić moją prawdomówność (po odpowiedzi odstąpił mi nazwisko w dokumencie z zadowoloną miną).

W miarę posuwania się przesłuchań niewiara nr 1 była coraz ostrzej wyrażana. Ugrzeczniony sposób bycia sprzed południa zniknął coraz bardziej za każdymi odwiedzinami. Początkowo brak wiary wyrażał do mnie, później rozmawiał już tylko z agentami, którzy jako już dobrze obznajomieni z całokształtem moich tłumaczeń i ich logiką od siebie wyjaśniali, nie tłumacząc mi o co chodzi. Nr 1 wszelkie tzw. przez nich „sprawy polityczne” traktował pogardliwie lub ironicznie, kon-

98. Zupetna fikcja i fantazja.

centrując całą uwagę na braku danych rzeczowych. Pod koniec oświadczył mi, że nie może w to zupełnie uwierzyć, abym nic nie znał, zwłaszcza drukarń. Oświadczyłem mu, że wszystko co wiedziałem, powiedziałem w pierwszym okresie śledztwa, a teraz to powtarzam z wyjątkiem różnych danych na temat „góry”, o które mnie wtedy nie pytano, ale które podałem teraz. Zacząłem mu od początku wszystko tłumaczyć, do czego nie dopuścił. Zaręczyłem kategorycznie na jego uroczyście zadane pytanie, że mówię wszystko co wiem. Niech pamięta, że na wolności dzięki systemowi pracy w konspiracji porozumiewanie się ze wszystkimi i załatwianie różnych spraw odbywa się sprawnie i bez trudu, dlatego żaden dorosły człowiek bez potrzeby nie będzie poświęcał czasu na zbieranie niepotrzebnych mu wcale wiadomości i danych. Członek konspiracji nie jest policjantem. Nr 1 zaczął grozić przymusem. Udałem obrażonego i odmówiłem ostentacyjnie dalszego wyjaśniania czegokolwiek, wyrażając żal, że mój ujemny sąd o Gestapo był trafny i szkoda, bo przy „rozmowie politycznej” miałem zamiar powiedzieć im ważne rzeczy, kierując się m.in. swoim „interese politycznym”. Nr 1 nieco się zreflektował i ostrzegł mnie przed skutkami kłamstwa, zapowiadając, że „i tak mają sposoby na wykrycie drukarń”, o całym PZP natomiast wiedzą znacznie więcej niż ja i jeśli mnie o to wypytują to tylko dlatego, że mogę coś wiedzieć, co im się może przydać.

Do słów nr 1 żadnej wagi nie przywiązywałem, pojmując, jak sędzę, dobrze metody i cały system chwytów Gestapo. W twierdzeniach jego mógł być bardzo duży procent prawdy z wyjątkiem konkretnych danych adresowych, o które im przede wszystkim chodzi. Agenci zaczęli coś przekładać nr 1 i naradzać się po cichu, odszedłszy w kącie, po czym nr 1 wyszedł w towarzystwie nr 7.

Pozostali Nr 8 i nr 6. Nr 6 pracował przy swoim biurku, bądź udawał, natomiast nr 8 zaczął tłumaczyć mi w sposób niezwykle wymowny, abym nie przejmował się „ignorancją” nr 1, lecz „Niemcy, a zwłaszcza szef nie orientują się w polskich stosunkach i trzeba ich przekonywać”. Inna sprawa jest z nim — tłumaczył. Zna doskonale polskie stosunki jeszcze z okresu czasów przedwojennych. Na moje stwierdzenie, że robi na mnie wrażenie b. polskiego urzędnika z administracji, uniknął odpowiedzi, zmieszawszy się nieco (później podczas jazdy samochodem stwierdził, że był urzędnikiem w polskiej administracji, a nawet tkwił niedawno w „polskich organizacjach konspiracyjnych”). Z naciskiem twierdził, że rozumie doskonale moje stanowisko i mogę z nim mówić nie kłepując się zakresem tematów w przeciwieństwie do nr 1. Orientowałem się, oczywiście,

od początku serii przesłuchań, że przydzielona mu jest rola „przyjaciela”.

W oczekiwaniu na nr 7, który długo nie wracał, nr 8 zainaugurował rozmowę na tematy ogólne, której przysłuchiwał się, a czasami brał udział nr 6. Wykorzystałem tak jak zwykle tę rozmowę dla podmalowania mocniejszego tła dla swoich zeznań, traktując ją wyłącznie utylitarnie.

Zostałem zagadnięty, co sędzę o przebiegu wojny i o całokształcie sytuacji politycznej. Wyraziłem przekonanie, że sytuacja Niemiec jest niezwykle ciężka. Rachuby na poróżnienie Anglosasów z Sowietami nie dają i nie dadzą żadnych wyników, przynajmniej do końca wojny z Niemcami. Niemcy bezwzględnie muszą skapitulować i w tym leży ich ratunek. Wyraziłem przypuszczenie, że zrobią to tak zrećźnie, jak zrobili w ubiegłej wojnie, nie ponosząc całego ciężaru przegranej. Wtedy mogłyby się stać najpoważniejszym elementem we froncie antybolszewickim, który mógłby się z udziałem Anglosasów utworzyć. Największym minusem Niemiec jest wadliwa polityka, jaką stosowali w Europie, a zwłaszcza w stosunku do Polski i Polaków. Masowy terror rzuca szerokie rzesze społeczeństwa w objęcia komunistów, którzy po przesunięciu się frontu za Wisłę według dyrektyw Moskwy mogą utworzyć tu rząd, będący wstępem do włączenia polskich obszarów do Związku Sowieckiego, a tym samym całkowitego starcia polskości. Niemcy każdym swoim krokiem ułatwiają to, z dziwną ignorancją stosunków w Polsce pomagając bolszewikom. Jeszcze kilka miesięcy takiej polityki, a możliwość udziału Polaków w antysowieckim froncie stanie się zupełnie nierealna. Już od bardzo dawna doszło do tego, że żaden odpowiedzialny polityk w Polsce nie podejmie się współpracy z Niemcami, nawet najbardziej wrogo nastawiony wobec bolszewizmu. Wina tego leży po stronie Niemców, zbyt zaślepionych początkowymi sukcesami. Przed politykami o szkole antybolszewickiej, zwłaszcza tak jaskrawej jak moja, powstała konieczność walki na dwa fronty, z tym że obecnie front antysowiecki wysuwa się zdecydowanie na czoło. Współpraca z Niemcami jest niemożliwa po bliskiu pięciu latach polityki terroru i eksterminacji. Dla ludzi mojego pokroju nie ma drogi wyjścia, gdyż na jakąkolwiek poważną akcję przeciw bolszewikom nie ma już właściwie czasu, zwłaszcza biorąc po uwagę wielkie straty w ludziach, spowodowane przez działanie Gestapo. Z dziwnym uporem w tak krytycznej tak dla Niemców jak i Polaków sytuacji prowadzą śmieszne w swym biurokratyzmie aresztowania, śledztwa, przesłuchania itp. Moja sprawa jest tego najlepszym przykładem. Nie o adresy i nazwiska łączniczkek trzeba pytać, ale w ogóle przekonstrować całą linię polityczną.

Rozmowa nosiła charakter dyskusji i nie było to przemówienie z mojej strony. Agent dążył wyraźnie do osiągnięcia celów praktycznych, które i ja w miarę postępowania rozmowy starałem się mu sugerować w odniesieniu do mojej osoby. Rozmowę tę szkicuję wiernie, nie jestem jednak w stanie odtworzyć jej drobiazgowo. Wiele moich twierdzeń było odpowiedziami na pytania i odwrotnie. Pogawędki na tematy polityczne zdarzały się później wielokrotnie, identycznie po tej samej linii.

Nr 8 zgodził się z moim pesymistycznym poglądem na temat trudnej przyszłości Niemiec, stwierdzając jednak, że z ciężkiej tej sytuacji wybrną przez stanie się ośrodkiem koncentracji wszystkich sił antysowieckich w Europie. Do okupacji swoich obszarów nie dopuszczą w żadnym wypadku, z tym oczywiście, że zajęcie przez bolszewików Gen.[eralnej] Gub. [erni] jest b. możliwe. Winę za terror stosowany przez Niemców składał na Polaków, którzy nie okazywali — jego zdaniem — żadnej chęci do współpracy, będąc romantykami, wykorzystywanymi tak przez Anglików, jak i bolszewików. Masy polskie są niewątpliwie antybolszewickie, tak jak i wszystkie właściwie polskie organizacje konspiracyjne. Niemniej o polityce tych organizacji decydują nie poglądy ich członków, lecz niestęchanie sprytna mafijna polityka góry tych organizacji, a przede wszystkim PZP. Nieliczna klika nim rządząca, opanowana głównie przez Żydów, posiada wyraźnie probolszewickie cele, maskowane jedynie potrzebą liczenia się z ogólnymi nastrojami, nie wyłączając oficerów AK. Stwierdził, że wielu oficerów zgłasza się na rozmowy już od dłuższego czasu, które chętnie z nimi odbywają (opisał mi m.in. sposób kontaktowania się z jakąś grupą oficerów). Myślę się, twierdząc, że Gestapo nie jest zorientowane w najistotniejszych zagadnieniach życia polskiego w konspiracji. Znają je, będąc potężnym aparatem, lepiej niewątpliwie ode mnie, nie zwracając jednak uwagi na rzeczy drugorzędne, pod których sugestią ja pozostaję tak jak, niestety, większość działaczy antybolszewickich. Mają np. niezbite dowody, że gen. Rostworowski, czyli „Rola”, wyjeżdżał do Moskwy b. poufnie w celu odbycia rozmów. Tak samo Wanda Wasilewska bawiąc w Warszawie, konferowała poza PPR-em z zaufanymi ludźmi w „górze” PZP, w tym niewątpliwie z Pełczyńskim⁹⁹. Poza tym myślę się, sądząc, że PPR nie jest tak zwalczany przez Gestapo, jak PZP. Jest tylko taka w tym różnica, że PPR — ich zdaniem — nie odegra większej roli, gdyż składa się z ludzi mało ważnych, natomiast Armia Krajowa organizująca najważniejszą część społeczeństwa

99. W tym miejscu Niemiec dezinformował Rutkowskiego, bądź jego informacje były tak fałszywe.

polskiego, wbrew intencjom swych członków, zostanie użyta dla celów bolszewickich przez „mafię”, która oczekuje tylko odpowiedniego momentu, niewątpliwie zbliżającego się. Członków AK nie prześladują jako takich, tylko chcą zdobyć możliwości dotarcia do „góry” oraz wytrącić probolszewickiej i proangielskiej „klice” narzędzie realizacji jej przewrotnych celów. Masowy terror dyktują li tylko potrzeby wojny. Gdyby nie było zamachów na pociągi, aktów dywersji, które praktycznie Polakom nic nie dają, a nawet szkodzą, stanowiąc tylko pomoc dla bolszewików, gdyby nie było osłabiającej front wschodni „szpiegowskiej”, rozkładowej propagandy w języku niemieckim — nie byłoby terroru. Do tego ostatniego sam przykładałem rękę. Dlatego, póki nie zorientowali się, że było to mimo woli, traktowali mnie ostro. Nie może zrozumieć nastroju rezygnacji z ambicji politycznych, którą widzi u mnie. Do odpowiednio wielkich celów w obliczu zbliżających się, krytycznych dla wszystkich czasów trzeba stosować odpowiednio radykalne i mocne środki. Nie powinienem się obawiać współpracy z władzami niemieckimi, zwłaszcza, że ostatnio dużo się zmienia i jednakowe traktowanie wszystkich Polaków może należeć do przeszłości; zależy to tylko od ludzi tak zdających sobie sprawę z zagadnienia bolszewickiego, jak ja.

Początkowo zacząłem polemizować z nr 8, wyjaśniając, że jeśli chodzi o „Rolę”, to ulegają jakimś błędnym plotkom. Chodzi prawdopodobnie o „Rolę” z PPR-u¹⁰⁰. Wykluczone jest, aby gen. Rostworowski jeździł do Moskwy. Kto jak kto, ale nie on. Pozostaje to zresztą w sprzeczności z tym, co sami mi o nim mówili. Tak samo prawdopodobnie plotką jest przyjazd Wasilewskiej, a tym bardziej rozmowy z komendantem PZP. W miarę orientowania się w taktycznym celu rozmowy z ich strony, polemizowałem już tylko w ten sposób, aby „wykazywać” poważne traktowanie rozmowy i przejęcie się nią, dając się krok za krokiem przekonywać. I tak np. oświadczyłem, że nie mogę uwierzyć, by Bór działał w zмовie z Wasilewską i Berlin-giem. Nr 8 stwierdził, że Bór nie jest w mafii, jednak ułatwia jej działanie, osłaniając ją mimo woli przed oczami polskich kół konspiracyjnych. Chętnie by z nim na ten temat porozmawiali.

Zdają sobie sprawę, że największe straty poniosła, niestety, prawica, lecz jest to jej wina, gdyż pozwala się wykorzystywać przez lewicę, która pilnując, aby się nie narażać osobiście, dąży do utrzymania w swym ręku władzy politycznej, której w odpowiedniej chwili użyje, niszcząc całą prawicę. Władza PZP pozostaje w rękach ludzi skrajnie lewicowego nastawienia, przygo-

100. Gen. Michał Żymirski.

towujących się do stworzenia na terenach polskich sytuacji jugosłowiańskiej¹⁰¹. Żadne zamachy stanu wewnątrz konspiracji do niczego nie doprowadzą, dlatego, że prawica działa zbyt otwarcie. W momencie ewentualnego wkroczenia bolszewików wszyscy przywódcy prawicy będą tak samo niszczeni jak ludzie zaangażowani po stronie niemieckiej. Tak i z punktu widzenia interesów prawicy jak i interesów ogólnych walki z bolszewikami dopuścić do tego nie można. Nie da się tego zrobić bez współpracy z władzami niemieckimi, gdyż obecnie leży to tak samo w ich interesie, dotychczasowe zaś wzajemne błędy powinny być „pozostawione sądowi historii”.

Stale polemizując, pozwalałem się przekonywać. Stwierdziłem np., że dywersja była prowadzona dotychczas w rozmiarach umiarkowanych, nie dotykając wojska niemieckiego i była podjęta na skutek postępowania Niemców, przede wszystkim policji. Nr 8 stwierdzał, że powstanie ma za zadanie nie tyle odzyskanie wolności, ile ułatwienie objęcia władzy przez lewicę, w stosunku do której nastawienie Moskwy ulegnie zmianie, gdyż Berling i Wasilewska Stalinowi już nie wystarczą. Wyrażałem stale brak zaufania do zdolności i miarodajności Gestapo w ustalaniu jakichś planów politycznych. Nr 8 zapewniał mnie, że jeśli śledztwo będzie zakończone, to będzie mógł być nie tylko anulowany wyrok śmierci, ale zostanie później zawieszony do Krakowa w celu odbycia odpowiednich rozmów politycznych, gdzie będę mógł wpłynąć na wiele spraw, w tym na bieg propagandy antybolszewickiej ze strony Niemców na pewno.

Widząc, że propozycje zmierzają w zgoła nieoczekiwanym i niepożądanym kierunku, oświadczyłem kategorycznie, że nigdy się na to nie zgodzę, gdyż w obecnej sytuacji jest to śmierć nie tylko cywilna, lecz i fizyczna dla polityka. Nie da to żadnych skutków, a ja mam duże ambicje polityczne, z którymi się wprawdzie ostatnio rozstałem, lecz które pod wpływem tej rozmowy wydają mi się znowu realne. Pragnąłem wówczas doprowadzić jedynie do wożenia mnie po mieście w celu „ujęcia” osób dla Gestapo, podczas czego spodziewałem się, że uda mi się uciec jeśli uspię trochę ich czujność. Poza tym zacząłem spostrzegać możliwość wypuszczenia mnie, o ile nie popełnię błędu zwłaszcza, że wzbudzenie zaufania mogło tylko opierać się na bardzo kruchych podstawach. Dlatego oświadczyłem, że muszę przemyśleć treść naszej rozmowy, gdyż jestem nią zaskoczony. W każdym razie, o ile nie wykluczam możliwości „dyskretnej” współpracy z policją (zasypałem agenta szeregiem komplementów), to wykluczam na razie możliwość współpracy

101. Całkowicie nieprawdziwa informacja.

jawnej z przedstawicielami czynników politycznych. Spodziewam się, że będę miał możliwość omówienia tego gruntowniej przy zapowiedzianej i obiecanej przez nr 1 „rozmowie politycznej”, o którą sam prosiłem, pragnąc zaznajomić bliżej ze swoją sylwetką polityczną. Teraz widzę, że będzie ona mogła mieć znacznie szerszy i konstruktywny charakter. Kto wie, czy nie pozwoli mi to wyjść z odrętwienia politycznego, w jakim się znajduję.

Nr 6, zdradzający wielkie zainteresowanie rozmową, zapewnił mnie, że gdy tylko szef (nr 1) zostanie przekonany o mojej kompletnej prawdomówności, to rozmowę tę odbędzie się. Nr 8 zaczął mnie uprzedzać, że „Niemcy” w Gestapo dają się z trudem przekonać i wymagają jakichś konkretnych dowodów gotowości do współpracy, w przeciwstawieniu do niego, który mi, oczywiście, całkowicie ufa. W zakończeniu rozmowy dodał, że w najbliższych dniach będziemy mogli wracać jeszcze do tych tematów, bo być może, że będę im potrzebny przy wykonaniu „pewnych” prac biurowych, które mają nakazane.

Następnego dnia 13 V po południu, zostałem wezwany na górę, gdzie z udziałem maszynistki agencji zajęci byli sporządzaniem, jak się domyślałem (później w samochodzie potwierdzono moje przypuszczenia), zestawień materiałów i wiadomości, posiadanych na temat PZP. Leżały posegregowane stopy różnych notatek, kartek, maszynopisów, powielaczywych odbitek i innych materiałów. Były tam również moje papiery, uporządkowane starannie. Nie pozwolono mi się zbliżyć do papierów i zaczęto zadawać szereg luźnych pytań. Chodziło im o organizację poszczególnych oddziałów Sztabu. Oświadczyłem, że nie orientuję się w tym zupełnie, stykając się z innymi oddziałami sztabu b. rzadko za pośrednictwem jedynie korespondencji. Pamiętam trochę i to z dawniejszych czasów luźnych pseudonimów. Zapytano mnie, co znaczy kartka w moich papierach, zaadresowana „33 U”. Wyjaśniłem, że jest to korespondencja adresowana do III Oddziału Sztabu. Agent zajrzał do jakiejś wyszukanej notatki, później do planszy (bodajże schematu Sztabu PZP) i zapytał, czy „U” to może być „Uroczysko”. Odpowiedziałem, że jest tam jakieś Uroczysko, ale kryptonimów nie pamiętam. Zapytano, co wobec tego może znaczyć „33 U”. Odpowiedziałem, że tak adresowało się w sprawach druków wyszkoleniowych, co zresztą wynika z treści kartki. Z kolei zapytano, czy korespondowałem z „Knieją”. Odpowiedziałem, że nie słyszałem tej nazwy, być może, że jest to „33 K” — komórka, z którą załatwiano się sprawy druków wyszkoleniowych artylerii. Stwierdzili, że to jest właśnie „Knieja”, tylko pisze się nie „K”, a „Kn”. Co to jest „22”? Odpowiedziałem, że zdaje mi się, że to samo, co „33”.

Zapytano mnie, czy są jakieś oddziały w Sztapie o numeracji dalszej niż „Kedyw”. Powiedziałem, że są rozmaite pomocnicze biura, ale nie orientuję się w tym bliżej; wiem tylko, że jest jakiś oddział, poświęcony sprawom administracyjnym, na czele którego stoi jakiś „Benedykt” (widziałem to z planszy), którego nazwiska nie znam. Podano mi jakieś nazwisko, ale nie pamiętam go.

Zaczęto mnie wypytywać o rozmaite kryptonimy i całą masę różnych pseudonimów, głównie imion, nieznanymi mi. Nie pamiętam ich, gdyż koncentrowałem wówczas uwagę na umocnieniu sobie w myśli tłumaczeń, które przygotowałem sobie w sprawie notatek i korespondencji, o których istnieniu w moich papierach pamiętałem. Większość z tych tłumaczeń okazała się zresztą niepotrzebna, bo szczegółowo nie wypytywano. Cały czas zachowywałem ton bagatelizujący, powtarzając, że wszystkie kryptonimy i pseudonimy są rzeczą zmienną i dziwię się marnowaniu czasu na takie głupstwa. Próbowalem wszczynać znowu rozmowę na tematy polityczne, lecz b. stanowczo, aczkolwiek grzecznie poproszono mnie, abym nie utrudniał pracy nadmiarem gadulstwa. Wśród pseudonimów, o które mnie pytano, jeszcze raz poruszono „Oskara” i „Mocarza”. Poza tym z naciśkiem dopytywano o jakiegoś „Lubicza”. Pytano mnie, czy znam zastępcę „Nila”. Odpowiedziałem, że kiedyś, bardzo dawno widziałem jakiegoś współpracownika „Nila” przypadkowo. Pokazano mi fotografię, na odwrocie której było wypisane coś po niemiecku i figurowały pseudonimy „Teodor” i jeszcze jakieś oraz imię, nazwisko (zaczynające się na „P”, nie pamiętam jakie)¹⁰² i dane personalne. Odpowiedziałem, że to ten. Nr 6 oświadczył, że jest to zastępca „Nila”, a na moje pytanie, czy jest aresztowany, odpowiedzieli, że umknął.

Zaczęto wyrażać niewiarę, abym nie orientował się choćby z grubsza w organizacji poszczególnych oddziałów Sztabu. Stwierdziłem, że wystarczy mi orientowanie się w kompetencjach, gdyż i tak przy współpracy korespondencją wszystko się przeważnie adresuje na ręce przełożonego. Zapytano mnie wobec tego, dlaczego mam wśród rachunków za papier kartkę, podpisaną „77 Rawa”, gdy szefem „77” jest „Leszcz”. Wyjaśniłem, że jest to sytuacja wyjątkowa, gdyż chodziło tu prawdopodobnie (twierdziłem na początku, że nie znam treści korespondencji) o sprawy kontroli finansowych i dlatego „Rawa” pisał do mnie bezpośrednio, bo poznaliśmy się przy okazji kontroli finansowych.

102. Tutaj pamięć zawiodła J. Rutkowskiego — zastępcą Fieldorfa na stanowisku szefa Kedywu o tym pseudonimie był płk Franciszek Niepokólczycki.

Pokazano mi następnie cały szereg fotografii z zapytaniem, czy znam tych ludzi. Były to fotografie ludzi zupełnie mi nieznanymi. Przy niektórych fotografiach ton zapytań zdradzał, że wiedzą, o kogo chodzi. Pokazano mi mój kalendarzyk z zapytaniem, co znaczą terminy w rodzaju „Politechnika”, „Powiśle”, „Szpital”, „Syrena” itp. Wyjaśniłem, że są to nazwy różnych punktów spotkań, umówione po to, aby nie określać ich bliżej w korespondencji. W większości są to nazwy odnoszące się do spotkań z moimi ludźmi. Wymieniłem szereg knajp, pasujących do kryptonimów, co miałem już z góry przygotowane. Np. „Godz. 14 — Winiarnia — W2” oznacza umówione z Karolem spotkanie w barze Webera na Chmielnej (faktycznie oznaczało to nazwy lokali i terminy spotkań, bądź odpraw). Są tu — wyjaśniłem — również miejsca spotkań z Prezesem w okresie, gdy już usunąłem się od pracy i tylko dorywczo się z nim widywałem („Politechowo obserwowana, np. w organizacji mojego wydziału nikt się z wyjątkiem ludzi w nim pracujących nie orientował. Budżet i sprawozdania finansowe, z których struktura ta wynikała, były otoczone najwyższą tajemnicą. Poza tym nie zwracając większej uwagi na rozmaite adresy i pseudonimy, bo robiła to Ewa, większości z nich w ogóle nie pamiętam. Niech pokażą mi korespondencję znaną przy mnie, to każdą kartkę objaśnię (chciałem się zorientować na pewno, co posiadają). Nr 7 odpowiedział, że jest to niepotrzebne, gdyż sami zrozumieją i sprawdzą.

Przesłuchanie trwało b. krótko, po czym nr 8 wzięwszy część moich akt, przeszedł ze mną do pokoju, w którym właściwie urzędował (przy końcu korytarza). Inaugurując rozmowę pokazał mi numer *Merkuriusza* i wyklejone wycinki z gazet, do których były dołączone tłumaczenia po niemiecku (nie wiedział, że widziałem to w pokoju 252), pytając, czy poza tym nic na mój temat w prasie przedwojennej nie pisano. Powiedziałem, że jest to tylko część artykułów i wzmianek prasowych o mnie, wszystkie jednak są w tym samym stylu. Odkładając *Merkuriusz* zapytał mnie mimochodem, czy znam Brauna¹⁰³, wskazując na jego nazwisko. Odpowiedziałem, że znam go sprzed wojny. „Siedzi z Hoppem¹⁰⁴ w „Unii”, co? — musi się pan niewątpliwie z nim kontaktować” — powiedział. Stwierdziłem, że spotykam

103. Jerzy Braun, działacz katolicki.

104. Jan Hoppe, działacz katolicki.

się z wieloma politykami, ale w tym wypadku myli się, gdyż od czasu wstąpienia „Unii” do Stronnictwa Pracy¹⁰⁵, grupa ta wypadła z orbity moich zainteresowań. Zignorował moją odpowiedź, dodając, że o polityków, różne grupy i grupczki, a nawet o Delegaturę nie będą mnie pytać, gdyż „mamy od tego świetnych specjalistów i wiemy niewątpliwie znacznie więcej, niż pan. Może pan być zupełnie spokojny, że o przyjaciół pana, którzy tam wszędzie mogą być, pytać nie będziemy. Nam chodzi o górę PZP i lewicę” — dodał, widząc zapewne moją niepewną minę — „chyba, że pan w ujęciu jej nam nie pomoże”. Nie wierzyłem w te zapewnienia, niemniej rzeczywiście do końca na te tematy mnie nie przesłuchiowano, aczkolwiek dłuższy czas się tego obawiałem i przygotowywałem różne wykręty. Zapytał mnie, czy myślałem o sprawach politycznych, poruszonych wczoraj.

Wywiązała się znowu rozmowa, nie wnosząca nic nowego do zakresu spraw poruszanych dnia ubiegłego. Staralem się robić wrażenie człowieka, mającego tylko pozornie skrupuły, a w rzeczywistości chętnie korzystającego z okazji, aby się zemścić na swoich „wrogach” i pragnącego za jednym zamachem ocalić się od śmierci i przeprowadzić ewentualnie korzystną grę polityczną. Oświadczyłem, że uderzenie w przywódców PZP wydaje mi się znacznie celowsze, niż walka z całymi organizacjami („zamach stanu”) zwłaszcza, jeśli to ma odsunąć groźbę bolszewizacji wewnętrznej i zlikwidować masowy terror. Musi to być jednak omówione z ludźmi kompetentnymi np. z „szefem” nr 1 (widziałem, że nr 1 z lekceważeniem traktuje moje uzasadnienia polityczne). Nr 8 oświadczył, że „przełożeni” są nieufni w stosunku do mnie i muszą im dać coś w rodzaju „zadatku”. Pytałem, jak to sobie wyobraża. Stwierdził, że znam dobrze „górze” PZP i mógłbym ułatwić ujęcie kogoś. Oświadczyłem, że jest to nierealne w tych warunkach, gdyż jak sam widzi, nie mam żadnych konkretnych wiadomości, które by umożliwiły ujęcie kogoś — czego z osobistych względów nie chcę zrobić. Zapytał, czy — gdybym spotkał na mieście kogoś — jadąc samochodem, to bym wskazał. Udałem zdziwienie, że to jest możliwe, zaręczając, że oczywiście. Wyrażałem stale tak teraz, jak i później żał, że tak mało uwagi poświęcałem możliwościom kontaktów poza drogą korespondencyjną omawiania doraźnych spotkań. W zakończeniu nr 8 prosił mnie o ujęcie na piśmie swych możliwości kontaktowych. Dodałem od siebie, że określe ramy tematu, na który chcę rozmawiać z miarodajną u nich osobą.

105. Miało to miejsce w lutym 1943 r.

Po tej rozmowie, w sobotę po południu i w niedzielę przemyślałem wytworzoną sytuację. Jasnym dla mnie było, że zależy im niesłuchanie na ujęciu choćby części naszej Komendy i że nie mają żadnych nadziei wykonania tego bez zdrady oraz, że śledztwo w mojej sprawie prowadzone będzie nadal, gdyż nie ufają jeszcze moim tłumaczeniom, wierzą natomiast w moją „sylwetkę polityczną”.

Postanowiłem: 1) wykorzystywać ich gwałtowną chęć ujęcia kogoś z Komendy dla mocniejszego osłonięcia się przed dalszym śledztwem w sprawach konkretnych; 2) obiecać im w tej dziedzinie wszystko, aby anulować wyrok śmierci i jeśli ucieczka w czasie wyjazdów nie uda się (możliwość wyjazdów miałem już zapewnioną), uzyskać ewentualnie wolność, gdy sytuacja wojenna ich w przyszłości zdopinguje; 3) podjąć się zadania absolutnie dla mnie niemożliwego do wykonania, aby — z czym poważnie musiałem się liczyć — nie były kiedykolwiek podniesione przeciwko mnie zarzuty, że działałem z dyskwalifikujących pobudek, bądź że prowadziłem pertraktacje z nieprzyjacielem, mające inny cel, niż ucieczkę i dlatego chętnie zgodziłem się na ujęcie swych propozycji na piśmie.

W celu zrealizowania tego planu musiałem postępować niesłuchanie rozważnie. Nie uwierzono by mi, gdybym jako przyczynę swej „współpracy” podał jedynie jakieś niskie pobudki (np. uratowanie sobie życia za wszelką cenę, względy materialne itp.), bo uważano mnie niewątpliwie i za poważnego polityka i za człowieka, zajmującego obecnie wysokie stanowisko; z drugiej strony jednak w miarę możliwości, jak najbardziej pośrednio powinienem dawać im do zrozumienia, że nie zaliczam się do „nieugiętych charakterów”, a przeciwnie, jestem człowiekiem moralnie małego kalibru, osłaniającym szumnymi słowami najbardziej egoistyczne pobudki i patrzącym na politykę jako na rodzaj interesu, którego już bez nich w warunkach konspiracyjnych prowadzić nie może. Z musu więc pod wpływem niewątpliwego strachu przed bolszewikami gotów jestem na ciche współdziałanie z Niemcami, przez ostrożność nie robiąc tego jawnie i byłbym to już zrobił dawniej, gdyby nie obawa przed niezdarnością Gestapo. W dalszym ciągu musiałem dążyć do narzucenia im przekonania, że na skutek ich obietnic uwierzyłem, że nic mi już nie grozi, a nawet że wzbudziły się we mnie rozległe apetyty, na których zaspokojeniu mi zależy. Wstępem jedynie do tego ma być spowodowanie aresztowania „dostępnych” mi członków Komendy AK. „Dostępność” ta nie może ulegać wątpliwości, dlatego też nie mogę szastać obietnicami (co mogłoby wzbudzić nieufność) i muszę kłaść nacisk na wszystkie sprawy, które wynikną już po aresztowaniu (traktowanie areszto-

wanych, dyskretna, ewentualne zabezpieczenie mojej osoby itp.) i na dalsze projekty polityczne w konspiracji, z tym, że Gestapo może sobie pomyśleć, że w odpowiedniej chwili mnie zlikwiduje. Największa trudność w realizowaniu całego planu polegała na wzbudzeniu w Gestapo zaufania do mojej osoby i moich obietnic; osiągnąć to mogłem jedynie dobrą grą aktorską i reklamowaniem wagi tych skrawków wiadomości, jakie mogłem im podać dzięki dekonspiracjom posiadanych przez nich materiałów w pok. 252. W ramach tego działania postanowiłem domagać się nie zwolnienia a ostentacyjnego sfingowania ucieczki dla rzekomego niewzbudzania podejrzeń w stosunku do mojej osoby w kołach konspiracyjnych. W obawie przed przypadkowym wykryciem, że wszystkie moje wyjaśnienia są zbudowane na kłamstwie, postanowiłem dopingować do pośpiechu groźbą nieurealnienia się moich propozycji z biegiem czasu. Aby wzbudzić przekonanie, że mają mnie w rękę, postanowiłem okazywać wielki strach przed ujawnieniem się tematów, na które rozmawiamy.

Sporządziłem krótką notatkę (ołówkiem, bez daty i podpisu), ujmującą w trzech równoległych punktach moje propozycje z jednej strony i ewentualne zobowiązania Gestapo z drugiej strony.

Proponowałem współpracę doraźną lub stałą w zamian za co Gestapo ma się zobowiązać do chronienia mojej osoby w razie niepowodzenia i niestawiania mi żadnych przeszkód w mojej działalności, skierowanej przeciwko bolszewikom. W ramach współpracy doraźnej obiecywałem umożliwienie ujęcia przez Gestapo Bora, Grzegorza i Prezesa w nieprzekraczalnym terminie 1 tygodnia o ile będę mógł „uciec” zaraz, a dwutygodniowym, jeśli to nastąpi za 2-3 tygodnie¹⁰⁶. Później nie mógłbym się tego podjąć ze względu na trudności powtórnego nawiązania łączności i możliwych zmian w konspiracji, które miały lada dzień nastąpić. Równoległe do tego Gestapo zobowiązuje się do wszelkiej pomocy technicznej, a w razie wzbudzenia przeze mnie podejrzeń umożliwi mi wyjazd i wystarczający poziom życia w miejscowości wskazanej przeze mnie, a gdy front przesunie się ze Wisłę, umożliwi mi wyjazd do Niemiec, Francji lub Szwajcarii. W stosunku do aresztowanych mają być zachowane wszelkie honory, odpowiednie dla wysokich szarż. W ramach współpracy stałej proponowałem różne możliwości do szczegółowego ustalenia po pomyślnym wykonaniu przez obydwie strony punktu poprzedniego. W końcu zażądałem od Gestapo gwarancji wykonania zobowiązań.

106. Były to przysłowiove „gruszki na wierzbie”, ponieważ J. Rutkowski nie posiadał takich możliwości.

W poniedziałek (15 V), gdy zostałem w późnych godzinach przedpołudniowych sprowadzony na górę, spostrzegłem na biurku na 6 szereg rozłożonych powielonych odbitek fotografii drukarni W 2, które nr 6 segregował na komplety. Gdy wszedłem zastałem sobą biurko, zbierając pospiesznie zdjęcia. Doręczyłem nr 8 obiecaną notatkę, którą wraz z nr 6 przeczytali, wykazując wielkie ożywienie. Nr 8 zapowiedział, że dziś jeszcze przełoży ją na niemiecki, po czym wyszedł. Po chwili wrócił z nr 1, który oświadczył mi, żebym nie robił dowcipów, bo nie dadzą się na to nabrać, gestami pokazując mi, że mam zamiar zwać, okpiwając ich. Nr 6 z wyraźną niezadowoloną miną zaczął wraz z nr 8 coś przekładać nr 1, po czym ten spoważniał i przestał mówić na ten temat. Po krótkiej rozmowie z nr 6 nad jakimiś notatkami oświadczył, że nie wierzy, abym tak zupełnie nic nie wiedział i moja prawdomówność zwłaszcza w sprawie drukarni będzie sprawdzona wszelkimi możliwymi środkami. Jeżeli tżę — to będzie b. źle ze mną.

Po wyjściu nr 1 pozostali nr 7, nr 8 i nr 6 i maszynistka, zadając mi szereg pytań. Pracowali nadal nad zestawami, przy których ich widziałem w sobotę. Zapytano mnie, co robi w kraju gen. Boruta-Spiechowicz. Oświadczyłem, że jest w Anglii¹⁰⁷. Stwierdzili niepewnie, że został zrzucony tu, w kraju. Wyraziłem swoją niewiedzę.

Następnie zażądano ode mnie rysopisów wszystkich moich ważniejszych współpracowników. Zacząłem je podawać według z góry obmyślonej metody, polegającej na ogół na opisywaniu negatywów (blond włosy — czarne, szare oczy — piwne itp.), aby w razie powtórnych pytań nie pomylić się.

Z kolei zapytano mnie o organizację BIP-u. Powiedziałem, że składa się z trzech głównych wydziałów: ogólnego, informacji i propagandy. Poza tym są różne wydziały specjalne, jak prasowo-wydawniczy „mój” (zwany inaczej TWZW), kolportaż i jakieś inne, bliżej mi nieznane, będące poza normalną pracą. Jest tam biuro historyczne i coś jeszcze. Pokazano mi znalezioną w moich papierach ostatnią instrukcję w sprawie organizacji BIP-u na okres powstania. Wyjaśniłem, że jest to projekt w tej dziedzinie, jednak nie orientuję się, o ile jest obecnie realny ze względów, które już obszernie wyjaśniałem. Zapytano mnie o obsadę poszczególnych wydziałów. Powiedziałem, że znam tylko pod pseudonimami kierowników z wyjątkiem „Kowalika”. Podwładnych ich zaś niektórych znam z widzenia, ale funkcji ich po licznych reorganizacjach określić na pewno nie mogę. Znam

107. Gen. Mieczysław Boruta-Spiechowicz był wtedy faktycznie w Anglii, Niemcy byli tutaj bardzo źle poinformowani.

oczywiście z korespondencji trochę pseudonimów (musałem pamiętać o posiadanej korespondencji). Zapytano mnie, jakie. Wymieniłem kilka na chybił-trafił („Maryna”¹⁰⁸, „Ela”, „Greta”¹⁰⁹ itp.) dodając, że są to rzeczy b. zmienne. Zadowolono się tym, pytając, czy znam jakieś prawdziwe czy policyjne nazwiska. Powiedziałem, że znam dwa, o których już im mówiłem, tj. [w tym miejscu dokument uszkodzony i nieczytelny — przypuszczalnie znajdowało się tu nazwisko J. Makowieckiego, o którym już wcześniej była mowa] i Wardejn-Zagórski (poza Żencykowskim, o którego mnie już nieraz pytano), ale do kogo one pasują nie mam pojęcia. Nie można zapominać, że każdy wydział BIP-u stanowi jakby oddzielną, samą w sobie organizację i aczkolwiek z widzenia, z dawniejszych czasów wielu ludzi znam pod nieaktualnymi już pseudonimami, to obecnie nie mam na ogół pojęcia, gdzie tkwią i jakie funkcje pełnią. Niech nie zapominają o wszystkich wyjaśnieniach, które im już składałem, a których nie chcę powtarzać. Nie miałbym żadnych powodów do ukrywania swoich „wrogów” politycznych, najwyżej prosiłbym o nieczynienie krzywdy pracownikom li tylko technicznym.

Zapytano mnie o kompetencje poszczególnych wydziałów. Odpowiedziałem, że mają je określone przecież w instrukcji, którą mi pokazywali, a której nie mam jeszcze przestudiowanej. Jest to wprawdzie projekt, ale kompetencje określa lepiej, niż ja to potrafię zrobić, nie współpracując z całym BIP-em blisko. Pokazano mi kartkę (kartka nie miała daty) z podpisem Gozdawy¹¹⁰ dotyczącą się załatwiania spraw w urzędzie kwaterunkowym pytając, jakie mamy tam wtyczki. Odpowiedziałem, że były to dla mnie wskazówki, gdy miałem kłopoty ze swoim mieszkaniem. Nie sądzę, żeby to było wtyczki organizacyjne, gdyż ta droga załatwiania wymagała większych sum pieniężnych. Zapytano mnie o rysopis „Gozdawy”. Następnie pokazano mi kartkę, podpisaną przez „Marynę” z zapytaniem, kto to jest. Wyjaśniłem, że łączniczka z I Wydziału. Rysopis. Następnie zajrzawszy do jakiejś kartki zapytano, kto to jest „Sawa”¹¹¹. Wyjaśniłem, że jest to jakiś pracownik u „Kowalika”, pisujący często w różnych sprawach wydawniczych. Zażądano rysopisu „Eli”, wpytując, kto to jest. Rysopis podałem w tym wypadku bardzo ogólnikowy, ale zbliżony pamiętając o wyspach u „Kowalika” i gwałtownych pytaniach na temat „Eli” w pierw-

108. Hanna Hryniewiecka.

109. Jadwiga Wolska, obecnie Nowak-Jeziorańska, żona słynnego kuriera Jana Nowaka-Jeziorańskiego.

110. T. Wardejn-Zagórski.

111. Zygmunt Ziółek z akcji „N”.

szym dniu śledztwa. Pytano mnie poza tym o „Gretę”, zaglądając do jakiegoś oddzielnego pakietu (przypuszczam, że były to papiery z W 1), o „Elżbietę”, pokazując jakąś kartkę pisaną przez nią (wyjaśniłem, że jest to łączniczka od Prezesa — nie mając możliwości przeczytania kartki)¹¹².

Pytania miały charakter chaotyczny, jakby dla sprawdzenia wartości znalezionej przy mnie materiału. Zapowiedzieli, że będą musieli przesłuchać mnie na ten temat jeszcze metodycznie po uporządkowaniu danych, jakie na temat BIP-u posiadają. Pokazano mi jeszcze na zakończenie kilkadziesiąt fotografii z zapytaniem, czy są tu znane mi z widzenia w BIP-ie osoby. Wszystkie fotografie były mi zupełnie nieznanne. Przesłuchanie trwało krótko. Okazywałem lekceważący i znudzony stosunek do pytań, podkreślając stale, że jest to robota bezwartościowa i znacznie większe i bardzo zasadnicze rzeczy wynikną po odbyciu rozmowy politycznej z „szefem”.

W czasie mojego pobytu w pok. 237 przychodziło wielu agentów, którym pracujący przy swoim biurku nr 6 dawał jakieś instrukcje, wręczając jakieś notatki i komplety fotografii (jak z wyglądu sądziłem — W 2).

Nastąpiła długa przerwa w badaniach, trwająca do 25 V. W czasie tej przerwy ogarnęły mnie powtórnie obawy, że ze śledztwa nie zrezygnowano i tylko wskutek logicznych moich zeznań oraz konsekwentnego trzymania się ich — już mnie nie przesłuchują, tropiąc w międzyczasie, co się da, przede wszystkim drukarnie. Obawiałem się, ponieważ nasze drukarnie wielokrotnie przeżywały już najrozmaitszego rodzaju zagrożenia, które mogły być zarejestrowane w notatkach Gestapo. Niepokojem mnie zwłaszcza napępiał tajemniczy fakt posiadania fotografii podziemi, w których mieści się W 2. Obawiałem się, czy źródło mojego zasypania jest rzeczywiście zlikwidowane w osobie Zdzisława. Obserwując przez okienko z celi liczne wyjazdy znanych mi agentów na miasto, lada chwila spodziewałem się jakiegoś krachu. Zwłaszcza, że przestano się interesować moimi osobistymi warunkami. Marki na kasyno wyczerpały się po czterech dniach i nowych mi nie dano.

Niejednokrotnie wpadano do celi, zapytując mnie o najrozmaitsze głupstwa, przeważnie pokazując mi jakieś nieznanne kennkarty z zapytaniem, czy znam te osoby. O jednym młodym człowieku twierdzono, że jest to pracownik C-5 i zginął, broniąc się przed aresztowaniem. Poza tym pamiętam nazwisko ekonomisty Dalbora i jego żony. Podczas jednej z pierwszych tego rodzaju odwiedzin pokazano mi kartkę z wykazem pseudoni-

112. Chodzi o Irenę Piasecką.

mów „77” z wyznaczonymi dla każdego godzinami na jakąś odprawę, czy coś w tym rodzaju, pytając, czy znam kogoś. Po zastanowieniu powiedziałem, że kiedyś b. dawno widziałem „Rawę”, ale nie wiem, czy bym go poznał. Reszta pseudonimów była mi zupełnie nieznaną. Pokazano mi kennkartę, mówiąc, że to jest „Rawa”. Zdjęcie było b. kiepskie i byłoby rzeczywiście podobny. Stwierdziłem, że na zdjęciu z automatu poznać nie mogę; oświadczyli, że to jednak jest on i że jest aresztowany, a wraz z nim ujęto miliony, miliony...

Stosunek agentów był nadal b. poprawny, na moje żądanie rozmowy politycznej odpowiadali jednak wymijająco, jakby na coś czekając i tłumacząc się zawaleniem sprawami. Niepokój mój wzrastał, chociaż przeżywałem to uczucie tyle razy, że i teraz pocieszałem się, że być może, jest bezpodstawne. Okazało się jednak później, że rzeczywiście trzy referaty (237, referat nr 9 i 8 oraz ref. nr-ów 3, 4, 5) pracowały nad wykorzystaniem wszystkich możliwych śladów w sprawie naszych drukarni. Zastanawiałem się, skąd mogli posiadać fotografie W 2. Hipotezę otrzymania od fotografów wykluczyłem, bo nie pytano by się, kto figuruje na zdjęciu, zadowalając się informacją, że ktoś z pracowników. Przypuszczałem, że może komplet, który miał Stefan, znalazł się w rękach Zdzisława, gdyż w swoim czasie, będąc w dużej przyjaźni, wspólnie sobie pomagali, a Zdzisław załatwiał wiele spraw Stefana po jego aresztowaniu. Zastanawiając się, skąd Stefan, znając wówczas słabo Warszawę, wytrzasnął „zaufanych” fotografów, doszedłem do wniosku, że niewątpliwie przez niejakiego „Marcina”, kierownika drukarni „Walki”¹¹³, którego Stefan znał b. dobrze i korzystał prywatnie z różnych jego pomocy (szczególnie w dziedzinie handlu, któremu się Stefan oddawał w wolnych chwilach). Mniej więcej pół roku temu Stefan oświadczył, że jest b. zaniepokojony, gdyż „Marcin” jest poważnie podejrzewany przez swoje środowisko polityczne o rozmaite afery, a nawet zdrady wobec Gestapo. Urwał z nim kontakt na mój rozkaz, z którym całkowicie się solidaryzowałem. Marcin zresztą, bardzo dobrze wprowadzony w konspiracyjny świat polityczny, szukał kontaktu ze Stefanem, a zaszedłszy kiedyś przypadkowo do sklepu Sebastiana, pod którym mieści się W 6, dopytywał o Stefana, zachodząc później niejednokrotnie. Sebastiana w swoim czasie, gdy ten jeszcze u nas nie pracował, poznał przez Stefana, który polecił go Marcinowi, jako godnego zaufania elektryka. Były nawet wówczas wykonywane różne manipulacje, aby odwrócić zainteresowanie Marcina od

113. W propagandzie Stronnictwa Narodowego czynny był Jan Szmydt, ps. „Marcin”, ale trudno stwierdzić, czy to o niego chodzi.

tego sklepu. Ponieważ nr 6 twierdził, że mają te fotografie od dawna, doszedłem do wniosku, że jest możliwe, iż Marcin, przekazując od fotografów zdjęcia Stefanowi, zatrzymał jeden komplet, dostarczając go później Gestapo (prawdopodobnie jednak fotografowie zatrzymali w tajemnicy miejsce). Inaczej faktu posiadania zdjęć przez Gestapo wytłumaczyć sobie nie mogłem, pewności jednak nie miałem. Wzmogły się wówczas moje obawy również o W 6 z powodu możliwości ewentualnego zorientowania się przez Marcina, obznajomionego z dziedziną tajnego drukarstwa, w charakterze sklepu Sebastiana. Brak zapytań o telefon Sebastiana, który posiadali, od dawna mnie niepokoił.

W krótkim czasie po ostatnim przesłuchaniu zostałem na chwilę sprowadzony na górę, gdzie nr 8 wypytywał mnie o przeszłość i orientację polityczną członków rządu polskiego w Londynie, jako podstawę do zapytań traktując wykaz rządu w „Rzeczpospolitej Polskiej”. Powiedziałem wszystko, co na ten temat wiedziałem.

Wywiązała się następnie rozmowa, w której nr 8 poddawał w wątpliwość realność ujęcia przeze mnie Bora, Grzegorza i Prezesa. Przekonywałem go o tym usilnie. Do tematu tego wracaliśmy niejednokrotnie podczas jazd w samochodzie. Sposób przekonywania podaję przy innej okazji, dalej. Nr 8 zapytał, czy nie wypożyczyłbym nr 7 łodzi żaglowej, którą mam na Wiśle (znaleziono u mnie w mieszkaniu żagle i sprzęt i w oczekiwaniu na przesłuchanie rozmawiałem z nr 7 stale na tematy żeglarskie, gdyż sam był żeglarzem). Wyraziłem początkowo niechęć i zdziwienie, że mnie w ogóle o to pytają, mogąc sami zabrać. Wyjaśnił mi, że nie chcą rekwirować na rzecz SS, a jedynie wypożyczyć dla własnego użytku. Powiedziałem, że łódź jest niewyremontowana i nie nadaje się przez to do użytku. Nr 8, wyrażając żal, że może ulec zniszczeniu, zaproponował wyremontowanie łodzi z moich własnych pieniędzy, z którymi mnie zatrzymano. Oświadczyłem, że własnych pieniędzy było tam b. niewiele, tylko te co były w portmonetce. Nr 8 zaproponował, abym podał sumę 10.000 zł w przybliżeniu jako własną, dzięki czemu będę też miał pieniądze na papierosy. Zorientowawszy się, że nie powinienem robić im wstrętów w dziedzinie ich kradzieży osobistych, oświadczyłem, że i tak, nawet gdybyśmy doszli do „porozumienia” w czasie zapowiadanej rozmowy politycznej, nie będę mógł korzystać z własnego mieszkania i rzeczy aby nie budzić podejrzeń w konspiracji w prawdziwość proponowanej przeze mnie „ucieczki”. Nr 8 zapewnił skwapliwie, że w mieszkaniu u mnie nie był, ale koledzy mówili, że większość moich rzeczy osobistych była zabrana prawdopodobnie przez Ewę. Zapytałem o pieniądze, podwajając prowokacyjnie sumę.

Oświadczył, że nic nie znaleziono, zapytując niespokojnie, czy Ewa mi to zwróci, jeśli bym wyszedł. Powiedziałem uspokajająco, że nie mam jej pod tym względem wypróbowanej i możliwe, że zrzuci to na Gestapo. Chciałem uniknąć przeszkód ze strony agentów, które mogłyby wypłynąć z ich osobistego wyrachowania, zwłaszcza, że robili wrażenie ludzi wierzących w moje „tłumaczenia” i poważnie traktujących moje propozycje w przeciwstawieniu do nr 1. Początkowo np. na pytania obcych agentów o mnie określali mnie jako „Chef der geheimen militärischen Verlaganstalten”, w drugiej zaś części śledztwa już jako „Führer der jungen Polen”, o co mi właśnie chodziło.

W czasie tej przerwy w oficjalnych badaniach agenci w różnych składach parokrotnie zabierali mnie do samochodu, wyjeżdżając na miasto dla załatwienia jakichś spraw; jakich, nie mogłem się zorientować, gdyż rozmawiali w samochodzie ostrożnie, bez nazwisk itp. i po niemiecku. Jeździli na Skaryszewską, do Arbeitsamtu na dworzec Zachodni i dwukrotnie na Pawiak; zatrzymywali się przed rozmaitymi domami na Bagnie, 6-go Sierpnia, pl. Narutowicza i in. Wszędzie pojedynczo lub we dwóch wysiadali, czasami wracając z jakimiś walizkami, pakunkami itp. Używano samochodów marki „Ost”, czarnego dużego „Chevroleta” przy jeździe w 6 osób i brązowego małego „Opla” lub czarnej „Skody” przy jeździe w 4 osoby. Nr 6 i nr 8 wykorzystywali czas do rozmów ze mną na temat realności moich propozycji, wysuwając szereg zastrzeżeń, głównie wyrażając obawę, że byłbym po ucieczce odsunięty od możliwości kontaktu. Sposób rozpraszania w nich tych obaw podaję poniżej. Prosił, abym przy okazji zwracał uwagę na przechodniów, bo może przypadek sprawi, że będę mógł dać „zadatek”, o który przełożonym będzie przede wszystkim chodziło.

Przekonałem się, że moje rachuby na możliwość ucieczki z samochodu były zbyt optymistyczne. Czujność (broń w pogotowiu, ryglowanie z zewnątrz drzwi itp.) aczkolwiek powoli się zmniejszała, była stale duża, raz tylko byłem o krok od możliwości wyrwania broni, co całkowicie załatwiałoby możliwość ucieczki. Liczyłem jednak nadal na uspienie się ich czujności w miarę częstszych wyjazdów. Obawiałem się jedynie nieostrożnego zachowania się ewentualnie spotkanych znajomych. Np. przed Arbeitsamtem zauważył mnie w aucie obojętny, dawny znajomy, kłaniając mi się. Z trudem przekonałem, że nikt z konspiracji nie kłaniałby mi się w tych warunkach. Przy ostatnim wyjeździe oświadczyłem, że nie wydaje mi się realna możliwość dojrzenia kogoś przy szybkich jazdach przez miasto — musiałoby to być robione systematycznie (nie rezygnowałem z możliwości ucieczki). W czasie postoju na podwórzu Pawiaka, gdy wszyscy agenci

szli na jakieś przesłuchania, dwaj szoferzy (metrykalni Polacy) ucinali ze mną rozmówkę, wyrażając zainteresowanie moją sprawą, gdyż towarzyszą mi „najlepsi i najrzęczniejsi urzędnicy Gestapo”, zwłaszcza o nr 8 mówili jako o bardzo zaufanym i rzędnym urzędniku. Rozmowy z ich strony miały charakter szczery, gdyż sądzili, że będę zwolniony na podstawie „towarzyskiej” atmosfery, która panowała w samochodzie.

Wyjazdy ustały i po kilku dniach w czwartek, 25 maja, wcześniej rano zostałem sprowadzony do gabinetu nr 1. W przeddzień otrzymałem znowu marki na posiłki z kasyna. Wszedłem do niego z miną b. zmartwioną, oświadczając, że mój wielki „przyjaciel polityczny”, b. premier Kozłowski, został zabity w czasie nalotu na Berlin (wiadomość tę znalazłem w „gadzinówce”, Kozłowskiego natomiast w ogóle nie znałem i raz go widziałem z daleka we Lwowie). Nr 1 zainteresował się tym bardzo, nie orientując się jednak wyraźnie co do osoby prof. Kozłowskiego. Towarzyszący mu nr 8 obszernie coś referował mu na ten temat. Dodałem szereg uwag na temat dramatycznej sytuacji ludzi mego pokroju w obecnej wojnie, którzy po kolei giną, właściwie uczuciowo w niej nie uczestnicząc. Podaję to jako jeden z przykładów licznych bluffów tego rodzaju. Po raz pierwszy widziałem u nr 1 poważne zainteresowanie nie „konkretnymi” rzeczami.

Nr 1 w dłuższym przemówieniu stwierdził, że zreferowano mu starannie wszystkie rozmowy ze mną, i aczkolwiek początkowo sądził, że kieruję się li tylko chęcią ich okpienia i ucieczki, to teraz uważa, że sprawa nadaje się do omówienia, bez żadnych zobowiązań. Wyrok śmierci na mnie został anulowany (pokazał mi z daleka formularz, wypełniony w swoim czasie w pok. 252, lecz na moją propozycję, żeby go podrzeć, odpowiedział, że musi być dla porządku w aktach). Po rozmowie politycznej ze mną o rozpatrzeniu mojej propozycji zadecyduje „Kommandeur” (Hahn), a być może, że decydować będzie musiał Kraków. Najpoważniejszą przeszkodą jest brak jakichkolwiek dowodów mojej dobrej woli. „Nic, dosłownie nic nowego nie dostaliśmy dzięki panu do ręki”. Wątpi dlatego, aby moje propozycje mogły być wzięte poważnie po uwagę. Pragnie mi dać możliwość wykonania tego i dlatego przez kilka dni zostaną przydzieleni urzędnicy, którzy systematycznie będą jeździć ze mną po mieście, żebym mógł, spotkawszy kogoś z „góry”, a nawet choćby jak najmniej ważną osobę z Komendy im wskazać, dając tym dowód dobrej woli. Przyrzeka, że włos z głowy nie spadnie wszystkim aresztowanym w związku z moją sprawą, a „góra” będzie traktowana „jako jeńcy wojenni”.

Odpowiedziałem, że niestety, jest tego rodzaju sytuacja, że

ludzie, mający dostęp z racji swego przedwojennego nazwiska do szczytów konspiracji, nie orientują się przeważnie w rozmaitych danych organizacyjno-technicznych. Natomiast pracownicy z dziedziny org. technicznej orientują się w tym niewątpliwie lepiej, nie mając dostępu do „szczytów”. Pogodzić tych dwóch możliwości w jednej osobie nie można. Nic łatwiejszego, jak bardzo starannie opracowawszy mi ucieczkę, osiągnąć natychmiast „góry”. Warunkiem tego jednak jest b. rozważne postępowanie ze strony Gestapo. Mogę im odręcznie sporządzić (raz już sporządziłem), szereg notatek, posiadając które, będą mieli mnie całkowicie w ręku, gdyż przekazanie ich do kół konspiracyjnych równa się natychmiastowej mojej śmierci, choćbym nie wiem jak to tłumaczył. W polskim wojsku za nieuregulowany dług karciany oficer musiał strzelić sobie w łeb, a co dopiero za samo omawianie możliwości wydania dowódców! Moje poważne intencje polityczne (patrzę na nich jako na „szkodliwych” polityków, a nie na jako dowódców wojskowych) nie będą rozumiane przez nikogo, zwłaszcza, że dla moich „wrogów politycznych” byłaby to niesłychana gratka, której nie omieszkaliby wykorzystać. Rozumiejąc jednak nieufność policji, która ma swoje zasady, postaram się wykazać na mieście, choćby najdrobniejszą rybkę. Następnie zacząłem się troszczyć usilnie i żądać powtórzenia przyrzeczeń, że nic aresztowanych nie spotka. Wyraziłem obawę, czy będę miał szczęście spotkać kogokolwiek, bo „góra” nie chodzi prawie wcale po mieście, zaś w personelu technicznym mogą być różne zmiany. (Odpowiedzieli, że „przy-padek jest królem pracy policyjnej”, co powtarzali wielokrotnie). Prosiłem wreszcie z naciskiem, aby rozmowa polityczna i rozpatrzenie moich propozycji odbyły się jak najprędzej, gdyż każdy dzień jest drogi i później mogę mieć różne trudności w nawiązaniu kontaktu z pocztą, który mam całkowicie urwany. W czasie tej rozmowy politycznej mam b. ważne rzeczy do oświadczenia we wzajemnym interesie politycznym (miałem przygotowane opowiadanie zmyślane na temat planu powstania, którym chciałem w razie potrzeby zaspokoić ich głód sensacji. Prosiłem wreszcie, aby mieli cierpliwość w „polowaniu” na mieście i nalegałem na możliwość przebrania się, gdyż poznanie mnie mogłoby spowodować podejrzenie po moim wyjściu, do którego niewątpliwie dojdzie, gdy starannie zadbają i rozpatrzą całokształt sprawy (chodziło mi poza wykazaniem gorliwości i przezorności o zapobiegnięcie skutkom nieopanowania się w wypadku, gdyby ktoś mnie spostrzegł). Nalegałem jeszcze raz na pośpiech, tłumacząc i uzasadniając, że jestem jedynym człowiekiem spośród ludzi mających dostęp do „góry”, który może pójść na współpracę z policją. „Jedyna okazja”, której nie można zmarnować —

to był tenor moich wywodów. Nr 1 solennie przyrzekł, że jutro odbędzie rozmowę ze mną.

Gdy oczekiwaliśmy z nr 8 w jego pokoju na agentów, którzy mieli nam towarzyszyć w drugim samochodzie, przyszedł podniecony nr 1, pokazując protokół jakiegoś „Wrony”¹¹⁴, twierdząc, że coś się nie zgadza z moimi twierdzeniami. Prosiłem o przetłumaczenie mi tego ustępu, pytając, czyje to są zeznania. Wyjaśniono, że sekretarza Wydziału Kowalika. Okazało się, że byłem już dawno zasypany, oczywiście bez adresu, o czym nie wiedziałem. W ustępie przetłumaczonym mi Wrona stwierdzał, że w lokalu na Wilanowskiej (był podany dokładny numer) spotykał „Ziółka”¹¹⁵ i „Rutkowskiego”, kierownika wszystkich drukarni w pracy wojskowej. Wrona stwierdzał, że jestem ich organizatorem, a przed wojną zajmowałem się polityką, co pobieżnie scharakteryzował. Wyjaśniłem, że jest to b. stary lokal Kowalika z czasu, gdy jeszcze się z nim widywałem, natomiast twierdzenie, że jestem „organizatorem wszystkich drukarni” jest dowolnością zeznającego, który, być może, istotnie tak sądził. Nr 1 nie chciał wierzyć, lecz nr 8 kategorycznie zapewnił go, że wszystko się zgadza. Zapytano mnie jeszcze, czy byłem w mieszkaniu Kowalika na Marszałkowskiej, gdzie Kowalik mieszkał kiedyś pod nazwiskiem „Kulesza”. Całego protokołu „Wrony” nie widziałem, spostrzegłem tylko kilka pisanych rozstrzelonym pismem imion własnych (Butkiewicz¹¹⁶, Grupa techniczna¹¹⁷, ZOR¹¹⁸, Ela, Żencykowski). Zapytano mnie jeszcze, czy wiem, kto to jest Ziółek. Powiedziałem, że jest to prawdopodobnie jakiś pseudonim — odpowiedzieli, że jednak jest to nazwisko prawdziwe. Gdy oświadczyłem, że znałem kiedyś jakiegoś Alojzego Ziółka, nr 8 stwierdził, że nie o tego chodzi. Gdy wyraziłem mimochodem zdanie, że protokół wydaje mi się b. szczegółowy, nr 8 powiedział: „Tak. Nawet o złotym zębie nie zapomnieli”. Sądzę, że chodzi tu o p. Elę.

Następnie nr 1 wyciągnął jeszcze fragmentaryczne zapiski sporządzane w pierwszym okresie śledztwa (bicie), wyrażając szereg

114. Teofil Wrona, ps. „Skład”, redagował wydawnictwo „N”; aresztowany 3 XI 1942 r., został rozstrzelany 12 II 1943 r.

115. Wspomniany już wcześniej Zygmunt Ziółek.

116. Bronisław Budkiewicz, członek spółdzielni „Grupa Techniczna”, zaangażowany m.in. w pionie przemysłu wojennego AK.

117. Spółdzielnia wielobranżowa, która była przykrywką do działalności „Raclawic”, ZOR-u i AK.

118. Związek Odbudowy Rzeczypospolitej, organizacja konspiracyjna utworzona i kierowana przez T. Żencykowskiego; w tym czasie wraz z podziemnym Stronnictwem Demokratycznym i innymi grupami podziemnymi tworzyła Zjednoczenie Demokratyczne. Działacze ZOR-u w poważnym stopniu już wcześniej, wraz z Żencykowskim, weszli do BIP-u KG.

wątpliwości, które mu nr 8 natychmiast rozproszył. Pokazał mi jeszcze długą listę rozmaitych adresów, pytając, czy któryś z nich może znam. Były to wszystko adresy mi nieznane, z wyjątkiem jedynie adresu: Wspólna 19, I piętro. Zadowolono się zbywającą odpowiedzią.

W dniach 25, 26 i 27 maja wywożono mnie czterokrotnie na miasto. Zostałem przebrany w płaszcz i czapkę nadsekretnarza Kolei Wschodniej. Jeździłem w stałej asyście nr 7 i nr 8 oraz szofera. Samochód był bez bocznych drzwiczek przy tylnym siedzeniu (brązowy „Opel”). Z tyłu, w pewnej odległości, jechało auto z trzema agentami, przeznaczonymi do ujęcia wskazanej osoby. Zatrzymywano samochód w różnych najruchliwszych punktach miasta, głównie na Marszałkowskiej, a zwłaszcza za czyszcibutami na rogu Al. Jerozolimskich i Marszałkowskiej. Początkowo rozważano czy nie jechać tzw. „Lieferwagen” czyli wozem osobowym przerobionym prowizorycznie na wóz paczkowy, mającym zamalowane szyby boczne i tylne, gdzie obserwację można by przeprowadzać niepostrzeżenie przez dziurkę w zamalowaniu.

Aby wzbudzić przekonanie o mojej najlepszej woli, której niestety przypadek nie pomógł, przez cały czas musiałem się zgrywać, wykazując jak największą gorliwość. Początkowo wyrażałem wątpliwość, czy może to dać wyniki, później okazywałem wielki zapał, twierdząc, że widząc dużo znanych mi z widzenia twarzy, niewątpliwie trafię na kogoś poszukiwanego; pod koniec zaś zacząłem się denerwować, zdradzając zniechęcenie, złorzeczając swojemu pechowi i wyrażając sąd, że tylko przy systematycznej jeździe przez b. długi czas można by kogoś spotkać. W czasie tych jazd widziałem przechodzących tuż koło samochodu: Pawła (róg Al. Jeroz. i Marszał.), Łukasza (przy EKD) i Bruna z 362¹¹⁹ (róg Marszałkowskiej i Piusa XI) oraz dwie nieznane mi z imienia łączniczki, nie licząc b. licznych znajomych.

W samochodzie toczyły się rozmowy na najrozmaitsze tematy, przeważnie obojętne, które wykorzystywałem dla lansowania sądów o sobie. Nr 8 zapytywał mnie również o szereg nazwisk spoza PZP, pytając, czy ich znam i proponując, że jeżeli ich zobaczę, to żebym wskazał, gdyż to na razie „wystarczy”. Zapytywał o wojewodę „Józefskiego”¹²⁰, Korbońskiego¹²¹,

119. Antoni Szymanowski, ps. „Brun”, pracownik Wydziału Informacji BIP-u KG (kryptonim 362), który — nawiasem mówiąc — położył duże zasługi przy nawiązywaniu łączności z uwięzionym J. Rutkowskim i w niesieniu mu pomocy.

120. Przedwojenny wojewoda wołyński Henryk Józewski, wiosną 1940 r. z przyczyn politycznych usunięty z ZWZ, wydawał następnie pismo „Polska Walczy”, przywódca tzw. „grupy Olgierda”.

121. Stefan Korboński, działacz Stronnictwa Ludowego, stał na czele Kierownictwa Walki Cywilnej.

Kauzika¹²², jego zastępcę Kunickiego¹²³, Pużaka¹²⁴, Zarębę¹²⁵, płk Piaseckiego¹²⁶ oraz cały szereg nazwisk — a może pseudonimów — nic mi nie mówiących. Przy większości wymieniał dokładnie ich obecne funkcje i stanowiska w konspiracji; o kilku osobach powiedziałem, że znam świetnie z widzenia i zapewniałem, że jeżeli spostrzegę kogokolwiek, to i tak wskażę z tym, że się „zastanowimy”, czy warto go zatrzymywać. Rozmów na tematy różnych ludzi starałem się nie podtrzymywać, tym niemniej nr 8 chętnie na ten temat mówił, jak gdyby popisując się zakresem swych wiadomości. Pytał mnie, czy orientuję się w SOS-ie. Odpowiedziałem, że zupełnie nie, bo jest to dla mnie operetka. Twierdził, że natomiast on świetnie się w nim orientuje. Psio-czył bardzo na „Waligórę”¹²⁷, wyrażając zdziwienie, że go nie znam. Twierdził, że zlikwidowali całą jego „szajkę”. Wówczas i w kilku innych momentach przedtem zastanawiałem się, czy nr 8 nie pozostaje na naszych usługach, szereg jednak objawów świadczył o czymś wręcz przeciwnym (robi wrażenie niesłychanie zaufanego urzędnika).

W pewnym momencie spostrzegłem znanego mi z widzenia i słyszenia Reichsdeutscha (przemysłowiec czy coś w tym rodzaju). Zwróciłem uwagę na jego nerwowe zachowanie i oświadczyłem, że twarz ta jest mi doskonale znana, przy tym sędzę, że z kół konspiracyjnych — ale pewny nie jestem. Chciałem w ten sposób rozładować ich niecierpliwość, a sam byłem zmęczony ciągłą grą. W bardzo sprawny sposób ujęto go za pomocą agentów z drugiego wozu, zwalniając go po wylegitymowaniu i oświadczając, że niestety, była to pomyłka, ale żebym się nie przejmował. Kilka razy urządziłem fikcyjne alarmy, aby w chwilę potem stwierdzić, że się omyliłem. W pewnym momencie zacząłem się ostentacyjnie zastanawiać i stwierdziłem, że przypominam sobie szereg oświadczeń Zdzisława, z których wynikałoby, że Prezes mieszka gdzieś koło rogu Dobrej i Tamki, prawdopodobnie na Smulikowskiego (wiedziałem, gdzie Prezes mieszka rzeczywiście). Następane dwa dni wyjeżdżaliśmy specjalnie w tym celu już przed godzinami urzędowania, aby

122. Stanisław Kauzik, działacz Stronnictwa Pracy, dyrektor Departamentu Informacji i Prasy Delegatury Rządu.

123. Zbigniew Kunicki.

124. Kazimierz Pużak, wybitny działacz PPS, przewodniczący Rady Jedności Narodowej.

125. Zygmunt Zaremba, działacz PPS.

126. Julian Piasecki, działacz sanacyjny.

127. Był to jeden z pseudonimów komendanta „Wachlarza”, płk. Remigiusza Grocholskiego, ale równie dobrze może chodzić o kogoś innego posługującego się tym pseudonimem.

czekać na wyjście Prezesa „z domu”, a raz byliśmy tam po południu. Wyraziłem przypuszczenie, że musiał zmienić mieszkanie.

W czasiejazd zorientowałem się w technice tego rodzaju łowów. Dwukrotnie agenci zwracali mi uwagę na podejrzan zachowanie się: raz jednego człowieka, a raz grupki ludzi, b. sprawnie ich legitymując i rewidując z pomocą drugiego wozu, nie zatrzymując jednak nikogo (pl. Teatralny, Al. Jeruzolimskie).

Znowu nastąpiło kilka dni przerwy, w której agenci w ogóle do mnie nie zjawiali się. Byłem jednak najlepszej myśli, gdyż sądziłem, że w czasie jazd samochodem udało mi się w rozmowach rozproszyć całkowicie zastrzeżenia agentów, czy po wyjściu na wolność potrafiłbym skontaktować się szybko z Borem, Grzegorzem i Prezesem. Pewien niepokój wzbudziło we mnie przywiezienie z Pawiaka do boksów Kubowej (daty nie pamiętam, być może, że było to w czasie poprzedniej przerwy), której imię i nazwisko przez trzy dni słyszałem przez szparę w drzwiach, wywoływane przy apelach i w czasie dnia. Siedzenie w boksach przez kilka dni jest obecnie rzadkością. Ostatniego dnia jej pobytu na Szucha, wieczorem, wchodząc do toalety o normalnej porze, spostrzegłem Kubową, myjącą podłogę. Speszyło mnie początkowo jej zachowanie, gdyż mimo, że przez chwilę byłem sam, udawała, że mnie nie poznaje. Zapytałem, o co ją pytają. Odpowiedziała, że nie była przesłuchiwana. Powiedziałem przyczynę jej aresztowania, zakomunikowałem, że oświadczyłem, że nic nie ma wspólnego i nic nie wie o konspiracji i niech twierdzi, że w ogóle mnie nie zna, aby się niepotrzebnie nie wpłatać. Oświadczenie jej, że nie była przesłuchiwana, uspokoiło mnie wówczas całkowicie i myślałem, że od czasu rozmowy z nr 1 poszukiwania drukarni zostały zaniechane.

Dnia 1 VI w czwartek po południu przyszedł po mnie nr 6. Spostrzegłem od razu, że zachowuje się bardzo dziwnie. Normalnie był to najznośniejszy i najnaturalniej zachowujący się agent. Tym razem ledwie mnie przywitał, a na zapytanie, dlaczego przez przeszło tydzień czasu nie widziałem go, wbrew zwyczajowi burknął, że miał ciężką pracę. Wraz z nr 7 i jakimś mundurowym SS-manem zawieźli mnie nad Wisłę, żądając nakazania przystaniowemu wydania im łodzi, jako osobom prywatnym. Uczyniłem to.

Po powrocie na Al. Szucha wprowadzono mnie do pok. 237, który zawałony był olbrzymią ilością przedmiotów, pochodzących z drukarni W 4 (radio, broń, klisze, wydawnictwa itp.). Na oddzielnym stoliku leżały ułożone w wysoki stos małe aparaty telegraficzne, czy też radiowe, których na W 4 nie było. Byłem tak zaskoczony, że nie potrafiłem zapanować nad wyrazem twarzy. Nr 6 zjadliwie pytał się, dlaczego jestem tak zmieszany. Ma-

szynistka rzuciła uwagi w rodzaju „kłamstwo ma krótkie nogi”. Nr 7 wyjął ostentacyjnie broń. Zapytali mnie, co to jest, wskazując na rozłożone przedmioty. Odpowiedziałem, że poznaję po kliszach i wydawnictwach, że są to przedmioty, pochodzące z czwartej drukarni. Zapytano, skąd to mogę wiedzieć. Mając słabą nadzieję, że nikt może nie był ujęty na drukarni, odpowiedziałem, że orientuję się z rodzaju wydawnictw. Zaczęto natrząsać się ze mnie. Milczałem uporczywie, gdyż nie byłem na to wszystko zupełnie przygotowany. Nr 6 (dotychczas odnoszący się do mnie najprzychylniej) przyskoczył z furią, z okrzykami: „pan jest drań, pan jest oszust, pan jest człowiek nieuczciwy”. Zaczęłem protestować przeciwko temu, twierdząc, że jest to jakieś nieporozumienie. Nr 6 pokazał mi cztery kennkarty. Na trzech byli mi ludzie nieznani, czwarta fotografia przedstawiała inż. Kocjana, posiadacza obiektu, w którym mieściła się drukarnia. Nie widząc kennkart innych pracowników, sądziłem, że aresztowany jest tylko Kocjan, który może powie, że mnie nie zna i będę mógł nadal utrzymywać, że drukarni tej nie znałem. Powiedziałem ostrożnie, że czwarta twarz wydaje mi się znana, ale nie mogę powiedzieć, kto to jest (przy pokazywaniu fotografii w kennkarcie przysłaniają podpis). Nr 6 oświadczył, że jest to kierownik drukarni. Odpowiedziałem, że jest to niemożliwe, gdyż Andrzeja znam b. dobrze. Zapytałem, kto to jest i na odpowiedź „inżynier Kocjan” wyraziłem przypuszczenie, że jest to tzw. „inżynier” tzn. posiadacz obiektu, od którego obiekt ten jest dzierżawiony¹²⁸. Oświadczyłem, że go nie znam. Nr 6 obrzucił mnie stekiem wymysłów, każąc milczeć i czekać. Nr 7 zaczął przygotowywać „narzędzia” do bicia. Nr 6 oświadczył, że „od tygodnia wiedzą już na pewno, że łżę, tylko nie są dzieci i nie dali po sobie poznać”. Jest mu osobiście przykro, gdyż wierzył mi całkowicie (było to wyraźnie szczere).

W czasie dłuższej przerwy zachodzili do pokoju uzbrojeni agenci z pok. 252 (nr 2) i z pokoju *vis a vis* (nr 3), natrząsając się ze mnie z minami triumfującymi, zapowiadając, że to „jeszcze nie wszystko” i że jestem duren, sądząc, że można ich tak oszukać, gdyż czasu nie marnują.

Po pewnym czasie przyszedł nr 1 i wysłuchawszy krótkiego sprawozdania zaczął mnie po niemiecku kłąć. Trzymane pod pachą akta mojej sprawy rzucił na ziemię, określając w sposób

128. Inż. Antoni Kocjan prowadził Doświadczalne Warsztaty Szybowcowe, podczas wojny nieczynne, w których podziemiach mieściła się wtedy tajna drukarnia W4. Natomiast aparaty radiowe pochodziły z ich konspiracyjnej wytwórni, w której pracował Jerzy Muszewski, syn ślusarza tych warsztatów, Mariana, który z kolei stanowił tzw. maskę drukarni. Zob.: G. Mazur, *Biuro Informacji i Propagandy*, s. 159, 168.

dosadny, za co je uważa. Odpowiedziałem, że mówiłem dotychczas prawdę, natomiast jeśli idzie o tę drukarnię, to są w pewnym błędzie, który wyjaśnię. Kazał mi milczeć i wyszedł na korytarz, przyprawdzając z czyjąś pomocą Kocjana. Rolę tłumaczki objęła maszynistka. Zapytano Kocjana, kto jestem. Wyrwałem się z okrzykiem: „to on śmie twierdzić, że znam drukarnię!?” Kazano mi powtórnie milczeć. Kocjan oświadczył: „To jest pan Michał”. Czy znał drukarnię — zapytano. Kocjan oświadczył (miałem wrażenie, że już składał zeznania, a dopiero pod wpływem mego okrzyku zaczął je korygować), że na terenie obiektu bywałem b. często, natomiast czy byłem w środku drukarni — nie wie, sądził, że tak i dodał tonem informacji dla mnie: „Poznaliśmy się na Wiśle przed wojną i p. Michał po wojnie¹²⁹ skontaktował mnie z jakimś p. Zdzisławem, z którym mieliśmy robić w warsztacie wózki...! (chodziło mu o ukrycie osoby kiedyś nas kontaktującej). Tu mu przerwano, wyprowadzając go gwałtownie, widząc prawdopodobnie zmianę zeznań. Po pewnym czasie nr 1 i nr 6 wrócili, oświadczając, że budowałem osobiście drukarnię. Potwierdziłem wszystko, nie widząc już celowości zaprzeczania. Nr 1 kazał mi milczeć i odpowiadać tylko „tak” i „nie”. „Gdzie jest trzecia drukarnia?”. Odpowiedziałem, że słowami „tak” i „nie” nic nie mogę wyjaśnić i będę milczał. Rozpoczęto przygotowania do bicia, lecz nr 1 spojrzawszy na zegarek (była ok. 17-ej), wstrzymał przygotowania, oświadczając, że od dawna wiedzą o moich kłamstwach w sprawie drukarni. Na tę trafili przypadkowo, inne zaś już mają. Mówić ze mną już nie będzie, chyba na temat, gdzie jest ostatnia drukarnia.

Sprowadzono mnie na dół, cofając wszystkie udogodnienia jakie miałem ostatnio.

Dalsze dążenie do wydostania się na wolność wydało mi się bezcelowe, przynajmniej teraz. Postanowiłem jako tako podtrzymać swoje, podważone faktem ujawnienia kłamstwa w sprawie W 4 zeznania i oczekiwać na dalszy bieg wypadków. W sprawie niewątpliwych pytań o dalsze drukarnie postanowiłem upierać się przy swoich zeznaniach i obmyśliłem uzasadnienie dla faktu blagowania w sprawie W 4.

Następnego dnia przyszedł do celi nr 8, pytając ostro jaki gryps wysłałem z Pawiaka. Odpowiedziałem, że niech sam spróbuje siedząc w ścisłej izolacji, wysłać gryps, to nie będzie zadawał mi takich pytań. Zresztą jest to ich sprawa, aby grypsów z więzienia nie wysyłano — i udało im się to w całej pełni, bo ja o możliwościach korespondowania z Pawiaka nic w każdym

129. Prawdopodobnie: po kampanii wrześniowej.

razie nie wiem, a wiedziałbym na pewno. Wyszedł, wyrażając żal, że oszukuję nawet takiego „przyjaciela”, jakim on jest.

Tegoż dnia po południu (2 VI) nr 7 i nr 8 zabrali mnie do samochodu. Pojechaliśmy na Solec i pokazując dom, w którym mieści się drukarnia W 2, zapytali co to za drukarnia. Zorientowawszy się, że wiedzą na pewno, odpowiedziałem, że jest to druga drukarnia. Zapytali, dlaczego nie ma tu żadnego ruchu, nic się nie wywozi i nie przywozi; dlaczego drukarnia jest nieczynna. Odpowiedziałem, że pracuje w nocy, tak jak większość drukarni (liczyłem się z tym, że mimo mojego ostrzeżenia drukarnię uruchomiono, a więc ewentualnie pracowała w dzień).

Następnie zawieziono mnie na ul. Solną i wskazując na sklep Sebastiana zapytano, dlaczego jest w ogóle zamknięty i gdzie mieszka Pstrągowski (Sebastian). Odpowiedziałem, że mieszka w tym samym domu; stwierdzili, że to wiedzą sami, a chodzi im o to, gdzie jest obecnie. Oświadczyłem, że nic oczywiście nie mogę powiedzieć na ten temat. Na pytanie, co tu się mieści, odpowiedziałem, że spotykałem się tu z Andrzejem, poza tym był to dostawca różnych materiałów elektrycznych. Czy działo się coś jeszcze — nie wiem. Pojechano jeszcze załatwić jakąś sprawę na 6-go Sierpnia, po czym odprowadzono mnie do celi, traktując brutalnie i natrząsając się z mojej naiwności co do ich możliwości, zapowiadając, że jutro „pogawędzą” ze mną „odpowiednio”. Na moje pytania, o co chodzi na Solnej, nic nie odpowiadano.

Byłem przeświadczony, że W 2 i W 6 zostały zlikwidowane po inwigilacji. Dziwił mnie tylko sposób pytania przy W 2. Sądziłem, że chcą się dowiedzieć przyczyn nieobecności ludzi (dopiero na wolności dowiedziałem się, że drukarnie zostały zlikwidowane następnego dnia tj. 3 VI o świcie).

Likwidacja W 2 i W 6 nie zaskoczyła mnie tak bardzo, jak likwidacja W 4. Wykrycie W 2 przypisywałem bądź Kubowej (mało prawdopodobne), bądź zestawieniu różnych meldunków z długiej przestrzeni czasu i skonfrontowaniu ich z posiadanymi fotografiami (drukarnia miała b. liczne zagrożenia i wielokrotnie pracę trzeba było przerywać). Niepokoiła mnie poza tym osoba Marcina i cała tajemnicza historia z fotografikami. Krąkowska wówczas mi na myśl nie przychodziła. Osoba Marcina budziła moje obawy zwłaszcza w związku z rozpracowaniem W 6, gdzie możliwość zwrócenia uwagi na sklep Sebastiana przez telefon, który przy mnie znaleziono, wydawała mi się mniej prawdopodobna, gdyż sądziłem, że mnie o ten telefon zapytano by jednak, jakkolwiek liczyłem się również z tym, że mogli być przekonani, że nic im nie powiem, natomiast mogę przygotować wykrety. Postanowiłem nic nie zmieniać w linii zeznań, upierając

się nadal przy swoich twierdzeniach i obmyśliłem jedyny chyba możliwy sposób odpowiedzi na zagadnienie, dlaczego drukarni nie wskazałem.

Następnego dnia (3 VI) zostałem sprowadzony na górę. Obecny był nr 1, nr 7, nr 8 i nr 6. Nr 1 oświadczył, że zlikwidowali już 3 drukarnie i żądają powiedzenia, gdzie jest reszta. Upredza mnie, że liczni ludzie, aresztowani przy tej okazji, zeznali, że znam wszystkie drukarnie. Ponieważ w drodze na górę zagadnąłem nr 8, czy dużo aresztowali ludzi, a on odpowiedział, że jest kilku zabitych¹³⁰ — zorientowałem się, że jest to jakiś wybieg i można przypuszczać, że nic dalszego nie wiedzą. Nr 1 żądał odpowiadania w dwóch słowach, grożąc biciem. Odpowiedziałem, że tylko mówiąc swobodnie potrafię wszystko wyjaśnić. Po dłuższym upieraniu się nr 1 zgodził się wreszcie.

Oświadczyłem w dłuższym wywodzie, że przyznaję się do wprowadzenia ich w błąd, nie pragnąłem jednak ich oszukiwać, po prostu „przepolitykowałem” się, a sami są temu równie przynajmniej winni jak ja. Żądałem stale, z całym naciskiem, odbycia ze mną gruntownej rozmowy politycznej, którą mi stale obiecywano, odkładając z dnia na dzień i nie dotrzymując nawet solennych obietnic (słowa honoru). W rozmowie tej wyjaśniłbym swoje stanowisko. Nie obiecywałem, a nawet podkreśliłem to na piśmie, bym działał wbrew własnemu interesowi, a mój interes polityczny nakazywał mi zachowanie drukarni, o potrzebie czego przekonałbym jego niewątpliwie w obiecanej, a nie odbytej z ich winy rozmowie. Mój interes osobisty nakazywał mi osłonięcie mego przyjaciela, Zdzisława, który był związany, a nawet brał udział w budowie czwartej drukarni. Bywał również na drugiej drukarni. Sami podkreślali, że nie chcą działać wbrew mojemu interesowi politycznemu, a nawet osobistemu.

Przerywano mi, twierdząc, że mogłem powiedzieć im o drukarniach i zastrzec nie likwidowanie ich. Oświadczyłem, że na tyle nie mam do nich zaufania. Gdyż znam ich prymitywne obyczaje policyjne, zgodnie z którymi likwidują natychmiast wszystko, co wpadnie im w rękę. Oszukiwany byłem przez nich cały czas. Wymieniłem cały szereg kłamstw i sprzecznych powiedzeń. Przekonany byłem, że płynie to wyłącznie z nawyków policyjnych, niemniej postanowiłem zachować atuty w ręce do rozmowy politycznej, przy której obiecywałem sensacje i po której byłem przekonany, że będzie można wszystko szczerze ustalić. Nie okłamywałem ich zresztą kompletnie, tylko zrobiłem niewielkie przesunięcie w liczbie drukarni mi znanych. Nie znam rzeczywiście drukarni trzeciej oraz litografii i cynkografii, noszących

130. Przy likwidacji drukarni W 4, której załoga stawiała opór.

numerację 5 i 6. Tym bardziej właśnie zależało mi na zachowaniu jedynych dwóch drukarni, które sam budowałem. Liczyłem się jednak z tym, co teraz nastąpi, to znaczy z żądaniem wskazania drukarni, których nie znam. Tak samo by postąpili przedtem, gdybym powiedział jakąkolwiek drukarnię. Cynkografia i litografia są posagiem, który wniósł POZ przy włączeniu do AK¹³¹. Drukarnia zaś trzecia jest posagiem ludowców przy włączeniu Batalionów Chłopskich. Mogą mnie na te tematy badać, ile chcą, konfrontować, z kim chcą, a nie będę mógł o tym nic powiedzieć. Nie kłamałbym widząc, że dają sobie radę sami. Wykrycie któregoś z tych punktów, gdybym kłamał, na pewno skończyłoby się dla mnie b. źle. Podkreśliłem jeszcze, że zdaję sobie sprawę, że obecnie wszelkie rozmowy są już zupełnie nieaktualne i wcale już na to nie liczę. Jeśli żądają „zadatków”, jakby to był handel, to nie mogą mieć pretensji do drugiego kupca, że odkłada pieniądze na zadatek, tak jak ja robiłem w tym wypadku z drukarniami, nie będąc w stanie wskazać im żadnych adresów i ludzi, z którymi normalnie mogłem się zawsze komunikować pocztą. Nie mogą mi stawiać zarzutu, że ich oszukiwałem, gdyż tylko, jak widzę niepotrzebnie, przepolitykowałem się.

Nr 8 przełożywszy moje gwałtownym tonem mówione przemówienie stwierdził, że kłamstwa, które im wytykam, popełniał poprzedni referat, a nie oni. Szef nie mógł dotrzymać obietnic rozmowy, gdyż jest bardzo zapracowany. Nr 1 zażądał przejrzenia po kolei drukarni. Przyniesiono budżet mego wydziału. Objąsniłem ich, jakie drukarnie zostały poza W 4 i W 2 oraz drukarniami, zlikwidowanymi od grudnia ub. roku. Zapytał, jaką drukarnię zlikwidowano na Solnej. Stwierdziłem, że nie wiem o istnieniu tam drukarni, gdyż był to punkt kontaktowy Andrzeja w swoim czasie. Oświadczyli, że była tam drukarnia. Prosiłem o opisanie urządzeń. Zrobili to b. dokładnie. Wyjaśniłem, że wobec tego jest to litografia (W 6), o której mówiłem, że razem z W 5 mieściła się w jednym miejscu z W 4. Była to nieścisłość, lecz nie wierzyłem (okazuje się słusznie), aby dali mi wiarę, że części drukarni — właściwie obcych, a nie PZP — nie znam. Dlatego naśladowałem sytuację, w której znajduje się drukarnia trzecia i intrologatornia (W 9).

Nr 1 nie zadowolił się zapewnieniem, że nie znam cynkografii, trzeciej drukarni i intrologatorni, nalegając, ale już spokojnie

131. Informacja nieprawdziwa, M. Wojewódzki, *W tajnych*, s. 129–133, pisze, iż J. Rutkowski przy scalaniu Polskiej Organizacji Zbrojnej zrezygnował z jej bardzo skromnego „posagu” poligraficznego, na który składała się mała bostonka.

na przyznanie się. Rozkładałem bezradnie ręce i stwierdzałem, że są to drugorzędne zupełnie rzeczy, gdyż trzecia drukarnia składa się z jednej pedałówki na nogę, a takich drukarni w Warszawie jest kilkadziesiąt, a cynkografia bez drukarni nie przedstawia żadnej wartości.

Nr 1 zapytał, czy można wobec tego uważać TWZW za zlikwidowane całkowicie. Zapewniłem, że oczywiście tak. Pytano, gdzie wobec tego będzie się drukować prasa PZP. Stwierdziłem kategorycznie, że na drukarni trzeciej jest to niemożliwe, lecz ukazywać się naturalnie będzie, bo duża część ugrupowań politycznych chętnie umożliwi to na swoich drukarniach. Agenci odbyli krótką naradę, podczas której, jak widziałem, nr 7 domagał się bicia.

Ukończywszy naradę, nr 1 zapytał mnie uroczyście, czy wszystkie moje dotychczasowe zeznania można jednak uważać za prawdziwe. Zaręczyłem mu, że w 100 % tak, aczkolwiek jestem przekonany, że nie będą mi już w ogóle ufać. Wynikła następnie dłuższa rozmowa, w której polemizowano ze mną na temat niesłusznego braku zaufania, ja zaś stawiałem zarzuty ich metodom postępowania. Twierdziłem, że lepiej było odbyć obiecaną rozmowę i mieć więcej czasu, niż przepracowywać się, poszukując drukarni. Stwierdzili, że czwarta drukarnia przyszła im bez trudu. Pytałem, jak wykryto drukarnię. Uniknęli odpowiedzi (w kilka dni później, gdy domagałem się powiedzenia mi tego, nr 6 stwierdził, że i tak kiedyś będę wiedział). Pytałem, czy aparaty radiowe, których stos leży na stole, też były w drukarni. Nr 6 potwierdził. Pokazywano mi jeszcze jedną kennkartę, którą już raz widziałem bez nazwiska, pytając z naciśkiem, czy znam tego człowieka. Była to kennkarta młodego Muszewskiego, którego z widzenia nie znałem. Zameldowany był na Wawelskiej 1, tam gdzie była drukarnia. Był to syn Bonifacego, mieszkającego w drukarni W 4, pracujący w naszej łączności. Sądziłem wobec tego, że W 4 wpadła w związek z jakąś historią w naszej łączności. Pokazywano mi jeszcze szereg kartek znalezionych w drukarniach, które bez trudu można było skomentować.

W zakończeniu prosiłem, aby jak najprędzej zakończyli moją sprawę i bądź mnie rozstrzelali, bądź wysłali na obóz. Nr 1 stwierdził, że musi czekać na decyzje w mojej sprawie, gdyż ufając mi, przesłali ją do decyzji wyżej.

Nieoczekiwanie 6 czerwca wieczorem przyszedł do celi niesłychanie ugrzeczniony nr 8, przynosząc mi mój zegarek, wieczne pióro i ołówek, kilka książek, marki na posiłki z kasyna i zawiadomił, że czekają na mnie dwie paczki „przysłane przez organizację” (paczki te, odzieżową i żywnościową, otrzymałem

dwa dni później). Widząc moje zdumienie oświadczył, że jutro będę miał możliwość odbycia obiecanej rozmowy politycznej, natomiast przynosi mi te drobiazgi, gdyż cofnięcie mi udogodnień było spowodowane ich zdenerwowaniem i oburzeniem po wykryciu drukarni. Dodał szereg frazesów. Zapytał, czy w razie ewentualnego zwolnienia zgodnie z moimi planami chciałbym wrócić do swojego mieszkania. Widząc jego niepokój zgodnie z przyjętą poprzednio linią, zapewniłem go, że jest to wykluczone, z tym, że kiedyś, oczywiście, chciałbym je odzyskać. Starłem się rozproszyć jego obawy, że miałbym oficjalne pretensje o zrabowane mi prawdopodobnie rzeczy, aby nie nastrajać go niechętnie. Na moje pytania, co wpłynęło na tak nieoczekiwaną zmianę, nie chciał dać żadnej odpowiedzi, odnosiłem wrażenie, że sam nie wiedział.

Byłem zdumiony, gdyż trudno było mi uwierzyć, aby moje dotychczasowe „plany i propozycje polityczne” mimo, że byłem przekonany o bardzo zręcznym ich podawaniu (agenci, z którymi się stykałem, byli niewątpliwie przekonani o ich rzetelności) wytrzymały taką próbę, jak krach drukarni.

Dnia 7 czerwca przed południem zostałem wezwany do pokoju 237, gdzie oczekiwali nr 1, nr 7 i nr 6. Po drodze na górę nr 8 zapytał, czy wiem już o inwazji¹³²; dowiedziawszy się, że nie, podał mi podnieconym tonem ostatnie wiadomości, pytając, co o tym sądzę. Odpowiedziałem, że inwazja szybkich skutków nie da, natomiast przesądza niewątpliwie los wojny. Prędkim następstwem jej będzie jednak wielka ofensywa sowiecka, która dojdzie bez wątpienia do Wisły już w trakcie lata. Podziwiam na tle tego wszystkiego ich ogólną politykę i biurokratyczną drobiazgowość w prowadzeniu spraw, co może dać poważne wyniki ewentualnie dopiero za kilka lat. Nr 8 stwierdził, że niewątpliwie mam rację i zaryzykują inne celowsze metody.

Nr 1 po bardzo grzecznym przywitaniu zaczął tłumaczyć zwleknięcie z „rozmową polityczną” i niedotrzymanie obietnic, ale „ich obowiązkiem było sprawdzić moją prawdomówność i wykorzystać wszystkie możliwości śledcze, jakie mieli”. Są skłonni wierzyć, że gdyby rozmowa polityczna miała miejsce wcześniej, to nie potrzebowaliby tropić i likwidować drukarni. Następnie zapytał mnie uroczyście, czy wszystko co im mówiłem na tematy polityczne jest szczere i czy propozycje swoje traktuję poważnie. Ton był więcej niż ugrzeczniiony.

Mimo wczorajszego uprzedzenia zaskoczony byłem niesłyszana i niezrozumiała dla mnie zmianą atmosfery. Obawiałem się

132. W dniu 6 VI 1944 r. alinci lądowali w Normandii.

jakiegoś podstępu, ale nie mając nic do wyboru postanowiłem kontynuować swoją grę, dążąc do sprowokowania pospiesznego działania, licząc się z tym, że w razie nieudania się tego dalsze jej kontynuowanie mogę sobie uniemożliwić; musiałem jednak ryzykować. Obawiałem się bowiem, aby pod wpływem wykrzyca mych kłamstw w sprawie drukarni nie zaczęto powtórnie przesłuchiwać mnie systematycznie na wszystkie tematy konkretne, które dotychczas traktowane były powierzchownie lub w ogóle pominięte. Zdopingowany poza tym byłem możliwością dalszych nieoczekiwanych wpadek obiektów bądź ludzi, a na powtórne pokrzyżowanie zeznań nie znalazłbym już żadnego wytłumaczenia. Mógłbym już wtedy jedynie odmówić zeznań i wytrzymać niewątpliwe tortury.

Oświadczyłem nr 1, że wszystkie moje rozmowy i propozycje są bezwzględnie szczerze. Nie są one dyktowane chęcią odzyskania wolności i przez to ocalenia sobie życia (aczkolwiek i to gra pewną rolę), lecz starannie przemysłanym moim interesem politycznym. W chwili aresztowania miałem poczucie swojej bezsilności w możliwościach wystarczająco silnego wpływnięcia na zmianę stosunków politycznych w kraju w pożądanym przeze mnie kierunku. Dzięki rozmowom z oberleutnantem (nr 8) spostrzegłem, że otwierają mi się możliwości mocnych i szybkich działań, które mogą zmienić radykalnie stosunki w kraju, rzucając go do koniecznej walki z bolszewizmem. Ponieważ jest to również w ich interesie, więc sądzę, że nic nie powinno stać na przeszkodzie możliwości realizowania tego, jeżeli potrafią się wznieść ponad rutynę pracy policyjnej, na którą jest za późno w przeddzień ostatniej ofensywy sowieckiej. Również prawdziwe są wszystkie zeznania na temat mojej osoby i braku możliwości dania im jakiegokolwiek śladu do ujęcia osób, na których im zależy. To co nie przedstawia dla mnie większego trudu na wolności, jest niemożliwe przy pozostawianiu w więzieniu (w dłuższym wywodzie umotywowałem im to). Jestem jedynym człowiekiem, którego stać na odwagę współdziałania z wyższej potrzeby z policją, a będącego, dzięki „przedwojności” swego nazwiska politycznego poza posądzeniami o to i mającym łatwy dostęp do ludzi najbardziej strzegących się, do jakich należą Bór, Grzegorz i Prezes. Nie podejmowałbym się zadania, którego choć w części nie mógłbym wykonać, gdyż mają mnie całkowicie w ręku. Nawet najbardziej antybolszewicki lecz poważny polityk w Polsce potępi współdziałanie z Gestapo, zwłaszcza, że na temat „zdrady” konspiracja jest przeczulona. Przypominam jednak, że żądałem pośpiechu w rozpatrzeniu moich propozycji od dawna, gdyż w miarę upływu czasu możliwości skontaktowania się słabną, a długi pobyt w Gestapo może

budzić podejrzenia. Obecnie nie mogę podjąć się ujęcia w ciągu tygodnia, lecz potrzebuję z zobowiązaniem — dwóch tygodni. Jeszcze tydzień, dwa zwłoki, a propozycje moje staną się nieaktualne, gdyż nie będę w stanie ich wykonać.

Wywody moje, które podaję tu w streszczeniu, były oczywiście znacznie obszerniejsze, odpowiednio umotywowane a nadzieja na okpienie Gestapo, która w międzyczasie wzrosła we mnie, pozwoliła mi mówić niesłychanie swobodnie, przekonywującym, a nawet entuzjastycznym tonem. Słuchano mnie z niesłychaną uwagą, zwłaszcza nr 7, który dotychczas zupełnie nie interesował się moimi propozycjami, traktując wyraźnie pogawędki polityczne nr 8 i nr 6 jako próbę wydobycia ode mnie zeznań na temat adresów itp.

Nr 1 oświadczył, że ma obawy, czy nie przecenił swoich możliwości, gdyż po wyjściu z Gestapo nikt nie będzie chciał utrzymywać ze mną kontaktu, a mogę się nawet stać osobą podejrzaną; są nawet podobno jakieś przepisy w tej dziedzinie. Poza tym nie wyobraża sobie, abym mógł szybko nawiązać kontakt, mając go, jak twierdzą, zupełnie porwany, zwłaszcza, że jestem człowiekiem niechętnie widzianym w lewicowych kołach PZP, a wartość dla nich, a tym samym dla mnie, całej ewentualnej akcji leży w szybkim terminowym wykonaniu.

Gdy zacząłem długi wywód, rozpoczynając od opisywania swojej przeszłości politycznej w obawie, że nr 1 i nr 7 są zbyt słabo „podmurowani” — nr 1 przerwał mi, prosząc o ograniczenie się do projektów na przyszłość, gdyż wszystko ma zreferowane, a „czas jest drogi”.

Stwierdziłem, że obawy nr 1 są płonne; przepisy o których wspomina, odnoszą się do ludzi, którzy zostali *zwolnieni*, dlatego musi być, jak już wielokrotnie o tym rozmawialiśmy z nr 8 i nr 6, sfingowana moja ucieczka. Jestem młody i nikt się temu nie będzie dziwił. Poza tym podejrzenia dotyczą przede wszystkim nowych ludzi w polityce, od których się roi konspiracja. Ludzie o nazwiskach politycznych przedwojennych są poza wszelkimi podejrzeniami. Na przykład niejaki Borucki, który uciekł z więzienia, stał się od razu podejrzanym, gdyż był niepoważnym i nikomu nieznanym człowiekiem¹³³. B. Piasecki natomiast, który nawet był zwolniony, a jest osobą niesłychanie wrogo traktowaną przez lewicę, był poza wszelkimi podejrzeniami, będąc niejednokrotnie przyjmowany przez Grota i Delega-

133. Henryk Borucki, komendant organizacji Komenda Obrońców Polski, został aresztowany 16 I 1941 r., a wraz z Tadeuszem Szpotańskim, Stanisławem Dobrskim i Eugeniuszem Filipowiczem zbiegł z Pawiaka 3 III 1942 r. Nieprawdziwa jest informacja, jakoby stał się on „podejrzany”.

ta Rządu oraz konferując ze wszystkimi politykami¹³⁴.

O dotarciu do Bora i Grzegorza, a tym bardziej do Prezesa nie ma żadnych obaw (mówiłem niesłychanie bagatelizującym tonem, uśmiechając się, jakby drwiąc z ich dziecinnej ignoracji), zwłaszcza gdy zakomunikuję fikcyjnie, że znam przypadkowo treść rozmów Gestapo z Grotem. Cała trudność zaczyna się od ich aresztowania i uprzedzam, że będę musiał posiadać b. poważne gwarancje z ich strony, że wypełnią przyjęte zobowiązania w razie skierowania na mnie podejrzeń mimo chytrego planu aresztowania. Aresztowanie Bora, Grzegorza i Prezesa jest tylko wstępem do naszego dalszego współdziałania, które dopiero wymaga b. starannego przemyślenia. Zacząłem rozwodzić się na ten temat, aby wzbudzić w nich tym większe zaufanie (cały czas starałem się drobiazgowo rozważać rzeczy późniejsze, traktując „wydanie” Bora, Grzegorza i Prezesa jako doniosły, ale samo przez się zrozumiały i nie przedstawiający trudności wstęp). Nr 1 przerwał mi, prosząc, abym napisał im po kolei opis techniczny czynności, jakie zamierzam przedsięwziąć i jakich od nich wymagam, od momentu „ucieczki” włącznie. Oświadczyłem, że zbyt bagatelizuję trudności, które ja będę miał już po aresztowaniu Komendy i zależy mi jednak na omówieniu ustnym dalszego planu postępowania i przewidzenia wszelkich ewentualności w razie powikłań, które mogą później wyniknąć (umacniałem ich tym w przekonaniu o poważnym traktowaniu całej imprezy). Nr 1 zarzucił mnie całą masą rozmaitych obietnic i zapewnień, stwierdzając, że będziemy jeszcze na ten temat rozmawiać (była już przerwa obiadowa).

Po sprowadzeniu do celi sporządziłem po południu tegoż dnia opis czynności technicznych, który ujmował właściwie rzeczy już omówione z nr 8 głównie w czasie jazd samochodem; miał to być jednocześnie dla Gestapo dokument gwarantujący moją „lojalność”. Był to brulion ołówkowy bez daty i podpisu. Na wstępie podałem obszerny opis techniczny projektu fingowanej ucieczki przy okazji wożenia po mieście, z cukierni „Szwajcarska” jako rojnego miejsca, z którego wiadomości przenikną do kół konspiracyjnych. Dalej „przewidywałem” sposób urządzenia się osobistego (zamieszkać u Zdzisława lub u rodziców). Motywowałem, dlaczego nie mogę wracać do mieszkania na Okólniku, a nawet nie mogę używać rzeczy, które tam posiadam (gwoździ spokoju agentów, którzy mieszkanie okradli). W dalszym ciągu w obszernym ustępie opisałem czynności, zmierzają-

134. Bolesław Piasecki aresztowany został 13 XII 1939 r., a zwolniony przez Niemców 16 IV 1940 r. Jego pozycja została w tym miejscu przez J. Rutkowskiego bardzo znacznie wyolbrzymiona.

ce do nawiązania zerwanego kontaktu z pocztą: 1) przesiadywanie w knajpach i kawiarniach, gdzie spotkam niewątpliwie którąś ze znanych mi z widzenia łączniczek, przez którą wyślę list — bądź jakiegokolwiek członka z jakiegokolwiek działu, który prześle zawiadomienie, żeby mnie podjęto (jest ogólny obowiązek ustawiania kontaktu ludziom „urwanym”); 2) jeśli Zdzisław ma kontakt z pocztą (niewątpliwie tak) to nie będę miał żadnych trudności; 3) w razie spotkania kogoś spoza PZP wyślę zawiadomienie okreśną drogą przez łańcuch kontaktów politycznych; 4) ewentualnie złożę wizyty różnym ludziom, nie mającym nic wspólnego z konspiracją, natomiast być może znającym kogoś z konspiracji (może mi się uda nakłonić do skomunikowania). W najlepszym wypadku (Zdzisław) zajmie mi to 1 dzień, w najgorszym tydzień czasu. (W rzeczywistości miałem natychmiastowe bezpośrednie kontakty). Po nawiązaniu kontaktu przewidywałem wysłanie dwóch równoległych listów do Bora i Prezesa z raportem o ucieczce i z prośbą o wyznaczenie szybkiego kontaktu, gdyż udało mi się zdobyć poufne wiadomości polityczne, m.in. z rozmów Grota z Gestapo, których nie mogę powierzyć piśmie. Na takie zawiadomienie natychmiast otrzymam na punkcie, który wyznaczę (np. mieszkanie Zdzisława) wezwanie do Prezesa, któremu złożę meldunek techniczny z przebiegu aresztowania i udanej ucieczki, odmawiając natomiast sprawozdania na temat sprawy i sensacji politycznych, jakie posiadam, a które muszę zakomunikować osobiście Borowi. Prezes nie będzie miał prawa żądać tego ode mnie. Być może, że sam poda mi kontakt z Borem. Równolegle Bór wyznaczy mi spotkanie, na którym z urzędu, a również z niewątpliwie wielkiej ciekawości będzie Grzegorz i Prezes. Nastąpi to najdalej w tydzień po nawiązaniu kontaktu, a więc całość akcji zabierze od 8-14 dni. Przez cały ten czas musimy pozostawać w intensywnym kontakcie osobistym lecz bardzo dyskretnym. Po urządzeniu się natychmiast podam telefonicznie swój adres. W razie potrzeby Zdzisław będzie służył za łącznika z tym, że w pierwszym okresie co najmniej co drugi dzień musimy się widzieć osobiście, abym mógł komunikować im szczegółowo przebieg akcji. (Chodziło mi o zrobienie im nadziei, że przynajmniej Prezesa bądź łączność będą mogli w każdej chwili ująć, nawet gdyby spotkanie z Borem i Grzegorzem skrewiło). Przed zobaczeniem się ze mną Bór, Grzegorz i Prezes będą się chcieli naradzić, bądź będą mieli inne normalne sprawy do załatwienia. Wobec tego na godzinę przed tym w dzielnicy tej Gestapo zorganizuje blokadę, robiąc dla niepoznaki w dwóch, trzech innych punktach miasta blokady. Zostanie zatrzymanych szereg ludzi wraz z poszukiwanymi. Do mieszkania, które im podam naj-

dalej w przeddzień, może wkroczyć dobrana specjalnie ekipa lecz w mundurach szeregowych (może być przebrany referent z pokoju 237) pod dowództwem b. niskiej szarży — pod pierwszym lepszym pretekstem zatrzymując delikwentów, nie zdradzając się jednak ze świadomości, kogo aresztują. Wraz ze wszystkimi zostaną osadzeni, a później niby przypadkowo rozpoznani, na oczach ludzi zatrzymanych w blokadzie, którzy po rzekomym sprawdzeniu będą zwolnieni. Na spotkanie będę szedł z jakimś świadkiem z organizacji i zobaczywszy blokadę, cofniemy się. Wskutek tego znajdę się poza podejrzeniami, z dużymi już ostrożnościami mogąc przystąpić do opanowania BIP-u. Naszkicowałem im program dalszej współpracy, przewidując m.in. możliwość ujęcia całego kierownictwa BIP-u w tej części, jaka „moim planom” politycznym może przeszkadzać. Dalej „współpraca” ograniczyłaby się do całkowicie dowolnych z mojej strony świadczeń. W każdym etapie tej „akcji” przewidywałem rozmaite zabezpieczenia dla swojej osoby, które opisywałem w myśl poprzednio danej notatki, żądając uroczystego ich zagwarantowania. W razie pomyślnego przebiegu całej „współpracy”, lecz w wypadku zajęcia terenów polskich przez bolszewików, Gestapo ma mi zapewnić wyjazd na Zachód, gdzie mam zamiar wziąć udział w pracach emigracyjnego ośrodka antybolszewickiego, gdziekolwiek on powstanie.

Piszząc tę notatkę, starałem się rozproszyć wszelkie możliwe podejrzenia, jakie mogłyby się zrodzić u agentów. Główny nacisk kładłem na późniejsze „projekty” rozwodząc się nad nimi obszernie (część tę podałem tu w streszczeniu, słabo już ją pamiętam, gdyż w przeciwieństwie do części pierwszej nie była omawiana szczegółowo). Chodziło mi o to, żeby Gestapo nabrało przekonania, że może mnie już na samym wstępie okpić pod pierwszym lepszym pretekstem likwidując mnie, a zdobywając już to [o] co im głównie chodziło (Bór, Grzegorz, Prezes, a nawet tylko kontakt na łączność). Musiałem również pamiętać o obawie o podstęp, aby nie przekreślić swoich zeznań. Zwracałem uwagę na bzdurność notatki w zestawieniu z zakresem moich możliwości tak *in plus* (nawiązanie łączności) jak *in minus* (wabienie komendanta i jego zastępcy na naiwny list i w ogóle możliwość z nimi kontaktu), aby ten „dokument”, konieczny ze względów taktycznych, nie mógł być nigdy poczytywany za jakiegokolwiek rzeczywiste „zobowiązanie” z mojej strony, a nawet, żeby nie miał pozoru takiego papieru (brak daty i podpisu), gdyby ktokolwiek chciał go wykorzystać z powodu niechęci do mnie lub nieznamości mnie.

Na drugi dzień, 8 VI rano doręczyłem notatkę, a po południu zostałem wezwany na górę, gdzie po krótkim oczekiwaniu

zjawił się nr 1 i powitał mnie z otwartymi ramionami, zapewniając, że wysłanie mnie na wolność jest niemal postanowione. Zdumiałem się szybkością skutku, na który tak prędko nie oczekiwałem, zwłaszcza będąc podejrzliwie nastawiony od czasu wykrycia trzech drukarni. Postanowiłem być b. czujny na wszelkie ewentualne podstępny, zwłaszcza że inni agenci — nr 7, nr 8, nr 6 — byli wyraźnie zaskoczeni szybkością decyzji nr 1, który dotychczas odnosił się sam najbardziej podejrzliwie i kpiąco do moich „planów” w przeciwieństwie do nich. Zgrupowali się przy nr 1, który im coś długo wykladał, kilkakrotnie powtarzało się słowo „Krakau”. Gdy zapytałem, czy mówią o jakiejś decyzji z Krakowa, dano mi odpowiedź wymijającą, tak że nie wypadało mi w tej atmosferze pytać.

Nr 7 zarządził przyniesienie wódki i przekąsek, proponując oblanie całego przedsięwzięcia. W czasie rozmowy nr 1 prosił o objaśnienie celowości kilku punktów mojego planu technicznego, co bez trudu zrobiłem. Nr 1 stwierdził, że widzi tak staranne przemyślenie wszystkiego przeze mnie, że nie ma już żadnych zastrzeżeń i sądzi, że trzeba to b. prędko wykonać.

Zapytał, czy nie wolałbym być normalnie zwolniony i ukryć się, działając przez swoich przyjaciół politycznych. Stwierdziłem, że na taką akcję nie pójdzie żaden „przyjaciel” z wyjątkiem „Zdzisława” („jak to dobrze się stało, że go nie ujeli!”), ale on jest „za krótki” i tylko ja osobiście w całej konspiracji mogę to wykonać w tak krótkim czasie. Zapytał, czy nie można by przed tym ująć Kowalika (miał wyraźną na punkcie Kowalika obsesję), a później dopiero Komendę. Oburzyłem się na tak lekkie traktowanie sprawy i zacząłem wyrażać ostentacyjne obawy, czy mnie nie „wrobią” swoją niedźwiedzią niezręcznością. Żądałem największej poufności (ostatnie dwa dni zamykali na klucz pokój, aby nikt nie wchodził, ulegając moim żądaniom).

Obawiałem się ciągle, że starają się poddać próbie moje poważne potraktowanie całej „imprezy” podsuwając mi możliwość zwykłego uwolnienia. Postanowiłem ani na jotę nie odstępować od mojego „planu”, w który doskonale się wczułem, dzięki czemu mogłem z całkowitą naturalnością omawiać go nawet w atmosferze kieliszka, żądając ciągle omówienia dalszych projektów.

Nr 1 stwierdził, że ze względu na konieczny pośpiech — gdyż rzeczywiście zmarnowano nieproduktywnie wiele czasu — lepiej będzie, gdy będziemy mogli omówić szczegóły dalszego postępowania już jak będę na wolności i będę w trakcie nawiązywania zerwanej łączności. Natomiast plan cały w ogólnych zarysach aż do końca aprobuję, a gwarancje ze swej strony dadzą, jakie chcę.

Korzystając z okazji, chciałem dowiedzieć się o przyczynach ewentualnie sposobach likwidacji drukarni. Zapytałem o to, twierdząc, że muszę to koniecznie wiedzieć. Zamienili kilka słów między sobą i oświadczyli, że dowiem się o tym również w czasie nawiązywania kontaktów, gdy będziemy przecież dyskretnie się spotykali. Jedną na przykład „mamy przez tego...” powiedział nr 6 podnosząc ze swego biurka kennkartę młodego Muszewskiego. Gdy zacząłem naciskać, urwano rozmowę z wyraźnym niezadowoleniem. Prosiłem, żeby podali mi jakąś sensację na [w tym miejscu z powodu uszkodzenia dokumentu kilka słów nieczytelnych] z potrzebami mego „planu”. Również byli zmieszani i odpowiedzieli, że dowiem się tego również później, gdy będzie mi to już potrzebne. [Uszkodzenie dokumentu, kilka słów nieczytelnych] tylko, że doskonale się czuje. Wszystkich ich twierdzeń z całego śledztwa nie można brać poważnie; mogą być równie dobrze prawdziwe, jak fałszywe. Pod koniec rozmowy nr 1 pytał, co ważnego miałem powiedzieć o powstaniu. Prosi, żebym to podał nr 8 i nr 7. Poza tym chciano by mnie jeszcze spytać o szereg rzeczy. Odpowiedziałem, że plan powstania mogę im jeszcze dzisiaj podać, lecz wszelkie inne zagadnienia wolałbym omówić w czasie oczekiwania na kontakt lub nawet później, gdyż będę miał świeższe wiadomości, a będę teraz zwracał większą uwagę na rzeczy, które ich interesują, czego nie robiłem dotychczas.

Ponieważ zastrzegłem, że „plan powstania” opracowany w b. poufnym materiale, dostępny jest b. nielicznym ludziom, nr 7 oświadczył, że sam — bez pomocy maszynistki — sporządzi notatkę na maszynie. Za tłumacza służył nr 8. Opisałem im fikcyjny obraz powstania, który od dawna miałem ułożony dla zaspokojenia ich ciekawości. Osnowa tego planu wyglądała następująco: w miarę przesuwania się frontu wszelkie siły będą ściągane po kolei z okręgów, przez które front będzie przechodził do przewidzianych punktów na zapleczu, gdzie po uzupełnieniu kadry przez mobilizację mężczyzn zdolnych do noszenia broni, wojska z tych okręgów doprowadzone będą do stanu wystarczającego dla walki w polu. Gdy front się przesunie poza linię Bugu i Białegostoku nastąpi ogólna koncentracja Armii Krajowej z wyjątkiem dwóch okręgów zachodnich (Pomorze, Poznań). Hasłem do tej koncentracji będzie wyjazd na miejsce koncentracji Komendy z Warszawy, poprzedzone ściągnięciem do rejonu koncentracji (który miał być określony w ostatniej chwili) zapasów broni, żywności i ekwipunku magazynowanego konspiracyjnie. Są obmyślane metody przerzucania wielkich ilości uzbrojenia z W-wy. Miasta Warszawy powstanie ma nie obejmować ze względu przede wszystkim na trudności walk ulicz-

nych przy braku wystarczającej artylerii i prawdopodobnie wielkiego nasycenia siłami nieprzyjaciela. Kadra z Warszawy (podałem ją na 50.000 przeszkolonych i zorganizowanych żołnierzy), ma partiami opuścić Warszawę do rejonu koncentracji po wyjeździe Komendy. W Warszawie pozostaną jedynie nieliczne, ale wyborowe oddziały dywersyjne, mające paraliżować w miarę możliwości wykorzystywanie Warszawy jako węzła komunikacyjnego oraz wykonywać szereg demonstracji. Po skoncentrowaniu Armia Krajowa będzie działać jako jedna całość, która przystąpi do akcji w momencie pożądanym wraz z aktami dywersji, które w tym dniu nastąpią w całym kraju, wykonane przez nieliczne oddziały dywersyjne. W Warszawie hasłem do powstania ma być likwidacja jednoczesna funkcjonariuszy Gestapo w ich mieszkaniach prywatnych, które są b. ściśle rozpracowywane, prawdopodobnie w nocy, gdyż opanowanie gmachu policji przedstawiałoby dla słabych liczebnie oddziałów dywersyjnych zbyt duże trudności. W razie udanego powstania Warszawa zostanie opanowana bez walki przez wykonanie manewru odcinającego Warszawę od połączeń z Zachodem. Uchylenie się od walk ulicznych i wyjście na tyły sił nieprzyjaciela, skoncentrowanych w Warszawie, ma być podstawą całego planu, gdyż przypuszcza się, że Niemcy sądzą inaczej.

Plan ten (staralem się, aby odbiegał krańcowo od posiadanych przeze mnie wiadomości na ten temat) przyjmowany był jako sensacja b. poważnie. Projekt likwidacji agentów Gestapo w mieszkaniach wywołał duże poruszenie. Dopytywano, gdzie może być przewidziany rejon koncentracji. Wysuwali różne przypuszczenia (np. Puszcza Kampinoska). Stwierdziłem, że ulica Oleandrów będzie cała wystrzelana (mieszka tam nr 7 i nr 6).

Po powrocie do celi zacząłem obawiać się jakiegoś wielkiego podstępku. Nieoczekiwany zwrot w mojej sprawie stał się przedmiotem stałych moich rozważań. Trudno mi było uwierzyć, aby moje tłumaczenia, wykrety, dość naiwne w gruncie rzeczy „rozmowy polityczne”, fantastyczne obietnice, przy nawet b. zręcznym ich podaniu, dobrej grze i ignorancji Gestapo mogły dać tak szybki skutek szczególnie po z grubsza tylko rozładowanym krachu z drukarniami, zwłaszcza, że traktowano mnie jako „niebezpiecznego” człowieka. Sądziłem, że wpłynąć na to mogły: 1) zmiana bądź rozszerzenie metod pracy Gestapo, która w tym czasie nastąpiła; 2) decyzja wydana na podstawie wniosku wysłanego do wyższych władz (np. Kraków), przed nakryciem drukarni; 3) starania i grube łapówki, robione i [fragment nieczytelny] bądź przez zwierzchników, bądź przez rodzinę; 4) doping sytuacji politycznej [fragment nieczytelny]; 5) nakaz z góry ujęcia za wszelką cenę Komendy Armii Krajowej [fragment nieczytelny].

ny]: 6) przekonanie jednak Gestapo o moich możliwościach [fragment nieczytelny] chęciach, płynących z zaciętrzewienia politycznego i ambicji [fragment nieczytelny]; 7) doświadczeń jakie poczynili w innych krajach, gdzie tego rodzaju metody dały wyniki (współpraca poważnych polityków), a co jako wabik im podsunąłem.

Odpowiedzi na te wątpliwości znaleźć nie mogłem. Być może, że zdecydowała jedna ewentualność bądź kilka, bądź wszystkie na raz (nie orientuję się w tym do dziś). Postanowiłem bez wahań dążyć po tej linii do końca, doszedłszy do wniosku, że podstęp ich, którego istnienie wyczuwałem, może polegać jedynie na postanowieniu powtórnego uwięzienia mnie po pierwszym „świadczeniu”, a więc sprowadzałby się do tego, co chciałem im zasugerować.

Następnego dnia, w piątek 9 czerwca przed południem, zostałem wezwany na górę, gdzie nr 1 oświadczył, że „wystawienie” mnie na wolność jest zdecydowane ostatecznie i abym omówił wszelkie szczegóły ucieczki z nr 8, nr 7 i nr 6. Przystąpiliśmy do omawiania, po dłuższym rozważaniu obierając ze względu na warunki sytuacyjne bar „Nektar” na Świętokrzyskiej. Niektóre propozycje odpadały, gdyż nr 8 lub nr 6 stwierdzali, że w tych barach są znani jako gestapowcy, a w jednej z restauracji nr 8 stwierdził, że jest znany jako „dobry Polak”. Został omówiony cały plan, jak nazywali „teatru”. Zwrócono mi kennkartę na fałszywe nazwisko oraz na miejscu wypełniono kartę pracy z zapasów fałszywych formularzy „Parku”, których było sporo w szafie. Złożyli mi „rozhunek” z 10.000 zł (2.000 zł remont łodzi, 1.500 zł wypłacono mi na papierosy i obiady), zwracając portfel i 6.500 zł. Podano mi telefon centrali Gestapo (8-02-20) oraz telefony wewnętrzne: 337, 348, 352, poza tym telefony 9-63-18 i 9-53-86 dla godzin pozaurzędowych. Na kontakt umówiony w określonym miejscu nie zgodzili się. Miałem codziennie dzwonić, począwszy od soboty, a najdalej poniedziałku, a w razie potrzeby zobaczenia się, wyrażonej przez którąkolwiek ze stron, chcieli abym oczekiwał na Polu Mokotowskim na skrzyżowaniu Al. Niepodległości i Al. Marszałka Piłsudskiego, gdzie podjadą autem i ja wsiądę — wyraźnie chcieli mieć możliwość łatwego i nieniebezpiecznego ujęcia mnie w każdej chwili. Przyszedł nr 1, który wysłuchawszy sprawozdania z niesłuchanie drobiazgowego programu „ucieczki”, który ułożyłem, zarządził wykonanie jej już [fragment nieczytelny] agentów przy tej okazji na wódkę w „Nektarze”, a ponieważ nie [fragment nieczytelny] po „ucieczce”, chciałem wręczyć pieniądze nr 8. Nr 1 zaprotestował i stwierdził, że oni kryją koszta. Po dłuższym certowaniu się ustąpiłem.

W trakcie tych dwóch rozmów nr 8, który wyraźnie był zdziwiony decyzją i pośpiechem nr 1, przyniósł album z fotografiami, wyraźnie dla sprawdzenia, czy znam rzeczywiście dobrze ludzi, o bliskiej znajomości z którymi tyle mówiłem. Pokazał fotografię człowieka o tęgiej twarzy w wieku ok. 40, pytając, kto to jest. Ostrożnie odpowiedziałem, że twarz jest mi znana, ale nie wiem, kto to jest. Nie wyjaśnił, przechodząc dalej, następnie pokazał mi bardzo złe zdjęcie Grota. Poznałem go. Z kolei pokazał mi dwie dobre fotografie. Powiedziałem, że twarz jest mi b. znana, ale nie wiem kto to jest (obawiałem się, że może to być Grzegorz, którego nie znam). Zdziwił się, mówiąc, że „to Pełczyński”. Przyjrzałem się ostentacyjnie uważniej i stwierdziłem, że „rzeczywiście” większe zdjęcie przedstawia Grzegorza, ale znacznie młodszego i niepodobnego, małe zaś (powiększone z jakiegoś zdjęcia okolicznościowego) jest w ogóle do niego niepodobne. Z takimi zdjęciami mogą go szukać do końca świata; teraz wygląda zupełnie inaczej. Czuję, że jestem o krok od kłęski, lecz na szczęście nr 8 pokazał mi fotografię gabinetową Komendanta (b. dobra, w mundurze, a autografem), którego oczywiście od razu poznałem, co zatarło poprzednią niepewną ocenę. Z kolei pokazano mi kilka fotografii, przeważnie w mundurach oficerów sztabowych (niektóre powiększenia z prasy), ludzi zupełnie mi nieznanymi, lecz których, według zeznań, miałem prawo nie znać. Nie objaśniono mi kogo przedstawiają, z wyjątkiem fotografii mężczyzny w cywilnym ubraniu, w kapeluszu, o którym powiedział, że jest to „Oskar”. Nr 8 powrócił jeszcze raz do fotografii, którą pokazał mi na początku, twierdząc, że muszę pewno tego człowieka znać. Gdy zapytałem, kto to jest, odpowiedział niezbyt szczerym tonem, że jest to „Stary Koń”, współpracownik Kowalika, wożący niemiecką bibułę¹³⁵ do Reichu.

Po południu około godziny 16-tej wyjechaliśmy (nr 7, nr 8, nr 6) do „Nektaru”. Rzeczy przesłane mi w ostatniej paczce obiecali zapakować i schować¹³⁶.

Wstępem i przypisami opatrzył *Grzegorz MAZUR*

135. Tzn. wydawnictwa „N”.

136. Na tym urywa się raport J. Rutkowskiego. Dalszy przebieg wydarzeń był następujący: w barze „Nektar”, gdzie był z dwoma gestapowcami, w pewnym momencie podszedł do bufetu (rzekomo w celu zamówienia sobie przy nim kawy i ciastek), wbiegł zań, i drugim, gospodarczym wyjściem za bufetem wybiegł na sąsiednią ulicę. Zaraz potem udał się do mieszkania rodziców na ul. Targowej, którym natychmiast kazał je opuścić

KOMUNIKAT KOMITETU ZAGRANICZNEGO PPS Z 10 CZERWCA 1947 R.

Drodzy Towarzysze,

W związku z kryzysem politycznym, wywołanym śmiercią Prezydenta R.P. Władysława Raczkiewicza, chcemy zapoznać Was z całością sprawy, w szczególności z przebiegiem wypadków, stroną prawną oraz stroną polityczną zagadnienia.

1. Towarzysz Tomasz Arciszewski powołany został na następcę Prezydenta R.P. po rezygnacji poprzednika gen. Sosnkowskiego. Rada Jedności Narodowej (podziemny parlament krajowy z okresu okupacji niemieckiej) jednomyślną uchwałą wskazała trzech kandydatów, z których jednym był Tow. Arciszewski. W tym charakterze w lipcu 1944 r. wyjechał on z Kraju, udając się do Londynu. Po konsultacji stronnictw politycznych w Londynie, zarządzeniem z dn. 7 sierpnia 1944 r., tow. Arciszewski powołany został na następcę Prezydenta. Zarządzenie to zostało opublikowane w Dzienniku Ustaw.

Przez cały czas śp. Prezydent Raczkiewicz nigdy w rozmowach z tow. Arciszewskim nie ujawniał żadnych planów, ani chęci zmiany osoby następcy Prezydenta. Mimo to od pewnego czasu krążyły zaczęły pogłoski na ten temat i wiadomym było, że pewne osoby ze sfer prawniczo-sanacyjnych wywierają wpływ na śp. Prezydenta, zdążając do zmiany osoby następcy. Wszystko to robione było w ścisłej tajemnicy przed tow. Arciszewskim. W czasie pobytu śp. Prezydenta w sanatorium w Ruthin w dniu 21 i 22 kwietnia odwiedził

(schronili się oni w Józefowie). Przybyli następnego dnia na ul. Targową gestapowcy nikogo już nie zastali. Również tego samego dnia 9 VI skontaktował się on z płk. Rzepeckim, który ulokował J. Rutkowskiego w lokalu przy ul. Francuskiej. Zachowało się pismo płk. Rzepeckiego do gen. Pełczyńskiego z 12 VI 1944 r., zawierające wiadomości od J. Rutkowskiego na temat wiedzy Niemców o KG AK (archiwum Wojskowego Instytutu Historycznego w Warszawie, sygn. III/22/13, cz. I, k. 21); szczegółowo zostały one powtórzone w powyższym raporcie. Pozwoliło to na zwiększenie stanu bezpieczeństwa KG AK. Po około 2-tygodniowym pobycie na ul. Francuskiej, wypełnionym pisaniem tego raportu i weryfikowaniem Rutkowskiego przez kontrwywiad AK, który stwierdził zarówno jego prawdziwość, jak i fakt, iż postawa J. Rutkowskiego w więzieniu nie spowodowała najmniejszych szkód dla organizacji, zmienił on swój wygląd przy pomocy charakteryzatora (stwierdzono intensywne poszukiwania go przez Niemców) i wyjechał do Józefowa. W pierwszej połowie lipca powrócił stamtąd do Warszawy, gdzie wziął udział w przygotowaniach do powstania, a następnie w samym Powstaniu Warszawskim. Jego inteligencja i odwaga, wykazane w czasie tej jedynej w swoim rodzaju „wielkiej gry”, pozwoliły mu ocalić zarówno własne życie w ekstremalnie trudnych warunkach, jak i ocalić BIP KG AK przed katastrofą potężnej wyspy.

Go tow. Arciszewski. I wówczas nie poinformowano tow. Arciszewskiego o żadnych projektach zmian. Ostatni raz tow. Arciszewski odwiedził śp. Prezydenta Raczkiewicza w sanatorium w Ruthin w dniu 30 maja i pozostał tam do dnia 4 czerwca. W czasie tych ostatnich rozmów została sprawa Rządu i następstwa Prezydenta wyraźnie postawiona przez tow. Arciszewskiego. Prezydent udzielił tow. Arciszewskiemu wszelkich pełnomocnictw jako swemu następcy do przeprowadzenia konsultacji odnośnie zmian w Rządzie. Oświadczył gotowość podpisania odnośnego dokumentu. Na wyraźne pytanie, czy odpowiadają prawdzie pogłoski o zmianie decyzji odnośnie następstwa odpowiedział Prezydent: „nic nie uległo zmianie”. Tymczasem dnia 3.VI.47r. zgłosili się do tow. Arciszewskiego gen. Anders i Tadeusz Tomaszewski jako mandatariusze Prezydenta, wręczając mu list Prezydenta z datą 26 kwietnia 1947r. oraz zarządzenie Prezydenta o wyznaczeniu następcą p. Augusta Zaleskiego. Tow. Arciszewski oznajmił mandatariuszom, że aktu tego nie uznaje. Dnia 4 czerwca doszło do rozmowy pomiędzy śp. Prezydentem a tow. Arciszewskim, gen. Andersem, prezesem Tomaszewskim i p. A. Zaleskim. Prezydent mówił blisko 30 minut, kładąc nacisk na niewłaściwość ujawnienia podpisanych przez Niego pism, nazywając to „nieporozumieniem” i zalecając tow. Arciszewskiemu przeprowadzenie rozmów ze stronnictwami politycznymi w obecności gen. Andersa i prezesa Tomaszewskiego. Rozmowy te rozpoczęły się pod przewodnictwem tow. Arciszewskiego. W rozmowach wzięły udział następujące stronnictwa: P.P.S., Stronnictwo Narodowe oraz Stronnictwo Pracy. Komitet Zagraniczny P.P.S. reprezentowany przez tow. Kwapińskiego, Białasa i Pehra, na pierwszym posiedzeniu złożył następujące oświadczenie.

„Zarządzeniem Prezydenta R.P. z dn. 7 sierpnia 1944r. Tomasz Arciszewski wyznaczony został następcą Prezydenta zgodnie z przepisami ustawy konstytucyjnej z dnia 25 kwietnia 1935r. (Art. 13/2/b), z zobowiązaniami Prezydenta z 30 listopada 1939r. oraz w myśl woli Rady Jedności Narodowej i reprezentacji stronnictw politycznych za granicą. Tylko zrzeczenie się wyznaczonego następcy mogłoby dopuścić do zmiany na tym stanowisku.

Komitet Zagraniczny P.P.S. z poczuciem odpowiedzialności stwierdza, że wszelkie próby obalenia zarządzenia Prezydenta R.P. z dn. 7 sierpnia 1944r. w swej konsekwencji stanowią zejście z drogi legalności i pogwałcenie zobowiązań z dn. 30 listopada 1939r.

Komitet Zagraniczny P.P.S. nie widzi żadnej podstawy do jakichkolwiek konsultacji na temat następstwa Prezydenta R.P.”

Rozmowy trwały przez 2 następne dni. P.A. Zaleski oświadczył gotowość pełnienia urzędu Prezydenta prowizorycznie przez przeciąg 2 tygodni, rezygnując następnie na rzecz tego, na którego zgodzą się wszystkie trzy stronnictwa. Stronnictwo Narodowe i Stronnictwo Pracy stanęły na stanowisku ważności pisma Prezydenta z 26 kwietnia 1947r. Jak wiadomo, Prezydent Raczkiewicz zmarł dn. 3.VI.

Złożenie przysięgi przez p. A. Zaleskiego nastąpiło dn. 9 czerwca. Tomasz Arciszewski uznając akt z 26 kwietnia za nieważny, nie wziął udziału w zaprzysiężeniu p. Zaleskiego.

2. Stosunek naszej Partii do Konstytucji z 23 kwietnia 1935 r. jest Wam znany. Tak ze względu na sposób jej uchwalenia, jak też ze względu na samą treść tej Konstytucji, stosunek nasz był negatywny. Kiedy jednakże na skutek wojny znaleźliśmy się za granicą i kiedy zaistniała konieczność kontynuowania legalności państwowości Polski w poczuciu odpowiedzialności, zgodziliśmy się, mimo niezmiennego naszego pierwotnego stanowiska, na przyjęcie Konstytucji jako podstawy działania państwowego, pod warunkiem jednakże zastrzeżenia w drodze *pacta conventa* sposobu wykonywania Konstytucji przez Prezydenta. Obowiązującą normą stały się zobowiązania Prezydenta z dn. 30 listopada 1939 r. ogłoszone w Monitorze Polskim z dn. 9 grudnia 1939 r., dotyczące wykonywania przez Prezydenta Jego uprawnień osobistych przewidzianych w art. 13 Ustawy Konstytucyjnej. Zobowiązania te w dosłownym brzmieniu są następujące:

„W ramach Konstytucji Kwietniowej postanowiłem te jej przepisy, które uprawniają mnie do samodzielnego działania, wykonywać w ścisłym porozumieniu z Prezesem Rady Ministrów”.

Akt Prezydenta z dn. 26 kwietnia 1947 r. stanowi bezspornie złamanie zobowiązań z 30.IX.1939 r.

Nie lepiej przedstawia się sprawa zachowania samych przepisów Ustawy Konstytucyjnej. Dla zrozumienia sprawy przytaczamy tekst Art. 13 Ustawy Konstytucyjnej, który brzmi następująco:

„1. Prezydent R.P. korzysta z uprawnień osobistych, stanowiących Jego prerogatywy.

2. Do prerogatyw tych należy:

a) wskazywanie jednego z kandydatów na Prezydenta R.P. i zarządzanie głosowania powszechnego.

b) wyznaczanie na czas wojny następcy Prezydenta R.P.

c) mianowanie i odwoływanie Prezesa Rady Ministrów, pierwszego Prezesa Sądu Najwyższego i Prezesa Najwyższej Izby Kontroli.

d) mianowanie i zwalnianie Naczelnego Wodza i Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych.

e) powoływanie sędziów Trybunału Stanu.

f) powoływanie Senatorów, piastujących mandat z wyboru Prezydenta R.P.

g) mianowanie i ZWALNIANIE Szefa i urzędników Kancelarii Cywilnej.”

Ustępów h), i), j) jako dla sprawy tej bezprzedmiotowych nie przytaczamy.

Jak widzimy, Art. 13 zawiera dwie grupy mianowań: Prezesa Rządu Najwyższego, Prezesa Najwyższej Izby Kontroli oraz Naczelnego Wodza i Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych, a w końcu szefa i urzędników Kancelarii Cywilnej. W stosunku do tych Ustawa

wyraźnie przyznaje Prezydentowi prawo mianowania i odwoływania względnie zwalniania. Natomiast o ile chodzi o następcę Prezydenta, sędziów Trybunału Stanu i senatorów, Ustawa Konstytucyjna nie wyszczególnia prawa odwoływania lub zwalniania. Jest więc rzeczą jasną, że Ustawa Konstytucyjna jedynie w wypadkach mianowania wyszczególnionych pod c), d) i g) przyznaje Prezydentowi prawo każdorazowego i dowolnego odwołania, względnie zwolnienia. Ten sposób interpretacji potwierdził jeden z posłów, który wchodził w skład Komisji Konstytucyjnej Sejmu, który uchwalił Konstytucję Kwietniową. Taką też była dotychczasowa praktyka. Przypominamy, że na krótko przed wojną, kiedy okazało się, że Senatorzy-Niemcy, piastujący mandat z „wyboru Prezydenta”, rozwinęli działalność hitlerowską, uważano, iż mimo to pozbawienie ich stanowiska senatorów byłoby sprzeczne z Konstytucją.

Śp. Prezydent Raczkiewicz mógł więc wyznaczyć p. Zaleskiego następcą jedynie w wypadku zrzeczenia się stanowiska przez tow. Arciszewskiego. Mianowanie p. Zaleskiego następcą bez uprzedniego zrzeczenia się przez tow. Arciszewskiego jest sprzeczne z Ustawą Konstytucyjną z kwietnia 1935 r.

Reasumując stoimy na stanowisku, że nominacja p. Zaleskiego stanowi zarówno naruszenie zobowiązań z 30 listopada 1939 r., jak i pogwałcenie Art. 13 Ustawy Konstytucyjnej.

3. Na wszystkie te okoliczności zwróciliśmy uwagę podczas narad stronnictw. Nie pominęliśmy strony moralnej zagadnienia następstwa Prezydenta. Podkreśliliśmy, że w roku 1944 sprowadzono do Londynu tow. Arciszewskiego Z WOLI POLSKIEGO PARLAMENTU POLITYCZNEGO. W tragicznych chwilach 1944 r. włożono na jego barki ciężar stanowiska Prezesa Rady Ministrów. A po upływie niecałych trzech lat, w atmosferze zakonspirowanych starań i nacisków, w tajemnicy przed Nim, przygotowuje się akt usuwający Go w sposób niezgodny z prawem ze stanowiska następcy Prezydenta. W r. 1944 Tomasz Arciszewski — robotnik i jeden z przywódców Polskiej Partii Socjalistycznej, potrzebny był, by w najcięższych czasach kierować pracami Rządu oraz piastować stanowisko następcy Prezydenta, po to, aby w r. 1947, w omawianych wyżej warunkach i przy zastosowaniu-podanych wyżej metod, zamienić Go na p. Zaleskiego. Dla wszystkich stronnictw było rzeczą jasną, że Polska Partia Socjalistyczna nie pogodzi się z tym faktem i że go nie uzna, ponieważ jest on naruszeniem woli Kraju oraz niezgodny jest z obowiązującym prawem. Jeżeli Stron. Narodowe i jego satelita o minimalnym znaczeniu — Stronictwo Pracy — zaryzykowało ten krok, to dlatego, ponieważ sądziło, że sytuacja dojrzała do przejścia na inną koncepcję polityczną, w której z odsunięciem elementów demokratycznych ster władzy uchwycić będą mogły elementy endecko-sanacyjne. Nie cofając się przy tym przed zejściem z drogi legalności.

Stanowisko nasze w tej sprawie sprowadza się do dwóch zasadniczych postulatów:

1) Nie wolno nam zrezygnować z przywrócenia legalizmu. Naprawienie tego, co już zostało uczynione, może nastąpić jedynie przez sprowadzenie do tego stanu, który przewidywał Akt Prezydenta z 7 sierpnia 1944 r. powołujący Tomasza Arciszewskiego na stanowisko następcy Prezydenta. Jedynie objęcie urzędu Prezydenta przez Tomasza Arciszewskiego może stanowić wyjście z obecnej sytuacji.

2) Jesteśmy również zgodni, że — nauczeni doświadczeniem — nie możemy uznać koalicji trzech stronnictw (P.P.S., Stron. Narod. i Stron. Pracy) jako wyłącznej platformy politycznej, natomiast zadaniem naszym jest skonsolidowanie wszystkich ruchów demokratycznych, jak: Stronictwo Demokratyczne, „Niepodległość i Demokracja”, Ruch Chrześcijańsko-Społeczny i Ruch Ludowy.

POWYŻSZE INFORMACJE NIE POWINNY BYĆ PUBLIKOWANE

Ze spraw organizacyjnych komunikujemy Wam, że uchwałą Komitetu Zagranicznego P.P.S. wydalony został z Partii Adam Pra gier za wykroczenie przeciwko zasadom programowo-taktycznym Partii, niestosowanie się do uchwał władz partyjnych oraz działalność na szkodę Partii.

Z socjalistycznym pozdrowieniem

SEKRETARZ
(Dr. O. Pehr)

**PRZEMÓWIENIE PREZYDENTA R.P. A. ZALESKIEGO
Z OKAZJI ZAPRZYSIĘŻENIA RZĄDU GEN. T. BÓR-
KOMOROWSKIEGO 2 LIPCA 1947 r.**

Panie Prezesie Rady Ministrów i Panowie Ministrowie!

Składając w Pana ręce ster Rządu Rzeczypospolitej Polskiej pragnę przede wszystkim podziękować Panom za to, że podjęliście się kierowania sprawami państwowymi do chwili utworzenia Rządu opartego na szerszych podstawach.

Dziś, gdy dojrzewają decyzje, które zaważą na losach świata, naczelnym obowiązkiem wszystkich Polaków jest skupienie wysiłków ku przywróceniu wolności, całości i niepodległości Ojczyźnie.

Wielką było zasługą Rządu Tomasza Arciszewskiego, że chwiejący się sztandar walki o niepodległość uchwycił mocno w ręce i utrzymał mimo wszystkich przeciwności. Panów zadaniem jest tę walkę prowadzić dalej z niezachwianą wytrwałością i wolą zwycięstwa.

Okoliczności, w których Rząd podejmie swoją działalność, sprawiają, że pierwsze jego prace muszą być skierowane ku przygotowaniu nowych podstaw polskiego życia politycznego poza granicami Kraju.

W organizacji tego życia w Kraju i na obczyźnie dokonały się od chwili zakończenia działań wojennych głębokie przeobrażenia.

W czasie okupacji niemieckiej życie polityczne Polski było kierowane przez porozumienie 4-ch stronnictw, którego wyrazem była Rada Jedności Narodowej i naczelne władze podziemne. Odpowiednikiem życia politycznego Kraju było porozumienie tychże stronnictw na obczyźnie i ono stanowiło podstawę polityczną Rządu Rzeczypospolitej.

Skład porozumienia ulegał kilkakrotnym zmianom. Z powodu warunków, na których zawarto układ polsko-sowiecki, Stronnictwo Narodowe wystąpiło z porozumienia i powróciło doń dopiero w listopadzie 1944 r. Następnie opuściło porozumienie stronnictwo Stronnictwo Ludowe, które wierzyło w porozumienie z Sowiecami. Obecnie ubywa z porozumienia Komitet Zagraniczny PPS w Londynie. Nie tracę nadziei, że wielkie tradycje niepodległościowe tego stronnictwa sprawią, że nieobecność będzie jedynie chwilowa.

Konieczność zespolenia w obecnej ciężkiej chwili wszystkich sił politycznych, stojących bez zastrzeżeń na stanowisku walki o niepodległość i całość Ojczyzny, jest zadaniem jakie stoi przed nami.

Temu przede wszystkim celowi mają służyć wysiłki obecnego Rządu.

Nie powinno to jednak przysłaniać Rządowi jego stałych zadań, którymi w moim rozumieniu są: —

1. głoszenie światu prawdy, że Naród Polski ma prawo i wolę do niepodległego bytu państwowego opartego na zasadach demokracji i cywilizacji chrześcijańskiej, które stanowią treść i formę życia narodów Zachodu;

2. Obrona praw narodu i Państwa Polskiego wszędzie, gdzie kształtują się decyzje w sprawach politycznych, społecznych i gospodarczych świata;

3. umacnianie przyjaźni i współpracy z uciemiężonymi narodami Europy Środkowo-Wschodniej;

4. uświadamianie opinii świata o tym, co się dzieje za żelazną kurtyną, oddzielającą Polskę i Europę Środkowo-Wschodnią od Zachodu;

5. opieka nad obywatelami polskimi na obczyźnie, którzy w obecnych warunkach nie powracają do Kraju;

6. czujna troska o los żołnierza Polskich Sił Zbrojnych, gdzie-

kolwiek się znajduje, a w szczególności o los żołnierzy kampanii wrześniowej i z Armii Krajowej, których położenie jest najcięższe;

7. piecza nad kulturą polską, szczególnie w tych dziedzinach, których rozwój jest skrępowany przez rząd narzucony Krajo-
wi;

8. piecza nad młodzieżą na obczyźnie, w szczególności zapewnienie jej możliwości kształcenia się.

Podstawą polityczną i społeczną działań Rządu winny być wskazania, zawarte w uchwałach Krajowej Rady Narodowej z dnia 15 czerwca 1944 r., które przyświecały pracom poprzednich Rządów R.P. na obczyźnie. Program ten stanowi podstawę polityki polskiej, aż do chwili, gdy Sejm w Warszawie, powołany w swobodnych wyborach, nada im treść ostateczną.

Oto — cele i zadania, które stoją przed Panami. Mam nadzieję, że z pomocą Bożą, przy gorliwości Panów i przy współpracy całego społeczeństwa, zadaniu swojemu Rząd sprostą.

UCHWAŁA LNP Z 1 LIPCA 1947 r.

Członkowie Ligi Niepodległości w Londynie powzięli na zebraniu w dniu 1 lipca 1947 r. na wniosek Głównego Komitetu Wykonawczego następującą uchwałę:

Dzięki Konstytucji 1935 r., która przewidziała sposób obsadzania opróżnionego urzędu Prezydenta Rzeczypospolitej, uratowana zostaje ciągłość prawna legalnych władz Rzeczypospolitej. Na podstawie tej Konstytucji kierownikiem nawy państwowej jest każdorazowy legalny Prezydent Rzeczypospolitej.

Był nim w czasie wojny śp. Prezydent Władysław Raczkiewicz. Jego następcą mianowanym zgodnie z Konstytucją, stał się obecnie Prezydent August Zaleski, człowiek zaufania zmarłego Prezydenta, wypróbowany patriota i doświadczony mąż stanu.

Jednocześnie nasze stosunki wewnętrzne w Londynie zostały zakłócone przez spory partyjne, które mogą osłabić jednolitość i skuteczność naszej walki o niepodległość, prawa i przyszłość Rzeczypospolitej. W chwili ważnej dla naszych spraw, zmian w stosunkach międzynarodowych, zbieramy gorzkie owoce rządów, opartych na sprzecznym z zasadami demokratycznymi kluczu partyjnym porozumienia czterech stronnictw, które przysło w rękach poróżnionych partnerów.

W tym stanie rzeczy uważamy za swój obowiązek stwierdzić, co następuje:

1. Pierwszą zasadą, której bronić winno społeczeństwo polskie na uchodźstwie, jest utrzymanie ciągłości prawnej legalnych władz Rzeczypospolitej. Tylko w oparciu o Konstytucję władze państwowe mogą się cieszyć bezspornym autorytetem i żądać dla siebie posłuchu

dla obywateli, którzy nie uznają przemocy i gwałtu, zadanego narodowi polskiemu układami w Teheranie, Jałcie i Poczdamie.

2. Doceniając w całej pełni zasadę legalności, uważamy, że musi ona być uzupełniona zasadą skupienia w walce o niepodległość żywych sił społeczeństw — nie tylko wszystkich stronnictw i ugrupowań politycznych, z których wiele uległo rozkładowi lub osłabieniu, ale i tych ruchów społecznych, które znalazły wyraz w powołanych przez same wychodźstwo i uchodźstwo organizacjach społecznych.

3. Warunkiem związania tych wszystkich sił politycznych i społecznych z aparatem państwowym jest powołanie do życia Rady Państwowej, uwzględniającej ich wszechstronną reprezentację. Gdyby Rada taka istniała, obecny niepokojący stan rzeczy nie mógłby mieć miejsca. Istniejące sprawy załatwiano by nie na zasadzie obwarowanych nielegalnymi i szkodliwymi paktami jednomyślności grup stronnictw, a więc i liberum veto każdego z nich, ale na prawdziwie demokratycznej zasadzie poszanowania prawa oraz woli większości społeczeństwa, reprezentowanego przez Radę Państwową.

4. Utworzenie Rady Państwowej uważamy za najpilniejsze zadanie nowego Prezydenta Rzeczypospolitej. Umożliwi ono powołanie rządu, który by był nie tylko symbolem, ale organizatorem i kierownikiem walki o wolność i niepodległość Rzeczypospolitej, — rządu, posiadającego zaufanie wolnego społeczeństwa polskiego na obczyźnie i istotny, zdobyty czynami, autorytet w Kraju.

5. O powołanie takiego rządu wołają idące wydarzenia międzynarodowe, woła przede wszystkim tragiczna sytuacja Kraju.

Przemoc moskiewska gwałci w Polsce coraz otwarciej i cyniczniej wszelkie zasady, a nawet pozory demokracji, niszczy kulturę polską, stosuje terror, wynaradawia wcielone przemocą do Sowietów ziemie wschodnie Rzeczypospolitej.

Wprawdzie obecne oczy Zachodu zwracają się coraz częściej na te kraje Europy, które znalazły się pod jarzmem dyktatury sowieckiej. Wprawdzie coraz częściej podnoszone są głosy w obronie ucisnionych przez Kreml narodów. Nie zmieniają jednak dzisiejszej rzeczywistości papierowe protesty mocarstw zachodnich. Zmienić ją i obalić panowanie sowieckiego totalizmu może tylko wspólna i zdecydowana akcja narodów zarówno wolnych, jak i gnębionych.

Naród polski, a wraz z nim i wszystkie narody tej części Europy, która znajduje się w niewoli sowieckiej, muszą działać wytrwale i umiejętnie, z wiarą i rozumem, aby nadchodzące zmiany polityczne wyzyskać i aby raz jeszcze ich dążenia do wolności i niepodległości nie zostały zagubione i zdradzone w nowych przetargach politycznych.

Zgodnie z orędziem Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 9 czerwca 1947 r. winniśmy wszyscy skupić się w pracy dla dobra Polski, abyśmy umieli bronić Jej prawa i zapewnić Jej właściwe miejsce w nowym układzie świata.

WSPOMNIENIA

Zygmunt WENDA

Z MARSZAŁKIEM ŚMIGŁYM

WSPOMNIENIA, Cz. II

List płk. dypl. Smoleńskiego — Bukareszt 6.X.39 r.:

Panie Marszałku,

Melduję Panu Marszałkowi, że jestem w Bukareszcie dokąd ściągam potrzebną ilość oficerów dla kontynuowania pracy Oddz. II. Część oficerów Oddz. II, głównie kierujących pracą wywiadu na N(iemcy), wyjechała do Francji. Ja należę do liczby oficerów sztabu mających jak najprędzej wyjechać do Francji, pragnę jednak pozostać kilkanaście dni dla zorganizowania pracy Oddz. II dla następujących zadań: 1) prowadzenie wywiadu na N(iemcy) i R(umunię); 2) zorganizowanie szlaków komunikacyjnych dla obu zaborów — niemieckiego i sowieckiego dla poczty i kurierów, przy czym mam na razie na myśli dwa szlaki: Budapeszt i Czerniowce; 3) dalsze przygotowanie i prowadzenie dywersji stosownie do rozkazu Pana Marszałka, który otrzymałem w Kołomyji, równocześnie z rozkazami, które Pan Marszałek wydał dla mjr. Galinata odnośnie organizowania P.O.W. Melduję przy tym panu Marszałkowi, że mjr Galinat nie jest w P(olsce). Był w Bukareszcie, gdzie płk Zakrzewski dał mu samolot do lotu do Warszawy. Tymczasem wyleciał w innym kierunku i jest obecnie w Syrii. Na zapytanie Francji, co z nim

robić, płk Zakrzewski polecił go aresztować. Proszę o decyzję, co mam w tej sprawie robić. Podpis.

Sprawy te omówił i dał bezpośrednio instrukcje Wradze. Galinata Pan nie pozwolił aresztować. Równocześnie ambasador Racz. przekazał list z Bukaresztu 6.X.39 r.: Panie Marszałku, melduję co następuje: 1) Sztab Główny zorganizowany i zwarty do dnia 6.X. znajdował się: oficer sztab. w Tulcea, skąd 6.X. wyjechali do Calimanesti, oficerowie młodszy w Piatra. Zarówno oficerowie sztabowi jak i młodszy zostali zorganizowani i przygotowani do wyjazdu do Francji (?). Część ich jest w drodze (?) Segregacja wysyłki przeprowadzona została w myśl dyrektyw Szefa Sztabu Głównego z.z. wysłać element najwartościowszy, 2) dnia 4.X. przybył do Tulcea z ramienia gen. Faury francuski kapitan de Winter (?) z rozkazem gen. Faury natychmiastowego wyjazdu do Paryża płk. Jaklicza i gen. Malinowskiego celem podjęcia tam co rychlej prac organizacyjnych. Kpt. de Winter sprezentował nam instrukcję pisemną gen. Faury meldując, że została on uzgodniona z Panem Marszałkiem. Łączyliśmy się dwukrotnie z 17-18 z Craiova, ale nie uzyskaliśmy połączenia. Powiedziano nam, że numer zamknięty. Wobec tego zrobiłem odprawę szefów oddz. Sztabu Głównego, na której płk Jaklicz oddał kierownictwo Sztabu Głównego płk. W. (?), 3) dn. 5.X. z pewnymi trudnościami dostaliśmy się do Bukaresztu, gdzie zaraz mieliśmy dłuższą rozmowę z gen. Faury, podczas której ustalono, co następuje: a) płk Jaklicz jedzie jak najszybciej do Francji dla pomocy w pracach organizacyjnych, b) gen. Malinowski pozostaje w Bukareszcie, gdzie ewentualnie zorganizuje i kieruje dalszą akcją wysyłki oficerów do Francji, z odpowiednią segregacją w związku z zapotrzebowaniami Paryża. Po wysłaniu gros wartościowych oficerów gen. Malinowski wyjedzie sam do Francji, 4) dn. 29.IX., przed moim wyjazdem z Tulcea gen. Stachiewicz powiedział płk. Jakliczowi, że Pan Marszałek dał pełnomocnictwo organizowania Armii Polskiej we Francji gen. Burhardtowi, a nie gen. Wik. Wobec ogłoszenia obecnie gen. Sikorskiego Naczelnym Dowódcą W(ojska) P(olskiego) na Francję, prosimy Pana Marszałka o decyzję, czy P.M. aprobuje nasz wyjazd i dalszą organizację wysyłki db. oficerów do Francji. Wysyłka ta dotyczyłaby nie tylko oficerów Sztabu Głównego, ale również wartościowych oficerów ze wszystkich obozów. Dodatkowo melduję P.M., że przed godziną zawiadomił płk. Jaklicza nasz *attaché*, płk Zakrzewski, że gen. Burhardt obejmuje szefostwo Sztabu Głównego gen. Sikorskiego. Raczy P.M. przyjąć wyrazy czci i żołnierskiego oddania gen. T. Malinowskiego, płk. Jaklicza. Odpowiedź pisemną Pana do gen. Malinowskiego zabrał Wraga.

8.X. List od Ziemiańskiego, który źle się czuje ze zdrowiem.

Okolo 11-tej ustaliliśmy, że nie czekamy dłużej (na pozwolenie) i w lasku urządzimy spotkanie z Julkiem Piaseckim. Idę do Petraki i komunikuję, że nie czekamy na zezwolenie (chyba prefekta) i że musimy kogoś zobaczyć. Zgadza się. Tylko dwa auta, w drugim inspektor Popescu. Wychodzimy, żeby przygotować szoferów. Kutnik wyszedł, posyłam po niego Grzesiaka. Wraca — polecam swój wóz i Bartczaka. W międzyczasie przychodzi Cherbonescu, powiadam mu, że ma być przechadzka, na której Pan się spotka z J. Piaseckim. Zdecydował, że wystarczy jedno auto, on pojedzie z Panem, ja z Petraką idę pieszo do Julka, zabieram go z hotelu i wsiadamy do taksówki, jedziemy na strand. W mieście sporo naszych żołnierzyków, jest tu około 1000. Prosiłem przez mjr. Krzeczковского prefekta o możliwość widzenia się z nimi — nie dostałem odpowiedzi. Tymczasem ktoś z konsulatu niemieckiego chodzi między nimi, bierze nazwiska tych, którzy są spod niemieckiej okupacji, by zawiadomić ich rodziny. Skandal! Przyjeżdżamy na miejsce nie dojeżdżając do strandu. Pan już jest, Julek wita się z Panem i wchodzimy w las. Rozmowa trwa z górą 1 1/2 godziny. Pan odjeżdża z Węd., Krzeczkowski nie przyjechał, Cherbonescu z Panem, zostaję z Julkiem i z Petraką — po nas przyjedzie Kutnik. Julek ustala ze mną punkty rozmowy z Panem. Pan ustosunkowuje się pozytywnie do koncepcji Kanady. Przyjeżdża Kutnik, wracamy do miasta. Julek wysiada wcześniej. Umawiamy się na 3-cią w cukierni. Jemy obiad w dość pogodnej atmosferze. Pan wspomina czasy swej jednorocznej służby w Wiedniu. Doktor omawia sprawy naszego sanitariatu. Mam się spotkać z Julkiem, ale nie ma żadnego inspektora rumuńskiego. Namówilem rumuńskiego podch., by ułatwił mi wyjście na kilkanaście minut. Mogę wyjść, ale dają mi jakiegoś łapsa. Julek czekając na mnie widział się z Ujejskim, który autem dyplomatycznym naszej ambasady czy konsulatu zwiął z Herculanum. Powiada, że jest tam rząd (o tym wiedziałem) i koło 550 oficerów (Głuchowski, Paszk.(iewicz), Skwarcz.(yński), Kossak.(owski), Łuczyński i inni), ogólnie okłapnięci, zbytniej ochoty do wyzwolenia się u większości nie odczuwa, do pola się nie pchają. Siedzą, jak u Boga za piecem.

5.X. Miałem list od Żegoty z Belgradu, pisze o trudnościach wyjazdu, o pomocy dr. nauk. F.(aury). Pisze: „to teraz nic nie wiadomo, nawet Świtka stan zupełnie się zmienił. Nie rozumiem i nie przypuszczam ani na chwilę, by Bodzio mógł się zmienić, po prostu nie chciał z nami rozmawiać!

9.X. Rano poszedłem do prefekta, żeby się dowiedzieć o

nowym miejscu naszego postoj. Okazuje się, że we wtorek z rumuńskim gen. Marg. jedziemy do Dragoslavele, około 20 km na pld. od Campulung. Mieszkać mamy w willi byłego patriarchy.

Pisze Irena Kruszevska. Podobno w komunikacie niemieckim było podane, że 28.X. w okolicy dolnego Sanu był wzięty do niewoli d-ca KOP, jej mąż, gen. Kruszewski. Boże, jakże mi go żal. Czy on to przeżyje? Zależy, jak Niemcy będą się z nim obchodzić. P. Irena z córką chce jechać do Włoch, ale ci są pod komendą niemiecką. Wymówili „pracę” Wieniawie. „Wie Pan, to dla mnie bardzo przykre, że p. A.Z. znał moją żonę 25 lat i będąc w jednym mieście we Francji, nawet do niej nie zatelefonował”.

Otrzymał przepustkę od gen. Marganu p. Dwernicki (wnuk gen. Dwernickiego, właściciel ziemski pod Bugaczem, dawny sekretarz marszałka Rataja). Przeprowadziliśmy długą rozmowę, bardzo inteligentny człowiek, z wiarą patrzący w przyszłość, doskonale orientujący się w sytuacji, bez złorzeczeń, kalumni i pretensji. Rozumiał, że my wojny w tych warunkach prowadzić nie mogliśmy. Pretensje skierował pod najśluszniejszym adresem — pr(ezydenta) M(ościckiego) i Eugeniusza Kwiatkowskiego. Choć odnosił wrażenie, że Pan tę sytuację więcej zdecydowanie rozegra (usunięcie Kwiatkowskiego, nawet prezydenta). Na zapytanie co robić, powiedziałem: wolni i młodzi do Francji, obarczeni rodzinami niech opiekują się rodziną swoją i obcych, ci którzy mogą, silni duchem, niech wracają pod okupację niemiecką. Co do rosyjskiej, to trzeba poczekać, jak oni będą się zachowywali.

Mjr Krzeczkowski poszedł telefonować do prefekta odnośnie godziny naszego wyjazdu i jak jest z oddaniem przez Pana broni myśliwskiej!? Wyjechał do Bukaresztu, pewnie w tej sprawie. Wieczorem spotkałem się z Dwernickim, proponowałem mu rozmowę z prefektem odnośnie opieki nad naszymi uchodźcami. Po szpitalach dużo naszych chorych, sporo samotnych kobiet, dzieci w warunkach okropnych. Dwernicki jest obrotny. Może coś pomoże. Ma już dobre stosunki.

11.X. Pan miał dwa listy, jeden par avion od Bronowicza Toledo Ohio U.S.A. Pisze o rozpoczętej akcji wśród Polaków odnośnie uchodźców z Polski znajdujących się na Węgrzech i w Rumunii i w innych krajach. Tutaj w Toledo mamy pełno Polaków sprzyjających obozowi Wielkiego Marszałka Piłsudskiego i nie słyszałem dotychczas żadnej krytyki, czy to pod adresem ob. Marszałka, czy też ob. płk. Becka. Wspomina o anonsie radiowym mjr. Stanley Wyszatyckiego. Okazuje się, że jest tam poseł, inż. Antoni Wawrakowicz. Miał do Detroit przy-

jechać gen. Osiński. Ciekaw jestem, czy zagości u nas. Kończąc pisze: „Ślubuję, że będę propagował dobrze imię polskie i pracował dla polskiej sprawy”.

Drugi list od post. st. Piotra Mecena (Craiova), który przez 2 tygodnie przesiedział pod zaborem rosyjskim.

Telefon od Sławeńki — aż się spociłem z wrażenia.

Józio Szeremeta i Ziętkiewicz są na Węgrzech w Budapeszcie. Jacy przyzwoici są ci Węgrzy. Był u niej gen. Somogyi z całą ekipą szermierzy, a między innymi słynny Kovacs. Proponują jej pracę w urzędzie kartograficznym (!?)

St. post. opowiada: 3 tanki i 4 auta ciężarowe przyszły do Kut w czwartek rano. Żydostwo tamtejsze, to drobne, z czerwonymi transparentami, bardzo gorąco witało. Władzę przekazano w ręce Żydów. Początkowo wszystko było w porządku, dopiero w sobotę zaczęły się aresztowania co czynniejszych obywateli i wywieziono ich jakoby do Kamieńca Podolskiego. Miały miejsce rozstrzelania nie przez bolszewików, ale przez Żydów. Jakichś dwóch policjantów i jakiegoś wywiadowcę, który nakrył był poprzednio jacejkę. Chłopi ruscy bardzo niezadowoleni, Żydzi bogatsi też, tylko żydostwo to biedniejsze bardzo się cieszy. Burmistrzem, nadleśniczym, dyrektorem tartaku zrobiono Żydów, wydaje się drzewo z lasów państwowych. Żołnierze bolszewicy wchodzą do kościoła w czapkach i projektują urządzenie tamże teatru.

Po obiedzie napisałem do Toronto do Bronowicza, a Pan w paru słowach dopisał się dziękując za starania i opiekę nad uchodźcami.

Naszą drogą i w sposób nam wiadomy dowiaduję się szeregu rzeczy od Sławeńki. Okazuje się, że szef Sosnkowski odnalazł się, czym bardzo tu się ucieszyliśmy. Spotykam Julka i Niezb(rzyckiego). Przywieźli trochę gazet i słodyczy oraz różne wiadomości. Potwierdza się wiadomość o Sosnkowskim, ponoć 9-go był w Czerniowcach, skąd pojechał na Węgry. Zabrałem ich do nas, a Petrakiemu powiedziałem, że mają zezwolenie Min. Sp. Wewn. na widzenie się z Panem.

Wpuścił ich. Cóż to u nich za bałagan. Powiedzieli im we środę, że Pan jest w Campulungu. Po tym został Julek i Pan napisał dwa zrzeczenia się na rzecz Bukackiego i Sikorskiego oraz list do Raczkiewicza, zaś z szefem Julek ma mówić osobiście. Po tym był Wraga.

Do kpt. Niezbrzyck(iego) w mp. Z polecenia Pana Marszałka komunikuję, iż w ramach swych normalnych prac, ma się p. kpt. zająć zorganizowaniem P.O.W. na terenie zajmowanym przez oddziały bolszewickie. Środki finansowe na powyższe cele winny być użyte z sum dyspozycyjnych Szefa Oddz. II Sztabu

Głównego. W rozmowie z Panem Giedroyc powtarzał rozmowę króla, (Gafencu ?) z Raczkiewiczem. Pierwszy sumitował się ze łzami o swym niezmiennym stosunku do Polaków, uskarżał się na brak poparcia ze strony kolegów ministrów i ... Pan się wyraził o braku godności króla, że tak da się sobą powodować — nic z godności osobistej króla. Narzekają zgodnie na robotę Zakrzewskiego, który prowadzi ją ślamazarnie. Ambasada francuska stwierdza, że ma trudności ze strony Zakrzewskiego i że gdyby nie on, to mogłaby więcej zdziałać. Giedroyc upewniał, że obecny premier nie jest taki germanofil za jakiego uchodzi. Jerzy mówił o swych rozmowach z posłem w Sofii — Tarnowskim, który oficjalnie i nieoficjalnie zawsze przyjdzie Panu z pomocą. Mówił o rozmowach z mjr. Żurawskim, jemu też oddałem rzeczy Kleeberga, które miał Trzyszka. Odjechali. Podczas pobytu panów Dwernicki (list polecający od Janka Kowalewskiego). O godz. 19-tej, kiedy już byliśmy spakowani do podróży, przyszła wiadomość, że dziś nie jedziemy i prefekt prosi na godz. 10-tą mjr. Krzeczковского do siebie. Wieczny bałagan, sądzę, że nowe m(iejsce) p(ostoju) nie jest gotowe na przyjęcie Pana i dlatego czekamy.

Od Sław. dalsze wiadomości o szefie. Między innymi pisze mi, że „jeżeli będą Cię za Twoją szlachetność, za wysokie poczucie obowiązku, za przywiązanie żołnierskie, które Ci nakazało zostać z pierwszą Osobą naszej tragedii, i jeśli Ci nie pozwolą pracować dla Polski, no to trudno. Bóg jest wielki i świat Jego jeszcze nas pomieści na swoich obszarach. Samemu człowiekowi może być ciężko, ale pomyśl Jedyny, nas jest dwoje związanych na dobre i złe chwile, na śmierć i życie...”

„Wyobrażam sobie, jak temu Panu Twojemu ciężko to wszystko przeżyć... Wiem, że jest czysty jak łąza. Tak potwornie zatruli Mu życie w Polsce, tyle kamieni pod nogi rzucali, a teraz od czci i wiary odsadzają. Okazuje się, że wśród padalców tylko padalec może egzystować bez obawy, że go pożrą. Wierzę, Bóg nad Wami czuwa i że promień jakiejś radości spłynie do Waszych serc. Może nowi zrozumieją go i ocenią”.

Ze łzami w oczach czytam Twój list, Małenka. Widziałem 8 jednakowych furmanek z rzeczami, grupa naszych uchodźców z dziećmi drobnymi i w mundurkach szkolnych, ach jak boli serce!

Prezydent I(gnacy) M(ościcki) wołał, ażeby prezydentem był August Zaleski.

Udało mi się w asyście wyjść na miasto. Kupiłem na wszelki wypadek ciepłą bieliznę, parę skarpetek. Po powrocie dowiaduję się, że Pan przyjął Dwernickiego z jego synkami. Częstował ich czekoladkami, które wczoraj przywieźli nam z

Bukaresztu. Trzeba przyznać, że malcy zachęceni przez Pana, mimo różnych znaków ze strony ojca zbuszowali czekoladki — widocznie im smakowały. Już po kolacji złożył wizytę pożegnalną prefekt płk Dymitriu. Otrzymał od Pana w prezencie „Vis” polski. Rano oddali broń myśliwską Pana i Jego prywatny „Vis”. Między innymi uratowany jest mój karabinek, do którego Grzesiak przechowywał 10 ładunków. O godz. 21.45 przyszedł prefekt i inspektor policji (o godz. 20-tej odesłaliśmy Rolls-Royce’a i półciężarówkę. Melduję się u Pana i proszę do wyjazdu. Pan pojechał z prefektem. Jedziemy drogą okólną — niesamowicie obstawione — co 50 m posterunek, wszystkie ulice i uliczki, przez które przejeżdżaliśmy, były zamknięte przez policję tajną i mundurową. Na dworcu czekała salonka i wagon 1 i 2 klasy. Z Panem jedzie Krzeczkowski, doktor i inżynier. Ja zostałem w przedziale 1 klasy — bez pościeli, ani oka nie zmrużyłem, wagon strasznie huśtał, na stacjach odbijał, poza tym obsługa policyjna ciągle to w tę, to w tamtą stronę przechodziła trzaskając drzwiami i prowadząc bardzo głośne rozmowy. Pan też z tych samych powodów oka nie zmrużył. O godz. 7.30 dojeżdżamy do Campulungu.

Sobota, 14.X. Ileż dziś nowych wrażeń — mec. (...). Rano melduje się u Pana prefekt, płk dypl. Valecasu. Po paru minutach Pan wyszedł i w towarzystwie prefekta pojechaliśmy do Dragoslavele. Droga przepiękna — widoki, że aż oczy trudno oderwać. Około 9-tej byliśmy na miejscu przyjęci przez p. dr. Vasiliu, siostrzenicę byłego patriarchy, dr Mirona Christea, byłego premiera, w którego willi mamy mieszkać i matkę męża p. dr. Vasiliu, p. Metrycz, której mąż organizował marynarkę polską. Po śniadaniu w towarzystwie pań przeszliśmy do willi, którą mamy zamieszkać. Mała, będzie tu dość ciasno, ale robi wrażenie przyjemnej. Na górze Pan zajmuje dwa pokoiki, naprzeciwko sypialni Pana ja dostaję mały pokoiik, obok maleńki przeznaczony dla strzelca Pana, Felusia. Na dole doktor z inżynierem, mjr Krzeczkowski biedny, kątem w saloniku-gabiniecie. Panie są rzeczywiście nadzwyczaj serdeczne, wszystko przygotowały, ściągnęły służbę z Bukaresztu, a same zakładały podpinki, poszewki i prześcieradła. Prosiły, ażeby się czuć jak u siebie w domu, by ze wszystkim, czego potrzebujemy, zwracać się do nich, że wszystkim, co tylko posiadają, to nam służą. Obiad został przyrządzony już w naszym domu, oczywiście jesteśmy jeszcze ich gośćmi, jeśli chodzi o stołowanie się. Okazuje się, że pani dr Vasiliu rozumie nasze położenie, bo była w podobnej sytuacji w 1917 r. Pochodzi ona z Transylwanii i podczas kiedy Rumuni zajmowali ten kraj, Węgrzy ją jako Rumunkę ewakuowali bez niczego w głąb kraju. Jest pełna złości i pretensji do

Francji i Anglii za to, że nas tak zostawili bez pomocy. Ma dużo sentymentu do Czechów.

Wieczorem, po podwieczorku. Poczestowaliśmy Panie czekoladkami rumuńskimi. Zeszła rozmowa na czekoladki Wedla, które uważaliśmy za najlepsze. P. Metzger potwierdziła to, ale p. Vasiliu powiedziała, że ona jest patriotką rumuńską i nie zgodzi się, by inne niż Capsa były lepsze. Poszliśmy spać trochę wcześniej, bo byliśmy drogą zmęczeni. Musiałem jeszcze napisać kartkę do kpt. Niezbrz(yckiego), komunikując mu o naszym tutaj przyjeździe. Prosiłem o radio i o adres gen. Zamorskiego. P. Vasiliu jedź rano do Bukaresztu, więc zabierze kartkę. Prosi, by podać listę naszych sprawunków, że wszystko nam załatwi i przywiezie.

Zasnąć nie mogłem. Pod oknem przepływa wartka, górską rzeczką.

15.X. Rano, godz. 9.30 wyjechała p. Vasiliu do Bukaresztu. Później poszedłem z dr Cianiarą podziękować Bozi za to, za co podziękować należało. Przeszliśmy się z doktorem i inżynierem. Naród tutejszy bardzo przyjemny, wita nas podniesieniem ręki i *sanatate* woła. Pojedyncze kobiety pierwsze nas witają — nowy *regime* i nowa organizacja tego wymaga.

Po obiedzie poszedłem zobaczyć zabawę ludową, sporo młodych osób, przeważnie kobiety, mężczyźni na koncentracji. Tańczą ze sobą jakiś taniec ludowy tutejszy pod nazwą *segaba* (?). Dziewczęta bardzo przystojne i bardzo strojnie ubrane. Po kolacji była lekcja francuskiego z Panem.

Dzień był przepiękny, bardzo silna operacja słoneczna, zdążyłem się już trochę opalić. Pan trochę wychodził, a potem też i malował.

Prosiłem wczoraj wieczorem p. Vasiliu o połączenie z Bukaresztem. Chciałem mówić z Giedroyciem lub z Niez(brzyckim). Okazuje się, że trzeba spytać prefekta. P. Vasiliu była tak miła, że połączyła się z prefektem, którego niestety nie zastała. Po kolacji był telefon od prefekta, który powiadomił, że we wtorek lub w środę da odpowiedź, czy będziemy mogli korzystać z telefonu. Gorzej jak w Craiovej, a miało być lepiej. Tak nic nie wiemy, co się na świecie dzieje. Żadnych wiadomości, ani telefonicznych, ani radia, ani gazet.

Poniedziałek, 16.X. Rano Pan poszedł malować nad rzeczkę, towarzyszy mu mjr Krzeczkowski. Ja piszę list do Sławenki. Dzień dzisiejszy to święto państwowe. Urodziny króla Karola. Przy drodze prowadzącej do nas zebrały się dzieci szkolne i odśpiewały hymn państwowy i *Multiam Trajesce Regale Caol Al II lea* i odeszły w szyku.

Wieczorem, po kolacji, nauka francuskiego. Pan odczytał

nam bardzo płynnie i pięknie przetłumaczył ustęp Georges Duhamela (*de l'Académie Française*) *Memorial de la guerre blanche* 1938, rozdział *Sérénité*.

Na kolację Pan poprosił p. Metzger. Zastanawiające są niektóre pytania, np. jak Pan Marszałek uważa, w którym miejscu zaatakują Niemcy odcinek francuski? Oczywiście Pan nie dał na to odpowiedzi, jak w ogóle na temu podobne pytania. Pani z dużymi pretensjami do Francji i Anglii, no i Niemców. Ten sentyment jej dla nas i naszych spraw wydaje mi się trochę podejrzany.

Wtorek, 17.X. Rano około 10-tej Pan wyjechał autem w towarzystwie inż. Wędziagolskiego i mjr. Krzeczковского — szukał terenu do malowania. Po powrocie Pana poszedłem po papierosy i po cukierki. Rozdaję je dzieciom, które mnie ukłonami *sanatate* witają. Wieczorem Pan czytał nam dalsze rozdziały białej wojny. Pięknie tłumaczy i zapala się — tłum(ączenie) nie sprawia mu żadnej trudności. Rozwinęła się długa dyskusja na temat tych rozdziałów — styl jest przepiękny.

Czekam na wiadomości od Sław(ęńki). Tyle musi rozpracować pytań, które Jej zadałem w związku z sytuacją.

18.X. Przed 10-tą pojechaliśmy z Panem w stronę Campulungu. Pan maluje, ja uczę się francuskiego. Towarzyszy nam, jak zawsze, inspektor i obstawa. Mjr Krzeczkowski miał jechać do prefekta, żeby z nim szereg spraw załatwić i spr(awy) wyżywienia. Dostawiają nam produkty i nie chcą brać pieniędzy. Ale prefekt wyjechał. Pan polecił, ażeby mjr Krzeczkowski napisał list do prefekta, ale że ten list był w za bardzo ugrzecznionej formie, Pan sam go poprawił. Zezwoleń na rozmowę nie otrzymaliśmy dotąd, i to było w liście pominięte. Pan jest podenerwowany, ani gazet, ani listów, ni żadnej wiadomości. Wieczorem chciałem wyjść na spacer około 17.30. Żandarm, który stał na moście, kiedy chciałem pójść na Rucar, nie pozwolił mi, kazał iść do domu. Nie chciałem robić scen i do domu wróciłem. Po kolacji inspektor przeproszał, że to nowy żandarm, który sądził, że ma do czynienia z kimś z naszych szoferów.

Wieczorem Pan nie zszedł na dół. Słuchałem komunikatów londyńskich. Szef Sosnkowski wszedł w skład rządu, bez teki, jest wyznaczony na następcę Raczkiewicza. Do rządu wszedł też p. Seyda z Poznania. Nie rozumiem, dlaczego Sosnkowski nie objął premierostwa (?). Dowień się jeszcze. Napisałem kartkę do Borkowskiego.

Czwartek, 19.X. Pan maluje na górze. Prosiłem o pozwolenie wyjazdu do Rucar, by móc stamtąd zatelefonować. Pojechaliśmy z Krzeczkovskim, Wędziagolskim i inspektorem Pradoica. Rozmawiałem z Giedroyciem i umówiłem rozmowę telefoniczną

na sobotę 11-12. Prosiłem o katalog farb — radio przygotowują. Julek pojechał w niedzielę, żadnych wiadomości nie podał. Zrobiliśmy przechadzkę do Pod(...) Dambovita — piękna okolica, wąwóz skalisty, prostopadłe ściany, wysokie drogi, wcale dobre, i rzeczka. Przepiękna okolica, ze 1000 m dalej znajduje się grotta, do której nie dojechalibyśmy, bośmy o niej nie wiedzieli. Po drodze ze trzydzieścioro dzieci szkolnych obdzieliliśmy cukierkami. I znów witają *sanatate*. Poznaliśmy księdza tamtejszego, który kończył teologię w Warszawie, mówi po polsku. Mili ludzie, ktoś przyniósł nam jabłko i ofiarował mjr. Krzeczkowskiemu, jabłko owinał w papier. Kupiec, u którego Krzeczkowski kupił zawiasy do skrzyni (na broń), ofiarował torbę pięknych jabłek.

Wieczorem wróciła p. Metrycz z Campulungu. Powiada, że jest tam sporo oficerów i bardzo wielu naszych żołnierzy. Z komunikatu berlińskiego czytałem, że Francuzi cofnęli się poza linię Maginota — cóż to miałyby znaczyć? Z komunikatu londyńskiego nic ciekawego, poza podpisaniem traktatu angielsko-francuskiego. Poczty nie dostajemy.

Piątek, 20.X. Rano wyjechałem z Panem i inż. Wędziagolskim (pod opieką) do Pod(...) Dambovita. Pan malował most, inżynier spacerował, ja uczyłem się francuskiego. Później z inżynierem zaszedłem do dwóch chat, czystości i schludności nie mogliśmy się nadziwić — przecież naszej wizyty nie spodziewali się. Po powrocie do domu dowiedzieliśmy się, że (...) prefekt z Campulungu, który otrzymał list wczoraj, dzisiaj osobiście przyszedł się usprawiedliwić !!! Doktorowi, którego bolą zęby, powiedział, że nie pojedzie do Campulungu, że on przyśle mu dentystę, byleby tam nie jechał. Co do telefonu, to zwrócił się do ministra spraw zagranicznych — dotąd nie otrzymał odpowiedzi. Co do pokrywania przez nas wyżywienia — zgodził się. Trochę lepsze samopoczucie (mimo wszystko). W dalszym ciągu nie dochodzą do nas listy i żadne wiadomości.

P. Metzger ma pewne trudności, też nie chcą jej połączyć z Bukaresztem.

Co tam u Ciebie, Sławeńko? Czy dostałaś tych trochę pieniędzy? Czy to wystarczy Ci na kupienie czegoś ciepłego — już takie chłody idą, a Ty, Bidulko. Tak sobie obmyślałem, że na zimę kupię mojej paniusi piękny kożuszek.

Sobota, 21.X. Pan wyszedł z mjr. Krzeczkowskiem — maluje tartak nad rzeczką. Pojechałem do Rucar, z górą 2 godz. czekałem na pozwolenie. Tam nie mogłem połączyć się z Bukaresztem. Połączyli mnie potem ze złym numerem. Po kolacji wybrałem się z mjr. Krzeczkowskiem do p. Georgescu, rodowitej Francuzki, by omówić z nią sprawę nauki francuskiego.

Przyjęła nas ta starsza pani bardzo serdecznie, kawa po tu-

reku. Wyraziła zgodę na naukę, jakkolwiek zastrzegła się, że nie jest zawodową nauczycielką. Kiedy mjr Krzeczkowski poruszył i dopominał się o określenie wysokości kosztu na godzinę, powiedziała, że ona tylko raz uczyła za pieniądze, licząc 150 lei za godzinę, co oczywiście było bardzo dużo, ale przecież panowie są w zupełnie innych warunkach. Ustaliliśmy, że 150 lei za godzinę. Cieszę się, ale czy będą jakieś rezultaty, bo przecież nie mamy ani podręczników, co mniejsza, ale słownika też. Pod wieczór dowiaduję się, że z powodu mego wyjazdu do Rucar, a przede wszystkim mego telefonu, inspektor policji miał duże wymówki i zagrożenie ze strony prefektury w Campulungu. Prosi, żeby tego nie robić, że on będzie się starał te sprawy w inny sposób załatwić, że on chciałby nam pomóc itp., że grozi mu utrata pracy i że nam przyślą kogoś innego, może „lepszego”. Chciałby nas przekonać, że możemy mu ufać. Mówi, ażeby uważać na listy, bo jeśli chodzi o wiadomości, to poczta jest dokładnie kontrolowana. A to niewesołe!

Wieczorem Pan szkicował nas. Ja byłem po raz pierwszy szkicowany — wypadło doskonale. P. Metzger opowiadał, że 13-tu naszych lotników, rozbiwszy wartość, zabrało 3 samoloty i uciekli. Nie wydaje mi się, aby to było możliwe. Wprawdzie lotnicy nasi to zuchy, ale... Okazuje się, że lotnik nasz, który opisywał naszą maszynę, wypróbował ją, nie chcąc zabrać obsady pod pozorem niemożności odpowiadania za życie, wykorzystując, że maszyna była przygotowana — wystartował i nie wrócił.

22.X. rano dostałem depeszę od Giedroycia — wyznaczając mi spotkanie o godz. 13-tej na poczcie w Campulungu. Za późno, by do niego dzwonić, zresztą nie połączą. Ustaliłem wreszcie, że pod pozorem zakupów wyślemy Grzesiaka ciężarówką, która zatrzyma się pod pocztą, nawiąże kontakt i powie, że my nie możemy jeździć do Campulungu i albo ich skieruje do Dragoslavele, gdzie na moście o godz. 14-tej będę ich oczekiwał, albo zabierze od nich pocztę i wróci. Około 14-tej wrócił Grzesiak z żandarmem i powiedzieli, że tam nikogo nie zastali. Poprosił znajomego naszego oficera-lotnika, opisując wygląd Giedroycia, by skierował go do Dragoslavele. O godz. 16-tej wyszedłem do p. G. na lekcję, po 20-30 minutach podbiega p. Dima z żandarmem i komunikuje, że ktoś z ambasady chce ze mną mówić. Przeprosiłem p. G., wyszedłem i okazuje się, że przyjechał G(iedroyc) i jeszcze jakiś pan z ambasady. Sekretarz prefekta w Campulungu podobno jest w doskonałych stosunkach z gen. Marinescu — ministrem spraw wewnętrznych. I on właśnie ułatwił widzenie z nami, a nawet odwiózł ich tutaj. Przywieźli trochę gazet i ciepłą bieliznę dla Pana, oraz wiele

mało pomyslnych wieści. Odnośnie Sosnkowskiego są nieprzyjemne wiadomości. Był bardzo zimny i opryskliwy w stosunku do osoby Pana. W Bukareszcie jest Kot i Kukiel, mówiąc o Lwowie mają pretensje do Langnera, że nie zgodził się na powołanie do życia Komitetu Obrony Narodowej, że zbyt długo ociągał się z kapitulacją, że nie kapitulował przed Niemcami, a miał się wyrazić, że raczej kapitulować przed Sowietami. Podają o rozstrzelaniu Leona Kozłowskiego (sąd za Berezę), aresztowany prof. Grabski, prez. dr Ostrowski. Mudryj, Celewicz, obaj bracia Lewiccy. Rozstrzelany jest brat metropolity Szeptyckiego. OKN mocno komunizuje. Polacy mocno podupadli na duchu. Duża praca propagandowa przez napływających bolszewików. Kom. Oświaty we Lwowie (??).

Stroński opracował instrukcję i szuka odpowiedzi obwiniających: 1) kto miał wpływ na Pana odnośnie przyjęcia wojny, nieprzygotowania wojny, braku wykształcenia u wyższych dowódców, braku lotnictwa, broni pancernej, artylerii przeciwlotniczej. Zakrzewski szaleje, zawiesił w urzędowaniu Jerzego, wysłał słabo (...) Kot, Kukiel, projekty Targowicy odnośnie uznania odebrania połaci wschodnich Polski. Miedziński złożył pisemną rezygnację z piastowanych godności — dlaczego? Zgoda Rumunii i Szwajcarii odnośnie wyjazdu i przyjazdu prof. I. Mościckiego. Zastrzeżenia Niemców do Prezydenta i rządu. Łukasiewicz zwolniony — wskazywał na uległość obecnego rządu Francuzom. Zastępuje go Frank(owski), kiedyś bardzo oddany Panu. Byli w Brasov — Beck nie jest w formie, ciągle bardzo ekscentryczny (?), z krzywym wyrazem twarzy do Pana, Roman składa wyrazy człobitności (na uboczu), bardzo przyzwoicie wyrażali się o Schaetzlu. W Bukareszcie urzęduje Szumlakowski, czystka młodszych i byłych wojskowych, zwalniana, prowadzi się porachunki osobiste. Zaleski wyraźnie odseparowuje się od przeszłych stosunków. Szumlak(owski) krzywi się na wspomnienie o Panu.

Przywieźli list dla inż. Wędziagolskiego z wiadomościami o rodzinie, która jest w Kownie (żona i dzieci). Pani Wędziagolska telefonowała do Bukaresztu. Niezbrzycki powiada, iż pani jego wstąpiła do legii kobiecej w Grodnie. Po zajęciu Grodna nie odnaleziono jej. Złe Jerzy wygląda, cierpi na kolkę nerwową, odnoszę wrażenie, że trochę podupadł na duchu. Ponoć Raczyński dwukrotnie podawał się do dymisji, co za nieroztropność. Najpierw rząd nasz może to wykorzystać, przysyłając tutaj nie wiadomo kogo, z drugiej strony przy tej okazji Rumuni mogą zlikwidować placówkę. Po ich pożegnaniu miałem z Panem rozmowę — nie komunikując — o Szeffie. Dowiaduję się od Jerzego, że w czwartek wysłał do mnie list. Dotąd nie doszedł — przechodzi przez cenzurę i może w ogóle nie dojdzie.

Co będzie z listami od Sławeńki, przecież tyle spraw ma załatwić i donieść. Wszystkiego zabronili, tylko myśleć mi o Niej nie zabronią!

Ale Edziu jest — lotnik przysłał raport ze Szwecji (może Galinat?). Po kolacji przyszedł inspektor policji żądając podania nazwisk panów, którzy byli u nas. Powiedziałem, że nazwisk nie podam — są znane w prefekturze. Następnie przyszła pani M. pod pretekstem dowiedzenia się o nowościach, które nam przywieźli ludzie z naszej ambasady. Pokazaliśmy jej parę dzienników i wytłumaczyliśmy, że niestety nic pomyślnego nie dowiedzieliśmy się.

Poniedziałek, 23.X. Rano wrócił z Pitesti Cateinescu (?). Wrócił „Opal”, który kupił od p. Morawskiego z Krakowa ponoć 40 tys. lei, a mnie się skarżył, że z poborów 3 tys. lei miesięcznie musi utrzymać żonę i troje dzieci w Pitesti, sam zaś ma utrzymanie w Dragoslavele. Wydaje 100 lei dziennie, nie otrzymują żadnego dodatku służbowego. Załatwił nam parę sprawunków, kupił film do Leici, ale zostawił w domu, przywiózł parę odbitek.

Sosnkowski jest już na miejscu, niestety, podobno na poprzednim etapie bardzo wyraźnie odcinał się od Pana i ostro krytykował. Nie wiem, ile w tym prawdy, a ile przybudówek ludzkich, ale pewne szczegóły są raczej potwierdzające.

Wtorek, 24.X. Silny wiatr, wydaje się, że drzwi wywali. Pan malował żywą i martwą naturę. Rozmawiałem z Panem wiele na temat Jego pracy artystycznej. Wspominał, że skr. akad. p. Gruczewski (?) (totumfacki Matejki) oglądnąwszy świadectwo maturalne Pana, odradzał Panu studia, czy to nie szkoda! „Gdybym nie miał tej umiejętności, to bym się urwał, te różne myśli i tematy, to mi już utykają w gardle (duszą w gardle)”.

25.X. Napisałem list do Sławeńki. Przyznałem się do wypadku, jaki miałem pod Młynowem. Nie pisałem jej o tym wcześniej, bo nie chciałem niepokoić. Specjalnie nic poza tym nie pisałem, bo boję się cenzury. Jak się porusza jakieś tematy, po prostu nie oddają listów. To straszna rzecz, że oni nie przekazują nam listów.

26.X., *czwartek.* Około 15-tej p. Vasiliu przyjechała i przywiozła dzienniki i ilustracje. Wieczorem przyszła paczka z papierem rysunkowym.

Piątek, 27.X. P. Vasiliu była na obiedzie, jakże ona dla nas życzliwa. Od niej mieliśmy wiadomość, że ktoś z ambasady do nas przyjedzie. Co przywiezą, jakie wiadomości, może radio, albo list od Sławeńki? Wracam po lekcji, a u pana goście: mjr Zygmunt Borkowski, z-ca szefa gabinetu wojskowego pana prezydenta, na dole radca Mizunka (współwłaściciel) *Kuriera Pol-*

skiego w B. i sekretarz prefekta z Campulungu. W międzyczasie dostałem od p. Mizunki list przez Wragę, są dwa listy do Pana od Pani i Julka Piaseckiego, dla p. Wędziagolskiego i od mojej paniusi. Borkowski opowiadał, co widzi się i słyszy na terenie Francji. Komisja weryfikacyjna nie przyjmuje starszych stopniem oficerów — ponoć nie chcą ochotników, których jest 80 tys. O bardzo dobrym samopoczuciu Sosnkowskiego, najprzykrzejsze wiadomości o Warszawie. Ostatnie dwa dni przed kapitulacją 100 baterii grzmiało na Warszawę i 200 samolotów z powietrza. Podczas dnia z powodu wybuchów granatów było ciemno, a w nocy z powodu pożarów jasno. Aleje Ujazdowskie, Plac Marsz. zupełnie zdemolowane. Aż strach tych opowiadań słuchać. Groby pojedyncze i zbiorowe. I to wszystko w 1-szą rocznicę kapitulacji słuchamy. Potwierdziłem p. mjr. Borkowskiemu na piśmie doręczenie listu Pana, wręczyłem list od Pana do pana prezydenta R.P. i pożegnałem.

Po kolacji wezwał mnie Pan do siebie i inżyniera, odczytał nam list od p. Wład(yśława). Po tym swoją odpowiedź, list Pani i list Julka. Z listu wynika, że kiedy Szeł Sosnkowski przyjechał, p. Władysław Sikorski zapomniał o przyrzeczeniu odnośnie złożenia władzy w ręce Szeła Sosnkowskiego. Na pewno dając przyrzeczenie sądził, że może Szeł nie jest już wśród żyjących. Jak się okazuje, p. August Zaleski był u Pani. Jul. Richelieu i inni poza nawiasem, jako politycznie podejrzani. Raczkiewicz usprawiedliwia chorobą nieprzyjęcie (po jego powrocie) Julka P. i ze względów osobistych i na konieczność ciągłości namawia Pana, by dał na piśmie zrzeczenie się swej funkcji. Prez. Wędz. zrobił zestawienie w obozach: jest 4.756 oficerów, 33.074 szeregowców, 1.130 osób cywilnych. Sławańka podaje wiele ciekawych wiadomości. Dąb jest na Węgrzech, będzie go szukać i się nim zaopiekuje. Pracuje u gen. Dębińskiego i stąd ma wszystkie spisy z obozów. Co dnia ma więcej życzliwych i rozumiejących sytuację obecną. Przenosi się do własnego kąta na ul. Fecske 41, będą prowadziły z matką swoją gospodarstwo (bez papryki).

Niemcy chcą na okupacji tworzyć rząd polski, namawiają Piskora (?), Gąsiorowskiego, Studnickiego, tego chyba namawiać nie potrzebują. Sławańka pisze, że namawiają ją na wyjazd, ale ona musi to przemyśleć, bo uważa, że tu jest potrzebniejsza.

Paryż, 23.X.39 r. Panie Marszałku, sprawa, w której do Pana piszę, jest dla mnie bardzo ciężka, że kiedy dwa tygodnie temu nadarzyła się możliwość porozumienia z Panem za pośrednictwem p. wicem. Piaseckiego, który przybył do mnie jako człowiek pańskiego zaufania, skorzystałem z niej niezwłocznie, starając się ażeby sytuacja, tak jak ją widzę i wnioski, które z niej wyciągam, dotarły do Pana w postaci jak najszczerzej i jak

najjaśniejszej. Złożony ciężką chorobą, nie miałem możności dotąd przyjęcia p. Piaseckiego po jego powrocie, rozumiem jednak, że nie przywiózł on ze sobą decyzji P. Marszałka, której potrzeba staje się z dnia na dzień coraz bardziej imperatywną. To skłania mnie do opisania Panu sytuacji, której niezwłoczne wyjaśnienie leży — moim zdaniem — zarówno w interesie publicznym jak i osoby P. Marszałka. Przedstawia się ona następująco. Reakcja opinii publicznej polskiej, zwłaszcza tutaj i w ogóle na obczyźnie, nie wyłączając Polonii amerykańskiej, jest tego rodzaju, że ustąpienie N.W., który się znalazł w tych samych warunkach, jakie skłoniły prezydenta Mościckiego i jego ostatni rząd do rezygnacji, względnie dymisji, uważane jest powszechnie za rzecz konieczną. Na tle tej reakcji obecny rząd R.P. jest zdania, że nie można zwlekać z załatwieniem tej sprawy. W tym stanie rzeczy, jakkolwiek tak bardzo pragnąłbym móc załatwić ją na zasadzie własnej decyzji P. Marszałka, niemniej uważam działanie ze swej strony za konieczne i w najbliższych dniach... Gdyby Pan Marszałek mógł zakomunikować mi ją telegraficznie zaraz po otrzymaniu niniejszego pisma — w każdym razie nie później jak do końca bieżącego miesiąca — byłbym Panu bardzo wdzięczny. Proszę wierzyć Panie Marszałku wyrazom mej najszczerzej życzliwości. Wł. R.". Podpisane, ale dyktowane przez innego Władysława (Sikorskiego). Ten zwrot „zarówno w interesie publicznym jak i osoby Pana Marszałka”. Czemu ten termin koniec miesiąca — armia nie zorganizowana już potrzebuje Naczelnego Wodza. Obecny rząd R.P. jest zdania — no oczywiście ani na chwilę nikt nie wątpił w nas — że to ich robota, no ale do tego wrócimy!

Sobota, 28.X. Panie mają jechać naszym autem, by porobić sprawunki w Bukareszcie (?) i odesłać auto ze sprawunkami — czekają na odpowiedź prefekta. Wyjechały razem z moim szoferem Grzesiakiem, który był bez przepustki i może mieć kłopot. Przez p. V. wysłałem list do Ryszarda, by o ile zdąży, zawiadomił Julka P. o decyzji Pana, poza tym prosiłem o radio, słownik francusko-polski.

„Panie Prezydencie. Nie chciałbym wobec złego zdrowia pana, listem swoim zabierać zbyt dużo czasu. Dlatego streszczam się. Internowanie moje czyni mnie bezbronnym i wszelkie winy można na mnie zwałać. Daleki jestem od chęci prowadzenia polemiki na temat opinii publicznej i jej żądań. Konstytucyjnie akt mianowania teraz N.W. nie jest koniecznym, tym bardziej, że armia nie zorganizowana, może chodzi o osądzenie mnie. Nie chciałbym utrudniać Panu, Panie Prezydencie, sytuacji, dlatego załączam dokument. Proszę zrobić Panie Prezydencie z nim, co Panu sumienie nakazuje. Proszę o przyjęcie

wyrazów głębokiego szacunku. E.R.”.

1 zał. „Do Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Wobec tego, że jestem internowany i pozbawiony wolności, składam funkcję N.W. do dyspozycji Pana Prezydenta. E.S.R.”

A więc samosąd pozaoczny, bo nie co innego. Jakież to podle. Zamiast złączyć wszystkie wysiłki w jednym kierunku, boć przecież jeden cel mamy dzisiaj wszyscy — wszyscy powinniśmy być dzisiaj „Pierwszą Brygadą”. Przekonania, zawiści, porachunki zapakować do kosza, pozostawić na uboczu, a wszyscy, jak jeden mąż, powinniśmy zacząć budować od nowa naszą ojczyznę, każdy według swych najlepszych możliwości i sił. I wydaje mi się, że pod tym względem atmosfera w kraju jest lepsza niż na emigracji.

Niedziela, 29.X. Może przywożę radio i wtedy trochę nasz się poprawi. Ciągłe się niepokoję, Sławieńko, o Ciebie. Braki w pieniądzech i odzieży, a tu zima nadchodzi. Dzisiaj i wczoraj na najwyższych szczytach już śnieg bieleje. Urywek listu do Sławy: „Najserdeczniej dziękuję za list, który przez okazję otrzymałem. Tyle miłości i serdeczności płynie z każdego zdania, każdego słowa, z każdej literki, że to mnie najmocniej, najsilniej podtrzymuje w wytrwaniu. Za tę otuchę, za tę głęboką wiarę czymże ja Ci się, najdroższa, odpłacę? Chciałbym, ażebyś to wiedziała, żebyś o tym najmocniej była przekonana, że Cię kocham najsilniej, że poza Tobą nie mam nikogo, kogo bym tak kochał, jak Ciebie, Misiu mój Jedyny. Trochę o nas. Mieszkamy w małej willi byłego patriarchy. Wstajemy nie później, jak o 8-ej. Od 9-tej, po śniadaniu, rozpoczynamy zajęcia. Jeżeli jest pogoda — przeważnie tak — idę z Panem gdzieś niedaleko. Pan maluje, ja siedzę opodal, by Mu nie przeszkadzać i uczę się słówek francuskich, przygotowując lekcję. Ciekawe, że Pan jak maluje, nic nie widzi, nic nie słyszy, tak jest swoją pracą zajęty. Między 13-tą a 13.30 wracamy do domu, obiad, po obiedzie — pogawędka. Potem Pan znów wychodzi z paletą lub pracuje w domu. O godz. 16.30 mam godzinę lekcji, wracam, a po kolacji czytam czy piszę listy. Są też do wypełnienia różne funkcje podzielone między nami. Idziemy na spoczynek, a od rana „w kółko Macieju”. Brak radia, pism, to ciężkie dla nas, ale brak listów, co do których jest się najgłębiej przekonany, że są pisane, jest dla nas czymś okrutnym (bo czasem nie dochodzą).

Poniedziałek, 30.X. Bieluteńko — nocą spadł śnieg. Pan pracuje u siebie w pokoju. Telefon od p. V., że Grzesiak gdzieś się zapodział w Bukareszcie. Nic nie byłoby w tym dziwnego, gdyby wywiął. Sławieńce będzie smutno, jak się dowie, że go tu już nie będzie, bo przecież tak Jej zależało, żeby był przy mnie.

Dowiadujemy się, że tworzy się kolumna samochodowa,

która ma odejść ze sprzętem samochodowym rządowym (?).

Dostaję listy, w których ludzie wydziwiają, że jestem tutaj — ot ludzie! Twoje listy nie dochodzą. Jestem tym ogromnie zaniepokojony, czyżby specjalnie mnie chcieli tą drogą dokuczyć, nie oddając poczty. Bo jednak inne listy od czasu do czasu dostaję.

U nas przejmujący wiatr, zimno, okna niedopasowane.

Wtorek, 31.X. Pan maluje portret doktora. W piecach spala się dużo drzewa, i tak zimno. Rano, z powodu zimna, ciężko było wstać. U p. G. po lekcji słucham komunikatów radiowych ze Lwowa. Jakies komunistyczne wykłady po polsku i ukraińsku. Kraków po niemiecku. Nie mogłem tego po prostu słuchać i wyłączyłem radio. Przez radio londyńskie było nadawane, że prezydent Starzyński urzęduje — Lubomirski i Niedziałkowski jako zakładnicy.

Środa, 1.XI.39 r. Dzień Wszystkich Świętych. Niestety, tu tego święta nie mamy. Wieczorem powiadomiła nas p. V., że zdaje się z ambasady dostali pozwolenie na widzenie się z nami. To pewnie ona swoimi stosunkami nam pomogła. Ciekawi jesteśmy, kto i kiedy przyjedzie.

Czwartek, 2.XI.39 r. Zaduszki, ileż to grobów znanych i nieznanych ludzi przybyło w Polsce. Rano, zaraz po przebudzeniu, gorliwie i serdecznie modliłem się na intencję zmarłych i poległych. Śnił mi się płk Pelczyński, którym tak się ucieszyłem, że z radości bardzo płakałem, tak że aż się obudziłem. Pewnie ten płacz słyszał prezes Wędziagolski, bo mówił mi rano, że wydawało mu się, że słyszy płacz swoich dzieci i przy tym opowiadaniu sam się rozplakał.

Wczoraj, po zrobieniu rachunków, Pan chciał nam wypłacić coś jeszcze (...) ub. miesiącu. Zameldowałem, poparty przez innych, żeby otrzymywać o połowę mniej. Na lekcji dowiedziałem się od p. G., że we Włoszech nastąpiła zmiana rządu. Tłumaczy się to poniekąd zwycięstwem ks. Piemontu; jest to pierwszy sygnał zmiany polityki zagranicznej włoskiej, czyżby wstęp do aliansu z Francuzami? Nie sędzę, uważam, że Włosi przez możliwie długi czas będą chcieli być neutralni, dopiero w wypadku przeważenia się szali na korzyść francuską, mogą zdradzić Niemców. Tak pałę się do słuchania radia, bo wszyscy są ciekawi. Przychodzę z lekcji i zaraz opowiadam. Radio p. G. jest świetne. Nie miej do mnie żalu, jeśli i moje listy nie dochodzą. Po prostu zabierają je i nie dopuszczają do Ciebie.

Kutnik uzbierał grzyby, usmażył je, mieliśmy frajdę nielada!

Piątek, 3.X.39 r. Pan malował marznąc w ręce i stojąc. Dostałem kartkę od Sławoja: „Na przyszłe lato myślę tu zająć na 3 tygodnie, tak tu cholernie ładnie” i dalej: „sezon ku-

racyjny zaczyna się 15-go maja, więc myślę, że 13-go wyleją nas stąd". Podziwiam go, zawsze pełen humoru i nas na chwil parę wprowadził w dobry nastrój. Doktor dostał jakimiś swoimi drogami gazety niemieckie.

Sobota, 4.XI. Dowiedziałem się od inspektora P., że miał telefon od sekretarza prefekta z Campulungu, że ktoś do nas przyjedzie. Cieszymy się, że jakieś wiadomości do nas dotrą. Mówiłem z inspektorem o wysłaniu telegramu do Sławeńki. Należy napisać po francusku i dostać zezwolenie prefekta na wysłanie. Będę miał po dwie godziny lekcji, a więc tym więcej czasu na radio, choć serce pęka, jak się tego słucha.

Wieczorem przyszło pismo, nowe zarządzenie tutejszego ministra spraw wojskowych żądające złożenia słowa honoru i podpisu, że bez zezwolenia nie opuścimy miejsca zakwaterowania. Pismo takie do podpisu przyniósł mi mjr Krzeczkowski do p. Georgescu, która mocno się zaniepokoiła, widząc żandarmów, z którymi przyszedł. Pan odmówił podpisania takiego pisma, nam zaś podpisać polecił. Sprawił im tym Pan kłopot. Sądzę, że dzisiaj będziemy mieli wizytę prefekta z tego powodu. Z treści pisma wynika, że na 3000 oficerów tylko 1300 podpisało, w związku z czym ci, co nie podpisali, mają być umieszczeni w obozach odosobnienia, jedni w Targovista, drudzy w Targu Albie. Jest tam też wzmianka o uciezkach oficerów z obozów. Głupi, sądzą, że ci co mieli okazję wydostania się stąd, powinni zostać i siedzieć!

Poniedziałek, 6.XI. Pan maluje stary młyn przedpotopowy, który bardzo mi się podoba. Widzę pierwszą Pana pracę olejną, ale nadzwyczajnie wyszło.

Po powrocie od inspektora P. dowiadujemy się, że przyjechał wczoraj wieczorem autem ambasady francuskiej jakiś dziennikarz francuski, którego nie dopuszczono do Pana, raz ze względu na późną godzinę, a po wtóre jest zarządzenie prefekta, że tacy panowie, którzy tutaj przyjeżdżają, mimo zezwolenia władz centralnych, muszą przejść przez prefekta, więc i tego dziennikarza dniem skierowano do Campulungu. Po południu mjr Krzeczkowski i inż. Wędziagolski pojechali autem do Rucar po benzynę. Prosiłem, żeby wysłali depeszę do Sławeńki. Przetrzymani ich ze dwie godziny na poczcie i niby to nie umieli obliczyć należności, więc depeszę zwrócili. Późnym wieczorem, chyba przed północą, Pan poruszył z nami sprawę naszego pobytu. Nie chce nam utrudniać sytuacji, biorąc pod uwagę możliwość przeciągnięcia się sprawy nie wiadomo jak długo. Powiedział, że nie liczy na to, ażeby ktoś o Niego się upomniał. Jeżeli chcemy, możemy robić tak jak nam wygodniej. Z miejsca poprosiłem o pozwolenie pozostania z Panem, wszystko prze-

myślałem i za swój święty obowiązek to sobie poczuwam — wytrwanie aż do ostatniej chwili. Doktor Cianciara, nie mogąc się opanować, ze łzami w oczach, to samo zakomunikował (nawet zaczął z miejsca przede mną), albo my może Panu nie odpowiadamy, może sprzykrzyły się nasze twarze, albo odeśliśmy od rozumu (?).

Pan kazał się jeszcze zastanowić nad tym, a mówi z nami od razu wszystkimi, żeby to nie wyglądało na jakąś znowę. Inżyniera W. namawia do powrotu i do szukania swojej rodziny. Mówi, że pojedzie, ale może dopiero w grudniu. A będzie się starał i nam coś z zewnątrz pomóc. Mnie Pan wspomina o obowiązku w stosunku do Ciebie, Sławeńko. Przedtem jeszcze, wiedząc, że otrzymałem różne listy (od Trąckiewicza, Matrasia) sądził, że to wieści od Ciebie. Ciężką będę miał noc. Tyle myśli i przeżyć.

Wtorek, 7.XI.39 r. Tak, jak przewidywałem, nie spałem całą noc. Oczy mi „nawaliły”. Prosiłem inspektora, by mi ułatwić wysłanie depešy i możliwość zgłoszenia się u okulisty w Campu-lungu. Zezwolenie uzyskałem.

Pan dziś nie jadł obiadu, cały czas pracował. Wracając spotkałem mjr. Krzeczковского i dr. Cianciarę jak targowali się i przekrzykiwali w dyskusji, bo obaj chcieli zostać z Panem.

Mam list od kochanego Boluchny Pawłowskiego (dr). Jest w Calimanesti. Dzieci odnalazły się. W związku z niepodpisaniem deklaracji zostanie przeniesiony do obozu odosobnienia. Żle się czuje z powodu braku pracy. Gotów utracić nabytą przez tyloletnią praktykę wprawę w operowaniu. Jest przygnębiony, ale pisze, że żyjemy nadzieją na lepsze jutro, które oby tylko nadeszło.

Od pani G. dowiadujemy się o śmierci E. Bandrowskiej-Turskiej, tak bardzo lubiłem jej głos. No i o śmierci Junoszy Stempowskiego.

Środa, 8.XI. Podział prac normalny. Około godz. 13-tej przyszedł mjr Krzeczkowski. Przyniósł, tam gdzie Pan malował, w koszyczku ziemniaki, masło, trochę grzybów i przygotowaliśmy to na ognisku. Dzisiaj jest uroczyste święto kościelne i państwowe — Michała Archaniola. Mjr Krzeczkowski i inż. Wędziagolski wieczorem poszli popatrzeć, jak ludzie bawią się na balu — nie mogli się nachwalić, jak przyjemnie ludzie są nastawieni i usposobieni. Serdeczni, uczynni, grzeczni. Doktor po południu był na uroczystości szkolnej. Szkoła nędzna, ale dzieci czyste i schludnie ubrane.

Ani moje listy do Sławeńki, ani Jej do mnie w ogóle nie dochodzą.

Czwartek, 9.XI. Mam wiadomości, że Wraga jest chory i

leży w szpitalu. Zezwolono mi jechać do Campulungu, naturalnie w asyście. Rozmawiałem z naszymi żołnierzami i oficerami. Źle karmieni, źle zakwaterowani, bez płaszczy, butów, bez ciepłych rzeczy, bez żołądu. Od plutonowego w górę płacą. Nie można tego słuchać spokojnie.

W drodze powrotnej, na mostku spotkałem (już w Dragosl.) Romana, który autem z Brasov przyjechał, by zobaczyć się z Panem. Oficjalnie jednak tego skutecznie nie było można. Umówiłem się z nim, żeby jechał na Demboviz w kierunku skały, tam Pan po 16-tej przyjdzie. Tamże z radia, które miał Roman, dowiadujemy się o zamachu na Hitlera, który uszedł cało — ponoć Hess i inni zabici, z górą 60 osób rannych. Szkoda, że Adolfa nie dosięgło. Miała do nas dzisiaj przyjść pani G., cóż kiedy inspektor policji nie zgodził się. Trzeba pozwolenia prefekta. My do niej możemy iść, ale ona nie może do nas przyjść. Może myśla, że porwie Pana. Mjr Krzeczkowski poszedł przeprosić panią G. Po drodze spotkał w aucie majora francuskiego, który przyjechał, żeby zobaczyć się z Panem. Nie dopuścili. Około 15-tej pojechaliśmy niby na spacer, naturalnie z inspektorem policji na spotkanie z panami, którzy tam czekali. Trochę wiadomości — we Lwowie jest Januszajtis i Boruta. Łukasiewicz, bez zgody i wiedzy rządu polskiego mianował przed nominacją Raczkiewicza Sikorskiego Naczelnym Wodzem Armii Polskiej. August Z. z Łukasiewiczem utrzymywali łączność z Władysławem Sikorskim i jeden chciał być lepszy od drugiego, Łukasiewicz niby swoje osiągnął, był pierwszy od Augusta Z., ale niedługo popasał. Dalej, kiedy opowiadał, że widział fotografię na której Hitler przyjmuje defiladę, stoi na miejscu, gdzie Pan stał, tamże gdzie on stał stali Niemcy, to niewymuszone łzy spłynęły po jego twarzy. Wacek Stach. w Stiatinie chodzi wolny, ma zamiar kierować się do Francji, ale bez zezwolenia nie wyjedzie — w tej oto sprawie major przyjechał. Pan jednak tego zezwolenia nie dał, bowiem w związku z jego ucieczką to może odbić się na naszych obozach, jak to miało miejsce na Węgrzech w związku z osobą Szefa Sosnkowskiego. Opowiadał również o wypadku w Campulungu, ponoć nasi żołnierze obili rumuńskiego oficera za to, że wyróżniał i nagradzał tych, którzy podali się za Niemców. Z rozmowy, którą miałem z porucznikiem lotnictwa wynika, że 26 Ślązaków, z czego jeden, który nie znał zupełnie języka niemieckiego, podało się za Niemców. Z tego mogą być duże nieprzyjemności. Mam gazety od Ołpińskiego. Z powodu nieporozumień między inspektorem policji a tutejszym d-cą żandarmerii, ten ostatni zarządził, że po godz. 18-tej nie wolno nam wychodzić, co zakomunikował żołnierz stojący na bramie, kiedy wracałem z lekcji.

W Campulungu spotkałem sekretarza prefekta — prefekt w Bukareszcie. On mi komunikuje, że z Bukaresztu przyszło zezwolenie, że możemy czytać wszystkie dzienniki, które mają debity w Rumunii oraz że pozwolono nam zainstalować radio. Powiedziałem, że i tak bez zezwolenia gazety czytamy i radia słuchamy (radio w aucie).

Piątek, 10.XI. Pan znalazł nowy obiekt do malowania. Cudna pogoda. Po chwili przyleciała gromadka Cyganiąt. Dałem im trochę cukierków i parę lei. Cóż to za biedota. Chyba w najuboższym zakątku u nas przed wojną nie spotykało się takiej nędzy.

Giedroyc zawiadomił, że znaleźli dla nas dobry aparat, również Haller wyrobił wizę dla Modelskiego — do Paryża.

Sobota, 11.XI. Ileż radości było w tym dniu — Święta Niepodległości. Pamiętam niezapomnianą defiladę, którą Komentant odbierał przed Sztabem Głównym w 1936 r. Późniejsze, wreszcie tę ubiegłego roku. Dzisiaj nie pozwolą święcić tego dnia na świętej, tak obficie zroszonej krwią synów swoich najlepszych, ziemi naszej poszarpanej i stratomanej przez zaborców. Dzisiaj myśli wszystkich nas tułaczy, uchodźców biegną do nich, odciętych przez wrogów. Z nimi też serca nasze się zespalają, by dokonać tego jedyne i największe zadania — nowego wyzwolenia, osiągnięcia Polski Niepodległej.

Właśnie dziś dostałem telegram od Sławańki, właśnie dziś, w tych ciężkich, łzami oblewanych chwilach dnia dzisiejszego, ten jasny, rozkoszny promyk, to właśnie wiadomość od Niej. Przed kilku dniami znalazłem duży rumianek, 19 listków, zasuszyłem i miałem Jej posłać, ale ktoś mi z książki wytrząsnął. Tak mi żal!

Niedziela, 12.XI. Pan maluje. Około 13-tej mjr Krzeczkowski i inżynier W. przyprowadzili do Pana Bogdana Łączkowskiego, który przywiózł list od Raczkiewicza. Ja i mjr Krzeczkowski chcieliśmy porozmawiać z Łączkowskim. W Paryżu nie jest dobrze, jest grupa, która chciałaby zrobić noc św. Bartłomieja i druga — zgody narodowej. Jedni, którzy chcieliby skończyć z tym, co miałyby coś wspólnego z dotychczasowym reżimem i znikoma grupka, która się temu przeciwstawia. Do tej ostatniej należy Szefer Sosnkowski, który jednak jest bardzo odosobniony. Smoleński nie zostaje, Wraga przyjechać nie może, cały szereg naszych ludzi jest na indeksie — oto zgoda narodowa.

A w Warszawie. Otóż, 7% domów jest niezniszczonych — zupełny brak szyb, najcięższy dzień dla Warszawy to 25.IX. — od pocisków było zupełnie ciemno. Zginął senator Karsz., Siedlecki pochowany na skwerku pod (...). Nastrój w kraju zupełnie rewolucyjny. Najbardziej spokojny, raczej ugodowy Okręg Krakow-

ski. *IKC* wychodzi ze wstępnym artykułem, że Polska nie nad Sekwaną ani Tamizą, Polska potrzebuje pokoju i jeszcze raz pokoju. Zaraz obok artykuł, że Niemcy odbudowują Warszawę. Ponoć Studnicki i Kucharzewski odmówili podjęcia się utworzenia rządu. Nas uchodźców nazywają „rumuńczykami”, czuję w tym jakiegoś Żyda, który to określenie puścił. Zaczyna się wytwarzać coś w rodzaju „komunizmu narodowego” w kraju.

Byłem z zębami u lekarza rumuńskiego. Pieniędzy za wizytę nie przyjął. Powiedział, że od nieszczęśliwych Polaków pieniędzy nie przyjmuje. Jestem przeziębiony i cały tydzień leżę w łóżku. Pan mnie parę razy odwiedził.

16.XI. Z Craiovej przyjechał Pradoica, przywiózł list od Dwernickiego i 3 paszporty dla inż. Wędz., dla majora i dla mnie. Z majora zrobili Kruczkowskiego i żonatego, mnie dano rok 1886. Wieczorem Pan czytał nam i tłumaczył André Maurois „L'art de vieillir”. Odpisałem parę słów do szlachetnego płk. Dąbkowskiego. List od Szczapy Krzewsk(iego). Jest w stolicy i przygotowuje się dalej jechać.

Niedziela, 19.XI. Chcę zarzucić palenie papierosów. Dziś cały dzień nie paliłem. Dr i major odwiedzili księdza rumuńskiego, który studiował w Warszawie — przywieźli trochę różnych książek. Wzięliśmy się do czytania. Pan wybrał „Dewajtis”.

Pani Georgescu dostała zezwolenie i może przychodzić do Pana na konwersacje (francuskiego).

Po takiej przerwie nareszcie przychodzą listy od Sławeńki. Napisali Jej z Warszawy, że domek na Mokotowie nic nie ucierpiał, ale to nie ma żadnego znaczenia. Grunt, że ona zdrowa. Dostałem od Niej „1000 słów franc.-niem.”. Żał mi, że się wydatkowała, odmawiając sobie najpotrzebniejszych rzeczy. Widać z listu, że wiele innych pisała ale nie doszły. Pisał również i Mańkowski — odpisałem zaraz. Dostałem też list od dr Matrasia i zarządzenie o rozwiązaniu Izb, podpisane przez p. Władysława Raczkiewicza. Jakież to niskie i jaki brak godności osobistej, ażeby podać podobne powody, ależ sobie wystawił świadectwo, ale przecież i sprawie się nie przysłużył. Pan był z tego kroku niezadowolony. Odpis pisma pana prezydenta wręczono marszałkowi Makowskiemu w dniu 11.XI.39r. (lub X) i takąż datę skierowano do mnie.

Wieczorem przyszedł bardzo przygnębiony Pradoica, by się pożegnać. Zostajemy pod opieką żandarmerii.

Dostałem od Sławeńki słownik, ale po co Ona wydaje swoje ostatnie grosze?

Pisze Ziemiański, że żadnych nie ma wiadomości, ani o żonie, ani o rodzinie.

Środa, 22.XI. Mjr Krzeczkowski i inż. W. pojechali do

Campulungu. Mieli poruszyć sprawę ewentualnego powrotu (może Pradoicy) i wyjazdu inż. Wędz. Wieczorem Pan czytał i tłumaczył „L'art de vieillir”, a oto fragment: „*Tout arrive, tout s'oublie. Tout s'arrange. Personne ne comprend rien à rien. Si tout le monde savait ce que tout le monde dit de tout le monde, personne ne parlerait à personne*”.

Czwartek, 23.XI. Rano Pan maluje, a wszyscy inni przy swoich normalnych robotach. Dostają listy z jakiś poprzednich dat, tak jakby były gdzieś przetrzymane. Jak widać, ze względu na mnie pozbawili ją pracy społecznej. Ją, która tak zawsze kochała taką pracę. Mam od niej wiadomości o wielu ludziach i o krzywdzie, jaką im robią.

Sobota, 25.XI. Mjr z inż. znów byli w Campulungu i przywieźli ze sobą nowego żandarma — Polaka z Czerniowic, Karola Zwierzyńskiego. Wreszcie będzie się można z kimś porozumieć. Napisałem list do Skwarczyńskiego i do Składkowskiego. Pan dopisał się.

26.XI. Pan od paru dni jest bardzo przygnębiony, zupełnie bez humoru.

Poniedziałek, 27.XI. Wyszedłem z Panem, który maluje. Trochę się uczę, a trochę pomagam przy spalwianiu drzewa na Dąbowitz. Dostałem kartkę od Składkowskiego, który niepokoi się brakiem wiadomości od nas. Boję się, czy list z dopiskiem Pana dojdzie do jego rąk.

Cheronescu okazał się być świnia. Pobił Petrakiego, obu wylali, narzekają na Craiova. Ciężko, beznadziejnie ciężko, bo nie można się niczego konkretnego dowiedzieć. Tylko co od Ciebie. Jak Ty tam dajesz sobie radę za dwa penga dziennie i to w zimie. Jakże ja Ci współczuję, ale niestety pomoc nie mogę. Musimy wytrzymać!

Wtorek, 28.XI. Telefonowałem do Giedroycia. Wraga chory. Giedroyc będzie w tym tygodniu. Pan wziął mi za złe, że upominałem się o ich przyjazd. Prosiłem, ażeby porozumieli się z Vasiliu w sprawie przepustki dla inżyniera i majora. Zacząłem pisać list, nagle strzał, wyszedłem, obudziłem komendanta posterunków. Poszliśmy sprawdzać posterunek, który odszedł bliżej domu. Sprawdziliśmy, miał 10 ładunków. Grzesiak wacha lufę — w porządku. Okazuje się, że strzelał stróż pobliskiego tartaku, tak dla dodania sobie animuszu i odwagi.

Środa, 29.XI. Pan maluje opodał. Widać Go z okien naszego domu. Inż. pojechał do Campulungu z zamiarem kupienia świni, którą Kutnik miał przygotować na dłuższy czas. Ale nie dostali. Także drzewo nie nadaje się do palenia, bo mokre. Karta od Piątkowskiego charakterystyczna: „Pogoda się psuje z obu stron. Trzeba koniecznie o tym myśleć w takiej pogodzie”. Pan maluje

i ładniejszym okolicznym pejzażom już żeśmy się przyjrzeni!!!

Czwartek, 30.XI. Był z wizytą ksiądz.

Pan malował 14-letnią dziewczynkę, uczennicę 7 klasy szkoły powszechnej. Słyszymy o bombardowaniu Helsinek. Ognisko się rozszerza. Biedni Finowie — podziela los Polaków.

Piątek, 1.XII. Pan maluje, ja „interesuję się okolicą”!!!

Sobota, 2.XII. Byłem w Campulungu, spotkałem Wragę, oczom własnym nie wierzę. Czuje się niedobrze, ale chodzi. Mówi przede wszystkim o okupacji niemieckiej. *Regime* się zaostrza, aresztowania działaczy polskich, bardzo dużo ludzi ginie, profesorów uniwersytetu poproszono o wykład, a po tym autami ciężarowymi wywieziono. Starzyński aresztowany, wytaczają im na wzór rosyjski proces o zniszczenie Warszawy. Niedziałkowski też aresztowany, początkowo pisywał artykuły, przy czym *Robotnik* jest najpoczytniejszym pismem. Wypuszczanie naszych oficerów i podoficerów z niewoli, żeby po tym znów ich złapać. Młodych ludzi wyłapuje się. Obozów większych na terenie już nie ma. Aresztowania, torturowanie, szykany i restrykcje mają być straszne. Chwilowo o żadnej organizacji się nie słyszy. P.O.W. nie ma. P.P.S. pracuje energicznie, stosunek Niemców do bolszewików nie jest szczery, dość figlarny. Organizują ruch ukraiński, jednak raczej przeciw Polakom niż bolszewikom. Rozdział żywności najpierw dla Niemców, po tym dla Ukraińców i dla Polaków współpracujących z Niemcami. Na terenie okupacji walka z nacjonalistami ukraińskimi. Tępi się osadników i sądowników.

W Paryżu Szefer Sosnkowski odgrywa rolę Hamleta. Zduńmiewająca jest jego lojalność w stosunku do p. Wład., „młodszego” szarż. Przewidują przyjazd Wasilewskiego, który otrzymuje II O. od Smoleńskiego. Wielu naszych mimo to, że poszli do Canossy, jest bez pracy i bez chleba. Jest list od Komendantowej.

Pan, widząc mnie zamyślonego, zapytał, kiedy będę pisał do Ciebie, bo chce się dopisać.

3.XII. Pan chciał złożyć wizytę p. G., więc na lekcję poszliśmy do niej. Francuzka tak jakby nie poznała Pana, a po tym tak była tym zaskoczona, że ona, która tak zawsze dużo mówiła, zapomniała języka w ustach.

Poniedziałek, 4.XI. Mam kartkę od Mańkowskiego (byłego adiutanta Marszałka). Pisze, że czuje się lepiej i chciałby nam dotrzymać miejsca. Był też *Krakauer Zeitung*, a w niej artykuł, jak Ribbentrop prosił Polskę o pokój, jak Niemcy wyciągały rękę, ale Pan odrzucił i różne tego rodzaju brednie.

Wtorek, 5.XII. Inż. Wędz. dostał połączenie z Bukaresztem i podobno za parę dni jego sprawa ma być załatwiona.

Środa, 6.XII. Tak sobie myślałem, że na św. Mikołaja będę mógł jakieś ciepłe futerko Mojej paniusi sprawić. A tu niestety — żadnego mamy Mikołaja! Otrzymałem kartki od Frącka i Matrasia. Kochane, wierne chłopaki! Matraś jedzie do Francji, byleby mu tam przykrości nie zrobili. List od Cieplaka, który już jest w Chicago. Otóż znowu prezydent Raczkiewicz wykazuje brak godności osobistej i idzie na sznurku Władysława Sikorskiego. Mówi, że po wojnie zarządzi w Polsce wybory na podstawie demokratycznej ordynacji wyborczej. Stworzy się nowe promienne życie w Polsce — gruntowne zmiany społeczne, przepowiada zgodę i współżycie bez względu na różne wyznania i narodowości, ale ludność niemiecka (z małymi wyjątkami) — dlaczego? Będzie się musiała usunąć z kraju. Po co to wszystko, chyba po to...

Czwartek, 7.XII. Rano bez zmian. Pan pracuje u siebie. Każdy robi swoje prace. Doktor wrócił, nie było lekcji, bo pani Georgescu źle się czuje. Kutnik kupił świniaka i wędzi kielbasy.

Bardzo smutny list od Sławeńki: „Te ciężkie dni ciągniemy za sobą, jak bezterminowy więzień taczki... na nogach i rękach kajdany...”.

Piątek, 8.XII. Mjr Krzeczkowski dostał wiadomość, że jego wujek został zabity w Warszawie. Niespokojny jest o swą matkę, bo wujek był jej jedynym opiekunem. Zabity też płk Tadeusz Lechnicki, bardzo dzielny i wspaniały człowiek. Ponoć Niemcy przy jego trumnie w Lublinie wystawili posterunek honorowy. Jakie to okropne. Stawiają posterunek, a sami zabijają. Okropna sytuacja ze Starzyńskim, aresztowanie 80-letniego Lubomirskiego z Przeworska.

Wiadomość od dr. Pawłowskiego i od mjr. Skrzywanka. Mają pewne sprawy, którymi chcieliby się ze mną podzielić. Telefon od min. Romana, że przyjedzie z Melchiorem Wańkowiczem do dr. Cianciary jako pacjent.

Sobota, 9.XII. Przyjechał Wańkowicz. Po zbadaniu przez doktora chciał ze mną porozmawiać. Otóż wygłasza odczyty i ma zamiar wydać książkę, by uwypuklić to, co nas łączy, by móc oddziaływać na najszlachetniejsze pierwiastki narodu. Podoba mi się ta intencja, choć może i niesłuszna, ale nie mam ja zaufania do tego człowieka. Parę godzin rozmawiał z Panem, a ja w międzyczasie przeglądałem już prawie gotowe materiały do tej książki. Oto sądzę, że jest tam wiele barwy i podbarwiania i wiele na pewno nieścisłości, a jeszcze więcej niesmacznych podejść na temat demokratyzacji: wyczuwa się, że oficer do stopnia kapitana dobry, wyżej absolutnie nic nie wart. (Jak parę miesięcy po tym rozmawiałem z Marszałkiem, to wyczułem, że ma żal do Wańkowicza, bo podobno prosił, żeby Pan zrobił

pewne poprawki, których po tym w ogóle nie uwzględnił). Po południu byliśmy w kościele na nabożeństwie żałobnym za duszę wuja mjr. Krzeczковского. Listy z dopiskami Pana do Sławoja nie doszły do adresata — skonfiskowali.

Niedziela, 10.XII. O 13-tej przyjechał mjr Tessier. Robiono mu trudności, ale powiedziałem, że ze mną tylko będzie mówił, a nie z Panem. Przywiózł list od Pani, która źle się czuje. Pan napisał parę słów do żony i oddał list majorowi. Powiedział, że jedna nasza dywizja jest gotowa i kadry na następne trzy. Jaklicz pracuje u Faury'ego, Denain — przewodniczącym misji polsko-francuskiej. Co w takim razie z Bukackim? Przyjechał nowy szef O. II, płk Wasilewski i szef wywiadu ppłk Gano. Będą właśnie na obiedzie umjr Tessier, dlatego też musi się spieszyć. Odprowadziliśmy go do auta, którym przyjechał, a dla upozorowania przejażdżki był w towarzystwie dwóch bardzo przystojnych dawnych Hughistek.

Poniedziałek, 11.XII. Kurs poczty się zmienił. Dotychczas przychodziła ok. 3-ciej po południu. Autobus, którego szofer klaksonem wzywał do siebie na dobrą odległość od poczty jej woźnego, krótko się zatrzymywał. Wszyscy nadsluchiwalimy tego sygnału, pilnując, by ktoś zaraz poszedł na pocztę. Od dziś poczta ma przychodzić drugim kursem, tzn. ok. 5-tej. Była karta od dyr. Cieplaka z Buffalo i list od red. F.T. Friedela z *Ameryka Echo*, który wspomina, że umieścili list b. Marszałka Śmigłego i mój list. Prosi o wiadomości z terenu Rumunii i dalej mówi: „Polsko-amerykańska prasa jest w tym przykrym położeniu, że nie wie, dlaczego Marszałek Śmigły opuścił Polskę. Dużo czytelników wymaga od nas napiętnowania go za to, że zostawił w kraju walczącą armię, a sam schronił się za granicą. Odpowiadamy, że trzeba poczekać na wyjaśnienie stanu rzeczy... Zaczyna się tu objawiać oburzenie, że nowy rząd zamiast kroczyć drogą postępu, wpada jeszcze więcej w objęcia czarnej międzynarodówki”. Pan zezwolił mi odpowiedzieć na poruszone kwestie.

Wtorek, 12.XII. Straszne wiadomości z Polski, a koalicja stoi w miejscu.

Środa, 13.XII. List od Kasprzyckiego, który pisze o obostrzeniach u nich, jak również u generałów.

Czwartek, 14.XII. Goleddź niesamowita, nie można się na nogach utrzymać. Byliśmy jednak w Campulungu. Płk Najsarek bardzo choruje na żołądek, badał go Cianciara. W najbliższych dniach oficerowie mają wyjechać do Baic Govosa (?).

Kupiłem trochę złota, srebra i orzechów na drzewko.

Piątek, 15.XII. O 10-tej przybyli koleją z Craiovej p. Jazdowski i żandarm Związowski. Auta inż Wędz. nie wydano —

zarekwirowała je prefektura. Co to ma znaczyć i jakie są powody zarekwirowania, trudno zrozumieć. Widocznie jakieś nowe zarządzenia, bowiem i o Pana wozy pytają i tak od paru dni. Wczoraj przyleciał nawet do mnie do dentysty komendant naszego posterunku i w tej sprawie mnie indagował. Zaraz po południu pojechał inż. Wędz. do Campulungu i stamtąd do Bukaresztu. Nie zazdroszczę mu tego wyjazdu, ale może nie odmówiłbym, gdyby mi taki wyjazd na jeden, dwa dni zaproponowano. Dostał od nas plik spraw do załatwienia i ciekawi jesteśmy, jak swoją sprawę w Bukareszcie załatwi (sprawa wyjazdu).

Dostałem wiadomość o rodzinie i kawałek opłatka od siostry z Polski. Tym opłatkiem połamiemy się tutaj. Mam fotkę od Sławenki — wydaje mi się, że buźka jej bardzo zmizerozana. Ona nic nie wie o swoich najbliższych w kraju. Sławenka prosiła, ażeby bardzo uważać co i jak piszę, a szczególnie na nazwiska, które trzeba szyfrować. Mańkowski pisze, że psioczą na prezydenta Mościckiego, na Nagórna i Kwiatkowskiego.

Sobota, 16.XII. Przyjechał Wraga i żandarm jakoś go wpuścił do nas. Jest jeszcze Zaniewski i Giedroyc, przywieźli pisma i wiadomości. Czytaliśmy bardzo ciekawy elaborat pośła Ciołkosza na temat sytuacji pod obu okupacjami — włosy na głowie stają, co w tych okupacjach wyczyniają. A. Koc ustąpił fotel Strassburgerowi — powód nie jest znany. Mikołajczyk obejmuje prezesurę Rady Naczelnej. Zgadza się, na pewno musi zmienić się kierunek. Niektóre obozy w Rumunii to już ludzie za kratami i drutami, traktowani jako jeńcy wojenni.

Niedziela, 17.XII. Zapoznałem się z *Głosem Polski* wychodzącym w Paryżu — wcale nieźle redagowany, bardzo ciekawie. I o dziwo widzę artykuły Wańkowicza — pod pseudonimem Łużyc — po cóż je nam pokazywał i o uwagi Pana prosił, jeżeli bez zmian ogłosił. No i inne enuncjacje. Żydowin Stroński pisze: „Naczelny Wódz nie był na poziomie dobrego żołnierza”. A pan August Zaleski powiada, że rezerwat w Lubelskiem zostanie zmieniony i żydki będą eksploatowały po dawnemu. Wstrząsające są wiadomości o Warszawie.

Poniedziałek, 18.XII. Okropnie zimno, że rankiem trudno ściągnąć się z łóżka. Ciężko tu będzie, jak zwali się śnieg na drogi i dróżki.

Wtorek, 19.XII. Byłem z doktorem u dentysty — wyrwali mu ząb. Spotkaliśmy pana Fima, a po tym płk. Najsarka. Opowiadał niesamowite rzeczy o pierwszych godzinach wojny w Zegrzu. Wczoraj mjr Krzeczkowski dostał list z Francji od Münnicha, jest tam bez pracy, jak szereg innych starszych rangami oficerów, których do niczego nie dopuszczają. Jak się oka-

zuje, Kowalewski żyje i ma otrzymać pułkownika. Sławenka w liście podaje szereg wiadomości odnośnie ludzi i charakterów. Marian Bernadzki już wyjechał do Francji — jak go tam przyjmą?

Środa, 20.XII. Rozczulające jest to, że Pan przeżywając taką tragedię, potrafi o nas tak serdecznie myśleć i jakoś nam to życie układać. Nadchodzą święta! Parę razy wspomniał o drzewku. Polecił mi kupić w Campulungu różnokolorowe papiery, pozłotkę na orzechy, srebro i złoto już kupilem i będziemy robili ozdoby na drzewko.

Czwartek, 21.XII. Był Wraga i Krechowiecki — przywieźli wiadomości. Julek Piasecki wybiera się do nas.

Piątek, 22.XII. Ślizgawica. Niektóre auta na drodze wozy ciągnęły. Dostałem list od Stachewicza i Skwarczyńskiego, który donosił, że Emil Fieldorf na Węgrzech.

Sobota, 23.XII. Dostałem list od Sławenki. Zmartwiłem się, że przez pocztę lotniczą, bo zapłaciła 1p50 przy 2-ch p., jakie ma na dzień. Dla Pana są pozdrowienia od Z.M.P. podpisane przez Kom. Okr. Wil. Dąbkowskiego, przysłał życzenia świąteczne. Pani Irena Kruszevska doniosła o śmierci płk. Parafiańskiego i Jurka Nowackiego — tacy serdeczni moi przyjaciele! Modłę się ciągle za poległych i zmarłych.

Niedziela, 24.XII. Grzesiak przywiózł pp. Vasiliu, zaprosili nas na Wilię. Pan przyszedł trochę później. Każdy z nas dostał jakiś prezencik od pp. Vasiliu. Mowy oczywiście nie ma o jakimś rewanzu. Ci ludzie są dla nas niezmiernie serdecznie nastawieni. Była p. Georgescu i pp. Dima. Wiatr, mroźno, pełnia.

Poniedziałek, 25.XII. Dzisiaj pp. V. zaprosili nas na obiad. Nie przypuszczałem by dziś mogły być jakieś listy, ale były: od Mańkowskiego, Kazia Szally, a poza tym odpis listu niejakiego p. R. Allalouff, Bułgara, który nie wiadomo dlaczego siedzi w Nicei. List jest skierowany do Becka z wymówkami za jego stosunek do zagadnień żydowskich. Sławoj nadał depeszę.

Wtorek, 26.XII. List z Belgradu od Zł. „Jakoś jeszcze się trzymam i myślami z Wami się łączę”. Podpisał Gołąb, Sternak i Wiatr. Niesamowicie wyglądała podróż oficerów z Calimanesti do Targoviste, po 1 żandarmie na 4-ch oficerów. Postępowano gorzej niż z jeńcami. Dzwonił prefekt i chciał być u Pana o 5.30. Pan zaproponował dzień jutrzejszy. Ciekawe, co nowego. Kazio Szally pięknie do Pana napisał.

Środa, 27.XII. Skonstatowano czwarty wypadek tyfusu plamistego. Nasza p. Georgescu wyjeżdża — żalujemy jej tu wszyscy ze względu na naszą naukę francuskiego.

Mjr T. z żoną był u nas i przywiózł Panu list od żony.

Julkowi P. nie pozwalają do nas przyjechać. Napisałem do Emila Fiedorfa.

Czwartek, 28.XII. Żandarm Zwierzański, chyba dla animuszu, strzela z karabinu. Wańkowicz pisał, że uwagi Pana uwzględni w wydaniu książkowym i przysłał książeczkę o Sefie [akcja 11 dyw. Prugar Kettlinga(?)], a w dalszym ciągu drukuje artykuły w prasie polskiej.

Piątek, 28.XII. Rano razem z mjr. Krzeczkovskim odnieśliśmy podarunek — pamiątkę od Pana dla p. Georgescu — kryształowy flakonik. Madame była bardzo wzruszona i nie miała słów podziękii dla Pana. O godz. 18-tej odwiozłem p. Georgescu i małego Dimę z matką do Campulungu. Wyjeżdżają w związku z tyfusem, by potem nie przechodzić kwarantanny.

Rano była rozmowa mjr. Krzeczkovskiego z panią Vasiliu, bo doszły do nas wieści, jakoby chciała się nas pozbyć. Okazuje się, że stara się, aby za nas jej zapłacili, co się jej słusznie należy, ale że jej stosunek do nas zawsze jest ten sam — pełen życzliwości i że wszystko gotowa jest dla nas zrobić, żeby nam jakoś ulżyć w naszej sytuacji. I tak na pewno jest.

Sobota, 30.XII. Pan postanowił zaprosić pp. Vasiliu na obiad. Jutro wyjeżdżają do Bukaresztu. List od Sławeńki. Jak to dobrze, że zgrupowała koło siebie tylu ludzi życzliwych. Dużo ciekawych wiadomości, a wszystko pisze tak, że tylko ja to mogę odtworzyć.

Niedziela, 31.XII. Po południu przyszedł doktor Vasiliu i poprosił nas na Sylwestra. Specjalnie zostali, aby nam nie było smutno. Poszliśmy tam o 9.30 — graliśmy w brydża. O godz. 12-tej, przy zgaszonych świecach, strzały za oknami na wiat. P. Metzger złożyła życzenia. Pani Vasiliu popłakała się. Podano różne smaczne potrawy i wino. Siedzieliśmy tam do 2.30 i tak to zakończył się dla nas ten tragiczny 1939 r.

Ciąg dalszy nastąpi

Zygmunt WENDA

CI, CO ODESZLI

Piotr WANDYCZ

HENRI ROLLET

Niedobrze by było, aby wiadomość o niedawnej śmierci Henry Rolleta przeszła bez echa w polskich środowiskach historycznych na Zachodzie. Przedwojenny dyplomata francuski, z długoletnim stażem w Polsce, a w czasach powojennych historyk, Henry Rollet był człowiekiem dużej wiedzy i wielkiej skromności. Przedstawiał typ Francuza starej szkoły, obdarzonego osobistym urokiem, poczuciem humoru i wielką kulturą. Nie chciałbym tu użyć oklepanego zwrotu „Wielki przyjaciel Polski”, i wolałbym go określić jako człowieka, który Polskę znał, rozumiał i doceniał. Rollet dał się poznać najpierw artykułami dotyczącymi dziejów stosunków dyplomatycznych polsko-francuskich, a następnie monumentalnym dziełem „La Pologne au XXe siècle”. Książka ta otrzymała nagrodę w Kraju a obecnie zapowiedziane jest jej ukazanie się w polskim tłumaczeniu nakładem „Znaku”. Tak więc nazwisko Rolleta pozostanie w polskim świecie czytelnicy, choć nie dożył już ukazania się tej książki. Podobnie, ciężko chorując przez wiele miesięcy nie spodziewał się, że dożyje publikacji podstawowego dzieła o francuskiej polityce zagranicznej doby powojennej, w którym znajduje się kilka rozdziałów jego pióra. Cześć Jego pamięci.

Piotr WANDYCZ

RECENZJE

Gustaw KERSZMAN

KSIĄŻKA O MARCU

Książka Eislera „Marzec 1968”¹ stanowi ważną i potrzebną pozycję w literaturze o najnowszych dziejach Polski. Autor motywuje decyzję napisania książki ubóstwem wiedzy o Marcu i cytuje Jerzego Holzera:

Ze wszystkich kryzysowych wydarzeń wydarzenia marcowe zdają się budzić do dziś najwięcej wątpliwości w ocenie. Choć nie można znaleźć jawnych entuzjastów bicia pałkami studentów, pojawiają się postawy dwoiście: „wprawdzie-ale”.

Ta ocena, choć sformułowana dziesięć lat temu, nie straciła na aktualności.

Zbierając materiały w dawnych latach Jerzy Eisler nie mógł korzystać z archiwów policyjnych, partyjnych, cenzury itd. Wykorzystanie tych źródeł przyczyni się z pewnością do wzbogacenia zapowiadanego następnego wydania książki. Ostatnio opublikowana *Notatka* z dyskusji na posiedzeniu Biura Politycznego z 8.4.1968 r.² wskazuje, jak wiele można oczekiwać po otwarciu archiwów.

Pierwszy rozdział przedstawia krótko ewolucję polityczną Polski w dziesięciolecie 1956-1966, rozgrywki frakcyjne w partii i kształtowanie się tendencji opozycyjnych wśród intelektualistów. Eisler podkreśla autentycznie wielką popularność Gomułki w

1. Jerzy Eisler, *Marzec 1968 — Geneza, przebieg, konsekwencje*. Biblioteka *Krytyki*, PWN 1991.

2. *Polityka* Nr 23 z 1991 r.

okresie październikowym. Warto dodać, że popularność tę w niemałej mierze zawdzięczał swoim przeciwnikom w PZPR, którzy przedstawiali go kiedyś społeczeństwu jako polskiego Tito, antysowieckiego, wroga kolektywizacji itd. Lepszej reklamy nie mogli mu zrobić najwięksi specjaliści od *public relations*. Można sądzić, że Gomułka nauczył się z tego, iż walcząc z rewizjonistami nie należy ich popularyzować w oczach narodu. Z tej lekcji skorzystał w marcu.

Wydaje się, że informacja o wystąpieniu Iwaszkiewicza przeciwko rewizjonistom (str. 55) wymagałaby sprawdzenia, podobnie jak niektóre inne wiadomości o charakterze personalnym. Fakt, że pewne z nich prowokują zainteresowanych do sprostowań³, rozszerzając w ten sposób dokumentację okresu, można uznać za jedną z wielu pozytywnych funkcji tej książki. Kolejne rozdziały poświęcone są warszawskiej młodzieży opozycyjnej, ostremu konfliktowi między PZPR i Kościołem z okazji obchodów Millenium oraz kampanii antysemitkiej zapoczątkowanej przemówieniem Gomułka na temat wojny sześciodniowej w 1967⁴. Szkoda, że w pracy brak wzmianki o książkach — pomnikach okresu jak np.: Walichnowskiego „Izrael a NRF”, „Głupia sprawa” Dobrowolskiego czy „Rewolucja pod Piramidami” Sidora. Autor przedstawia szczegóły zdjęcia z afisza *Dziadów* oraz protest literatów w tej sprawie, doprowadzając czytelnika do właściwych wydarzeń marcowych. Poświęcone im są rozdziały „Studencka rewolta” i „Polityczna rozgrywka” oraz specjalny rozdział o interpelacji koła „Znak”, w którym mowa też o stosunku Episkopatu do wydarzeń marcowych. Zdaniem Eislera stanowcze wystąpienie Episkopatu w obronie studentów a zarazem wielka powściągliwość na temat antysemityzmu stanowiły głównie wynik potraktowania kampanii antysemitkiej jako rozgrywki w łonie PZPR czyli „sporu w rodzinie”. Stanowisko Autora potwierdza ogłoszona kiedyś w *Kulturze* relacja Dominika Morawskiego z rozmów z przedstawicielami Episkopatu na

3. Patrz *Polityka* Nr 14 i 15 z 1991.

4. Wg wypowiedzi Albrechta cytowanej w książce, Gomułka nie był antysemitą, ale był „wyczulony na kwestię żydowską” (cokolwiek by to mogło znaczyć). W istocie Gomułka, jak wynika np. z jego przemówień, sądził, że pochodzenie żydowskie jest wystarczającym powodem do posadzenia obywatela na ławie oskarżonych, niekoniecznie jednak do wydania wyroku skazującego (o ile delikwent jest bez zarzutu, a oskarżenia przyjmuje z odpowiedzią pokorą). Tym różnił się od moczarskich radykałów, którzy na spotkaniach z nim skandowali m.in. „śmiało, śmiało...”. Jak wskazuje wspomniana uprzednio *Notatka* z posiedzenia Biura Politycznego, Gomułka i jego najbliżsi uznając występowanie przegięć i przejawskawień kampanii, nie przejmowali się tym zbyt.

temat Marca. Relacja ta zdaje się też wskazywać na wielkie zróżnicowanie stanowisk biskupów — od zdecydowanego potępienia kampanii do jej bagatelizowania i częściowego usprawiedliwiania⁵.

Omawiana książka daje przegląd wystąpień studenckich i represji w Warszawie i w innych ośrodkach uniwersyteckich (o których ma jednak nieco mniej do powiedzenia). Ciekawa jest wnikliwa analiza treści i języka ulotek studenckich.

Rozdział poświęcony rozgrywce politycznej omawia propagandę, czystki, przesunięcia kadrowe, represję, emigrację. Szkoda, że Autor nie wspomina o Wieczorku z Zielonej Góry — jedynym sekretarzu, który otwarcie wystąpił przeciw fali moczarowskiej i zapłacił za to stanowiskiem.

Końcowy rozdział, poświęcony głównie roli pokolenia marcowego w „Solidarności”, nazywa się „Pokłosie Marca” i Autor przyznaje, że dopisał go „ku pokrzepieniu serc” nie tylko czytelników, lecz również własnego. Sympatyczne jest to wyznanie.

Zadanie Autora omawianej pionierskiej książki było niezwykle trudne. Zajął się on zagadnieniem złożonym, wielowątkowym i kontrowersyjnym. Borykał się z trudnościami w dostępie do źródeł. Brak było zaplecza w postaci opracowań monograficznych tematów pokrewnych. Napisanie wartościowej pracy w tych warunkach stanowiło akt nieomal heroiczny. Przedstawię teraz kilka komentarzy, będących częściowo propozycjami uzupełnień wywodów Autora, a w paru przypadkach dyskusją z Nim.

DWA ŹRÓDŁA IDEOLOGII PRL

Wydaje się, że omawiając genezę Marca warto podkreślić dwoisty rodowód ideowy Polski Ludowej, komunistyczny i endecki. Zapożyczona od endecji prorosyjska i antyniemiecka orientacja geopolityczna uzasadniała nowe sojusze. „Piaستowska” koncepcja państwowa i rewindykacja ziem zachodnich i północnych łącznie z hasłem państwa etnicznie jednorodnego dawały argumenty na rzecz zmiany granic państwa i przesiedleń. Realizm polityczny pomagał mobilizować postawy pozytywistyczne, a demobilizować nieprzejednanie niepodległościowe. Przydatność

5. Wymieniany w tym kontekście temat „kłótni w rodzinie” przypomina dylemat, przed którym stanęli kiedyś obrońcy Dreyfusa. Dreyfus — bohater głośnego procesu, który zaważył na historii Francji — był bowiem podobnie jak jego prześladowcy, a przeciwnie niż jego obrońcy, człowiekiem militarnostarycznej prawicy.

kultu mocnej i stanowczej władzy była oczywista. Tak oto szereg idei Romana Dmowskiego pełnił przez cały okres Polski Ludowej ważną funkcję legitymizacyjną⁶.

Na endecki wątek rodowodu ideowego PRL wskazywało wielu autorów, ale prawda ta jakoś nie upowszechniła się. PZPR chętnie korzystała z haseł endeckich, zwłaszcza w miarę pogłębiania się konserwatywnego charakteru tej partii. Zarazem jednak traktowała to jako sprawę raczej wstydliwą i dopiero na jubileuszu UJ Kliszko po raz pierwszy publicznie uznał zasługi endecji. W tym kontekście partyjna erupcja nacjonalistyczna z 1968 r. wydaje się bardziej zrozumiała. Podobne zjawiska można by zresztą obserwować i w innych krajach realnego socjalizmu. Endecki element fundamentu ideowego PRL czyni też bardziej naturalną rolę odegraną w Marcu przez Bolesława Piaseckiego i jego PAX. Omawiana książka zawiera wiele informacji na ten temat. Dodatkowe światło rzuca tu wydana niedawno praca o Piaseckim⁷, w której znaleźć można np. następujące jego wypowiedzi:

Fakt, że wszedłem do Sejmu dla przyjaciół naszych politycznych ma znaczenie szczególne, dlatego też niewątpliwie jest to symbol, że kierunek patriotyczno-socjalistyczny w swojej ekstremistycznej orientacji, bo za taki symbol ja uważany jestem, jest w ofensywie. (1965)

...międzynarodówka wielkiego kapitału i międzynarodówka syjonistyczna działają zgodnie przeciw powiązaniu Polski ze Związkiem Radzieckim. (21.5.67, a więc przed wojną sześciodniową).

Cytaty powyższe potwierdzają fakt, że dawny przywódca narodowych radykałów wyprzedzał i inspirował propagandę PZPR.

GŁÓWNY WRÓG, GŁÓWNY CEL

Wszystko to było zaledwie wprowadzeniem do prawdziwego ataku po mistrzowsku dokonanego przez „moczarowców”... Był wreszcie określony wróg i zarazem cel ataku: Żydzi! Wkrótce miało się okazać, że także inteligencja twórcza i studenci. (Eisler, str. 145)

6. Fakt, że myśl Dmowskiego odgrywała taką rolę w Polsce rządzonej przez nienawistnych mu komunistów, może wydawać się niezrozumiałą. Ten pozorny dziwolak historyczny jest w znacznej mierze dziełem Stalina. Stalin szybko zrozumiał, że nacjonalizmy stanowią broń obosieczną. Mogły być niebezpieczne, ale po odpowiednim obciosaniu okazywały się niezmiernie wygodnym i pożytecznym narzędziem w jego rękach. W związku z tym w latach czterdziestych do długiego już katalogu „zbrodni myślowych” wprowadzono nową, nieznaną dotąd — kosmopolityzm. Stalin przyczynił się w walnie do możliwości balansowania między endecką a tradycyjnie-komunistyczną legitymizacją Polski Ludowej.

7. A. Dudek i G. Pytel, *Bolesław Piasecki. Próba biografii politycznej*, Aneks, Londyn 1990.

Ciosy pałek, ataki zatrutych piór i różnorodne represje spadły na demonstrujących studentów, protestujących pisarzy, składających interpelację posłów katolickich. Określenie kampanii marcowej jako antyinteligencko-populistycznej jest uzasadnione. Często spotykane wymienianie równorzędnie wojny z Żydami i wojny z inteligencją oraz ze studentami wydaje się jednakże dużym uproszczeniem. Propaganda marcowa głosiła przecież np. „oczyszczenie” Polski z „syjonistów”, a nie z intelektualistów czy studentów. Jak pisze Eisler, przed pamiętnym zebraniem ZLP do Kisielewskiego i Jasienicy dzwonili tajemniczy rozmówcy ostrzegając pisarzy, aby zostali w domu „bo nie o nich tu chodzi” (str. 180). Telefonujący nie mieli przecież na myśli statusu intelektualnego Kisielewskiego i Jasienicy. Podobną wymowę ma zadawanie zatrzymanym studentom pytania: „A dlaczego pan się daje wykorzystywać przez Mośków?” (str. 157).

Krytykowane tu sformułowanie traktujące na równi kampanię antyinteligentką i antysemitką często spotkać można w literaturze opozycyjnej czasów PRL⁸. W istocie głównym wrogiem wewnętrznym dla marcowej propagandy byli niewątpliwie syjoniści-rewizjoniści-bankruci polityczni, co oznaczało Żydów i ludzi przez nich „otumanionych” lub „zdeprawowanych”. Sądzę, że tego obrazu nie można i nie należy zamazywać. Należy natomiast poszukać celu tak obranego przedmiotu głównego natarcia.

Wbrew rozpowszechnionym poglądom nie sądzę, aby pierwszym celem kampanii być miało uzasadnienie czystki personalnej. Czystkę taką, jak zauważa Eisler, prowadzono już przez szereg lat przed Marcem⁹. Obywano się wtedy bez dęcia w trąby i walenia w kotły i można to było robić dalej, unikając niemałych przecież kosztów politycznych kampanii. Jeśli udało się łatwo, bez większego hałasu, usunąć np. Żambrowskiego z najwyższych stanowisk w KC, to tym bardziej można go było spokojnie usunąć z drugorzędnego stanowiska w NIK. Jeszcze łatwiej było pousuwać z posad parę setek czy tysięcy mniej eksponowanych osobistości. Sądzę, że w rzeczywistości naczelnym

8. Nieraz znak równości między antysemitkami i antyinteligentkami wątkami kampanii dyktowały chyba względy taktyczne. Można sobie wyobrazić następujące rozumowanie: opozycja nie powinna dać sobie narzucić tematu antysemityzmu, lecz sama wybrać dogodniejsze dla siebie pole walki. Rozumowanie trafne, jeżeli przyjąć, że antysemityzm był tematem korzystnym dla władzy, nie kompromitującym ją.

9. Potwierdza to wspomniana *Notatka*, w której Gomułka i jego ludzie przyznają się do polityki rozgęszczania. Termin ten oznaczał tyle, co przed wojną *numerus clausus*, a w języku grupy natolińskiej regulacja kadr narodowościowych czyli dyskryminację w oparciu o kryteria rasowe.

celem kampanii była propaganda prowadząca do nowej legitymizacji popaździernikowej władzy. Dawna legitymizacja opierała się m.in. na odcinaniu się od „błędów i wypaczeń” przy pomocy hasel suwerenności, demokratyzacji, jawności życia politycznego, większej swobody krytyki itd. W miarę odchodzenia od Października hasła takie stawały się coraz mniej wiarygodne. Silniejsze zaakcentowanie endeckich wątków ideologii i przywołanie zbitki Żydzi-bankruci polityczni-rewizjoniści było w tej sytuacji niezmiernie wygodne. System i jego ludzie o *dobrym pochodzeniu* uzyskiwali rozgrzeszenie. Źródłem zła okazywał się nie mechanizm i sposób sprawowania władzy, ale pochodzenie rasowe części ludzi tę władzę sprawujących. Sugerując, że demokratyczni *naprawiacze socjalizmu* są w istocie zwolennikami „błędów i wypaczeń”, można było przedstawić odwrót od Października jako jego kontynuację. Ten właśnie legitymizujący aspekt kampanii marcowej uważam za nadrzędny, a czystkę za element uzupełniający, chociaż niewątpliwie atrakcyjny dla arywistycznych, pełnych agresji i ambicji aktywistów.

ŻYDOKOMUNA CZYLI BANKRUCI POLITYCZNI

Znaczny udział osób pochodzenia żydowskiego w komunistycznym aparacie władzy podawany bywa jako okoliczność łagodząca na rzecz kampanii marcowej. Jerzy Eisler tak nie uważa. Do jego wyводу na ten temat warto chyba dorzucić następujące uwagi:

Silną stroną komunizmu walczącego o władzę była jego atrakcyjność dla narodów uciskanych, podatnych na wezwanie *wyklety powstań ludu ziemi*. Sprawy te były nieraz omawiane. O innym aspekcie zagadnienia mówiono mniej: Jeżeli wśród komunistów polskich przed wojną było rzeczywiście wielu ludzi pochodzenia żydowskiego (podobno 22-26%), to jednak, jak podaje Eisler, wśród Żydów komuniści stanowili znikomy odsetek (str. 126). Zmieniła to emigracja pokielecka, wprowadzając element selekcji. Liczni Żydzi byli przeświadczeni, że Polska okaże się ostatecznie albo komunistyczna, albo antysemitka. Dla większości był to wybór między Scyllą i Charybdą. Jedynym wyjściem wydawało im się ostateczne rozstanie z Polską i emigracja. Wybierali mimo wszystko Polskę niejednokrotnie ci właśnie, którzy akceptowali Polskę Ludową jako jedyną, w jakiej zostać by mogli pełnoprawnymi obywatelami. W ten sposób opcja niemałej części pozostałych po wojnie w Kraju obywateli polskich pochodzenia żydowskiego na rzecz Polski Ludowej była

jednym z uzasadnień nastrojów antysemitowskich, ale w większym jeszcze stopniu ich wytworem¹⁰.

KAMPANIA ANTYPOLSKA

Istotnym wątkiem propagandy marcowej była tzw. *kampania antypolska za granicą*. Autor poświęca temu tematowi nieco miejsca, ale chyba jednak nie dosyć.

Władze PRL nie tylko wszczęły najintensywniejszą po wojnie kampanię antysemitowską, w której znowu aktualne stały się słowa poety:

Kiedy w żurnalii robaczywej nic tylko wrzało i migało: Żyd, Żyda, Żydom, Żydów, Żydzie („Kwiaty Polskie”)

Na dodatek władze te twierdziły, że cały naród je popiera i oburzały się na wystąpienia zagraniczne „zarzucające nam antysemityzm”, które w czambuł określały jako antypolskie. Opinia dowiadywała się więc np., że niejaki „A. Rubinstein szkaluje Polskę” (tytuł gazety) co w istocie oznaczało, że muzyk potępił zakaz grania *Dziadów* oraz ataki antysemitowskie. Do zbitki „kampania antypolska” zaliczano: 1. wystąpienia szowinistów żydowskich obciążających ogół Polaków winami ks. Trzeciaka, szmalcowników okupacyjnych czy Moczara (tak jak szowiniści polscy obciążali ogół Żydów winami Bermana czy Różańskiego); 2. wszystkie głosy protestu i oburzenia z powodu antysemityzmu; 3. wszystkie w ogóle głosy krytyki i potępienia wobec władz PRL. Swoiste wymieszanie tych trzech wątków w reakcjach zagranicznych na kampanię marcową wynikało m.in. ze specyficznych trudności w dialogu i porozumieniu polsko-żydowskim. Między znacznymi odłamami Polaków i Żydów istnieją poważne rozbieżności w ocenie antysemityzmu w Polsce zarówno przed, podczas jak i po wojnie. Wśród Polaków dominuje tendencja do pomniejszania i bagatelizowania zjawiska, wśród Żydów do jego podkreślania i uogólniania. Klucza do zrozumienia tych różnic dostarcza wypowiedź Leszka Kołakowskiego:

Elementarnym warunkiem krwawych pogromów żydowskich, rzezi i okrucieństw była zawsze społeczna atmosfera emocjonalna, tolerująca antysemityzm nawet w najbardziej złagodzonej i rozwodnionej postaci... W ten sposób antysemita dobroduszni rodzą antysemitów-zbirów, antysemita łagod-

10. Już po napisaniu powyższego przeczytałem doskonały artykuł Krystyny Kersten „Żydzi, komunizm, władza” (*Polityka*, Nr 27 z 1991) szerzej omawiający temat.

ni pielęgnują antysemitów uzbrojonych w kastety i noże, antysemita bierni i wstrzemięźliwi tworzą organizatorów pogromów... Tolerancja antysemityzmu w najłagodniejszych objawach dzisiejszych jest dlatego tolerancją jutrzejszych pogromów¹¹.

Główną przeszkodą w dialogu polsko-żydowskim jest fakt, że jego polscy uczestnicy nie zdają sobie często sprawy ze związku między antysemitą *dobrodusznym* a antysemitą *zbiorem*; żydowski uczestnicy dialogu dla odmiany często nie widzą różnicy między tymi skrajnymi biegunami antysemityzmu. Ta blokada dialogu bardzo wyraźnie ujawniła się w okresie Marca w obliczu nowego poważnego obciążenia stosunków polsko-żydowskich.

Szczególnie odrażającymi chwytami moczarowców były rozpoczęcie licytacji na trupy przez dobrze przedstawioną przez Eislera sprawę hasła *obozów koncentracyjnych* w Encyklopedii PWN oraz manipulacja bohaterstwem tych Polaków, którzy w czasie wojny ratowali Żydów. Wyraziło się to np. w referacie Moczara ku czci 25-tej rocznicy powstania w getcie warszawskim.

Szlachcic, występując w 1969 r. na Uniwersytecie Łódzkim stwierdził, że kampania antypolska ma swoje dobre strony, przyczyniając się do tego, że Polacy, którzy dotąd byli jak „worek kartofli”, zwierają szeregi wokół władz PRL. Rzeczywiście rozpętując kampanię marcową i znając niezabliźnione rany i problemy w stosunkach polsko-żydowskich, łatwo było przewidzieć, jak różne reakcje wywoła się za granicą. Wydaje się, że propaganda PRL całkiem umiejętnie dyskutowała te reakcje. Wytworzył się rodzaj *perpetuum mobile*, w którym reakcje na kampanię wykorzystywano jako paliwo dla niej. Nowym kryterium lojalności obywatela polskiego pochodzenia żydowskiego stawała się gotowość do publicznej obrony antysemitycznych poczynań władz (por. np. wypowiedzi Logi-Sowińskiego i Strzeleckiego w *Notatce*). Polacy, którzy wobec akcji marcowej zajmowali postawę oskarżycieli, jak np. cytowani przez Autora twórcy wielu rezolucji pisanych przez studentów i pracowników nauki, redaktorzy *Kultury* i *Wolnej Europy*, skutecznie bronili dobrego imienia Polski. Zadawali oni kłam twierdzeniom, jakoby cały naród polski popierał antysemityzm władz. Ci natomiast, którzy przyjmowali postawę adwokatów, pomniejszając znaczenie kampanii lub szukając dla niej uzasadnień, niezależnie od swych życzeń dawali się wykorzystać w tzw. dawaniu odporu, stanowiącym część składową ofensywy moczarowskiej. Było to wygodne dla władz, ale źle służyło sprawie obrony dobrego imienia Polski.

11. Leszek Kołakowski, *Świadomość i życie codzienne*, PIW, Warszawa 1957, str. 161-162.

MARZEC PO MARCU

Kiedy skończył się polityczny Marzec? Sądzę, że za Polski Ludowej nie skończył się wcale — przeszedł tylko ze stanu ostrego w przewlekły. Nowa legitymizacja weszła na stałe do arsenału ideowego PZPR. *Rzeczywistość*, *Grunwald* itp. akcentowały mocno wątki marcowe; gdzie indziej występowały one w postaci bardziej stonowanej i wstydlivej. Frontalna polemika z Marcem była zabroniona. Eisler podaje fakty świadczące o uwrażliwieniu władz na sprawy marcowe jeszcze w 1988 r.

Ciekawe byłoby systematyczne przesledzenie skutków, które Marzec zostawił w różnych dziedzinach życia PRL. Charakterystyczny jest stosunek do tzw. emigracji marcowej. Przebiegała ona wśród bezustannych wielkich i drobnych szykan. Poważną szykaną był obowiązek zrzekania się obywatelstwa polskiego i w związku z tym wydawanie zamiast paszportów tzw. dokumentów podróży stwierdzających, że okaziciel nie jest obywatelem polskim. Emigranci marcowi stawali się w Polsce, by użyć określenia Orwella, *unpersons*. Eisler wspomina o odmawianiu im zgody na odwiedzanie kraju ojczystego. Emigranci ci objęci byli, bodajże do 1986 r., specjalnymi, tajnymi klauzulami, rezerwującymi prawo do decydowania w ich sprawach bezpośrednio MSW. Do 1980 r. odmowy były regułą, później były nierzadkie. Jeszcze w 1986 r. SB skłoniła jeden z uniwersytetów do sromotnego odwołania w ostatniej chwili wystosowanego już oficjalnego zaproszenia emigranta pomarcowego na odczyty. Specjalne problemy dotyczyły Szwecji, z którą PRL miała umowę o ruchu bezdewizowym. Emigrantów pomarcowych a obywateli szwedzkich zawracano z lotnisk, portów i stacji granicznych. Dotknęło to również osoby lecące tym samym samolotem co udający się z wizytą oficjalną do Polski ówczesny premier Fälldin, czy przy innej okazji znany polityk Ahlmarck. Ten ostatni na znak protestu wrócił do Szwecji odwrotnym samolotem. Sprawy te budziły w Szwecji wiele poruszenia, burz prasowych i protestów dyplomatycznych. Nie wywierało to jednak wpływu na władze PRL.

REWIZJONIZM

Jednym z oficjalnych celów kampanii marcowej było zniszczenie rewizjonizmu polskiego. Cel ten został niewątpliwie osiągnięty. Rewizjonizm odwoływał się do podstawowych tradycji, wartości i haseł humanistycznych lewicy, które przeciwstawiano praktyce; w walce toczącej się w 1956 r. rewizjoniści popie-

rali reformatorów w kierownictwie PZPR oraz Gomułkę.

Warto zauważyć, że polskie siły antykomunistyczne w okresie powojennym znajdowały się w pewnym impasie. Nie widać było realnych szans na obalenie ustroju bez wojny, wojna nie wybuchała, a wiele wskazywało na to, że jeśli wybuchnie, spowoduje na świecie, a zwłaszcza w Polsce, niewyobrażalne zniszczenia. W połączeniu z coraz ostrzejszą represywnością systemu sprzyjało to nastrojom beznadziejności i apatii. Na tym tle zarysowała się nagle perspektywa przemian zupełnie nieoczekiwanych: pozytywnych przeobrażeń systemu dokonywanych przez reformatorskich komunistów. Bardzo duża część społeczeństwa łącznie z tak ważnymi ośrodkami opiniotwórczymi jak episkopat, Radio *Wolna Europa* i paryska *Kultura* udzieliła reformatorom poparcia. Wiwaty na cześć Gomułki były szczere i spontaniczne, *Po prostu* stało się ulubioną lekturą wielu tysięcy.

Sytuacja rewizjonistów zmieniła się zasadniczo, gdy Gomułka konsolidując swą władzę zaczął ich tępić. Autorzy książki *Polska próba*¹² piszą:

...wydawało się, że rewolucja osiągnęła swoje cele. Robotnicy i studenci w poczuciu spełnienia wracali do domów. Dalsza rewolucja przestała być potrzebna masom, a demokratyzacja władzy. Na opustoszałym placu boju pozostali odrzuceni przez górę i osieroceni przez masy rewolucjoniści ze swoimi ideami.

W latach sześćdziesiątych rewizjoniści nie dysponowali już sojusznikami w aparacie PZPR.

Miejsce ludzi, którzy, jeśli nawet uczestniczyli w monstrialnościach stalinizmu, byli na swój sposób przywiązani do komunistycznych ideałów i przechowywali wiarę komunistyczną, zajmowali teraz wolni od złudzeń, cyniczni karierowicze doskonale zdający sobie sprawę z fikcyjności frazeologii, którą się posługiwali. Ten aparat przestał być wrażliwy na ideologiczne wstrząsy. (Kołakowski¹³)

Rewizjoniści nie próbowali wypracować skutecznej taktyki działania — nie stanowili zresztą zwartej grupy. Po zamknięciu *Po prostu* i *Przeglądu Kulturalnego* nie mieli dostępu nawet do szerszych kół inteligencji. Tym niemniej PZPR wywindowała rewizjonizm do roli czołowego zagrożenia władzy i ustroju i ze zwalczania go uczyniła jedno ze swych naczelných zadań. W jakim stopniu działały tu urazowo wspomnienia z okresu październikowego, a w jakim obawa, że wzrost niezadowolonia społecz-

12.. Z. Rykowski i W. Władysław, *Polska próba, Październik '56*, Wyd. Literackie, str. 161-162.

13. *Główne nurty marksizmu*, Instytut Literacki 1977.

nego może odrodzić siły rewizjonizmu, trudno powiedzieć. W każdym razie rozwój wydarzeń w Czechosłowacji w latach 1967/68 zdawał się potwierdzać obawy władzy.

Walka z rewizjonizmem była naczelnym motywem propagandy PZPR przez przeszło dwadzieścia lat. Treść tej walki zmieniła się jednak bardzo. Andrzej Werblan pisał w 1958r.:

W kilkanaście lat po rewolucji kontrrewolucja nigdy nie próbuje stawać i nigdy nie staje do walki pod hasłem odwrócenia reform. Takie hasło nie mogłoby znaleźć zwolenników, jest nieprzydatne do demagogicznej propagandy wśród mas...¹⁴

Rewizjoniści uprawiać mieli kamuflaż udając, że występują w imię socjalizmu, podczas gdy w rzeczywistości go zwalczali. Zupełnie inaczej charakteryzuje rewizjonizm Gierka w 1977r.:

Trzecia (obok reakcyjnej i liberalno-burżuazyjnej — przyp. mój GK) wreszcie orientacja, pod względem organizacyjnym szczególnie aktywna i wywierająca wpływ na pewne grupy młodzieży, ma rodowód rewizjonistyczny... Lansują oni tezę o nowej klasie wyzyskiwaczy, postulują II rewolucję socjalistyczną, projektują budowę Polski ruchów społecznych... Wyróżniającą cechą tej orientacji jest skłonność do działań awanturniczych, warcholskich oraz zdecydowanie negatywny stosunek do państwa i ustalonych przez prawo norm życia politycznego. Warto przy tej okazji zwrócić uwagę na to, że ta rewizjonistyczna i anarchistyczna orientacja jest obecnie szczególnie starannie maskowana i ukrywana przez jej zwolenników. Wiedzą oni bowiem, że nie mają w naszym kraju zaplecza społecznego i chcą pozyskać poparcie zwłaszcza hierarchii kościelnej. Dlatego ukrywają swe oblicze ideologiczne nacechowane negacją wszystkich racji patriotycznych, narodowych, państwowych. Oczywiście towarzysze, wspólnym mianownikiem wszystkich trzech scharakteryzowanych tu orientacji jest antykomunizm i jest antyradzieckość. (za pismem *Opinia*)

O ile w 1958 rewizjonistyczny kamuflaż polegać miał na tym, że prawicowi rzekomo rewizjoniści mieli udawać lewicowców, to w 1977 lewicowi rewizjoniści oskarżani są o udawanie prawicowców! Sekretarz PZPR składa właściwie donos do hierarchii, z którą łączą go, jak sądzi, „racje patriotyczne, narodowe, państwowe”. Zasadnicze przejście od jednej do drugiej wersji nastąpiło właśnie w marcu 1968. W związku z tym podkreślić wypada niedostrzegany aspekt marca. Rewizjoniści odnieśli w nim mianowicie zwycięstwo, tyle, że było to zwycięstwo pyrrhusowe. Przez kilkanaście lat rewizjoniści powtarzali władzy: jesteście złymi marksistami, sprzeniewierzacie się najcenniejszym wartościom i celom lewicy. „Uwaga! — kanalia stoi za rogiem, kontrrewolucja obnaża kły” — demaskował stalinowców Leszek Ko-

14. *Szkice i polemiki*, Warszawa 1970.

łakowski. Ważyk w *Poemacie dla dorosłych* „upominał się Partią” o ludzkie wartości socjalizmu. „Odkłamać marksizm” — żądał Henryk Katz. „Towarzysze, czy w naszej krwi nie za mało czerwonych ciałek?” — pytał Witold Dąbrowski.

W 1968 r. władza odpowiedziała niemal jednoznacznie: Więc dobrze, niech i tak będzie; ale głosimy narodowe hasła, bronimy siły państwa, dyscypliny, ładu, spokoju i porządku; reprezentujemy realizm, pragmatyzm i rację stanu, wśród nas nie ma ludzi o niepolskiej krwi. Władza odrzuciła czerwony sztandar, o który rewizjoniści szamotali się z nią przez tyle lat. W jej rękę pozostało tylko parę strzępów i wielki kij. Rewizjoniści ściskając czerwoną materię wywrócili się jak dłudzy.

PYTANIA

Omawiana książka zawiera duży ładunek cennej wiedzy o wydarzeniach marcowych. Czytelnik obecnego wydania nie znajdzie jeszcze zadowolającej odpowiedzi na wiele zasadniczych pytań, np. o miejsce Marca w ewolucji władzy komunistycznej i jej elity, o roli ZSSR w wydarzeniach, o postawy, sojusze i walki wzajemne Gomułki, Moczara, Gierka, o to czy niedobitki grupy puławskiej istotnie usiłowały odegrać jakąś czynną rolę w walkach o władzę w 1967-68r., o stosunek różnych odłamów społeczeństwa polskiego w Kraju i na Zachodzie do rozmaitych wątków Marca. Pytania takie dałyby się mnożyć.

Nie można postawić omawianej książce zarzutu, że nie zawiera tych odpowiedzi; brak na to materiału. Mam jednak nadzieję, że w następnym wydaniu próby odpowiedzi na wiele z nich, chociażby wstępnej i hipotetycznej, będą bardziej rozbudowane.

Gustaw KERSZMAN

NOTA BIOGRAFICZNA

Gustaw Kerszman urodził się w 1932 r. w Warszawie. Mieszkał do 1943 r. w Białymstoku, następnie do końca Powstania w Warszawie, a w latach 1945-1969 w Łodzi. Ukończył mikrobiologię na Uniwersytecie Łódzkim, gdzie pracował jako asystent, później adiunkt, potem docent habilitowany, zajmując się mikrobiologią i genetyką.

W 1969 r. wyemigrował do Danii. Wykłada biologię molekularną na Uniwersytecie w Roskilde. Współautor podręcznika *Zarys genetyki* (PWN 1987). Zainteresowania pozazawodowe: filozofia przyrodznawstwa i historia najnowsza.

HISTORIA POLSKI W BADANIACH JAPŃSKICH W LATACH 80-TYCH

Polską w Japonii zainteresowano się nieco wcześniej niż innymi krajami Europy Wschodniej i począwszy od ery Taisho (1912-26) aż po czasy współczesne na różne sposoby, w tym także przez tłumaczenia publikacji angielskich lub francuskich, próbowano zaprezentować jej historię. Jednak poważne studia historyczne oparte na źródłach polskojęzycznych rozpoczęto w Japonii dopiero w latach sześćdziesiątych. W latach siedemdziesiątych liczba japońskich naukowców badających historię Polski zaczęła stopniowo wzrastać i obecnie można wśród nich spotkać historyków specjalizujących się w różnych okresach jej dziejów od średniowiecza aż po czasy najnowsze. Mimo to poziom prowadzonych w Japonii badań nad historią Polski jest wyraźnie niższy niż w krajach Europy czy w Stanach Zjednoczonych, co nie budzi zdziwienia, gdy weźmie się pod uwagę fakt, że do niedawna na żadnym japońskim uniwersytecie nie było filologii polskiej. Pierwszy i jak dotychczas jedyny wydział polonistyki otwarty został w Akademii Języków Obcych w Tokio (*Tokyo Gaikokugo Daigaku*) dopiero w 1991 r.

W niniejszym artykule przedstawiam w skrócie badania nad najnowszą historią Polski prowadzone w Japonii w latach osiemdziesiątych, omawiam najważniejsze opracowania.

1980 r.

Gdy ruchy robotnicze stawały się w Polsce coraz aktywniejsze, wiele japońskich gazet i stacji telewizyjnych wysłało tam swoich dziennikarzy, którzy przekazywali codziennie bardzo szczegółowo, co się dzieje w Polsce. Na fali zwiększonego zainteresowania Polską pojawiła się książka T. Yamamoto i T. Inouchi *Historia narodu polskiego*¹, która była pierwszą historią Polski, jaka wyszła spod pióra historyków japońskich. Szczególny nacisk położono w niej na przedstawienie dziejów nowożytnych i najnowszych, lecz powojennej historii poświęcono zaledwie kilkanaście stron.

1. Toshiro Yamamoto i Toshio Inouchi, *Porando Minzoku-no Rekishi* (w jęz. jap.), Tokio 1980.

1981 r.

Roilo się już od wielu artykułów na temat „Solidarności” zwłaszcza w gazetach popularnych i czasopismach. Ściśle naukowych prac jednak jeszcze nie było.

W maju ukazała się *Bibliografia wydawnictw japońskich na temat krajów Europy Wschodniej*². Broszura ta obejmuje w zasadzie wszystkie pozycje w języku japońskim na wyżej wspomniany temat, jakie opublikowano do 1 stycznia 1980 r. Daje ona pobieżny przegląd badań nad historią Polski prowadzonych w Japonii do tego momentu. Najzdolniejszymi historykami tego okresu okazali się Hiroshi Bando, Naoki Miyajima i Takayuki Ito.

1982 r.

Opublikowano w tymże roku *Studia nad kulturalnymi kontaktami między Japonią a krajami Europy Środkowo-Wschodniej*³. Na temat stosunków polsko-japońskich piszą tam Ichiro Abe, Krystyna Okazaki i inni, jednak poziom naukowy tych prac budzi wiele zastrzeżeń. Natomiast H. Momose, który korzystał z materiałów przechowywanych w Archiwum Dokumentów Ministerstwa Spraw Zagranicznych (*Gaimusho Gaiko Shiriyokan*) w Tokio, opublikował świetny artykuł pt. „Uwagi o japońskiej dyplomacji w odniesieniu do Europy Wschodniej”⁴. Praca ta rzuca nowe światło na historię stosunków polsko-japońskich. Autor podkreśla, że rząd japoński zwracał zawsze uwagę na Polskę tylko ze strategicznego punktu widzenia.

M. Kohara napisał ciekawy esej zatytułowany „O polskim społeczeństwie w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych”⁵. Jako materiały źródłowe Kohara wykorzystał utwory literatury pięknej, w tym m.in. *Popiół i diament* Jerzego Andrzejewskiego.

2. Tooshi Kenkyukai [Association for East European Studies], *Too Kankei Bunken Mokuroku* (w jęz. jap.), Tokio 1981.

3. Nippon Too Knakei Kenkyukai [Association for the Study of Japan's Cultural Relations with East-Central Europe], *Nippon-to Too Shokoku-no Bunka Koryu-ni Kansuru Kisoteki Kenkyu* (w jęz. jap.), Tokio 1982.

4. Hiroshi Momose, „Senkanki-no Nippon-no Tai Too Gaiko-ni Kansuru Oboegaki” (w jęz. jap.), *Kokosai Kankeigaku Kenkyu* [*The Study of International Relations*] 1982, nr 8.

5. Mosatoshi Kohara, „1950-nendai Shoki Porando Shakai-no Ichi Kosatsu” (w jęz. jap.), *Rekishigaku Kenkyu* [*Journal of Historical Studies*], 1982, wydanie specjalne.

1983 r.

K. Nakai opublikował wnikliwy artykuł pt. „Halicz 1918-1919. Utworzenie Ukraińskiej Republiki Ludowej i wojna polsko-ukraińska⁶”. Nakai jest jednym z niewielu japońskich naukowców, którzy znają ukraiński. W wyżej wymienionej pracy odwołał się do dokumentów i opracowań w tym języku.

1984 r.

Ukazała się praca R. Shiby „Stosunki polsko-japońskie 1904-1941 z punktu widzenia rządu japońskiego⁷”. Choć autorka korzystała prawie wyłącznie z japońskich opracowań i dokumentów, przedstawiła sporo dotychczas nieznanych faktów w kontaktach między obu krajami.

T. Ito opublikował artykuł zatytułowany „Społeczne przemiany i system polityczny w okresie realnego socjalizmu. Analiza systemu partyjnego w Polsce 1980-81⁸”. Wykorzystano w nim artykuły z polskich i zachodnioeuropejskich gazet, w tym m.in. *Kultura* (warszawska), *Nowe Drogi*, *Trybuna Ludu*, *Tygodnik Powszechny*, *Tygodnik Solidarność*, *Życie Warszawy*, *Frankfurter Allgemeine Zeitung*, *Le Monde*. Ito starał się potraktować temat w sposób ściśle naukowy, chociaż materiał źródłowy nie był jeszcze pełny, godny zaufania i trudno było zachować dystans, gdy w grę wchodziły wydarzenia zaledwie sprzed kilku lat. Jednak próbę tę należy ocenić wysoko.

1985 r.

K. Fujii napisał pracę pt. „Rozwój przemysłu włókienniczego w Królestwie Polskim w drugiej połowie XIX w.”. Autor

6. Kazuo Nakai, „Higashi Harichina 1918nej-1919nen. Nishi Ukuraina Jinmin Kyowakoku-no Keisei-to Ukuraina Porando Senso” (w jęz. jap.), *tamże*, 1983, nr 513.

7. Riko Shiba, „Nippon Porando Koryushi (1904-1941). Nippon Seifu-no Tai Porando Ninshiki-o Chushin-ni” (w jęz. jap.), *Kokusai Kankeigaku Kenkyu* [*The Study of International Relations*], 1984, dodatek do nr. 10.

8. Takayuki Ito, „Gendai Shakaishugi-ni Okeru Shakai Hendo-to Seiji Taisei. Porando-ni Okeru Tonai Senkyo (1980-81)-ni Sokushite” (w jęz. jap.), *Suravu Kenkyu* [*Slavic Studies*], 1984, nr 31.

9. Kazuo Fujii, „19-seiki Kohan-ni Okeru Porando Okoku Sen'i Kogyo-no Hatten” (w jęz. jap.), *Kansei Gakuin Daigaku Keizaigaku Ronkyu* [*The Journal of Economics of Kwansai Gakuin University*] 1985, t. 29.

dotychczas zajmował się głównie dziejami włókiennictwa w Łodzi, natomiast w wyżej wymienionej pracy przedstawia historię tego przemysłu na ziemiach polskich.

T. Kawana napisał artykuł zatytułowany „Polska w czasach Rewolucji Październikowej¹⁰”, w którym wyjaśnia, jaki wpływ na polskie partie polityczne wywarły I wojna światowa i Rewolucja Październikowa. W tym samym czasopiśmie, co artykuł Kawany, ukazała się praca K. Kato „Wojna polsko-sowiecka 1919–1920¹¹”.

1986 r.

Tokijska firma wydawnicza Kobunsha wydała przetłumaczoną z języka angielskiego przez K. Kato i T. Mizushimę książkę pod red. Stefana Kieniewicza *History of Poland*¹². Choć tekst oryginalny omawia historię Polski tylko do roku 1939, tłumacze dołączyli do pierwotnego tekstu zestawienie przez siebie szczegółowe tablice chronologiczne do 1986 r.

Artykuł „Program granic Polski podczas II wojny światowej. Rewizja granicy na Odrze i Nysie¹³” napisany przez Y. Hirose, omawia problem granic Polski widziany z polskiego punktu widzenia.

K. Matsukawa opublikował pracę pt. „Gdański konflikt i stosunki polsko-niemieckie 1939¹⁴”. Autor surowo krytykuje politykę Becka.

1987 r.

Ukazała się pod red. S. Kido i T. Ito *Najnowsza historia Europy Środkowo-Wschodniej*¹⁵. O historii Polski napisał tam M.

10. Takashi Kawana, „Roshia Kakumeiki-no Porando” (w jęz. jap.), *Tooshi Kenkyu* [The Journal of East European Studies] 1985, nr 8.

11. Kazuo Kato, „Porando Soveto Senso 1919–1920” (w jęz. jap.), *tamże*.

12. *Porando-shi*, pod red. St. Kieniewicza, przeł. Kato Kazuo i Takao Mizushima, Tokio 1986.

13. Yoshikazu Hirose, „Dainiji Taisenchi-no Porando Kokkyo Mondai. Oderu Naise Sen Saiko” (w jęz. jap.), *Tsukuba Hosei* [Tsukuba Review of Law and Political Science] 1986, nr 9.

14. Katsuhiko Matsukawa, „1939-nen Dantsihi Mondai-to Porando Doitsu Kankei” (w jęz. jap.), *Kyoto Sangyo Daigaku Ronshu: Kokusai Kankei Keiretsu* [Acta Humanistica et Scientifica Universitatis Sangio Kyotiensis: International Relations Series] 1986, t. 16, nr 2.

15. *Too Gendaishi* (w jęz. jap.), pod red. Shigeru Kido i Takayuki Ito, Tokio, 1987.

Kohara („Tradycja romantyzmu polskiego¹⁶”) i T. Ito („Losy ruchu 'Solidarność' w Polsce¹⁷”).

Y. Hirose napisał artykuł „Wschodnia polityka Sikorskiego 1939–1943. Geneza polskich problemów¹⁸”, w którym wyjaśnia, jakie były przyczyny gwałtownej zmiany polityki Sikorskiego wobec Związku Sowieckiego. Hirose w tym samym roku opublikował jeszcze jedną cenną pracę pt. „Angielsko-sowieckie zmagania o Polskę. Konferencja teherańska 1943 r.¹⁹”.

1988 r.

T. Ito opublikował *Najnowszą historię Polski*²⁰. Jest to książka w zasadzie popularnonaukowa, przeznaczona dla przeciętnego czytelnika. Według słów autora, jej zadaniem było *wwydatnić wewnętrzną ciągłość historii Polski od czasów średnio-wiecza* (s. iii). Trzeba powiedzieć, że autorowi to się udało.

Ważniejsze pozycje jakie jeszcze ukazały się w tym roku: „Angielsko-polskie stosunki po Monachium²¹”, „Plan konfederacji polsko-czechosłowackiej i dyplomacja sowiecka w czasie II wojny światowej²²” oraz „Polityczne i wojskowe tło powstania warszawskiego 1944 r. Studia nad polityką Komendy Głównej Armii Krajowej²³”.

16. Masatoshi Kohara, „Porando Roman Shigi-no Dento”, *tamże*.

17. Takayuki Ito, „Porando 'Rentai' Undo-no Kobo”, *tamże*.

18. Yoshikazu Hirose, „Shikorusuki-no Taiso Seisaku. Porando Mondai Josetsu” (w jęz. jap.), *Suravu Kenkyu [Slavic Studies]*, 1987, nr 34.

19. Tenże, „Porando-o Meguru Eiso Koso. 1943-nen Teheran Koso” (w jęz. jap.), *Tsukuba Hosei [Tsukuba Review of Law and Political Science]*, 1987, nr 9.

20. Takayuki Ito, *Porando Gendaishi* (w jęz. jap.), Tokio 1988. Odnośnie do szczegółów tej publikacji, zob. następujące recenzje polskojęzyczne: Janusz Mondry, „Japońska nowożytna historia Polski (1), (2)”. *Tydzień Polski*, 15 VII, 22 VII 1989 r., oraz Katsuyoshi Watanabe, „Takayuki Ito: *Najnowsza Historia Polski* (w jęz. jap.), wyd. Yamakawa, Tokio 1988, s. xvii+402+liiii.”, *Japanese Slavic and East European Studies*, nr 11.

21. Katsuhiko Matsukawa, „Myunhen Igo-no Igirisu Porando Kankei” (w jęz. jap.), *Kyoto Sangyo Daigaku Ronshu: Kokusai Kankei Keiretsu [Acta Humanistica et Scientifica Universitatis Sangio Kyotensis: International Relations Series]* 1988, t. 17, nr 2.

22. Yoshikazu Hirose, „Dainiji Taisenka-no Too-ni Okeru Renpo Koso-to Soren Gaiko” (w jęz. jap.), *Soren Kenkyu [Soviet Studies]* 1988, nr 6.

23. Katsuyoshi Watanabe, „Warushawa Hoki 1944nen-no Seiji-teki Gunjiteki Haikai. Kokunaigun Soshireibu-no Rinen-o Chushin-ni” (w jęz. jap.), *Tooshi Kenkyu [The Journal of East European Studies]*, 1988, nr 11.

1989 r.

Wydano przetłumaczoną z języka angielskiego przez H. Umemoto książkę *The Warsaw Rising 1944* Jana M. Ciechanowskiego²⁴. Szkoda, że tłumacz znacznie obniżył wartość oryginału; w japońskim tekście można znaleźć sporo nieścisłości.

Artykuł K. Watanabe „Petraktacje w sprawie kapitulacji powstania warszawskiego 1944 r.”²⁵ rysuje w sposób kronikarski przebieg powstania do kapitulacji.

*Facing up to the Past*²⁶ pod red. T. Ito jest bardzo interesującą analizą zbrodni katyńskiej, głównie w świetle polskich dokumentów.



W ten sposób dokonaliśmy pobieżnego przeglądu badań nad najnowszą historią Polski, prowadzonych w Japonii w latach osiemdziesiątych. Tak jak wspominałem na początku niniejszego artykułu, poziom naukowy w Japonii w tej dziedzinie jeszcze nie jest wysoki. Przede wszystkim jest za mało historyków, brakuje zwłaszcza młodych. Potrzebni są zdolni naukowcy, którzy nie tylko będą pisać o historii Polski dla Japończyków, ale będą w stanie nawiązać dialog ze światowymi specjalistami od polskich dziejów i być równorzędnymi dla nich partnerami.

Katsuyoshi WATANABE

24. Jan M. Ciechanowski, *Warszawa Hoki 1944*, przeł. Hiroshi Umemoto, Tokio 1989.

25. Katsuyoshi Watanabe, „Petraktacje w sprawie kapitulacji powstania warszawskiego 1944 r.” (w jęz. pol.), *Japanese Slavic and East European Studies*, 1989, nr 10.

26. *Facing up to the Past* (w jęz. ang.), pod red. Takayuki Ito, Sapporo 1989.

UZUPEŁNIENIA DO „CICHOCIEMNYCH”¹ J. TUCHOLSKIEGO

Przeczytałem uwagi polemiczne pp. Bystrzyckiego i Tucholskiego na łamach *WPH*², nr 1/1991 pt. „Glosa do 'Cichociemnych'” i „Przemysławowi Bystrzyckiemu w odpowiedzi”.

Jako osoba interesująca się historią cichociemnych zauważyłem — obok wskazanych przez p. Bystrzyckiego — szereg dalszych nieścisłości, czy przeinaczeń, które jednak w końcu trzeba będzie poprawić. Za podstawę przyjąłem III wydanie „Cichociemnych” (r. 1988). Nie uwzględniłem ostatnich awansów, które nadał Prezydent Niepodległej, Ryszard Kaczorowski (zarządzenie z dnia 10 listopada 1990 r.) To tylko część korekt — wszystkich dokumentów nie czytałem.

Str. 292: *por. lot. Florian E. Adrian* — w 1939 r. nie służył w 5 Pułku Lotniczym, a był w Szkole Podoficerów Lotnictwa dla Małoletnich w Krośnie i pełnił służbę jako dowódca plutonu obsługi na lotnisku pomocniczym w Moderówce. W Wielkiej Brytanii nie był w 301 dywizjonie oraz w 138 dywizjonie specjalnym. Ranny został pod Münster 22 stycznia 1942 r., a nie pod Hamburgiem. *Źródło*: Instytut Polski i Muzeum gen. Sikorskiego, Londyn — Zeszyt Ewidencyjny (bez sygnatury); Kujawa Hubert K., Kilka wyjaśnień na temat „Księgi poległych lotników” (w: *Wojskowy Przegląd Historyczny*, nr 3-4, Warszawa 1990;

Str. 293: *por. lot. Ignacy Bator* — odznaczony 4-rotnie Krzyżem Walecznych i Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami na podstawie rozkazu Dowódcy AK z dn. 3 maja 1944 r. *Źródło*: Arkusz Ewidencyjny (Studium Polski Podziemnej, Londyn);

Str. 301: *Adam Boryczka* — w rzeczywistości miał stopień majora. Wyszedł z polskiego więzienia w listopadzie 1967 r. (dokumenty w posiadaniu rodziny; zob. Andrzej Wernic, *Obrońca Północno-Wschodnich Kresów Rzeczypospolitej*. Kapitan Adam Boryczka „Tonko”, *Ład* nr 6, Warszawa 1989, także rozmowa z majorem z sierpnia 1986 r.);

Str. 307: *rtm. kaw. Andrzej Rudolf Czaykowski* — w rzeczywistości był majorem i awans ten otrzymał za bohaterski

1. Jędrzej Tucholski, *Cichociemni*, Wyd. III, uzupełnione, Instytut Wydawniczy Pax, Warszawa 1988.

2. *Wojskowy Przegląd Historyczny*.

udział w Powstaniu Warszawskim. Podano, że „Garda” przybył do Polski z zadaniami wywiadowczymi. To nie znajduje potwierdzenia nawet w preparowanych aktach sprawy, które osobiście studiowałem w Archiwum Służby Sprawiedliwości. Sąd Najwyższy — Izba Wojskowa w Warszawie, ul. Nowowiejska 26B (nr akt sprawy: Sr 261(53); także oświadczenie ppłk. Wincentego Chrzęszczewskiego z 18.5.1982r. oraz inne dokumenty.

Jako ciekawostkę przytoczę, iż przy śmierci mjr. „Gardy” był obecny por. Stefan Michnik (brat Adama), sędzia Wojskowego Sądu Rejonowego w Warszawie. Odpowiedni dokument pt. „Protokół wykonania kary śmierci” znajdował się w aktach sprawy;

Str. 314: *kpt. dypl. Ludwik J. Fortuna* — „W latach 1944-1947 przebywał w ZSSR”. Ja jestem za: więziony w Rosji Sowieckiej w latach 1944-1948. Znam także właściwą datę wypuszczenia na wolność (Dokumenty w zb. p. Ludwika Fortuny);

Str. 314: *sierż. łącz. Władysław Flont* — awansowany był do stopnia chorążego, a także odznaczony po raz pierwszy Krzyżem Walecznych. Zob. *Dziennik Personalny* nr 3/46 z dn. 10.4.1946r. oraz dokumenty w posiadaniu córki Barbary Mańka;

Str. 316: *kpt. piech. Tadeusz J. Gaworski* — odznaczony również Krzyżem Walecznych na podstawie Zarządzenia Prezydenta RP L.dz.1604/45 z dn. 17.1.1946. *Źródło*: Arkusz Ewidencyjny, Studium Polski Podziemnej, Londyn, materiał nie sygnowany;

Str. 320: *rtm. kaw. Krzysztof Grodzicki* — był majorem. Urodził się w Myślenicach 10 czerwca 1915r., posiadał także drugi pseudonim: „Lipa 2”. *Źródło*: SPP — Arkusz Ewidencyjny, bez sygnatury, L.dz. 1812; USC w Myślenicach oraz list do autora por. (kpt. Stanisława B. Skowrońskiego z Rio Ceballos, prowincja Cordoba, Argentyna — w zb. K.A.T.);

Str. 328: *ppor. piech. rez. Henryk K. Jachciński* — był porucznikiem. *Źródło*: list żony Wandy Jachcińskiej z USA (Illinois) do autora, (w zb. K.A.T.);

Str. 331: *por. piech. rez. Henryk J. Januszkiewicz* — był kapitanem (dok. w zb. H. Januszkiewicza we Wrocławiu);

Str. 335: *rtm. Marian A. Jurecki* — posiadał też Krzyż Walecznych. Do Francji przedostał się przez Litwę (nie Węgry). *Źródła*: SPP dokumenty ewidencyjne z teczki personalnej, bez sygnatur; list mgr. Andrzeja Suchcitzka do p. Mieczysława P. Jureckiego jak również M.P. Jureckiego do autora (w zb. K.A.T.);

Str. 335: *por. sap. rez. Władysław T. Klimowicz* — urodzony w Szeptycach, pow. Rudki, woj. lwowskie. Tutaj wszystkie

dokumenty wymieniają błędne miejsce urodzenia. Żyje liczna rodzina.

Str. 351: *ppor. kaw. rez. Adam A.M. Krasiński* — nie jest pewne kiedy został zamordowany w Rosji Sowieckiej. W każdym razie nie zmarł śmiercią naturalną. Sprawa wymaga dalszych badań. Np. p. mjr Alojzy Sałaciński, współwięzień, twierdzi, iż ppor. cc „Szczur” został zamordowany przez komendanta łagru.

Str. 356: *ppor. piech. rez. Włodzimierz Lech* — urodzony 3 lipca 1920 r. (Źródła: SPP — Arkusz Ewidencyjny i inne dokumenty zteczki personalnej. Patrz również USC w Mławie). Posiadał także drugi pseudonim: „Mławiak”.

Str. 357: *st. sierż. piech. rez. Aleksander Lewandowski* — nie ma potwierdzenia w dokumentach iż zmarł 20 maja 1948 r. w Poznaniu. Poszukiwania m.in. przez prasę nie dały rezultatu.

Str. 363: *pplk. Narcyz Łopianowski* — urodził się w miejscowości-majątku Stoki, gm. małe Soleczniki, pow. Wilno. Miał także Srebrny Krzyż Zasługi. (Źródła: życiorys pplk. N. Sarna Łopianowskiego, informacje syna N. Marka Łopianowskiego z Vancouveru, Kanada, w liście do autora — w zb. K.A.T.).

Str. 364: *mjr. br. panc. Adam P. Mackus* — odznaczony również Krzyżem Walecznych po raz pierwszy (Dz. Pers. nr 3/46 z dn. 10.4.1946). Miał drugi pseudonim „Dżajran”. Źródło: Arkusz Ewidencyjny, Studium Polski Podziemnej, materiał nie sygnowany.

Str. 374: *ppor. br. panc. rez. Zbigniew S. Mrazek* — zmarł nie w Jeleniej Górze, lecz w sanatorium Bukowiec koło Kowar i tam zgłoszony został zgon, ale pod datą 22 stycznia 1981 r. (a nie 26 stycznia). Źródła: USC w Kowarach; list żony, Elżbiety Mrazek do autora; informacje i dokumenty w zb. syna, Piotra Mrazka, jak również pisma: USC w Jeleniej Górze i Wydziału Ewidencji Ludności oraz Wydziału Społeczno-Administracyjnego Urzędu Miejskiego w Jeleniej Górze do autora — dokumenty w zb. K.A.T.

Str. 376: *ppor. łącz. rez. Kazimierz Niepla* — a właściwie por. (awans w LWP). Po powrocie z „niedźwiedzi” nie używał nazwiska Niepliński, a Niepla (poprzednie w Rosji Sowieckiej). Zob. USC w Lewinie Brzeskim oraz dokument Urzędu Miasta i Gminy w Lewinie Brzeskim Ref. Społeczno-Administracyjny i list siostry, Anny Boczar do autora (w zb. K.A.T.).

Str. 377: *por. art. A. Nosek* — nigdy nie był p.o. szefa artylerii 106 DP AK tak jak kpt. Iglewski (str. 324) nie był zastępcą dowódcy tejże dywizji. Sprawę tę wyjaśnił pplk. Bolesław Michał Nieczuja-Ostrowski, ps. „Bolko-Grzmot-Tysiąc” w liście do autora z 6 października 1985 r. (w zb. K.A.T.).

Str. 378: nie ma żadnych przesłanek by twierdzić, że *kpt. M. Nowakowski* nosił po tzw. „wyzwoleniu” nazwisko Sarzyński M.

Str. 379: *kpt. art. Cezary Nowodworski* — istnieją poszlaki, iż został zamordowany w łagrze sowieckim. Informacje siostry Heleny Nowodworskiej w listach do autora z powołaniem się na informatorów (w zb. K.A.T.).

Str. 383: *ppłk Alfred Pączkowski* — urodzony nie w Brukowcach, ale w Prużanie. Dokumenty w zb. żony, Zofii Pączkowskiej oraz USC Warszawa Praga-Południe.

Str. 385: *por. piech. rez. Feliks Perekladowski* — zmarł 12 grudnia 1973 r. w Buenos Aires. Pochowany na cmentarzu Remedios Escalada. Informacje *por. kpt. Stanisława Skowrońskiego* z Rio Ceballos, Argentyna.

Str. 386: *mjr sap. Mieczysław Michał Pękala* — urodzony w Nowym Sączu. Nie ma żadnych dowodów iż po wojnie nazywał się Górski i zmarł w Warszawie.

Str. 392: *ppor. Marian Pokładecki* — jest starszy o jeden rok.

Str. 396: *rtm. kaw. rez. Janusz W. Prądzyński* — zmarł w Płocku, a jedynie pochowany w Milanówku (dokumenty w zb. siostrzenicy, p. Barbary Mames, zam. w Lublinie; zob. USC w Płocku).

Str. 404: *ptk. Roman Rudkowski* — również posiadał Krzyż Niepodległości. Źródło: Centralne Archiwum Wojskowe,teczka osobowa nr 7016; Zeszyt Ewidencyjny, sygn. Lot.A.IV I/40B, Instytut Polski i Muzeum gen. Sikorskiego, Londyn.

Str. 408: *ppor. łącz. rez. Tadeusz J. Seeman* — Wiktor Popławski awansowany do stopnia porucznika z dn. 12.10.1973 r. Rozk. pers. MON, nr 0177 z dn. 31.8.1973; zaświadczenie weryfikacyjne L.dz.3717/66, SPP, Londyn — dokumenty w zb. W. Popławskiego.

Str. 413: — *kpt. lotn. Leopold Skwierczyński*. Na pewno nie zmarł w Warszawie.

Str. 416: *ppor. piech. rez. Stanisław Sołtys* — zamordowany 8 czerwca 1944 r. w Rzeszowie. Źródła: Franciszek Konecki, „W celi śmierci”, *Nowiny*, nr z 18-19 lipca, Rzeszów 1987; informacje matki, Jadwigi Sołtys z 6.3.1990 r. (w zb. K.A.T.); *por. Stanisław Kostka-Dąbrowa*, „Hitlerowskie afisze śmierci”, Kraków 1983.

Str. 418: *por. łącz. rez. Leszek Starzyński* — odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami, a nie Brązowym, 1 września 1944 przez Dowódcę AK, zatw. zarząd. Szefa Gabinetu Szefa Sztabu Głównego L.dz. 1752/GSS/45 z 19.10.1945.

Źródło: zaświadczenie weryfikacyjne z 24 kwietnia 1946 r. Głównej Komisji Weryfikacyjnej AK.

Str. 434: *ppor. piech. Józef Stanisław (nie Szczepan) Wątróbski* — urodzony 12 lutego 1914 r. (Zob. USC w Wadowicach; por. dokumenty w SPP —teczka personalna).

Str. 438: *dot. kpt. Stanisława Wintera* — „zaginął w 1945 r.”. Skąd ta pewność? Brak dowodów iż nazywał się Jan Hryniewicz vel Hryniewiecki i stracony został w Lublinie (wcześniej miał być zamordowany w Poznaniu). Powinny znajdować się akta sprawy.

Str. 442: *rtm. kaw. rez. Józef G. Zabielski* — ur. w majątku Powicie, pow. Godlewo, Litwa Kowieńska. *Źródła*: SPP — Arkusze Ewidencyjne, bez sygnatury, L.dz. 1334/40A; informacje żony, Marii Zabielskiej, zam. w Anglii. Por. Centralne Archiwum Wojskowe:teczki osobowe nr 849+7689+8431.

Str. 446: *por. żand. Leonard S. Zub-Zdanowicz* — zweryfikowany został w stopniu majora PSZ i podpułkownika NSZ. Nie został pozbawiony odznaczeń: Virtuti Militari 5 klasy i Krzyża Walecznych. Także nie zdezerterował do NSZ. Przeszedł tam by bić komunistów i agentów NKWD. *Źródła*: Lesław Jurewicz, „Zbrodnia czy początek wojny domowej”, Londyn 1980; SPP — dokumenty zteczki personalnej, materiał bez sygnatury; „Tajemnice cichociemnych. Pseudonim 'Ząb'”, *Tygodnik Zamojski*, nr 26-27 (Cz. I-II), Zamość 1990; Listy do redakcji, Edward Mastej, Kulisy „sprawy Borowa”, (w:) *Młoda Polska* nr 11, Gdańsk 1991; informacje p. hr. Marii Zub-Zdanowicz, żony pułkownika z Oakville, CT, USA (w zb. K.A.T.).

Str. 448: *ppor. piech. rez. Lech Żabierek* — urodzony w Niedarzynie, par. Gralewo, pow. płoński, 3 listopada 1918 r., właściwe nazwisko — Zabierek. (*Źródła*: dokumenty w posiadaniu p. Lecha Żabierka; zob. USC w Raciążu).

SPP — Studium Polski Podziemnej
USC — Urząd Stanu Cywilnego

Krzysztof Adam TOCHMAN

„PRZEGLĄD KAWALERII I BRONI PANCERNEJ”

Nazwa tego czasopisma ma już sama w sobie wydźwięk romantyczno-nostalgiczny. Wraz z technicznym bowiem rozwojem współczesnej cywilizacji nastąpił zupełny zmierzch konia, a więc i kawalerii. Jeden z wielbicieli koni, ubolewając nad tym, że prawie nigdzie już ich nie widać, pisał kilkanaście lat temu: „Już koni nie ma; chyba gdzieś w rezerwacie, czy w cyrku. Idą czasy, gdy dzieci będą pytać: Mamo, co to jest koń?”. Na emigracji trudno było mieć stajnie i hodować konie, ale co było i ciągle jest jeszcze możliwe, to utrwalenie w publikacjach tradycji polskiej kawalerii i jej roli w kampanii wrześniowej 1939 roku. Temu celowi służy *Przegląd kawalerii i broni pancernej. Kwartalnik historyczny* (odtąd posługuję się skrótem *Przegląd*). Wydawcą tego kwartalnika jest Zrzeszenie Kół Pułkowych Kawalerii w Londynie z redakcją w następującym składzie: Zbigniew Bachurzewski, Ryszard Dembiński, Wiesław Lasocki, Zbigniew Makowiecki, Andrzej Suchcitz. Redaktor techniczny: Władysław Dziewicki. Administracja: Krystyna Dziewicka. Siedziba mieści się w Instytucie Sikorskiego, z którym kwartalnik związany jest również członkami w jego redakcji: H. Dembińskim (prezesem Zarządu Instytutu) i A. Suchcitzem (kierownikiem Archiwum).

W 1991 roku wyszedł 137 numer *Przeglądu* — cyfra imponująca, materiał dla historyka duży. Nie sposób oczywiście omówić tutaj całokształtu tego wydawnictwa i można jedynie, dla ogólnej orientacji, zasygnalizować układ i podejmowane niektóre tematy, na podstawie kilku ostatnich numerów, jakimi dysponuję. Każdy przeważnie numer ma stałe rubryki: *artykuły* — o dość dużej rozpiętości tematów; *przyczynki historyczne* — wartościowe relacje o jednostkach kawalerii i ich dowódcach; *z nowych wydawnictw* — recenzje ważniejszych książek i bibliografia kawalerii w oparciu o publikacje w Kraju i na emigracji, systematycznie sporządzana przez rtm. R. Dembińskiego; *chronika* — informacje z życia kół pułkowych, oraz z *żałobnej karty* — użyteczne dla historyka dane personalne o zmarłych.

1. X. Walerian Meysztowicz, *Gawędy o czasach i ludziach*. Wydanie drugie. Do druku przygotowali: Karolina Lanckorońska i Aleksander Bystram, PFK, Londyn 1983, str. 117.

W 50-tą rocznicę kampanii wrześniowej 1939 roku wyszedł z druku specjalny numer *Przeglądu*, gdzie w przedmowie redakcja pisze: „Kampania 1939 roku była ostatnim rozdziałem bogatej i wielowiekowej historii polskiej Kawalerii konnej, oraz rozpoczęła bojową historię jej następczyni — polskiej Broni Pancernej”. W pierwszym artykule tego numeru rtm. Janusz Wielhorski przypomina rolę, jaką zawsze odgrywało w kawalerii wychowanie żołnierzy i „kultywowanie w nim rycerskich tradycji... Dyscyplina w kawalerii opierała się przede wszystkim na ambicji i honorze”. Tutaj warto przytoczyć powiedzenie gen. Wieniawy-Długoszowskiego, który — gdy Piłsudski chciał z niego zrobić dyplomata, jako rasowy kawalerzysta tymi podobno słowami tłumaczył brak u siebie kwalifikacji do dyplomacji: „Dyplomacie nie wolno zrobić głupstwa, może zrobić świństwo — kawalerzyście nie wolno zrobić świństwa, może zrobić głupstwo”².

Kawaleria polska zachowała do końca ducha rycerskości i poczucie obowiązku wobec własnego kraju, co też potwierdziły jej walki w kampanii wrześniowej 1939, zniekształcone na Zachodzie przez wrogą Polsce propagandę, wysmiewającą polskich ułanów, rzucających się z szablami i lancami na niemieckie czołgi. Jak przypomina jeden z autorów: „Kampania wrześniowa 1939 r. była ostatnią wojną Rzeczypospolitej, w której była się samodzielna kawaleria konna. W tymże wrześniu zamknął się ostatni rozdział polskiej jazdy...”³.

W historiografii kampanii wrześniowej brak jest ciągle, na co zwraca uwagę inny autor⁴, zwięzłej syntezy udziału kawalerii w tej kampanii. Jednostki zmotoryzowanej kawalerii nie były jeszcze w Polsce liczne i do napadu Hitlera na nasz kraj Polska miała tylko 3 pułki kawalerii, z których utworzono 2 brygady pancerno-motorowe⁵. Jedną z nich była Brygada pancerno-motorowa pod dowództwem płk. Stanisława Roweckiego (późniejszego generała „Grot”, komendanta ZWZ-AK), która w dniach 12-20 września stoczyła zaciętą bitwę pod Tomaszowem Lubelskim. Ładną kartę bojową ma również 10 Brygada kawalerii zmotoryzowanej, dowodzona przez gen. Maczka. Walcząc dzielnie

2. Zob. *Przegląd kawalerii i broni pancernej. Kwartalnik historyczny, Zrzeszenie Kół Pułkowych (odtąd Przegląd)*, Tom XVIII, nr 132, Londyn 1989.

3. *Supra* str. 81.

4. Zob. Zbigniew Makowiecki, „Wspomnienia o generale Wieniawa-Długoszowskim” w *Przeglądzie* Tom XIX, Nr 137, Londyn 1991, str. 25.

5. Emil Mentel, *Przegląd* Tom XVII, Nr 130. Londyn 1988, str. 472.

6. Zob. Janusz Wielhorski, *Przegląd*. Tom XVII, Nr 129, Londyn 1988, str. 369 i nast.

7. Zob. Emil Mentel, *Op. cit.*, str. 472 i nast.

z przeważającymi siłami niemieckimi nie dała się okrążyć i groj jej żołnierzy przekroczyło granicę węgierską, przedostając się następnie do Francji⁸. Później Brygada ta była dwukrotnie odtworzana: w 1940 roku na ziemi francuskiej i drugi raz w Wielkiej Brytanii skąd — jako Dywizja pancerna — wylądowała w Normandii w lipcu 1944, biorąc udział w oswoobodzeniu Francji, Belgii i Holandii.

Wydawany w Londynie *Przegląd* nie ogranicza się tylko do tematów o kawalerii i broni pancernej. Na jego łamach zamieszczone są również inne opracowania źródłowe, które wzbogacają wydawnictwo, ale o których mało przeważnie się wie. Dla ogólnej orientacji podam kilka z tych opracowań. W jednym z nich Andrzej Suchcitz cytuje dwa listy płk. R.G. Firebrace'a, brytyjskiego *attaché* wojskowego, który wyjechał z ZSSR po inwazji sowieckiej na Polskę. W liście z 18 września 1939 Firebrace, po oddaniu hołdu wojsku polskiemu zapewniał: „...niech Pan będzie pewny, Panie Pułkowniku, że będziemy walczyć do zwycięskiego końca”, a po ataku Sowieców na Finlandię, w liście z 10 grudnia pisał: „Tutejsi sukinsyny (Sowietci) napadli na Finlandię i trudno mi wyrazić w przyzwoitym języku, co o nich myślę”. Warta również odnotowania jest relacja ppłk. dypl. Michała Protasiewicza o akcji dywersyjnej w Niemczech we wrześniu 1939 roku, oraz wspomnienia o mjr. Aleksandrze Stpiczyńskim, kurierze rządu polskiego i emisariuszu ZWZ-AK¹⁰.

W tym samym numerze *Przeglądu* znajdują się dokumenty z rozmów sztabowych polsko-rumuńskich w czerwcu 1928 roku, dotyczące współpracy obu państw na wypadek agresji sowieckiej. Ten sam temat był przedmiotem rozmowy Marszałka Piłsudskiego z generałem Samsonowici, jaka miała miejsce w maju 1930 roku w Warszawie. Z rozmowy tej, zawierającej warte przypomnienia poglądy Marszałka Piłsudskiego, został sporządzony przez gen. T. Piskora protokół przechowywany w Instytucie Sikorskiego¹².

Ciekawym też przyczynkiem jest artykuł Michała Budnego o generale Włodzimierzu Bonawenturze Krzyżanowskim, jednym z bohaterów historii polsko-amerykańskiej. Postać to niezbyt już dzisiaj znana, tym bardziej przeto warta przypomnienia. Uczestnik wojny domowej w Stanach Zjednoczonych, Krzyżanowski

8. Zob. Zbigniew Bachurzewski, „Broń pancerna we wrześniu 1939 roku” w *Przeglądzie* Tom XVIII, Nr 132, str. 229 i nast.

9. Zob. Andrzej Suchcitz w *Przeglądzie* Tom XVII, Nr 127, Londyn 1987, str. 62-65.

10. Zob. Witold Sawicki, *supra*, str. 301-305.

11. *Supra*, str. 248-256.

12. Zob. *Przegląd* Tom XVII, nr 129, Londyn 1988, str. 328-336.

dochodzi do stopnia generała; po wojnie mniej ma szczęścia i po różnych kolejach losu umiera w zapomnieniu. W październiku 1937 roku odbywa się uroczysta ekshumacja jego prochów na amerykański narodowy cmentarz zasłużonych w Arlingtonie pod Waszyngtonem. Podczas tej uroczystości prezydent Franklin D. Roosevelt wygłasza przemówienie pełne wdzięczności dla Polaków za ich zasługi w walce o wolność, o czym później ten sam prezydent zapomniał w okresie Jałty¹³.

Z najnowszej historii Polski warto jeszcze zasygnalizować chociażby „Materiały do życiorysu marszałka Śmigłego-Rydza”, opracowane przez Andrzeja Suchcitz¹⁴, które uzupełniają artykuł tego samego autora w *Zeszytach Historycznych*¹⁵. Następnie opracowanie Tadeusza Dubickiego o ewakuacji internowanych żołnierzy polskich z Rumunii do Francji w latach 1939-1940¹⁶. Wreszcie opracowanie z okresu podziemnej walki w Polsce podczas okupacji niemieckiej: pchor. Witolda Bełkowskiego „Beja” o partyzantce w Puszczy Kampinoskiej w szwadronie kawalerii rtm. Zygmunta Koca „Dąbrowy”¹⁷, oraz por. Jana Boguckiego na temat kursu podchorążych rezerwy kawalerii AK przy 1 Pułku Szwoleżerów AK¹⁸.

Liczne opracowania w *Przeglądzie* oparte są na archiwalnej dokumentacji, jaka znajduje się w Instytucie Sikorskiego w Londynie, tej bogatej skarbnicy naszej historii. Szkoda, że *Przegląd* nie jest wystarczająco znany szerszemu ogółowi czytelników, zawiera bowiem wiele materiału, który winien zainteresować nie tylko historyków. Dobrze byłoby znaleźć środki na opracowanie i wydanie bibliografii zawartości opublikowanych dotychczas *Przeglądów*. Jest przecież tyle różnych Fundacji! Może któraś z nich podjęłaby się tego zadania i uczciła w ten sposób polską kawalerię, z którą nierozzerwalnie złączone są wielowiekowe dzieje Polski.

Tadeusz WYRWA

13. Zob. Michał Budny, *Przegląd*, *supra*, str. 349-358.

14. Zob. Andrzej Suchcitz, *Przegląd*, *supra*, str. 337-348.

15. Zob. Andrzej Suchcitz, „O dzieciństwie Edwarda Śmigłego-Rydza” w *Zeszytach Historycznych* Nr 81, str. 194-200.

16. Zob. Tadeusz Dubicki, *Przegląd* Tom XIX, Nr 137, Londyn 1991, str. 14-24.

17. Witold Bełkowski „Bej”, *Przegląd*, Tom. XVIII, Nr 134, Londyn 1990, str. 385-396.

18. Zob. Jan Bogucki, *supra*, str. 418-422.

POCZĄTKI INTERNOWANIA 2-ej DYWIZJI W SZWAJCARII

Czytelnicy *Zeszytów Historycznych* byli nie tak dawno informowani o działalności Instytutu Polskiego i Muzeum im. Generała Sikorskiego w Londynie¹, podobnie jak i o cennych zbiorach archiwalnych, znajdujących się w tym Instytucie, najbogatszym na Zachodzie z okresu drugiej wojny światowej². Oprócz działalności archiwalno-muzealnej, Instytut rozpoczął w 1985 roku wydawanie serii zeszytów zatytułowanych *Materiały — dokumenty, źródła, archiwalia*, opracowanych głównie na podstawie dokumentacji, jaką zgromadzono w Instytucie. Cztery pierwsze zeszyty, opublikowane w latach 1985-1988, zostały omówione na łamach *Zeszytów Historycznych*³.

Zeszyt 5 (wydany w 1989 r.), opracowany przez płk. dr. Mieczysława Młotka — i z przedstawieniem sylwetki autora przez Andrzeja Suchcitzę — poświęcony jest „Gwarze lwowskiej w pierwszym półwieczu XX wieku”. W tym samym roku ukazał się zeszyt 6 pt. „Wojna 1939 z wysokości obcasa dowódcy plutonu. Pamiętnik”, w opracowaniu Edwarda Eckerta. Autor, w stopniu podporucznika rezerwy, brał udział w kampanii wrześniowej w rejonie Stryja, podczas której robił notatki i uzupełnił je później dokumentacją z Instytutu Sikorskiego⁴.

W 1991 roku wyszedł z druku zeszyt 7 pt. „2 Dywizja Strzelców Pieszych w Szwajcarii. Początki internowania 1940-1941”, opracowany przez prof. Aleksandra Bluma⁵, ówczesnego kpt. dypl. oficera operacyjnego sztabu tej Dywizji (2 DSP). W czerwcu 1940 były tylko dwie jednostki we Francji przygotowane do działań wojennych: 2 DSP i 1 Dywizja Grenadierów, z których gen. Sikorski miał zamiar utworzyć Korpus polski. Pierwsza z tych dywizji dowodzona była przez gen. bryg. Bronisława Prugar-Ketlinga, a druga przez gen. bryg. Bronisława Duchę. Wypadki następowały jednak zbyt szybko, popełnionych

1. Zob. *Zeszyty Historyczne* Nr 95, str. 230-232.

2. Zob. *Zeszyty Historyczne* Nr 77, str. 166-169.

3. Zob. *Zeszyty Historyczne* Nr 86, str. 194-198.

4. Edward Eckert opracował również Zeszyt 4.

5. Zob. *Materiały, dokumenty, źródła, archiwalia*, Instytut Polski i Muzeum im. Gen. Sikorskiego, zeszyt 7, Londyn, czerwiec 1991.

błędów nie dało się już naprawić, do utworzenia Korpusu nie doszło i dywizje te, podobnie jak inne oddziały, były rozrzucone po różnych odcinkach frontu, bez łączności i bez wspólnego dowództwa polskiego. W dniach 10-13 czerwca 1940 2 DSP została przeniesiona do rejonu Belfort i przydzielona do 45 Korpusu francuskiego. Tydzień później, po kilkudniowych walkach i dzielnym zabezpieczeniu odwrotu wojsku francuskiemu, 2 DSP przekroczyła, z bronią i całym sprzętem, granicę szwajcarską.

W przygotowaniu zeszytu 7 prof. Blum oparł się głównie — jak pisze w przedmowie — na opracowaniu, jakie zostało sporządzone przez niego w latach 1940/1941, kiedy dzielił los internowanych żołnierzy polskich w Szwajcarii. Opracowanie było zrobione w 3 egzemplarzach: jeden egzemplarz był wysłany pocztą dyplomatyczną do Londynu, drugi został w aktach Dywizji, ale żadnego z nich do dzisiaj nie odnaleziono. Autor zachował trzeci egzemplarz u przyjaciół w Szwajcarii i z niego korzystał obecnie w zredagowaniu publikacji, o której mowa.

Opracowanie prof. Bluma jest przejrzyste, oparte na źródłowych materiałach — rozkazach, meldunkach, komunikatach, wyciągach z prasy szwajcarskiej, korespondencji i komentarzach Autora, naocznego świadka tych wydarzeń — i stanowi wartościowy przyczynek do historii Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie w pierwszym, najbardziej tragicznym okresie drugiej wojny światowej.

Dzieje 2 DSP mają specyficzną wymowę z dwu zwłaszcza powodów: bohaterskiej postawy w ciągu kilkudniowej (ale tak wyglądała ówczesna „dziwna wojna”) walki z armią niemiecką, oraz przebicia się w szyku bojowym przez otaczające ją siły nieprzyjacielskie i — osłaniając jako straż tylna oddziały francuskie — wycofania się do neutralnej Szwajcarii, co też zapoczątkowało nowy rozdział w stosunkach polsko-helweckich. To są też dwa główne wątki, wprowadzające do tematu książki, gdzie Autor pisze, że 2 DSP „spełniła dobrze swą żołnierską robotę, tym bardziej, że działała ona w warunkach wyjątkowych, w sytuacji beznadziejnej, bijąc się otoczona, dla honoru oręża polskiego, osamotniona, a co gorzej znajdująca się wśród całej lawiny demoralizowanych i demoralizujących, rozkładających się oddziałów francuskich”. Po wyczerpaniu amunicji gen. Prugar-Ketling zdecydował wycofanie 2 DSP do Szwajcarii. Jego decyzja zbiegła się z rozkazem radiowym gen. Sikorskiego o przekroczeniu granicy, co miało miejsce w dniach 19 i 20 czerwca.

Nieugiętą postawę żołnierza polskiego ocenił należycie gen. Daille, dowódca 45 Korpusu francuskiego, czemu dał wyraz w rozkazie z dnia 20 czerwca, gdzie potwierdził, że 2 DSP dowodzona przez gen. Prugar-Ketlinga, „zachowała do końca w ogniu

wspaniałą postawę”. Podobnie pisała prasa szwajcarska, że bohaterko walczące oddziały armii polskiej, poświęcały się „do ostatniego żołnierza, byle tylko ich francuscy koledzy, wraz ze swoim materiałem, mogli się uratować”. Nasi żołnierze byli też entuzjastycznie witani przez ludność szwajcarską.

Później zaczęły się również kłopoty, których trudno było uniknąć. Szwajcaria nie była przygotowana do przyjęcia kilkuset tysięcy masy wojska i musiała liczyć się, jako państwo neutralne, żeby nie sprowokować interwencji Niemców. Problemy te omawia prof. Blum w 5 rozdziałach swojego opracowania, nie licząc pierwszego, który jest poświęcony przekraczaniu granicy francusko-szwajcarskiej. Rozdział drugi zawiera chwalebne opinie o 2 DSP, ale mowa jest tam też o zmniejszającej się karność wojska, do czego przyczynili się i Szwajcarzy niezbyt fortunnym zarządzeniem oddzielenia od żołnierzy gen. Prugar-Ketlinga i całego sztabu Dywizji, co ułatwiło rozluźnienie dyscypliny.

Rozdział trzeci porusza sprawę rozstrzelania przez Niemców złapanych na granicy szwajcarskiej Polaków, a rozdział czwarty mówi o ucieczkach ze Szwajcarii internowanych żołnierzy. Ta ostatnia sprawa była dość skomplikowana, gdyż trudno było się dziwić, że nie wszyscy chcieli pogodzić się z internowaniem, zamiast brać udział w dalszej walce tam, gdzie walka ta dalej się toczyła. Jednocześnie ucieczki narażały na represje i sprawiały wiele kłopotów władzom szwajcarskim. Dlatego też gen. Prugar-Ketling zabronił opuszczania Szwajcarii i zapowiedział, że ucieczki traktować będzie jako dezercję. Takie samo stanowisko zajął gen. Sikorski w telegraficznym rozkazie. Niemniej skomplikowany był problem legalnego powrotu internowanych do Francji na mocy układu rządu Vichy z Niemcami. Chodziło zwłaszcza o tych żołnierzy polskich, którzy przed wojną mieszkali we Francji i wstąpili następnie do armii polskiej. Rząd nasz w Londynie kategorycznie sprzeciwił się tego rodzaju repatriacji, ale nie zdołano przeszkodzić wydaniu sprzętu wojennego 2 DSP, który Szwajcarzy oddali niestety Niemcom. Problemy te omawia prof. Blum w szóstym rozdziale, który poprzedza rozdział o piśmie *Goniec obozowy*, jakie było wydawane dla internowanych żołnierzy od września 1940 do marca 1941 roku. Na końcu opracowania, od str. 91 do 176, znajdują się liczne załączniki, z dużą ilością błędów, wskutek niedostatecznej korekty w tekstach francuskich, za co też wydawcy przepraszają czytelników w dołączonej notatce.

Opracowanie prof. Bluma, wartościowe samo w sobie, pobudzić też może do napisania dalszych dziejów internowanej w Szwajcarii Dywizji, które zakończyły się w 1945 roku podziałem na tych, którzy pozostali na emigracji i którzy powrócili do

Polski. Gen. Prugar-Ketling wrócił do Kraju, gdzie zmarł w 1948 roku.

Pisząc o wydawanej przez Instytut Sikorskiego użytecznej serii dokumentacyjnych zeszytów, nie można pominąć milczeniem faktu, że zagrożony jest materialny byt tego Instytutu, a więc zapewne i publikacji dalszych numerów tej serii. Nie można zrozumieć, a tym bardziej usprawiedliwić, że mimo istniejących jeszcze różnych funduszy i instytucjonalnych gmachów w rządzie polskim w Londynie, dzisiaj właściwie bezpaństwowych, tak ważna dla kultury polskiej placówka, jaką jest Instytut Sikorskiego, boryka się z trudnościami natury finansowej. Instytutowi grozi, zdaje się, swoistego rodzaju „internowanie” archiwalnej dokumentacji i muzealnych pamiątek, jakie zostawili w spadku żołnierze drugiej wojny światowej, spadku pieczołowicie pielęgowanego przez małe, ale oddane grono miłośników naszych dziejów.

Tadeusz WYRWA

Józef GARLIŃSKI

KSIĄŻKA CIĄGLE AKTUALNA

Wiele lat temu, dla Polskiej Sekcji Radia Wolna Europa raz na tydzień nagrywałem 10-minutową audycję o Armii Krajowej, czasem o Delegaturze Rządu i Polskim Państwie Podziemnym. Korzystałem wtedy ze zbioru Studium Polski Podziemnej w Londynie, szukałem świadków, robiłem wywiady, wykorzystałem wiele prac zebranych w dwóch konkursach ogłoszonych przez Koło AK.

Wiele z tych audycji powstało w oparciu o wspomnienia partyzantów z różnych terenów okupowanego kraju, walczących w różnych warunkach. Mimo tych różnic, wszystkie prawie dźwięczały tą samą nutą: garstka źle uzbrojonych leśnych żołnierzy zadała wielkie straty świetnie wyposażonym przeciwnikom, wychodząc z walki prawie zawsze bez szwanku.

Duży tom wspomnień Józefa Wyrwy daleko odbiega od tego popularnego i nieskomplikowanego wzoru*.

Stało się tak z dwóch powodów. Po pierwsze tom dzieli się na trzy części i tylko pierwsza w pełni uzasadnia tytuł całości, ale nawet i ona obejmuje wydarzenia, które już nie wiązały się z partyzantką. Powrócę do niej, ale muszę teraz podkreślić, że rewelacją tomu jest jego druga część, która nosi podtytuł „Sprawa Tadeusza Wyrwy”, oraz trzecia pod tytułem „Droga żołnierza polskiego”. Obydwie dotyczą pobytu autora i jego syna Tadeusza na terenie Stanów Zjednoczonych, odmowy służenia w armii amerykańskiej i wielu aspektów tej dramatycznej i kontrowersyjnej sprawy.

Józef Wyrwa należał do najwcześniejszych polskich partyzantów, bo znalazł się w oddziale majora Hubala już pod koniec października 1939 roku. Po żołnierskiej śmierci dowódcy i rozwiązaniu oddziału prawie przez dwa lata działał w konspiracji, początkowo w Związku Walki Zbrojnej i w AK, później w Narodowych Siłach Zbrojnych. W ich ramach zorganizował własny oddział partyzancki, od jego pseudonimu noszący kryptonim „Oddział Starogo”. Był w nim jego małoletni syn, Tadeusz („Orlik”). W połowie roku 1944, gdy parla na zachód sowiecka ofensywa a Armia Krajowa realizowała Akcję „Burza”, polegającą na mobilizowaniu dużych jednostek i atakowaniu cofających się Niemców, oddział znalazł się w 25 pułku piechoty Armii Krajowej.

W ciekawych opisach działań, walk, spotkań, zwycięstw i porażek wiele jest kontrowersji, osądów i ocen, które wymagałyby osobnego studium, by mogły być omówione w krótkiej recenzji. Wszystko to działo się na terenie Kielecczyny, gdzie walczyły i konkurowały ze sobą partyzanckie oddziały AK, Narodowych Sił Zbrojnych, Batalionów Chłopskich i komunistów. Subiektywność jest zawsze wrogiem pełnej prawdy, a pamiętniki zawsze są subiektywne. Nie muszą zawierać świadomych fałszów, wystarczy, gdy są w nich przemilczenia. Sam Wyrwa przyznaje się do tego, bo w materiałach, które pozostawił synowi, podaje, że po okresie służby w ZWZ-cie znalazł się w szeregach Narodowych Sił Zbrojnych, ale faktu tego nie podał w swych pamiętnikach. Mowa jest o tym dopiero w drugim wydaniu, które ukazało się w 20 lat po śmierci autora. Motywem przemilczania była chęć uniknięcia kontrowersji, bo NSZ przechodziły w podziemiu różne przeobrażenia, przeważnie nie znane szerszemu ogółowi.

* Józef Wyrwa („Furgalski, „Stary”), *Pamiętnik partyzanta*, wydanie drugie, poprawione i uzupełnione, Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1991, 628 stron, liczne fotografie.

Tamten okres partyzantki, podziemia i walki z niemieckimi okupantami zakończył się rozbrojeniem przez Armię Czerwoną. Zaczął się okres nowy: krótka praca dla Rosjan w roli tłumacza, więzienie UB, uwolnienie przez partyzantów, praca na Ziemiach Odzyskanych i wyjazd na Zachód.

Druga i trzecia część książki to sprawa Tadeusza Wyrwy na ziemi amerykańskiej, sprawa wyjątkowa, historycznie i moralnie nawet ważniejsza od kilkuletniej walki z okupantami.

Był rok 1950, zaczęła się wojna w Korei, Stany Zjednoczone podjęły zbrojną interwencję, autorytet Narodów Zjednoczonych pomógł im w nakłonieniu kilku innych krajów do wysłania swych oddziałów i Tadeusz Wyrwa, mający wówczas 24 lata, otrzymał wezwanie do stawienia się przed komisją poborową.

Wyrwa stawiał się, ale odmówił wypełnienia i podpisania danego mu formularza. Stwierdził, że jest obywatelem polskim, podlega rządowi polskiemu w Londynie, może więc służyć wyłącznie w armii polskiej.

Był to akt wielkiej odwagi cywilnej, który wstrząsnął częścią Stanów Zjednoczonych zamieszkałą przez Polaków i spowodował lawinę prasowych wypowiedzi.

Amerykańska prasa potępiła na ogół młodego Polaka, zarzucając mu tchórzostwo, brak wdzięczności za prawo osiedlenia się w wolnym kraju i niezrozumienie ważności amerykańskiej interwencji w koreańskiej wojnie. Obok wypowiedzi dziennikarzy odezwały się liczne głosy czytelników i prawie wszystkie wyrażały oburzenie.

Odezwała się także prasa polonijna i z jej łam również atakowano Wyrwę i jego postawę. Nie wynikało to z obawy przed furią amerykańskiego społeczeństwa. Stany Zjednoczone są chyba najbardziej atrakcyjnym krajem na świecie, zwłaszcza dla młodych przybyszów, i choć początki są przeważnie trudne, bardzo szybko czują się już oni Amerykanami i ich poczucie lojalności jest spontaniczne a nie taktyczne czy wyrozumowane.

Odezwały się także polskie pisma w Londynie, odezwała się paryska *Kultura*. Głosy nie były jednolite, choć przeważnie podkreślano odwagę Wyrwy. W rozważaniach brano różne argumenty pod uwagę, jedni uważali, że nie wolno znowu szafować polską krwią, drudzy w postawie młodego Polaka doszukiwali się obawy przed walką z Sowieciami.

Dziś, po wielu latach, gdy opadły ówczesne emocje, trudno jest nie rozumieć stanowiska amerykańskiej opinii publicznej. Przeciętny człowiek, a takich jest ponad 90 procent w każdym społeczeństwie, nie zna historii, kocha swój kraj, uważa go za doskonały i musi się oburzyć, gdy nagle dowiaduje się, że ktoś,

komu pozwolono się w nim osiedlić, nie chce go bronić.

Nie osłabia to w niczym ówczesnej postawy Tadeusza Wyrwy. Zdobył się na akt cywilnej odwagi, nie mający prawie precedensu, przypomniał naszą sprawę w tak dramatyczny sposób, że dotarła do milionów, żadna akcja polityczna nie osiągnęłaby takiego rezultatu.

Sprawa znalazła się w sądzie, została umorzona, ale Wyrwowie musieli opuścić Stany Zjednoczone i udali się do Hiszpanii, gdzie udzielono im azylu. Tam w roku 1970 umarł ojciec a syn, który w roku 1961 osiedlił się we Francji, osiągnął kilka tytułów naukowych i wydał szereg książek historycznych, głównie w języku francuskim.

„Pamiętniki Partyzanta”, pięknie wydane, są książką obszerną i niejedolitą. Większą część tekstu napisał ojciec, część syn, ton argumentacji jest jednak podobny, bo wywodzi się z tych samych przesłanek. Minęło 40 lat a jednak nie uległy zmianie.

To ważna pozycja wśród wielu tego rodzaju książek.

Józef GARLIŃSKI

OKRUCHY HISTORII

B. DYTRYCH

LEGIA OFICERSKA NA ŚRODKOWYM WSCHODZIE (Uzupełnienia)

W numerze 97 *Zeszytów Historycznych* ukazał się doskonały artykuł p. W. Ptasznika „Legia Oficerska”. W zasadzie podpisuję się pod wszystkim, co Autor o Legii napisał, z wyjątkiem części dotyczącej 1 kompanii w Sidi Barani. Po pierwsze kompania znalazła się w Sidi Barani już 18 marca 1940 r., a nie, jak Autor podaje, na początku kwietnia. Na stronie 225 czytamy: „jedynie energia i przedsiębiorczość pułkownika¹ uratowały 1-szą kompanię... Wśród burzy piaskowej kolumna transportowa zaczęła wyjeżdżać wczesnym ranem, a już wieczorem przybył pierwszy samochód prowadzony przez ppor. Tadeusza Lemiszewskiego... na szczęście wszystko odbyło się bez poważniejszego wypadku i późną nocą 1-sza kompania była już w całości w Mersa Matruh, skąd koleją odjechała do Aleksandrii...”

Rzeczywistość wyglądała zupełnie inaczej. Kol. Ptasznik patrzy na wydarzenia, które miały miejsce na pustyni w końcu Wielkiego Tygodnia w 1941 r., oczyma legionisty z 2 kompanii, a ja byłem w tym czasie w tej właśnie 1-szej ratowanej kompanii w Sidi Barani. Żeby nie polegać na pamięci, która po 50-ciu latach może zawodzić, otworzyłem w Instytucie i Muzeum gen. Sikorskiego pamiątnik 1-szej kompanii, który pisany był z dnia

1. Pptk dypl. Kolbuszewski Leon, dowódca 2-giej kompanii L.O.

na dzień lub najwyżej z opóźnieniem kilku dni, jeśli warunki nie pozwalały na bezpośrednie zapisy (jak to prawdopodobnie było w omawianej sytuacji, gdy burza piaskowa była u szczytu nasilenia).

Oddaję głos kronikarzowi, który pod datą 12 kwietnia (Wielka Sobota) zapisał: „rano zerwała się burza piaskowa, wobec której niknęło wszystko to, cośmy o burzach i zamieciach na Saharze wiedzieli z powieści, filmu i własnych przeżyć. Już na 3-4 kroki widziało się tylko cienie — tak gęsta była mgławica piaszczysta, a tak chyba, że gryzła i zasypywała wszystko... Gorący piasek prażył nas tak, że trudno było oddychać. Na domiar złego męczyło nas pragnienie, a śniadania nie było, bo wóz z wodą nie nadjechał², zresztą i o rozpaleniu ogniska nie mogło być mowy. Trudno uwierzyć, a jednak prawdą pozostanie, że ta niesłabnąca i trwająca przez całą sobotę burza piaskowa zrobiła na nas ogromne wrażenie: przybiła nas i przynębiła”.

W Sidi Barani 1-sza kompania Legii pilnowała ogromnych magazynów żywnościowych. W niedalekiej odległości znajdował się magazyn materiałów pędnych, którego nikt nie pilnował. Prawdopodobnie władze angielskie uważały, że Arabowie, jeżdżący na wielbłądach, nie skuszą się na benzynę. W tym okresie mieli rację. W odległości mniej więcej jednego kilometra od obozu naszej kompanii biegła jedyna asfaltowa droga nadmorska, po której mogły się posuwać transporty wojska i zaopatrzenia z Egiptu na zachód w kierunku Tobruku i Bengazi. Na tej drodze wystawiony był nasz punkt obserwacyjny. Wiadomości z naszego posterunku były przynębiające, bo donosiły o szybkim wycofywaniu się wojsk brytyjskich w kierunku na Mersa Matruh i Aleksandrię. Jakiś kapitan australijski wyraził zdziwienie, że widzi kogoś na warcie i nawet chciał zabrać znajdujących się tam oficerów. Do naszych kolegów na warcie przy magazynach przyszedł w południe podoficer angielski, mówiąc: *Your duty is finished. You must go to your camp*. Oddaję głos kronikarzowi, który pisze: „Wkrótce potem poszły z dymem składy żywnościowe, a po drugiej stronie szosy bliżej morza strzelały ku niebu płomienie palących się materiałów pędnych”.

Z posterunku przy szosie przyszła wiadomość, że jakiś Australijczyk mówiący po polsku powiedział: „co wy tu jeszcze robicie? Wojska angielskie poszły w pustynię. Za nami posuwa się kompania saperów, która wysadza drogę oraz silny oddział angielski, który wszystkich zabiera. Was też pewnie po południu zabierze”.

2. Woda dowożona była do 1-szej kompanii L.O. beczkowozami z Mersa Matruh.

Takie i podobne wiadomości napływały do kompanii w ciągu przedpołudnia, pogłębiając stan niepewności i przygnębienia. Jednocześnie były i lepsze wiadomości, że pewne angielskie oddziały przeciwpancerne i przeciwlotnicze zatrzymały się przy resztkach budynków w Sidi Barani. Dowódca kompanii, major Jasiński, po naradzie z dowódcami plutonów powziął decyzję połączenia się z tymi oddziałami, aby, jak kronikarz pisze: „Ofiarować im pomoc w ubezpieczeniu i rozpoznaniu”. Część rzeczy skarbowych i bagażu załadowano na samochody, jakie pozostały w dyspozycji kompanii³ i o godzinie 17.00 rozpoczął się marsz do Sidi Barani dla połączenia się z rzekomymi oddziałami angielskimi. Marsz ten doskonale pamiętam. Szliśmy w małych grupkach w dużym zagęszczeniu, aby nie stracić między sobą łączności. Odległość od celu naszej podróży wynosiła około 1,5 km. Zdawaliśmy sobie sprawę, że jeszcze w nocy, a najpóźniej następnego dnia, dojdzie do starcia z czołgami nieprzyjaciela. Jednocześnie zdawaliśmy sobie sprawę, że byliśmy właściwie bezbronni. Kronikarz zapisał, że w Sidi Barani byliśmy o godz. 18.00, czyli na przejście tego krótkiego odcinka straciliśmy równą godzinę czasu. Drogą pustynną, która przechodziła przez Sidi Barani, nikt się nie cofał, ale i nikt nie posuwał się w kierunku nieprzyjaciela.

Wiadomość, że na noc zostajemy w Sidi Barani, przyjęta została z ulgą. Nie mogło być zresztą innej decyzji. Dalszy marsz przy szalejącej burzy piaskowej byłby samobójstwem. W Sidi Barani nie widziałem zapowiadanych angielskich oddziałów przeciwpancernych, ale kronikarz zapisał, że było kilka tankietek, które patrolowały przedpole. Osobiście też ich nie widziałem. Jeśli rzeczywiście były, to prawdopodobnie były to carriersy. Każdy z nich był uzbrojony w lekki karabin maszynowy marki Lewis i nie przedstawiał groźby nawet dla najmniejszego czołgu niemieckiego.

Teraz następuje pierwsza wiadomość o samochodach wysłanych przez 2-gą kompanię z Mersa Matruh. Kronikarz pisze: „Okolo godziny 10-tej w nocy nadjechały wozy z 2-giej kompanii, które odesłano do obozu po resztę bagażu i sprzętu. Nie podana jest ilość wozów, ale prawdopodobnie było ich zaledwie kilka. Kompania otrzymała rozkaz rozlokowania się na noc po wcześniejszym ubezpieczeniu się kilku czujkami. Pamiętam, że na placu przy rozbitych barakach leżało kilka cementowych kręgów, jakie w Polsce wpuszczano do ziemi, przy kopaniu studni na

3. 1-sza kompania L.O. w Sidi Barani posiadała dwa lub trzy samochody. W czasie Wielkiego Tygodnia kierownik kasyna ofic. pojechał do Aleksandrii, żeby przywieźć lepszy prowiant na Święta, czyli w obozie w tym czasie był jeden lub dwa samochody.

wodę. Prawdopodobnie i tu służyły do tych samych celów. Po zarządzeniu przygotowania sobie na noc jakiegoś legowiska, razem z moim przyjacielem Pytlikiem weszliśmy do takich dwóch czy trzech kręgów ściśle z sobą złączonych uważając, że będzie to najbezpieczniejsze miejsce tak przed burzą piaskową, jak i czołgami⁴.

Następnego dnia była Wielkanoc. Ranek był czerstwy i pogodny. Burza piaskowa przeszła w nocy i pozostały po niej jedynie okłady pyłu pokrywające nasze cementowe kręgi i wszystkie inne nieruchome przedmioty leżące na placu. Nie tylko zmieniła się pogoda, ale również i sytuacja wojenna. Na płaskiej części pustyni, tuż obok rozbitych baraków w Sidi Barani, zobaczyłem lądujące myśliwce angielskie. Zdaliśmy sobie sprawę, że niebezpieczeństwo już minęło. Wkrótce obok nas znalazł się duży samochód ciężarowy, z którego wyszło kilku żołnierzy angielskich. Jednym z nich był ksiądz katolicki, który na przenośnym ołtarzu polowym odprawił dla nas Mszę św. O tej Mszy kronikarz kompanijny napisał: „Jeśli Bóg da nam przeżyć i powrócić do Polski, to tę Niedzielę Wielkanocną będziemy zapewne wspominać z przykrym smutkiem”. Po Mszy mjr Jasiński odprowadził kompanię z powrotem do obozu. Każdy rozłożył się na starym miejscu, wyczyścił namiot po burzy piaskowej i życie wróciło do starego porządku. Kronikarz zanotował, że „nadjechały też, choć nie bez przeszkód, wozy posłane do Mersa Matruh, które zaraz objęły nasi szoferzy⁵”.

14 kwietnia (poniedziałek wielkanocny) wieczorem dowódca kompanii został wezwany do komendanta placu w Sidi Barani (musiał powrócić w czasie niedzieli wielkanocnej), gdzie przekazano mu rozkaz z Dtwy Legii z Aleksandrii, aby 1-sza kompania we wtorek 15 kwietnia powróciła z Sidi Barani do Mersa Matruh, a następnie do obozu w Agami pod Aleksandrią. Zgodnie z otrzymanym rozkazem wozy wysłane z 2-giej kompanii w czasie burzy piaskowej w wielką sobotę przewiozły teraz 1-szą kompanię na stację kolejową w Mersa Matruh skąd transportem kolejowym przesunięta została do Agami.

4. W trakcie pisania tego artykułu otrzymałem telefon od p. Pytlik, że w jednym ze szpitali w Birmingham zmarł wspomniany przyjaciel, ppor. Adolf Pytlik. Kol. Pytlik był Polakiem z Zaolzia. W czasie kampanii wrześniowej, w mundurze ppor. czeskiego, dołączył do mojego oddziału, a następnie przeszedł granicę węgierską. Z kolei uciekł na Środkowy Wschód i służył w 1 kompanii L.O., a później został d-cą plutonu w 316 kompanii transportowej.

5. Wozy, które nadjechały do Sidi Barani w Niedzielę Wielkanocną, były częścią wysłanych w W. Sobotę. Burza piaskowa zatrzymała je po drodze i przyszły następnego dnia.

Do Agami przyjechał gen. Kopański i podziękował kompanii za „wyztrzymałość w tej pierwszej próbie nerwów”, stawiając nas za wzór całej Brygadzie. Tyle o zagrożeniu 1-szej kompanii Legii w Sidi Barani.

Na tle przedstawionych wydarzeń wydaje się zupełnie jasnym, że kompanię uratowała burza piaskowa, która zatrzymała Niemców w szybkim posuwaniu się naprzód.

Drugim zagrożeniem, bez porównania większym, był transport morski Legii do Tobruku. Kol. Ptasznik dość szczegółowo pisze o tym. Dla uwypuklenia zagrożenia w czasie tego transportu dołączam fragment meldunku ppłk. dypl. Emisarskiego wysłanego do dowódcy polskiego na Środkowym Wschodzie, gen. dyw. J. Zająca.

Dowództwo Legii Oficerskiej
M.P. dnia 28. X. 1941 r.
L.dz.1047/4/41

Dowódca W.P. na S.W.

Melduję Panu Generalowi, że w dniu 25. X. 1941 r. o godz. 05.15 odpłynęła L.O. pod moim dowództwem w składzie 325 oficerów i szeregowych transportem „A” na Okręcie J.K.M. „HERO” oraz 21 oficerów i szeregowych pod d-twem mjr. dypl. KUTATEŁADZE na Okręcie J.K.M. „ENCOUNTER”. Ogółem konwój składał się z 4 okrętów wojennych.

Po zaokrętowaniu okazało się, że w transporcie znajdują się ppor. NOWAKOWSKI Zygmunt i saper MARZYC, którzy jako rekonwalescenci dołączyli bez mojej wiedzy do transportu L.O. Niezależnie od powyższych w transporcie na O.J.K.M. „HERO” znajdowali się za moim zezwoleniem kpt. dypl. KALIŃSKI oraz rtm. ZAKRZEWSKI St., jako też pięciu szeregowych z Czołówki teatralnej S.B.S.K., którzy znajdowali się na O.J.K.M. „ENCOUNTER”.

Podróż początkowo odbywała się w warunkach pomyślnych. Pomieszczenie wszystkich na pokładzie. Wyżywienie oficerów na stanowiskach oficerskich w messie ofic., pozostali zaopatrzeni w suchy prowiant na 2 dni, otrzymywali z kuchni okrętowej gorącą herbatę i konserwy rybne oraz chleb.

Około godz. 14.20 ukazał się nieprzyjacielski samolot, który rzucił między okrętem naszym i sąsiednim 6 bomb. Bomby te nie wyrządziły szkody i samolot znikł po ostrzelaniu go przez działa okrętowe. O godz. 15.10 zjawili się lotnicy angielscy, którzy przez pewien czas eskortowali nasze okręty.

O godz. 19.20 wszystkie 4 okręty zostały zaatakowane równoczesnym ogniem nadbrzeżnych baterii npla, jak też bardzo silnym nalotem n-przyjacielskiego lotnictwa bombardującego. Według dziennika okrętowego byliśmy atakowani przez 14 samolotów, z których każdy wykonał 8 do 9 nalotów. Siła nalotu została podana przez kapitana O.J.K.M. „HERO” jako równoczesny nalot 100 samolotów. Bombardowanie trwało z bardzo krótkimi przerwami od godz. 19.20 do północy. Przy bardzo jasnym blasku księżyca, oświetleniu rakietami pola walki i błyskach wybuchów pocisków własnej artylerii, zobaczyliśmy o godz. 20.20 pierwsze skutki bombardowania, a mianowicie płonący okręt. Później dowiedzieliśmy się, że jest to O.J.K.M. „LATONA”...

Z meldunku płka Emisarskiego jasno wynika, że bombardowanie trwało bez przerwy prawie 5 godzin. W rezultacie trafiony został i zatopiony tylko jeden okręt, na którym — na szczęście — nie było Polaków. Zaciekłość i długotrwałość bombardowania zdaje się świadczyć, że nieprzyjaciel doskonale wiedział jakie wojsko tym transportem było przewożone. Mogła to być niedyskrecja któregoś legionisty żegnającego się z przyjaciółką w Aleksandrii lub meldunek jakiegoś szpiega, od których roilo się w tak newralgicznym punkcie, jakim była Aleksandria.

Powstaje tu pytanie dlaczego Niemcy przestali nalotu, gdy „HERO” został częściowo uszkodzony i stracił zdolność manewrowania, przez co stał się łatwym celem do trafienia. Czytelnik prawdopodobnie znajdzie własną odpowiedź: cud?, podwójny łut szczęścia żołnierskiego? A może tylko zbieg okoliczności? Na wojnie dzieje się tyle dziwnych rzeczy...

dr B. DYTRYCH

STATUT „NIE”*

1. Organizacja Niepodległość pod kryptonimem „NIE” ma za zadanie wszystkimi dostępnymi środkami i metodami utrzymać Ducha Narodu i wywalczyć Niepodległość, Wolną Polskę.

2. „NIE” jest powołana do życia przez Dowódcę A.K. na podstawie instrukcji Naczelných Władz Rzeczypospolitej.

* Z archiwum Józefa Rybickiego.

3. „NIE” jest organizacją społeczną o charakterze wojskowym. Społeczność organizacji wyraża się w tym, że opierać się ona będzie na zasadzie powszechności, zasadzie równego startu dla każdego Polaka i równych prawach członków. Charakter wojskowy wyraża się całkowitą dyspozycyjnością, bezwzględnym rygorem i hierarchią.

4. „NIE” obejmuje swym zasięgiem teren Rzeczypospolitej, a może sięgać poza Jej granice z sierpnia 1939 r.

5. Organizacja jest trzyogniskowa:

a. ognisko pierwszego stopnia naczelne — kieruje całością,

b. ognisko drugiego stopnia obszarowe — obejmuje swym zasięgiem teren kilku dawnych województw lub ich części.

c. ognisko trzeciego stopnia rejonowe — obejmuje kilka dawnych powiatów lub ich części.

6. Podstawą podziału na ogniska jest życiowa zdolność promieniowania na określony teren. Granice ustala ognisko wyższego stopnia.

7. Ogniwa organizacyjne zasadniczo czwórkowe (1 plus 3).

8. Kierownictwo ogniska naczelnego w składzie 1 plus 2 powołuje i odwołuje Dowódca A.K.

9. Na czele ognisk stoją Komendanci „NIE”.

10. Członkiem „NIE” może zostać każdy Polak/ka mający/a powyżej 17 lat bez względu na jego (jej) przekonania polityczne, nie zależący/a od jakiegokolwiek innego ośrodka dyspozycyjnego, stojący/a na gruncie Niepodległości Polski.

11. Przysięga:

a. Bogu i Polsce przysięgam walkę z wrogami na zwycięstwo i śmierć. Będę karny i posłuszny przełożonym, będę ofiarny i koleżeński, tajemnic dochowam.

b. Przyjmuję Cię w szeregi „NIE” — za niedotrzymanie przysięgi — śmierć.

12. „NIE” rozwiązują Władze, które ją powołały do życia.



Załącznikiem do STATUTU „NIE” jest INSTRUKCJA składająca się z Części I-VIII: I. Bezpieczeństwo, II. Członkostwo, III. Organizacja, IV. Rozbudowa i działalność, V. Podział terytorialny, VI. Budżet, VII. Wymiar sprawiedliwości, VIII. Przepisy końcowe — zawierające tylko jeden punkt 53-ci: „Instrukcji tej nie wolno przepisywać, ani też robić z niej wyciągów”.

Częstochowa, listopad-grudzień 1944.

INSTRUKCJA „NIE”

Część I. Bezpieczeństwo.

1. Cel organizacji zostanie osiągnięty tylko wtedy, gdy będzie zachowane bezpieczeństwo ludzi i pracy.

2. Pierwszą czynnością po zaprzysiężeniu członka — jest dokładne pouczenie go o bezwzględny przestrzeganiu niżej wymienionych, podstawowych zasad bezpieczeństwa.

3. Zakaz kategoryczny dopytywania się i jakiegokolwiek dociekania tajemnic organizacyjnych leżących poza zakresem powierzonej funkcji oraz identyfikowania członków organizacji.

4. Nie wolno rozmawiać na tematy organizacji z osobami niewtajemniczonymi bez poprzedniego upoważnienia przełożonego. Dotyczy to również członków rodziny, o ile nie są zaprzysiężeni i jednocześnie nie pracują w tej samej komórce.

5. Dotychczasowe zasady konspiracji i skrytki znane są wrogom do najdrobniejszych szczegółów. Nie brać z nich wzorów, szukać innych.

6. Naturalne przystosowanie swojej sylwetki i trybu życia do danych warunków — jest obowiązkiem zasadniczym. Wygląd, zachowanie i praca muszą odpowiadać posiadanym papierom i przyjętej masce.

7. Nadużywanie alkoholu nie może być z żadnym razie tolerowane.

8. Rozkazodawstwo i raporty na wszystkich szczeblach tylko ustnie.

9. Żadnych ewidencji, spisów i pokwitowań. Bezwzględny zakaz notowania adresów i nazwisk. Telefon nie istnieje dla spraw organizacji.

10. Konieczne, czasowo niezbędne, pomocnicze notatki — wyłącznie szyfrem.

11. Bezwzględny obowiązek wykonywania wszystkich elementów zleconej pracy osobiście przez danego pracownika, bez prawa wysługiwania się osobą drugą, o ile ta wyraźnie do danej pomocniczej pracy nie jest wyznaczona.

12. Rygorystyczne przestrzeganie zasady znania kierownika tylko przez bezpośredniego podwładnego.

13. Tępić tendencje łączenia pseudonimu danego pracownika z jego funkcją.

14. Łączność tylko pionowa. Wykluczyć łączność na boki. W wypadku stwierdzenia takiego faktu, uznać obie komórki za zdekonspirowane, rozwiązać, członków przenieść do rezerwy.

15. Przyjąć z góry, że nieprzyjaciel do służby wywiadowczej wykorzystuje w pierwszym rzędzie dozorców domowych, służbę domową, dorożkarzy, kelnerów itp.

16. Nie wolno rozpocząć rozmowy kontaktowej bez uprzedniego ustalenia alibi rozmowy i lokalu. Alibi znajomości musi być b. proste.

17. Z członkiem organizacji, który choć czasowo był w rękach organów bezpieczeństwa okupanta — należy natychmiast zerwać kontakt. Przechodzi on automatycznie do rezerwy.

18. Niezachowanie zasad bezpieczeństwa, jak też pijaństwo i gadulstwo, jest dostatecznym powodem do usunięcia członka z organizacji. Zatajenie takich wypadków przez mylnie przyjęte koleżeństwo, pociąga te same skutki.

Część II. Członkostwo.

19. Członkowie organizacji dzielą się na czynnych i rezerwy.

20. Członkiem czynnym organizacji może zostać ten, kto:
a) Posiada warunki przewidziane statutem „NIE”. b) Posiada jednego członka wprowadzającego czynnego. Wprowadzający ponosi osobistą odpowiedzialność za wprowadzonego. c) Posiada zgodę na przyjęcie wydaną przez przełożonego danej czwórki. d) Złoży przepisaną statutem przysięgę. Przysięgę przyjmuje wprowadzający.

21. Członek czynny zostaje przeniesiony do rezerwy w wypadku: a) Spalenia. b) Gdy wymaga tego dobro służby. c) Niezdolności fizycznej lub psychicznej.

22. Członek czynny przeniesiony do rezerwy musi być traktowany jak niewtajemniczony, jednak przysięga obowiązuje go w dalszym ciągu. O jego ew. powrocie do stanu czynnego decyduje każdorazowo przełożony — na wniosek bezpośredniego przełożonego członka przeniesionego do rezerwy.

Część III. Organizacja.

23. Zgodnie ze statutem „NIE” jest organizacją 3-y ogni-skową, o systemie 4-owym.

24. W zasadzie organizacja wszystkich ognisk winna odpowiadać nast. szkieletowi:

Komendant Ogniska

Szef Sztabu oraz Zastępca

Oddz. I-szy — Szef, 1. Referat Organizacyjny, 2. Referat

Łączności, 3. Referat Zaopatrzenia

Oddz. II-gi — Szef, 1. Referat wywiadu, 2. Referat bezpieczeństwa, 3. Referat planowania bojowego i egzekutywa

Oddz. III-ci — Szef, 1. Referat społ.-polit. 2. Referat propagandy, 3. Referat S.S.N.

(oddz. bojowe)

25. O ew. odstępstwach od powyższych zasad organizacyjnych (pkt. 23 i 24) decyduje ognisko wyższego stopnia.

26. Ogniska 3-go stopnia nie potrzebują rozbudowanych sztabów (kierownictw), dlatego też ograniczą je do niezbędnego minimum.

27. O rozbudowie referatów (wg systemu 4-kowego) decyduje Komendant danego ogniska.

28. Kryptonimy, pseudonimy, czy też numeracja poszczególnych oddz., ref. i członków nie może być kolejną i nie może odzwierciedlać ich znaczenia i praw.

Część IV. Rozbudowa i działalność.

29. Rozbudowa „NIE” odbywa się w 2-ch okresach.

30. W pierwszym okresie powstają związki wszystkich ognisk.

31. Związki ognisk 3-go stopnia upatrzą mężów zaufania w podległych im ośrodkach terenowych (miejskich i wiejskich), jako element pomocniczy do rozbudowy w 2-gim okresie oddziałów bojowych t.j. egzekutywy.

32. Zadaniem związków ognisk (w 1-szym okresie) jest:

a. przez wybranych, wtajemniczonych ludzi podjąć (wydzielić) i zamelinować (przemelinować): środki finansowe, broń, mat. wybuch., itp., środki techniczne łączności i propagandy (aparaty radionadawcze i odbiornicze, maszyny drukarskie, materiały piśmienne itp.).

b. przygotować i sprawdzić sieć łączności miejscowej, kurierskiej i technicznej.

c. upatrzeć odpowiednich ludzi na rozbudowę ognisk w 2-gim okresie — w pierwszym rzędzie bezpieczeństwa i egzekutywy.

d. przygotować odpowiednie skrytki. Skrytki muszą być indywidualne, dobrze przemyślane, precyzyjnie wykonane. Nie wolno produkować skrytek masowo. Nie może być dwóch identycznych skrytek.

e. rozpatrzeć szczegółowe możliwości legalizacji członków i przygotować odpowiednie materiały, kontakty itp.

f. przestudiować materiały dotyczące organizacji wroga i metod jego działania, celem dania członkom w 2-im okresie odpowiednich wytycznych postępowania, zachowania się.

g. rozpatrzyć szczegółowo możliwości redagowania, drukowania (powielania) i kolportażu bibuły.

33. redagowanie, drukowanie i kolportaż bibuły ma być zorganizowany wg systemu 4-owego — jednak odrębnie od ognisk, na następujących zasadach:

a. komórka redakcyjno-drukarsko-kolportażowa (w skrócie „rdk”) podlega Oddziałowi III danego ogniska.

b. między oddz. III ogniska a komórką „rdk” może być tylko jeden, jednostkowy styk.

c. sieć kolportażu musi być zorganizowana odrębnie, osobno od łączności.

d. siecią łączności kolportaż nie może iść.

e. bibuła jest przeznaczona dla szerokich mas, a nie powinna dusić się w ramach organizacji.

f. bibuła winna być w miarę możności rzeczywiście „bibułą”, wydawaną w formie 1-no, 2-wustronicowych komunikatów i ulotek.

g. ideałem jest liczna, częsta i szybko docierająca w dół bibuła.

h. wydawanie i kolportowanie periodyków wielostronicowych, książek, referatów dyskusyjnych itp. jest zabronione i może mieć miejsce tylko na rozkaz Komendanta Ogniska wyższego stopnia.

34. Okres 2-gi organizacji rozpocząć zgodnie z otrzymaną ustnie instrukcją.

35. W 2-gim okresie należy: a) rozbudować organizację ognisk wg podanego szkieletu (patrz pkt 24 instrukcji), na podstawie przygotowań poczynionych w okresie 1-ym, b) rozpocząć normalną działalność przewidywaną w statucie „NIE”.

36. Oddziały bojowe, tj. egzekutywa, nie mogą przekroczyć, aż do dalszych zarządzeń, w żadnym ognisku liczby 60 ludzi, przy czym ludzie muszą być zdolni do wykonywania zadań bojowych pojedynczo.

Część V. Podział terytorialny.

37. Granice zasięgu ognisk 2- i 3-stopnia jak zał. szkic.

Część VI. Budżet.

38. Preliminarz budżetu zatwierdza ognisko wyższego stopnia.

Część VII. Wymiar sprawiedliwości.

39. Wymiar sprawiedliwości pełnią dwa rodzaje sądów: a) Sądy Stałe „NIE” (SSN) — rozpatrują sprawy obywateli polskich, nie będących członkami „NIE”, działających w łączności z

wrogiem i na jego korzyść, a na szkodę Narodu Polskiego.
b) Sądy Doraźne „NIE” (SDN) — rozpatrują sprawy członków „NIE”.

40. SSN zostają powołane przez Komendantów — przy wszystkich ogniskach. Skład SSN w ilości 1+3 (Przewodniczący plus 3 sędziów) — musi być zatwierdzony przez komendanta wyższego stopnia.

41. SDN będą powołane *ad hoc* — stosownie do wynikłej potrzeby. SDN dla danego członka — jest sąd złożony z 3 członków czwórki bezpośrednio wyższej.

42. Komplet sądzący obydwu rodzajów Sądów winien składać się z 3 osób tj. Przewodniczącego i 2-ch Sędziów.

43. Sędzią może zostać każdy członek. Na sędziów SNN w miarę możliwości należy wyznaczać członków z wykształceniem prawniczym.

44. Oskarżyciela w SNN wyznacza komendant ogniska. Funkcję oskarżyciela w SNN pełni bezpośredni przełożony oskarżonego członka. Skargę (doniesienie) może wnieść każdy. Obydwa Sądy nie znają instytucji obrońcy.

45. SNN i SDN wymierzają sprawiedliwość w 1-szej i ostatniej instancji.

46. SNN i SDN rozpatrują wyłącznie sprawy zagrożone karą śmierci. Sąd może: a) uniewinnić, b) orzec karę śmierci.

47. W zasadzie (wyjątki — wyrok i głosowanie) całe postępowanie winno być ustne i tajne.

48. Wyrok zapada większością głosów. Głosowanie jawne.

49. Wyrok SNN zostaje skierowany do wykonania przez właściwego Komendanta ogniska.

Wyrok SDN zostaje skierowany do wykonania przez przełożonego czwórki, do której zasądzony należy.

50. Członek na którego zapadł wyrok śmierci musi być ścigany przez własnego przełożonego, aż do likwidacji, bez względu na jego miejsce pobytu.

51. Obywatel polski na którego zapadł wyrok śmierci musi być ścigany przez właściwego Szefa egzekutywy (ogniska w którym zapadł wyrok) — analogicznie do punktu poprzedniego.

52. Likwidacja jednostek wroga — na rozkaz Komendanta ogniska lub upoważnionych przez niego członków.

Część VIII. Przepisy końcowe.

53. Instrukcji tej nie wolno przepisywać, ani też robić z niej wyciągów.

Egzemplarz Nr 5.

KOMUNIKAT

Centrum Badań Represji na Litwie przy Instytucie Filozofii, Socjologii i Prawa zwraca się z gorącą prośbą o przesyłanie odpowiedzi na zamieszczoną poniżej ankietę. Informacje te zostaną wykorzystane przy pracy nad książką, zawierającą nazwiska wszystkich osób represjonowanych przez NKWD w latach 1940–1941 na Litwie (wraz z Wileńszczyzną). W zamian Centrum może służyć informacjami o dalszych losach aresztowanych wtedy i zesłanych osób. Odpowiedzi prosimy przesyłać na adres:

Centrum Badań Represji na Litwie
Przy Instytucie Filozofii, Socjologii i Prawa
ul. Saltoniskiu 58
Wilno, Litwa.

ANKIETA REPRESJONOWANEGO

1. Nazwisko, imię, imię ojca represjonowanego (proszę napisać o zmianie nazwiska).
2. Dokładne miejsce i data urodzenia.
3. Narodowość i obywatelstwo w czasie zesłania.
4. Pochodzenie społeczne.
5. Dane o rodzinie w czasie represji: ilość członków rodziny..., spośród nich represjonowano...
6. Miejsce i data aresztowania, data zesłania.
7. Miejsce zesłania, uwięzienia (republika, rejon, wieś, nazwa łagru). Proszę napisać o zmianie miejsc zesłania, uwięzienia.
8. Charakter represji: zesłanie, uwięzienie, wywóz do łagrów, zamordowany na Litwie, urodzony na zesłaniu.
9. Kiedy wrócił na Litwę.
10. Kiedy i w jakich okolicznościach wyjechał do Polski.
11. Miejsce i data zgonu (dotyczy represjonowanych członków rodziny).

Upzejmie prosimy o dokładny adres.

LISTY DO REDAKCJI

Aix en Provence, 15 stycznia 1992 r.

Szanowni Panowie,

W sprostowaniu moim z 10.9.91 odnośnie artykułu p. T. Wyrwy pt. „Los wywiadu polskiego we Francji 1940–45”, które ukazało się w 98-ym numerze *Zeszytów Historycznych*, znajduje się dużej wagi błąd.

Pisząc o p. L. Śliwińskim jako kolejnym szefie „F2”, użyłem oficjalnej nazwy tej organizacji we Francji „siatka wywiadowcza”, co zupełnie mylnie zostało zmienione na „siatka szpiegowska”.

Wprowadza to zamęt do historii, a b. członkowie „F2” mogą mieć nie-słusznie do mnie dużą pretensję, myśląc, że to ja podałem nieprawdziwą nazwę ich organizacji, której pięcioletnia działalność jest jednym z zaszczytnych wkładów Polaków do drugiej wojny światowej.

Dla dobra więc sprawy proszę o wydrukowanie w następnych *Zeszytach Historycznych*, że ten błąd w historycznej nazwie „siatka wywiadowcza F2” został spowodowany pomyłką redakcyjną względnie drukarską i nie pochodzi z mego „pióra”.

Dziękując za to z góry —

Łączę wyrazy szacunku

Michał KŁOBUKOWSKI

30.12.1991

Szanowni Panowie!

W numerze 98 *Zeszytów Historycznych* we wspomnieniach płk. Wendy na stronach 171 i 173 jest wspomniana p. Regina RÓŻATOWSKA. Przypuszczam, że nazwisko zostało mylnie rozszyfrowane i powinno być p. Regina ROŻAŁOWSKA. P. Rożałowska była siostrą p. Marty Rydz-Śmigłowej i żoną p. Leona Rożałowskiego, przedwojennego starosty płockiego. Po wojnie p. Rożałowski osiedlili się w Walii i tam są pochowani.

Z poważaniem

Andrzej M. Ossowski

Warszawa 18. XII. 91 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W nr 96 *Zesz. Hist.* ukazał się list p. Henryka Kozłowskiego omawiający artykuł J. Kurtyki „Na szlaku A.K. (NIE, DSZ, WIN)”. W liście tym autor prezentuje poglądy własne i nie własne. I tak powołuje się na mego Ojca, dr. fil. Józefa Rybickiego, a niekiedy przytacza *in extenso* Jego wypowiedzi na tematy historyczne, twierdząc, iż zostały one nagrane na taśmy magnetofonowe lub pochodzą z autoryzowanych notatek z rozmów z moim Ojcem.

Ojciec był żołnierzem T.O.W. i A.K., ostatnim dowódcą Kedywu Okręgu Warszawa. Zmarł w Warszawie w 1986 r. W myśl testamentu jestem jedyną spadkobierczynią praw majątkowych — w tym praw autorskich. Wszelkie taśmy zawierające wypowiedzi Ojca jak również wypowiedzi autoryzowane stanowią moją własność. Publikowanie — wyjętych z kontekstu — wypowiedzi na tematy historyczne mego Ojca, bez mojej wiedzy i zgody, narusza nie tylko dobre obyczaje, ale i prawa autorskie.

Chciałabym wyjaśnić, że Ojciec nie utrzymywał — po roku 1945 — żadnych stosunków z płk. Janem Mazurkiewiczem. Ponadto nigdy Ojciec nie wspominał, by płk J. Mazurkiewicz czy płk A. Sanojca należeli do organizacji „NIE”. Chcę też podkreślić, iż ze wszystkich ostatnich publikacji Ojciec autoryzował tylko wywiad udzielony p. A. Romanowskiemu dla *Przeglądu Katolickiego* w 1985 r. oraz artykuł „Rok 1945” zamieszczony w *Głosie* w 1986 r., a przedrukowany w rok później w *Zesz. Historycznych*. Teksty te stanowią materiał historyczny autorstwa mego Ojca. Także historyk p. A.K. Kunert publikuje o moim Ojcu rzeczowe prace w oparciu o dokumenty.

Proszę Pana Redaktora o przyjęcie wyrazów mojej głębokiej wdzięczności za uszanowanie woli mego Ojca, który pragnął, by Jego dokumenty i teksty były publikowane tylko w redagowanych przez Pana *Zesz. Hist.*

Z wyrazami głębokiego szacunku

Hanna RYBICKA

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Jakiś czas temu wydawało się, że powstały możliwości nawiązania kontaktu z krajowymi ośrodkami kulturalnymi. Usiłowałem te możliwości wykorzystać. Jednym z pierwszych kontaktów był mój udział w symposiumie na KUL-u w maju 1990 r., gdzie omówiłem sprawę życia religijnego wśród obywateli polskich w głębi Sowietów w latach 1939-1957. To moje opracowanie, wraz z innymi przedstawionymi na tym symposiumie, zostało wydane przez Katolicki Uniwersytet Lubelski kilka miesięcy temu jako praca zbiorowa pod redakcją ks. Edwarda Walewandra.

Po otrzymaniu egzemplarza autorskiego stwierdziłem, że w moim opracowaniu zamieniono bez mojej wiedzy skróty „ZSSR” i „ASSR” na „ZSRR” i „ASRR”, przymiotnik „sowiecki” na „radziecki”, oraz nazwy „Związek Sowiecki” i „Sowiety” na „Związek Radziecki”. Zmiany te wprowadzono zarówno w moim tekście, jak i w dokumentach przytoczonych

w opracowaniu, takich jak na przykład depesze gen. Sikorskiego.

Warto przypomnieć, że terminologia „radziecka” została zainicjowana przez środowisko, na czele którego stali Marchlewski i Dzierżyński w 1919 r., a potem była używana przez Komunistyczną Partię Polski, *Nowe Widnokrepi* Wandy Wasilewskiej, Związek Patriotów Polskich, PZPR i PRL. Natomiast środowiska, w których ja się obracałem podczas swego życia (w okresie pobytu w Sowietach włącznie) używały terminologii „sowieckiej”. Ma się rozumieć Katolicki Uniwersytet Lubelski ma wszelkie prawo posługiwać się „radziecką” terminologią (czemu jedynie nieco się dziwię), natomiast opierając się na zwyczajnych ogólnie przyjętych w kulturze zachodnioeuropejskiej (z przedwojenną Polską włącznie), protestuję przeciwko wprowadzeniu terminologii „radzieckiej” w moich opracowaniach.

Redaktorzy kulowscy posunęli się jeszcze dalej. W cytowanej przeze mnie relacji prof. Kota, dotyczącej wypowiedzi wiceministra Wyszyńskiego w Kujbyszewie 2 czerwca 1942 r., gdzie Kot stwierdził w nawiasie, iż Wyszyński wypowiadał się „(ironicznie)”, redaktorzy lubelscy dodali moje inicjały „(ironicznie — Z.S.S.)”. Widocznie doszli oni do wniosku, że ja, tak samo jak oni, koryguję cudze wypowiedzi (w tym wypadku prof. Kota).

Kiedy zdałem sobie sprawę z tych interwencji redakcyjnych, zwróciłem się do ks. Walewandra o wydanie krótkiej erraty, obejmującej zaledwie pięć haseł. Otrzymałem list odmowny, powołujący się na to, że „w redagowaniu tej zbiorowej pracy sprawą konieczną było ujednoczenie nazewnictwa”. Nie odpowiada to prawdzie, bo np. w opracowaniu dr Ciechanowskiego w tejże pracy zbiorowej pozostawiono zarówno przymiotnik „sowiecki” jak i nazwę „Związek Sowiecki”.

Natomiast, o ile chodzi o kulowskie poprawki w cytacie prof. Kota, ks. Walewander wyjaśnił: „Na str. 140, gdzie Pan wstawił dodatek „ironicznie”, uważaliśmy za stosowne podkreślić, że była to właśnie decyzja Autora”. Jak widać eksperci kulowscy nie pofatygowali się sprawdzić swoich błędnych wniosków, chociaż podałem skąd ten cytat pochodzi.

Z.S. SIEMASZKO

SPROSTOWANIA AUTORA

do jego opracowania pt. „Pipsztoki” (98-me *Zeszyty Historyczne*)

Str. 42, w. 9 od góry. Jest: „Chipperfield Lodge”, powinno być: „Seafield House uszkodzony później przez raketę V1, na szczęście bez strat w ludziach”.

Str. 44, w. 3 od góry. Jest: „Barnes Lodge i Chipperfield Lodge”, powinno być: „Barnes Lodge i Chipperfield”.

Str. 45, w. 4 od dołu. Jest: „w Galashiels”, powinno być: „w Hydro Hotel, Melrose”.

Str. 52, w. 8 od góry. Jest: „Walerian Rogulski”, powinno być: „Walerian Rogulski — powrócił do Polski mając 73 lata i tam zmarł w listopadzie 1980 r”.

Str. 52, w. 10 od dołu. Jest: „Boxmore”, powinno być: „Boxmoor”.

Str. 55, w. 9 od góry. Jest: „Stanisława Leszczyńskiego”, powinno być: „Jana Leszczyńskiego”.

Z.S. SIEMASZKO

SPIS TREŚCI

Agata Tuszyńska: <i>Israel is a real thing</i>	3
Leon Antoni Sułek: <i>Wojenne losy Polaków żołnierzy Armii Czerwonej (1940-1945)</i>	30
Andrzej Albrecht: <i>Noc generała</i>	40
Tadeusz Stanisław Piotrowski: <i>Studenci gdańscy w grudniu 1970</i>	52

DOKUMENTY

Grzegorz Mazur: <i>Raport Jerzego Rutkowskiego</i>	59
<i>Komunikat Komitetu Zagranicznego PPS z 10 czerwca 1947 r.</i>	151
<i>Przemówienie prezydenta R.P. A. Zaleskiego z okazji zaprzysiężenia rządu gen. Bór-Komorowskiego 2 lipca 1947 r.</i>	155
<i>Uchwała LNP z 1 lipca 1947</i>	157

WSPOMNIENIA

Zygmunt Wenda: <i>Z marszałkiem Śmigłym. Wspomnienia, cz. II.</i>	159
---	-----

CI, CO ODESZLI

Piotr Wandycz: <i>Henri Rollet</i>	188
--	-----

RECENZJE

Gustaw Kerszman: <i>Książka o Marcu</i>	189
Katsuyoshi Watanabe: <i>Historia Polski w badaniach japońskich w latach 80-tych</i>	201
Krzysztof Adam Tochman: <i>Uzupełnienia do „Cichociemnych” J. Tucholskiego</i>	207
	239

Tadeusz Wyrwa: „Przegląd kawalerii i broni pancерnej”	212
Tadeusz Wyrwa: Początki internowania 2-jej Dywizji w Szwajcarii	216
Józef Garliński: Książka ciągle aktualna	219

OKRUCHY HISTORII

B. Dytrych: Legia Oficerska na Środkowym Wschodzie (uzupełnienia)	223
Statut „NIE”	228
Instrukcja „NIE”	230
Komunikat Centrum Badań Represji na Litwie	235

LISTY DO REDAKCJI

Michał Kłobukowski: Sprostowanie dotyczące poprawnej nazwy „siatki wywiadowczej F2” (patrz uwagi M. Kłobukowskiego do artykułu T. Wyrwy „Los wywiadu polskiego we Francji 1940-1945”, Zeszyty Historyczne Nr 98)	236
Andrzej M. Ossowski: Sprostowanie nazwiska p. Różałowskiej (poprawnie: Różałowska) we wspomnieniach Z. Wendy „Z marszałkiem Śmigłym” (Zeszyty Historyczne Nr 98)	236
Hanna Rybicka: Oświadczenie dot. praw autorskich dr. Józefa Rybickiego	237
Z.S. Siemaszko: Protest przeciwko zmianie terminologii „sowiecki” na „radziecki” w pracy zbiorowej wydanej przez KUL pod red. ks. Edwarda Walewandra	237
Z.S. Siemaszko: Sprostowania autorskie do opracowania pt. „Pipsztoki” (Zeszyty Historyczne Nr 98)	238

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.
48, rue de la Rochefoucauld, 75009 PARIS

